

REMIGIUSZ

# MRÓZ

O S I E D L E

# RZNIW



O S I E D L E

**RZNIW**



R E M I G I U S Z

**MRÓZ**

O S I E D L E

**RZNIW**



Copyright © Remigiusz Mróz, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Aleksandra Deskur

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografie na okładce: Rico Cori, Alice Pasqual / Unsplash

Fotografia autora: Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-80-4

#### CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



*Pamięci Ani Luboń (1975–2020),  
dobrej duszy w często bezdusznym świecie*



*Miejsce Polska, system samowolka,  
cel to forsa, w tym tkwi sekret.  
O.S.T.R. – Kochana Polsko*

*W tym kraju pijesz, gdy się cieszysz, pijesz, gdy jesteś smutny.  
Ludzie zmienili miłość do życia w miłość do wódki.  
Pezet/Noon – Szósty zmysł*

*Przestań, człowieku, odrzuć te myśli chore  
Podnieś głowę, okoliczności są  
wyjątkowe.  
WWO – Damy radę*

*Jest jedna rzecz, dla której warto żyć.  
Hip-hop. I nie zmienia się nic.  
Peja/Slums Attack – Jest jedna rzecz*

*Wielu z nas myśli w chwilach, gdy majka trzymamy,  
O tym, że wygraliśmy, że mamy raj pod stopami.  
Eldo – Tylko słowo*





# INTRO

## 1

Nigdy nie zapomnę tego momentu w przededniu lata, kiedy na osiedlu RZNiW kwitły wszystkie drzewa, żar zaczynał leniwie lać się z nieba, a ja niewiele wcześniej zajebałem człowieka.

A przynajmniej nigdy nie powinienem zapomnieć.

Prawda jest taka, że wyrzuty sumienia były jak dawne dziewczyny obiecujące, że wpadną na wesele – nigdy się nie zjawily. Nie żałowałem tego, co zrobiłem. Nie poświęcałbym temu nawet krótkiej rozkminy, gdyby nie to, że organy ścigania nie pozostawiły mi wyboru. Psiarnia mnie zatrzymała, a niedługo potem postawiono mi zarzuty.

Ostatecznie trafiłem tu, gdzie teraz jestem – na ławę oskarżonych w sądzie okręgowym. Odpowiadam za zbrodnię z artykułu sto czterdziestego ósmego Kodeksu karnego. Paragraf drugi, punkt drugi – zabójstwo w związku z rozbojem. Niedawno stuknęło mi siedemnaście wiosen, ale to nie ma znaczenia, bo prawo karne traktuje mnie jak dorosłego. A więc za to, co zrobiłem, dawała mi minimum dwanaście lat. Maksymalnie dożywocie.

Ile dostanę? Zero.

Odejdę wolny, mimo że jestem winny.

– Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanych mu czynów? – pyta sędzia.

Wstaję, prostuję się i przyjmuję wyraz twarzy niewiniątka. Sprawiedliwość jest ślepa, ale węch ma doskonały i bez trudu wyczuwa strach. Ja nie okazuję żadnego.

– Nie, Wysoki Sądzie – odpowiadam ze spokojem.

– Czy oskarżony zamierza złożyć wyjaśnienia?

Wiadomo, że zamierzam. W dodatku zapodam im takie, które sprawia, że po zakończeniu rozprawy zbiję stąd jako wolny człowiek.

Nie kumasz, jak to zrobię? To posłuchaj, wszystko ci wyjaśnię.

## 2

U mojej matki zdiagnozowano przypadłość zwaną podwójną ciążą, kiedy była rok młodsza niż ja teraz. Przypuszczam, że myślała o usunięciu, bo nie zatrybiła nawet, kto ani kiedy zrobił jej dwa bachory. Gdyby miała hajs, zdecydowałaby się na skrobankę, ale nie stać jej było na to, żeby nas urodzić – co dopiero na to, żeby tego nie zrobić.

Infekcja zakończyła się po dziewięciu miesiącach, a matka pozbyła się dwóch ciał obcych – mnie i mojej siostry. Nie zajmowała się nami, robili to jej rodzice. Miałem cztery lata, kiedy dosłownie zalała się w trupa – do tego nafaszerowała się chyba wszystkim, co było w mieszkaniu, więc nie było opcji, by ją odratować. Jej nigdy nie było mi szkoda, sama podjęła decyzję. Kłopot w tym, że zrobiła to także w imieniu mojej siostry, zabierając ją ze sobą. Mnie zostawiła, może za karę, a może dlatego, że po prostu o mnie zapomniała.

Niecały rok później kopyta wyciągnął mój dziadek. Odwalił kitę z okazji wyjątkowo złośliwego nowotworu.

Niezbyt subtelnie? Daj spokój. Dziadek po pierwsze był całkiem spoko, a po drugie już nie żyje. Nie robi mu żadnej różnicy, jak to określe.

Od piątego roku życia wychowywała mnie więc tylko babcia. Nie miała ze mną zbyt lajtowo, w dodatku utrzymywała nas z lipnej pensji kasjerki w osiedlowym zieleniaku. Już w tamtym czasie urządziłem w jej życiu dokumentny

rozpierdol, a ona zawsze znosiła to, jakby spływało na nią błogosławieństwo.

Ale tak to jest, jak od gówniarza wychowuje cię samotna babcia – musisz udowadniać sobie i wszystkim wokół, że nie jesteś cipą. Może dlatego zrobiłem kilka niekoniecznie mądrych rzeczy.

W przedszkolu zebździłem się jakiejś dziewczynce do łóżka na leżakowaniu.

W podstawówce publicznie zwyzywałem katechetę od „jebanych plebanów i pierdolonych koczkodanów”, mimo że nie miałem nic do gościa ani nawet do religii.

W gimnazjum kręciłem tyle afer, że przenieśli mnie do innej szkoły i chyba zaczęli się zastanawiać, czy reforma edukacji za Buzka była dobrym pomysłem.

W liceum przez długi czas był spokój i norma. Kilka bójek, jeden typ ze złamanym nosem i ułamanymi zębami, trochę przypadków z fajkami i browcami, nic ponadto.

Do czasu.

Kiedy tamtej pechowej nocy dostałem esemesa, nie wiedziałem jeszcze, że wszystkie wcześniejsze kłopoty okażą się niczym w porównaniu z tym, co mnie czekało.

### 3

Zanim przyszła wiadomość, kleiłem bity we Fruity Loopsie, wciąż nie mogąc zdecydować, czy do moich kawałków potrzebuję najpierw tekstu, czy może podkładu. Potrafiłem ślęczeć przy kompie do rana, a kiedy zamykałem oczy, widziałem tylko prostokąciki z piano rolla.

Miałem powoli kłaść się do wyra, kiedy przyszedł esemes. Nie sprawdziłem go od razu, bo miałem do skończenia sekwencję, a poza tym nie byłem tej nocy ustawiony

z żadnymi ziomkami i nie bardzo mnie interesowało, kto męczy mi bułę tak późno.

Sprawdziłem telefon jakieś dwadzieścia minut po fakcie. Numer nieznany, treść prosto z psychiatryka.

„Boję się. Chyba ktoś za mną idzie”.

Podrapałem się po bańce i skrzywiłem. Nie kojarzyłem, żeby dawał numer komuś, kto później nie puściłby mi strzały i kogo nie dodałbym do kontaktów. Uznałem, że nadawca drze sobie łacha. Pewnie jakieś laski mają bezkutasową imprezę i któraś wymyśliła, żeby mnie sprowokować.

Odłożyłem komórkę, dopiłem browca i walnąłem się do łóżka. Chwilę się wierciłem, bo cały czas miałem przed oczami patterny i aranżacje na playliście. Kiedy wreszcie znikły, zacząłem wymyślać rymy do kawałka, od którego miał zacząć się mój nielegal.

Jeśli nad czymś naprawdę pracujesz, robisz to nawet wtedy, kiedy nie chcesz – a może szczególnie wówczas. Tamtej nocy wiedziałem, że nie zmrużę już oka. Zapaliłem lampkę przy odrapanym biurku, wyciągnąłem notes i zacząłem coś skrobać. Nie szło za dobrze, więc sięgnąłem po telefon.

Kolejnej wiadomości nie było, nikt też nie próbował się do mnie dodzwonić.

Ki chuj? Jeśli jakieś laski kręciły bekę, raczej nie zrezygnowałyby tak szybko. Tarabaniłyby, chcąc mnie obudzić, a potem pewnie po prostu parsknęłyby śmiechem i się rozłączyły.

Przeszło mi przez myśl, że może któraś z moich byłych ma jakąś jazdę. Trochę ich się uzbierało. I większość nie należała do specjalnie zrównoważonych.

Dobra, uznałem w duchu, trzeba sprawdzić.

Wybrałem nieznany numer i przyłożyłem telefon do ucha. Czekałem aż do momentu, kiedy automat przerwał połączenie,

a potem spróbowałem ponownie. Tym razem po kilku sygnałach ktoś odebrał.

Nie miałem zamiaru odzywać się pierwszy. Jeśli ktoś chciał się zabawić moim kosztem, musiał wykazać przynajmniej trochę inicjatywy.

Nasłuchiwałem, ale wychwyciłem jedynie jakieś trzaski. Trudno było powiedzieć, czy komórka gdzieś spadła, czy jest po prostu w czyjejś kieszeni i materiał trze o głośnik. Tak czy inaczej, ktoś odebrał przez przypadek. Rozłączyłem się, dopisałem jeszcze dwa wersy do mojego kawałka, a potem w końcu kimnąłem.

Myślałem, że na tym cała sprawa z nocnym esemesem się skończy, ale kiedy rankiem przybiłem do szkoły, od razu zorientowałem się, że będzie inaczej.

Pod głównym wejściem, tam, gdzie normalnie na przypale jaraliśmy szlugi, stała psiarnia. Jeden radiowóz, a obok granatowy volkswagen, też policyjny. Skąd wiem? Znam na pamięć blachy wszystkich nieoznakowanych fur, które kręcą się w okolicy. To podstawa.

Zatrzymałem się obok mojego dobrego ziomka i wymieniliśmy się krótkimi uściskami dłoni. Szybkie klepięcie, przytrzymanie palcami, potem obcinka na mundurowych.

– Elo – rzuciłem.

– Siema, Deso.

Z Grzesiem Pinkowskim znałem się od podstawówki – i już wtedy przylgnęła do niego ksywa Pinky. W sumie pasowała, bo był trochę nieporadny. Ale jak przyszło co do czego, nigdy nie speniał.

– Co jest? – zapytałem, wskazując wzrokiem wejście do szkoły.

– Podobno jakaś laska zaginęła w nocy.

Odpaliłem szluga i ściągnąłem pierwszego bucha.

– Obstaw – rzucił Pinky.

– Spierdalaj – odparłem pod nosem, nadal patrząc na wejście. – Jaka laska?

– Iza Mikulska. I zostaw chociaż pojarę.

Spojrzałem na dymiącego się papierosa i westchnąłem.

– Dam ci spo – postanowiłem. – I jak to: zagięła? Co to za jedna?

Pinky był wyraźnie niezadowolony, że dostanie ode mnie najwyżej dwa machy, ale musiałem w końcu go nauczyć, że jak nie będzie kupował fajek, nie będzie palił. Miał więcej kwitu ode mnie, a i tak zawsze jarał czyjeś.

– Nie kojarzysz Izy Mikulskiej? – spytał Grzesiu.

– Nie.

Tak naprawdę kojarzyłem ją bardzo dobrze. Za dobrze.

– Ja jebię, Deso... Masz już totalnie przejaraną banię.

– Bo?

– Bo chodzi z nami do klasy, ziomuś – odparł pod nosem Pinky. – Buja się z samymi kujonicami, ale z twarzy nawet niezła dupa.

Wypuściłem dym w kierunku wejścia. Policjantów nie było widać, pewnie siedzieli u dyrekcji i próbowali ogarnąć, co się stało.

– Poszła fama, że Iza była na jakiejś imprezie – ciągnął Grzesiek.

– Jakiej?

– Chyba w Incydencie... albo w jakimś innym klubie.

Dobra uczennica w takim miejscu? Robiło się coraz ciekawiej, bo Incydent znany był głównie z tego, o czym świadczyła jego nazwa. Łatwo można było zarobić tam gonga w ryj, czasem wystarczyło wejść na parkiet. Tabsy krążyły z rąk do rąk, grano techniawkę i grzmocono się w kiblach. Standardowa wylęgarnia jebanych opryszczek.

– I co ona miałaby tam robić? – spytałem.

– Pewnie chciała, żeby ktoś nabił ją na pal.

W dodatku środek tygodnia. Dla takich dziewczyn pójście do łóżka godzinę później niż zwykle było już przewinieniem na miarę planowania kolejnego Holocaustu.

– Miałeś zostawić... – mruknął Pinky.

Zerknąłem na końcówkę papierosa.

– Dostaniesz spo spo – odparłem. – I co wiadomo w sprawie?

– A co ty, kurwa, jesteś, Rutkowski?

– Mów.

– To kopsnij szluga.

Syknąłem pod nosem i wyciągnąłem paczkę czerwonych viceroyów. Najpierw poczęstowałem Pinky'ego soczystym przekleństwem, dopiero potem papierosem. Kiedy zapalił, zaczął gadać, jakby sam był specjalistą od zaginięć. W rzeczywistości zjawił się w szkole może pół godziny przede mną, bo jego starsza zaczynała robotę o barbarzyńskiej porze i podwoziła go wcześniej. Oczywiście nikt o tym nie wiedział, byłaby siara na pół szkoły.

– Dobra, no to tak... – podjął Grzesiu. – Słyszałem, że kilka osób widziało ją w nocy na wixie. Wywijała trochę pokraccie, niektórzy mówią, że musiała coś zarzucić, ale nie byłbym taki pewny.

– Nie? – bąknąłem.

– Przecież pierwszy raz była w Incydencie, może w ogóle pierwszy raz na parkiecie. Nie musiała być naćpana.

– Tam każdy jest porobiony, Pinky. Przy Manieczkach nie jeździ się na sucho.

– No wiem – przyznał Grzesiu, zaciągnął się i splunął. – Tak czy inaczej, weszła w leasing z jakimś typem na parkiecie, a potem z innym poszła do kibla. Zrobiła mu gałę i...

– Skąd to wiadomo?

– Tak słyszałem.

– Aha – odparłem. – Od kogo?

– Od typy, co podobno...

– Co? Widział? Uczestniczył?

– No nie, ale... – zaczął Pinky, ale ostatecznie urwał i machnął ręką.

Zdawał sobie sprawę z tego, że zdrowo wkurwiają mnie takie famy. Nie miałem nic przeciwko robieniu komuś koło dupy, ale grunt, żeby było jakieś uzasadnienie. Plotki w sprawie tej laski pewnie zaczęły się rozchodzić, jak tylko się okazało, że dobra uczennica była nocą w klubie. Resztę sobie dorobiono.

– O której to było? – zapytałem.

– Niby koło pierwszej, drugiej.

Wyrzuciłem kiepa i mocno go zdeptałem.

– Coś nie tak? – odezwał się Pinky.

– Mniej więcej o tej porze dostałem esa.

– Jakiego? Od kogo?

Wyciągnąłem nokię i podałem ją Grzesiowi. Popatrzył na mnie z pewną podejrzliwością, ale wziął telefon.

– „Boję się” – odczytał wiadomość. – „Chyba ktoś za mną idzie”.

Szybko oddał mi telefon, jakby ten nagle zmienił się w rozżarzony węgiel.

– Co to ma być? – spytał.

– Nie wiem. Widzisz, że nie mam zapisanego numeru.

– To ta dziewczyna?

Nie chciałem się powtarzać, więc po prostu wzruszyłem ramionami. Kiedy tylko obczaiłem policję pod szkołą, mój umysł powiązał jedno z drugim, chociaż właściwie nie było powodu. Teraz jednak wydawało się to nieprzypadkowe.

– Kurwa, ziomuś... – jęknął Pinky.

– Wiem.

– To może być niezłe bagno.

Mieliśmy siedemnaście lat, ale życie zdążyło nauczyć nas pesymizmu i przekonać, że nie jest on na wyrost. Obaj

wiedzieliśmy, jak niewiele potrzeba, żeby psy zajęły się takimi jak my. A jeśli ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, gdzie w hierarchii społecznej się znajdujemy, wystarczyło, by poszedł z puszką sprayu na pociągi i poczekał na SOK-istów. To, jak traktuje się drób hodowlany w brojlerniach, to nic.

– Gadałeś z nią w ogóle kiedyś? – zapytał Pinky. – Spotkałeś ją gdzieś?

– Nie.

– To skąd miała twój numer?

– Może jakaś kumpela jej zapodała.

Grzesiu posłał mi pełne powątpiewania spojrzenie.

– A któraś z nich go miała? – spytał.

Pokręciłem głową. Dziobaki z klasy nie znały numeru, bo takie dziewczyny po prostu się do mnie nie zbliżały. Szczególnie po tym, jak kiedyś na przerwie zrzygałem się jednej prosto do plecaka.

Nie z premedytacją. Po prostu byłem po dość mocnej libacji i nie chciałem zespawać się na korytarz. Kujony jednak uznały, że się nad nimi znęcam, był spory dym i ostatecznie po prostu trzymały się na bezpieczną odległość.

– I dlaczego w ogóle Iza miałaby pisać akurat do ciebie? – dodał Pinky.

Wyciągnąłem kolejnego papierosa, choć znacznie chętniej skręciłbym sobie jointa. Od jakiegoś czasu brakowało mi jednak siana na bakanie i musiałem zrobić sobie przymusowy odwyk. Może nie licząc kilku machów z gibona, którego użyczył mi jeden z ziomków.

– Deso...

– No?

– Nie miałeś z tym nic wspólnego, co?

– Pojebało cię? – odparowałem. – Nawet nie wiem, jak ona wygląda. Nigdy z nią nie gadałem, nie miałem z nią żadnych...

Urwałem, kiedy rozległ się dzwonek mojej komórki. Spojrzałem na wyświetlacz i kompletnie osłupiałem. Pinky nachylił się i zalukał na dzwoniący telefon.

– O kurwa... To ona?

Skinałem głową, bo pamiętałem ostatnie cyfry numeru. Dzwoniła do mnie zaginiona dziewczyna.

– Co zrobisz? – spytał Grzesiu.

Dobre pytanie, uznałem w duchu. Jeśli chciałem uniknąć potencjalnego przypadku, na który nie zasłużyłem, może najlepiej było olać sprawę i nie odbierać. Nie wiedziałem, co się dzieje, a w takiej sytuacji łatwo narobić sobie kłopotów.

Z drugiej strony Mikulskiej rzeczywiście coś mogło grozić.

Wiedziałem, że mam jeszcze tylko chwilę, nim przestanie dzwonić. Zakląłem pod nosem i wyrzuciłem papierosa. Przyłożyłem palec do zielonej słuchawki, ale się zawahałem.

– Może lepiej nie odbieraj – podsunął Pinky.

Zacisnąłem usta, spojrzałem na stojące przed szkołą samochody, a potem odebrałem. Dziewczyna mogła potrzebować pomocy.

– No? – rzuciłem.

Odpowiedziała mi cisza. Odczekałem chwilę, a potem zerknąłem na komórkę, by sprawdzić, czy zdążyłem w ogóle odebrać. Połączenie było nawiązane, tyle że nikt się nie odzywał.

– Halo, kurwa – mruknąłem.

– Z kim rozmawiam? – rozległ się spokojny, męski głos.

Spojrzałem na Pinky'ego, jakby mógł go usłyszeć. Ten tylko wzruszył nerwowo ramionami.

– To ty do mnie dzwonisz, gościu – powiedziałem. – Sam się przedstaw i mów, o chuj ci chodzi.

Znów chwila milczenia.

– Z tej strony podkomisarz Zaporowski, komenda rejonowa policji – przedstawił się facet.

Spanikowałem. Włączył się instynkt samozachowawczy z blokowiska, który kazał natychmiast się rozłączyć. Pinky spojrział na mnie pytająco, a ja bezgłośnie powiedziałem mu, że to pały.

– Jesteś tam? – spytał Zaporowski.

– No, jestem – rzuciłem niepewnie. – O co tu chodzi?

– Najpierw muszę wiedzieć, z kim rozmawiam.

Wtedy po raz pierwszy poczułem, że wdepnąłem w naprawdę świeże, jeszcze ciepłe i śmierdzące, gówno.

– Deso – odparłem bez namysłu.

– Co proszę? – zachnął się podkomisarz. – Imię i nazwisko.

– Nie mam zamiaru...

– I tak sprawdzimy, do kogo należy ten numer, chłopcze. Możesz albo teraz ze mną pogadać, albo za jakiś czas się dowiedzieć, że dostałeś wezwanie na komendę.

Instynkt kazał uciekać, a nie brnąć dalej w to szaleństwo. Może gdybym miał moment na rozkminę, dotarłoby do mnie, że tak naprawdę nie musiałem niczego im zdradzać. Telefon miałem na kartę, nie znałem dobrze Izy, nie bujaliśmy się z tymi samymi ludźmi. Może psy by mnie nie namierzyły.

– Słuchaj – podjął Zaporowski. – Ostatnie połączenie na ten numer pochodzi od ciebie. Nie będziesz miał żadnych problemów, ale próbujemy się dowiedzieć, co się stało z dziewczyną, do której należał ten telefon.

Milczałem.

– Dlaczego dzwoniłeś do niej około drugiej w nocy?

Wyjąłem kolejnego viceroya, żałując, że wyrzuciłem poprzedniego. Czasem musiałem ciułać na paczkę przez kilka dni, a babcia, nawet gdyby miała, nie dałaby mi tyle, żebym mógł kupić fajki.

– Tylko oddzwaniałem – rzuciłem. – Znaczący wysłała mi esemesa, więc chciałem sprawdzić, o co chodzi.

– Rozumiem.

Tym razem on na moment umilkł, a mnie przeszło przez myśl, że niepotrzebnie z nim gadam.

– W niczym nie pomogę – dodałem szybko. – Nie znam tej laski, nigdy z nią nie gadałem i nie pamiętam nawet, jak wygląda.

– Mimo wszystko muszę poprosić cię o imię i nazwisko.

– Ale...

– Jest jakiś powód, dla którego nie chcesz ich podać?

Potarłem nerwowo kark, myśląc o tym, że faktycznie może się to wydać trochę podejrzane.

– Dariusz Sodkiewicz – odparłem.

– A Deso to twoja ksywa?

– Ehe – potwierdziłem. – Pierwsza litera imienia i dwie z nazwiska.

Dopiero teraz przemknęło mi przez głowę, że pałarz może kojarzyć tagi, które robiłem na pociągach i budynkach. Z początku podpisywałem się jako „D.So”, bo nieźle to wyglądało jako graf, ale potem używałem już normalnej, pełnej ksywy.

– W porządku – odparł Zaporowski. – Jesteś teraz w szkole?

– Pod szkołą.

– Możesz przyjść do gabinetu dyrektora?

– Eee...

– Nic ci nie grozi. Chcemy tylko pogadać.

Zawsze od tego się zaczynało, a ja nie byłem w ciemną bity. Ale dobra, uznałem, lepiej pójść i wybadać teren. Przecież nie muszę niczego im mówić.

– Spoko – rzuciłem. – Zaraz mogę tam być.

– Dzięki – odparł podkomisarz, jakby był moim dobrym kumplem. – Powiedz mi jeszcze jedną rzecz.

– Jaką?

– Dlaczego jesteś zapisany w telefonie zaginionej jako „Wiki mąż”?

Spodziewałem się wielu pytań, ale z pewnością nie tego. Jaki „Wiki mąż”, do chuja? To miało coś wspólnego z Wikipedią? Nie, to raczej bezsensowne. Musiało chodzić o jakąś Wiktorię. Tyle że ja żadnej nie kojarzyłem.

## 4

Siedziałam w gabinecie szkolnej psycholog od piętnastu minut, czekając na policjanta, który miał ze mną porozmawiać. Unikali słowa „przesłuchanie”, ale w gruncie rzeczy o to chodziło.

Planowali przesłuchać tego dnia wszystkich, którzy mieli jakikolwiek kontakt z Izą, a zacząć postanowili ode mnie. Nic dziwnego, na ich miejscu też najpierw chciałabym sprawdzić najlepszą przyjaciółkę, a dopiero potem resztę znajomych.

Jednych mieli przepytawać w gabinecie psycholog, innych w pokoju dyrektora, a oprócz tego przygotowywali także miejsce u pielęgniarki.

Spojrzałam na komórkę i mimowolnie pomyślałam o tym, że przegapię pierwszą matkę. Przyjdę na drugą, kompletnie nie wiedząc, co się dzieje, bo dzisiaj mieliśmy rozmawiać o równaniach logarytmicznych.

Odsunęłam od siebie tę myśl, bo otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł postawny policjant. A przynajmniej spodziewałam się, że nim jest, bo nie miał munduru. Zamknął drzwi, a potem usiadł za biurkiem normalnie zajmowanym przez psycholożkę.

– Podkomisarz Zaporowski – przedstawił się.

Skinęłam głową i przywitałam się, jak należało.

– A ty to...

– Wiktoria Zabska, proszę pana.

Nazwisko jak każde inne, ale za każdym razem, kiedy je wypowiadałam, czułam, że płoną mi policzki. Niezliczoną ilość razy doświadczałam sytuacji, w których ktoś nabijał się z tego, jak się nazywam – w gimnazjum przewali mnie Żaba, a w III LO im. Jerzego Matusa tę tradycję kontynuowano, czasem wprowadzając pewne wariacje.

Niby nic, ale to sprawiało, że zawsze robiło mi się głupio, ilekroć się komuś przedstawiałam. Niektórzy wstydzą się pieprzyka, który nikomu innemu nie wydaje się niefajny. Inni mają kompleksy z powodu nosa, którego kształtu nikt oprócz nich nie zauważa. Dla mnie kłopotliwych było wiele rzeczy, ale nazwisko w jakiś sposób to wszystko symbolizowało.

Tak naprawdę jedyne, co w sobie lubiłam, to oczy. Podobno tylko dwa procent populacji ma zielone. Dzięki temu czułam się w jakiś sposób wyjątkowa, choć mało kto patrzył na mnie na tyle długo, żeby to dostrzec.

– W porządku... – zaczął podkomisarz, jakbyśmy mieli do omówienia tak wiele, że nie wiedział, od czego zacząć. – Jak dobrze znasz Iżę?

– Bardzo dobrze. Od podstawówki.

– Chodziłyście do jednej klasy?

– Mhm. Tak samo jak teraz. Tylko w gimnazjum do innych.

– Bywałyście razem na imprezach?

Uniosłam brwi z niedowierzaniem, a potem poprawiłam sweterek.

– Pan ma jakąś wadę wzroku? – wypaliłam.

To, że nabijano się ze mnie, od kiedy pamiętam, sprawiło chyba, że w końcu zrezygnowałam z prób nawiązywania poprawnych relacji z innymi ludźmi. Zrobiłam się dość bezpośrednia, a niektórzy twierdzili, że nawet obcesowa.

Drwiny nie dotyczyły tylko mojego wyglądu, nazwiska, ksywy i jej odmian. Wyśmiewano się ze mnie głównie dlatego, że chciało mi się uczyć. Najczęściej wolałam robić to niż

wychodzić i spotykać się ze znajomymi. Nie musiałam wtedy udawać osoby potrafiącej odnaleźć się w towarzystwie, a dodatkowo były z tego wymierne korzyści – dobre oceny. Tyle że napędzało to spiralę niechęci.

– Z moim wzrokiem wszystko jest w porządku – rzucił Zaporowski.

– Chyba nie do końca. Nie widzi pan, jak wyglądam?

– Nie bardzo wiem, co...

– To wyjaśnię. Tego grubego swetra nie wkładam dlatego, że tu nie grzeją. Ukrywam się pod nim, tak samo jak za okularami i pod zbyt dużymi džinsami. Moja kurtka przywodzi na myśl ubiór starego wędkarza, bo...

– Czyli nie chodzisz na imprezy, tak? – uciął podkomisarz. – To chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że nikt nawet nie pomyśli o tym, żeby mnie na jakąkolwiek zaprosić.

Policjant zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, czy mi wierzyć. Człowieku, spójrz na mnie, pomyślałam.

– Iza też nie lubiła imprezować? – spytał.

– Ani ona, ani nikt inny z Hordy.

– Hordy?

Spuściłam wzrok i westchnęłam.

– Tak na nas mówią – odparłam, a potem wyjaśniłam, że określenie ukuł jeden z chłopaków z osiedla. Szybko przylgnęło i wszyscy zaczęli określać tak naszą paczkę, nawet my same. Początkowo robiłyśmy to na przekór innym, potem jednak tak się oswoiłyśmy z Hordą, że dawała nam pewną kolektywną siłę.

Zamówiłyśmy sobie nawet brązowe, skórzane bransoletki z symbolem Złotej Ordy – półksiężycem z lewej strony i tamgą, czyli piętnem rodu i znakiem wspólnoty państwowej. Myślałyśmy, że dzięki temu będziemy fajne. Nie byłyśmy.

Zaporowski słuchał z uwagą, a kiedy skończyłam, pokiwał głową i przez moment milczał. Pomyślałam, że to dobry moment, bym przejęła inicjatywę.

– Wiadomo coś w sprawie Izy? – zapytałam.

– Przyglądamy się wszystkiemu.

Co to za odpowiedź?

– Ale jest jakiś trop czy...

– Zostaw to nam.

– Tylko że wy nie najlepiej sobie radzicie – odparłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. – Każdy chłopak z mojej klasy jest w stanie w ciągu piętnastu minut bez problemu znaleźć najbliższego dealera marihuany, a wam zajmuje to długie miesiące, jeśli nie lata.

Podkomisarz popatrzył na mnie jak na wariatkę. Może i słusznie.

– Przepraszam – dorzuciłam. – Jestem trochę zdenerwowana.

– Widzę.

– Izy nie powinno tam w ogóle być, ona nie chodziła w takie miejsca. I nie powinno jej się nic stać...

Zaporowski milczał.

– Znajdziecie ją? – dodałam.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Miałam ochotę znów mu wygarnąć, co właściwie było dość miłą odmianą od tego, jak zazwyczaj podchodziłam do ludzi. Pozwalałam im na wiele swoim kosztem, bo wydawało mi się, że wszyscy są lepsi ode mnie. I z jakiegoś powodu mają prawo sobie używać.

– Ale myśli pan, że coś jej się stało?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– Została porwana?

– Posłuchaj, Wiktorii...

– Wika.

Nie lubiłam pełnego imienia tak samo jak mojego nazwiska. Wydawało mi się nadęte i trochę zarozumiałe, zupełnie do mnie nie pasowało. To zdrobnienie też nie. Wika brzmiała jak równa babka, z którą możesz poszaleć na parkiecie, wypić kilka piw i przypalić coś za szkołą.

– Musieliście tak założyć – kontynuowałam, coraz bardziej przejęta. – Inaczej nie zajęlibyście się tym z samego rana. Poczekalibyście przynajmniej czterdzieści osiem...

– Nie ma żadnej granicy, Wika – uciął. – Podejmujemy działania od razu, jeśli uznajemy, że zachodzi taka konieczność.

I właśnie to mnie dziwiło, bo właściwie jakie mieli informacje? Iza była na imprezie, po której nie wróciła do domu. Jeśli ktoś znał ją tak dobrze jak ja, wiedział, że to niepokojące – ale jeśli nie? Dla policji była zwykłą dziewczyną, która mogła zabalować za długo. Albo nawet uciec z domu.

– Powiedz mi jeszcze, czy znasz Darka Sodkiewicza.

O Boże, nie. O Jezusie, proszę, tylko nie to.

Znów poczułam, jak oblewam się rumieńcem. Chciałam uciec albo choćby się odwrócić, ale cokolwiek bym zrobiła, nie było już wyjścia. Zaporowski sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie odnotował mojej reakcji.

– Desa? – jęknęłam.

– Tak na niego mówią.

Z trudem przełknęłam ślinę. Nie, nie, nie.

– Nie za bardzo... – odparłam niepewnie.

Zabrzmiało to jak pytanie, a nie jak odpowiedź.

– Pytam tylko dlatego, że Iza wysłała mu esemesa po wyjściu z klubu Incydent. A on dwadzieścia minut później do niej zadzwonił.

Zrobiłam wielkie oczy, nie dowierzając. Było absolutnie niemożliwe, żeby Iza skontaktowała się z Desem. Nie bez mojej wiedzy.

– Jak to? – palnęłam. – Znaczy... znaleźliście jej komórkę?

Skinał lekko głową i wyglądał na zadowolonego, że usłyszał całkiem rzeczowe pytanie. Chciałam się tego ucześcić, ale natychmiast wrócił do tematu, który go interesował.

– Więc mówisz, że nie za bardzo znasz Desa?

– Mhm.

– A Iza go znała?

– Nie.

Nie wahałam się ani przez sekundę. Deso należał do zupełnie innego świata, takie dziewczyny jak my nie miały z nim żadnej styczności, chyba że akurat wziął na celownik jedną z nas, by się nabijać. Ja doświadczyłam tego najdotkliwiej, bo zwymiotował kiedyś do mojego plecaka.

– A mimo to miała jego numer zapisany w komórce – odparł policjant.

Znów spuściłam wzrok, orientując się, co mogła odstawić Iza.

– Nie wprowadziła go jednak jako „Deso” – ciągnął Zaporowski. – Ale jako „Wiki mąż”.

– Co takiego?

To potwierdzało moje przypuszczenia.

– Jezu... – jęknęłam.

Podkomisarz przysunął się do biurka i spojrzał na mnie wzrokiem dobrego wujka.

– Możesz mi to wyjaśnić?

Oczywiście, że mogłam. Potrzebowałam tylko chwili, żeby uspokoić bicie serca i zebrać myśli. Ilekroć ktoś wspominał o Desie, natychmiast traciłam równowagę umysłową i czułam się jak intelektualna i emocjonalna pokraka.

– Iza założyła się ze mną... to znaczy właściwie sama wpadła na... W sumie ja powiedziałam jej najpierw o...

Zaporowski odchrząknął cicho, a ja w końcu się opanowałam.

– Podkochiwałam się w nim – przyznałam. – Iza od dawna o tym wiedziała i postanowiła zdobyć jego numer, co w sumie nie było takie łatwe, bo w zasadzie nie mamy wspólnych znajomych i...

– I co?

– Nie wiem. Może po to poszła do tego klubu?

Nie było takiej możliwości, ale co miałam powiedzieć?

– Deso raczej tam nie bywa – zauważył policjant. – Sprawdziliśmy to.

– Może i nie, ale chodzą tam...

Ludzie, od których Deso bierze trawkę i potem handluje nią w szkole. Ludzie, z którymi od czasu do czasu wikła się w jakieś afery. I oczywiście dziewczyny, które potem łądują z nim w łóżku.

– ...osoby, które go znają – dokończyłam.

Zaporowski pokiwał głową, a potem wyciągnął notes i zaczął coś zapisywać. Rozmawialiśmy jeszcze przez kilkanaście minut, a on wypytywał mnie głównie o charakter Izy, jej relacje z rodzicami i plany na przyszłość.

Wyszłam z gabinetu na trzęsących się nogach, a podkomisarz poklepał mnie po plecach i poszedł w kierunku biura dyrekcji. Zaraz potem podeszły do mnie inne dziewczyny zrzeszone w naszej Hordzie.

– Czego chciał? – spytała Anita.

– Ona naprawdę zaginęła? – dodała Ula.

– Ja słyszałam, że rano znaleźli zwłoki na wyrobisku – rzuciła Olga.

Za dużo ludzi, za dużo głosów naraz. Rozejrzałam się nerwowo w poszukiwaniu ratunku, ale zamiast tego zobaczyłam jedynie, że ściany korytarza się do siebie przysuwają. Zaczęło brakować mi tchu.

– Wika? – rozległ się głos zza moich pleców.

Odwróciłam się i zobaczyłam chłopaka w szerokich spodniach i czarnej bluzie z kapturem. Grzesiek Pinkowski, jeden z kumpli Desa.

– To ty, nie? – rzucił, patrząc na mnie.

Horda od razu się odsunęła, a Pinky zrobił krok naprzód.

– Deso chce z tobą pogadać – dodał.

– Co?

– Czeka teraz u Himmlera na przesłuchanie, ale na długiej przerwie...

– Deso chce ze mną rozmawiać?

Pinky skinął głową.

– Tak. Na długiej przerwie w Hangarze. Czaisz bazę czy nie?

Dopiero teraz zorientowałam się, że Himmler to dyrektor. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak na niego mówił, ale może coś w tym było. Nie żeby wydawał rozkazy zburzenia całych miast i był zbrodniarzem wojennym, ale fakt faktem, miał małe, okrągłe okulary i trochę za krótko przycięty wąs.

Staralam się chwilowo skupić na trafności tej ksywy i nie myśleć o tym, że Deso chce się ze mną spotkać.

– Ale... – wydukałam.

– Chce pogadać o tym, dlaczego Iza do niego napisała – wyjaśnił Pinky, a potem powiódł wzrokiem po moich koleżankach, wyraźnie niezadowolony z ich obecności. Skinął głową w głąb korytarza i ruszył przed siebie.

Odeszłam razem z nim, choć wiedziałam, że to zły pomysł.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć. Byliśmy jednak na widoku, a ja nie miałam ochoty, by inni zobaczyli mnie rozmawiającą z Pinkym.

– Czego chciała ta menda? – spytał.

Mogło chodzić tylko o Zaporowskiego.

– Zadać mi kilka pytań – odparłam. – Ale...

– Powiedziałaś mu coś?

– Zwariowałaś?

Pinkowski rozejrzył się ukradkiem i pociągnął nosem.  
– To dobrze – powiedział. – Podejrzewa coś?  
– Nie – zapewniłam bez wahania. – O niczym nie ma pojęcia.  
Pinky odetchnął z ulgą.  
– Czyli jesteśmy bezpieczni.  
– Tak – potwierdziłam z pewnym wahaniem.

## 5

Himmler zapewniał, że ktoś z psiarni zaraz się zjawi, ale mijały kolejne minuty, a nikt nie przychodził. Nie żebym specjalnie rozpaczał – w porównaniu z siedzeniem na dwóch matmach z rzędu tkwienie w gabinecie dyrektora nie było tragedią.

Policjant jednak w końcu przyszedł. Nie przeprosił za spóźnienie, nawet na mnie nie spojrział. Zamiast tego zapytał Himmlera, czy mógłby zostawić nas samych lub znaleźć nam jakieś pomieszczenie, w którym moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy.

Wiedziałem, że mam zwyczajnie przepierdolone.

Dyro odstawił swój klasyczny taniec wobec wszelkich służb – był uległy jak słodka krzyżówka labradora z golden retrieverem. Po chwili zostałem sam na sam z pałarzem.

– Podkomisarz Adam Zaporowski – przedstawił się.

– Deso.

Wstał zza biurka, ja też wykonałem lekką lewitację tyłka nad siedziskiem. Uścisnęliśmy sobie ręce.

Przez chwilę lampiliśmy się na siebie w milczeniu. Znałem dobrze ten wzrok. Oceniający, stanowczy i chorobliwie podejrzliwy. Zaporowski starał się ustalić dwie rzeczy: jak mnie podejść i ile problemów mu narobię, zanim dojdzie prawdy.

– To jak? – rzuciłem, żeby przerwać milczenie. – Wiecie już, co się stało?

– Jeszcze to ustalamy.

Uniosłem bezradnie wzrok.

– Aha. Czyli będziemy jak dwa gołębie gadające o fizyce kwantowej.

Policjant zmarszczył czoło, a ja poprawiłem się na krześle. Było cholernie niewygodne, a przynajmniej takie odnosiłem wrażenie – może dlatego, że ilekroć tu siedziałem, dostawałem od Himmlera solidny opierdół.

Podkomisarz przysunął się do biurka i skrzyżował dłonie na blacie. Spojrzał na mnie, jakbym rozbudził w nim jakiś chory apetyt.

– Ciekawe określenie – przyznał. – Ale wydaje mi się, że ty wiesz więcej, niż mówisz.

Pięknie. Zaczyna się, pomyślałem.

– Niby skąd? Mówiłem już przez telefon, że prawie nie znam tej dziewczyny.

Nie wspomniałem oczywiście o tym, że kiedyś mi się podobała. Była trochę inna niż te, z którymi normalnie się bujałem. Często odzywała się na lekcjach i mówiła, jakby miała przynajmniej dziesięć lat więcej. Była ładna, ale nie dbała o wygląd, jakby celowo chciała ukryć swoją urodę.

– Tak, mówiłeś... – odparł pałarz. – Ale ja nie powiedziałem, że ci wierzę.

– Nie no, kurwa... – Rozłożyłem ręce i obróciłem się w kierunku wyjścia. – Co to ma być, człowieku?

Spodziewałem się, że w końcu dostanę zjebkę za mówienie mu na ty, ale Zaporowski milczał.

– Jak chcesz mnie o coś oskarżać, to musi tu być chyba...

– Nie mam zamiaru tego robić – uciął podkomisarz, przysuwając się jeszcze bliżej. – O ile powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

– Czyli?

Podniósł się powoli i podszedł do okna. Wyrzwał na betonowe boisko, na którym za dnia graliśmy w nogę albo w kosza, a nocą spotykaliśmy się na browca lub skręta. Wbiłem wzrok w jego plecy i czekałem. Powoli zaczynało mi się robić trochę za ciepło.

– Nie uważamy, że zaginęła – odezwał się.

– Co? – wypaliłem. – W takim razie...

Ktoś ją zabił? Znaleźli zwłoki? O kurwa, a ja byłem ostatnią osobą, z którą miała kontakt. Niedobrze.

Policjant obejrzał się przez ramię i zmrużył oczy.

– Widzę, że jesteś zaskoczony – rzucił.

– Dziwisz się? – odparłem ostro. – Ściągasz mnie tu tylko dlatego, że laska do mnie dzwoniła, zarzucasz mi, że walę ściemę, każesz mi się tłumaczyć z nie wiadomo czego...

Odsunąłem krzesło i się podniosłem.

– Pierdolę to – dodałem. – Nie władujesz mnie w żadne kafkowskie gówno.

Chciałem natychmiast stąd zbijać, ale ostrzegawczy wzrok policjanta kazał mi zostać na miejscu.

– Czytasz Kafkę? – spytał.

– Potrzebuję czasem sięgnąć.

– W jakim celu?

– Żeby sklecić dobre wersy.

Oprócz tego była to jedna z lektur, ale nie chciałem robić z niego debila, skoro tak dobrze sam sobie z tym radził.

– Jakie wersy? – zagaił, przysiadając na parapecie.

Mogłem powiedzieć, że nie będę gadał bez prawnika, i wyjść. Zamiast tego klapnąłem na skraju biurka i poprawiłem kaptur bluzy. Było coś satysfakcjonującego w tym, że moja dupa wylądowała tam, gdzie normalnie znajdowały się ręce Himmlera.

– Nagrywam nielegala z kilkoma ziomkami – powiedziałem.

– Nieźle. Jak się nazywa zespół?

– Stalagbity – odparłem z zadowoleniem, bo głowiliśmy się nad nazwą dla naszej ekipy przez kilka tygodni. W końcu wpadłem na tę i wydawała się wprost zajebista. Zaraz potem zacząłem pisać pierwsze kawałki: *W jaskiniach rapu*, *Lej basowy* i *Elo speleo*. Wszystko spinało się niezłą, zgrabną klamrą.

Ale Zaporowskiemu latało to koło chuja. Interesowało go tylko to, żebym zaczął gadać. Podjąłem rękawicę, bo nie miałem nic przeciwko. Wyszedłem z założenia, że im bardziej rozmowny się wydam, tym łatwiej będzie mi przekonać go, że naprawdę nic nie wiem.

– Poza tym *Proces* to książka konkret – dodałem.

– Mhm.

– Wszyscy jesteście Józefem K., czai pan? Cały czas ktoś nas za coś sądzi, a my nie wiemy nawet za co ani jakie są zasady. Nie możemy się bronić. I nikomu nie chodzi o żadną sprawiedliwość, tylko o to, żeby system miał jakiś cel, rację bytu. Bo on istnieje dla samego istnienia, sam się napędza.

Zaporowski patrzył na mnie jak na kompletnego decybelę. I chyba nawet nie zajarzył, że zacząłem mówić do niego per pan, żeby ugrać parę punktów.

– To właśnie pan teraz robi – dodałem. – Stara się zrobić ze mnie trybik tej maszyny. A ja nie mam zamiaru...

– Uważamy, że pomogłeś jej zniknąć, Darek.

– Że co?

Skrzyżował ręce na piersi, wbijając we mnie wzrok.

– Nie prowadzimy postępowania w sprawie zaginięcia, ponieważ Iza w naszym przekonaniu nie zaginęła, ale uciekła z domu.

Dobra, to nie było takie złe. Spodziewałem się, że będzie trup, a razem z nim pojawią się problemy. Jeśli jednak rzecz dotyczyła zwykłego spierdolenia z chaty, byłem bezpieczny.

Tylko o co w takim razie chodziło z tym telefonem? Raczej nie brzmiało to, jakby była na gigancie.

– Skąd wiecie, że zwinęła trampki? – zapytałem.

– Bo spakowała część ubrań i zabrała z domu wszystkie oszczędności.

Proszę, proszę. A więc pały od początku prowadziły własną grę.

– Wieczorem wyszła z domu pod pretekstem przygotowywania z kolegą wspólnego projektu do szkoły, a potem znikła.

– Słabo.

Zaporowski wstał z parapetu i podszedł do mnie. Stał tak blisko, że poczułem się nieswojo.

– Tym kolegą podobno byłeś ty, Deso – rzucił. – Wiadomo ci coś o tym?

Ja? To bez sensu. Czego ona ode mnie chciała? Nie dość, że do mnie dzwoniła, to jeszcze powiedziała starym, że spędzi ze mną wieczór?

– Już mówiłem, że nic nie wiem. Ta klientka jest jakaś nienormalna.

Nagle wyraz twarzy Zaporowskiego całkowicie się zmienił. Nie było już szans gadać o Stalagbitach i Kafce. Teraz interesowało go tylko jedno.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Na chawirze.

– W domu, tak?

Skinałem głową.

– Mieszkasz niedaleko szkoły, prawda?

– Kilkaset metrów stąd.

– Przy ulicy Steina, na osiedlu RZNiW?

– Na Żniwach. Tak się tu mówi – poprawiłem go. – Klatka numer cztery, piętro numer osiem, lokal numer czterdzieści dwa.

– Wychodziłeś gdzieś między osiemnastą a czwartą nad ranem?

– Nie.

– Ktoś może potwierdzić, że tam byłeś?

– Moja babcia.

– Ktoś jeszcze?

Podrapałem się po głowie. Może rzeczywiście był ktoś, kto mógł dać mi alibi.

– Sojóz – odparłem. – Przez „ó” zamknięte.

– Kto taki?

– Józef Sokulski, mój najlepszy ziomek, mieszka centralnie nade mną. W sumie wychowaliśmy się razem, wpada do mnie praktycznie dzień w dzień. Zaraz obczaję, o której był wczoraj.

Chwilę zajęło mi wymienienie paru esemesów z Sojózem. Chodził do innej szkoły, z klasami dla wyjątkowo uzdolnionych miździuchów. Oprócz niego nikogo stamtąd nie znałem.

Szybko się okazało, że Sojóz wbił do mnie na chatę koło piętnastej, wszamał babciny obiad, a dwie godziny później zwinął się do siebie. Nie mógł dać mi alibi.

– Nic z tego – powiedziałem. – Mój ziomek wyszedł przed osiemnastą.

– A ktoś inny może potwierdzić, że po tej godzinie nie wychodziłeś? Poza twoją babcią?

– Nie – odparłem cicho. – Mieszkamy sami.

Podkomisarz przez chwilę po prostu stał w bezruchu i mi się przyglądał. Odnosiłem wrażenie, że jedyne, w co uwierzył, to adres zamieszkania. Spodziewał się pewnie, że babcia przysnęła wczesnym wieczorem, a ja potem niezauważenie wymknąłem się z chaty.

Nie miał pojęcia, jak czujną, uważną i ostrożną kobietą jest Celina Sodkiewicz. Pały mogłyby uczyć się od niej technik obserwacji z ukrycia.

– Nie pomogłem uciec tej Izie – powiedziałem. – I w ogóle nie sądzę, żeby uciekła.

Zaporowski uniósł brwi. Może nie powinienem tego mówić i lepiej byłoby zostawić ten temat, ale jeśli dziewczynie coś się stało, nie mogłem tak po prostu tego olać.

– Przecież napisała mi w esemesie, że się boi i że ktoś za nią idzie – wyjaśniłem. – A jak potem zadzwoniłem, ktoś odebrał i się nie odzywał. Nie brzmi to, jakby...

– Brzmi za to, jakbyś pomagał jej w ucieczce.

– Chyba pan pompuje.

Podkomisarz westchnął, a potem w końcu się ode mnie odsunął. Wrócił za biurko, pewnie licząc na to, że jak siądzie na miejscu dyra, będzie budził postrach.

– Powiem ci, jak to widzę.

– Okej... – odparłem niechętnie.

– Dziewczyna ucieka z domu z twoją pomocą, a potem umawiacie się, że wyśle ci tego esemesa, żebyś po pierwsze miał podkładkę, że nie było cię z nią tej nocy, a po drugie, by wyglądało na to, że wcale nie zbiegła, tylko została porwana.

Co za klient.

– Pogięło pana?

– Wprost przeciwnie.

– Po co mielibyśmy to robić?

– Właśnie ci wyjaśniłem po co.

– Ale...

– Chcieliście, żebyśmy skupiali się na wątku porwania, w związku z jej wizytą w klubie, a w tym czasie Iza spokojnie oddaliłaby się od miasta i gdzieś zaszyła, zapewne czekając tam na ciebie.

Milczałem, bo zaczęło mi się wydawać, że cokolwiek powiem, zostanie wykorzystane przeciwko mnie.

– Inaczej to widzisz? – rzucił wyzywająco Zaporowski.

Znów zalukałem w kierunku drzwi.

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie usłyszę, co się stało.
- Dziewczyna zaginęła – odpowiedziałem, z trudem powstrzymując się od rzucania mięchem. – Lepiej, żebyście jej szukali, zamiast tracić czas na...
- Zapewniam cię, że szukamy.
- No chyba nie do końca, skoro tu jesteśmy – odparłem i powiodłem wzrokiem po gabinecie Himmlera.

Wiedziałem, że czeka mnie długa przepychanka. Ja będę przekonywał go, że nie u mnie powinien szukać odpowiedzi, on będzie dalej zadawał swoje pytania. Ja powtórzę, że nic nie wiem, on będzie domagał się informacji.

Nie pomyliłem się. Trwało to jeszcze kilkanaście minut, zanim w końcu pozwolił mi odejść. Zapewnił, że pogadamy niebawem na komendzie.

Wychodziłem z gabinetu Himmlera z duszą na ramieniu. Nie dość, że ktoś władował mnie w niezły gnój, to jeszcze dziewczyna najwyraźniej nie miała na kogo liczyć. Policja nie będzie zajmować się zaginięciem, ale ucieczką.

Nie będą jej szukać z założeniem, że coś jej grozi. Zamiast tego będą przepytывать kolejnych znajomych, sprawdzać typowe miejsca, w których mogła być, podążać jej utartymi ścieżkami i tak dalej.

Tego dnia nie miałem już zamiaru wracać na lekcje. W drodze na osiedle RZNiW zrozumiałem, że jestem dla tej dziewczyny jedynym ratunkiem.

## 6

Na długiej przerwie po raz pierwszy w życiu poszłam na palarnię. Przeszłam przez boisko szkolne, pobliskie podwórko i zatrzymałam się w oparach dymu za kilkoma garażami, które

sprawiały, że nikt z kadry nauczycielskiej nie wiedział, co się tu wyprawiało.

A wyprawiało się dosyć sporo. Palono wszystko, co dało się upchać do bibulek, pito wszystko, co miało procenty – podobno łącznie z płynem do chłodziac – a oprócz tego obmacywano się i lizano, jakby nikt nie patrzył.

Krótko mówiąc, nie czułam się tu na miejscu. Rozglądałam się za Desem, przypuszczając, że kręci się gdzieś na samym końcu krótkiej uliczki, przy ostatnim z garaży, zwanym Hangarem. Właściciel porzucił go lata temu, a niedługo potem ktoś rozwalił kłódkę i zamontował swoją. Klucz przechodził z pokolenia na pokolenie – zawsze dostawali go ci, którzy cieszyli się największą estymą... albo raczej szacunem na dzielni. W naszym roczniku był to Deso.

Bałam się, że wszyscy będą się na mnie gapić, kiedy przejdę między garażami, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Byłam dla tych ludzi całkowicie niewidzialna. Nie stanowiłam nawet ciekawego zjawiska.

Podeszłam do ostatniego garażu przed murem odgradzającym podwórko od kolejnego i zajrzałam do środka. Na starych, rozpadających się krzesłach siedzieli Pinky, Myszon, Kunglao i kilku innych chłopaków, których ksyw nie pamiętałam. Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym nagle zmaterializowała się z czystego powietrza.

Pinkowski dobrze grał swoją rolę, udając, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Zaskoczyło mnie, że ja też nie najgorzej się z tego wywiązywałam. Pewnie górę wzięło przerażenie, bo gdyby nie to, dawno bym się zdradziła.

– Co jest, Żaba? – rzucił Kunglao. – Zabłądziłaś?

O swój nick wzbogacił się z powodu jakiejś gry, ale nie znałam szczegółów. Zresztą niespecjalnie mnie to interesowało, bo chłopak zawsze działał mi na nerwy.

– Szukam Desa – powiedziałam.

– To szukaj dalej.

– Ale... – zaczęłam, nie bardzo wiedząc, jak powinnam skończyć to zdanie.

– Co?

W poszukiwaniu ratunku chciałam zerknąć na Pinky'ego, który przecież wiedział o umówionym spotkaniu, ale się powstrzymałam.

– Chciał ze mną pogadać – wydusiłam w końcu. – Tutaj, na długiej przerwie.

Spojrzeni po sobie, jakbym oznajmiła, że polski prezydent właśnie podpisał rozporządzenie o wysłaniu pierwszego obywatela na Marsa.

Pinky milczał, a Myszon i Kunglao wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami.

– Znaczy o czym chciał z tobą pogadać? – spytał Myszon.

– O tym, z jakiej odległości łykasz? – podsunął Kunglao.

Obaj się zaśmiali, a ja pożałowałam, że w ogóle tutaj przyszedłam.

– Żaby mają podobno lepkie i elastyczne języki – ciągnął drugi z kumpli Desa. – Są jak taśma klejąca.

Myszon zamknął oczy, a Pinky leniwie się zaśmiał.

– O kurwa... Wyobraź to sobie, sobie.

– Poza tym niektóre żaby mają tak mocny język, że potrafią przyciągnąć ofiarę trzy razy cięższą od siebie.

– Ło Jezu...

– W dodatku jest dziesięć razy bardziej miękki od ludzkiego.

Tym razem wszyscy trzej się zaśmiali.

– I już wiadomo, po kiego Deso ją tutaj ściągnął – rzucił Myszon. – Chce, żeby opierdoliła mu kopyto.

Stałam przed nimi całkowicie bezbronna, czerwona jak burak i cała spocona. Powtarzałam sobie, że nic mi nie grozi i tak naprawdę tylko to się liczy. Ci trzej po prostu tacy byli.

Zresztą nie tylko oni. Wszystkie dzieciaki były okrutne, przez co doszłam do wniosku, że przychodzimy na świat z gruntu źli. Dopóki nie nauczymy się empatii i współczucia, pastwienie się nad innymi wydaje nam się czymś przyjemnym. Nasza natura nie ma więc nic wspólnego z dobrem – uczymy się go dopiero dzięki normom społecznym.

Kunglao podniósł się i przeciągnął.

– Desa nie ma, ale ja też się zgodzę na szybkie obciążanko – rzucił.

Wiedziałam, że powinnam rzucić jakąś ciętą ripostę, a potem sobie pójść. W głowie miałam jednak pustkę. Dobre odpowiedzi przyjdą, ale dopiero wtedy, kiedy wieczorem położę się w łóżku. Zawsze tak było.

– Co ty na to, Żaba? – dodał Kunglao.

– Może pojedziemy na trzy baty? – podsunął Myszon.

Pinky tylko westchnął. Nie liczyłam na to, że mi pomoże – w końcu prawie się nie znaliśmy, a on był takim samym gnojkiem jak jego kumple. Więcej za to spodziewałam się po Desie. Najwyraźniej jednak mnie olał, uznając, że ma lepsze rzeczy do roboty niż wypytywanie mnie o tego nocnego esemesa od Izy.

– To co? – rzucił Kunglao. – Pomysłasz mi komandosa?

– Człowieniu, przecież ona nawet nie ogarnia, jak się robi laskę – zauważył pod nosem Pinky.

– To jej wszystko wytłumaczę. I pokażę.

Kiedy zaczął udawać, że się dusi i krztusi, natychmiast się obróciłam, chcąc uciec. Wpadłam jednak wprost na chłopaka, który wyszedł zza otwartych drzwi garażu. Złapał mnie za ramiona, jakby się bał, że potrącił mnie na tyle mocno, że upadnę.

Patrzył mi w oczy tylko przez ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło, żebym zupełnie znieruchomiała.

Deso cofnął ręce i przeniósł wzrok na swoich kumpli. W prawym uchu miał słuchawkę od playera mp3, a ja słyszałam dochodzące z niej ciche hip-hopowe dźwięki.

– Co wy odpierdalacie?

Spojrzeli po sobie, nie odzywając się słowem. Liczyłam na to, że okażą choćby małe zakłopotanie, zrozumiałwszy, że Deso naprawdę się tu ze mną umówił, ale głupawe uśmiechy nie schodziły im z ust.

– Weź wylajtuj – rzucił Myszon.

Deso zrobił krok w jego kierunku.

– A ty weź się, kurwa, ogarnij – rzucił.

Miny szybko im zrzedły. Miałam nadzieję, że doda coś jeszcze, ale najwyraźniej tyle w zupełności wystarczyło. Darek skinął na mnie, a potem ruszył za garaż. Zawahałam się, mimo to w końcu poszłam za nim.

Obeszliśmy Hangar, a po drugiej stronie zobaczyłam wąską, trochę chybotliwą drabinę, którą można było dostać się na dach garażu.

– Chodź.

Deso wszedł pierwszy, a potem ja zaczęłam się gramolić. Schodków było tylko kilka, ale i tak miałam wrażenie, że spadnę i narobię sobie wstydu. Zanim dotarłam na górę, Deso podał mi rękę, a następnie mnie podciągnął.

Dach garażu był pokryty czarną papą, pośrodku stała stara, porozrywana kanapa z czterema podnóżkami. Tuż obok niej był niewielki stolik i popielniczka. Deso zapalił viceroya, po czym opadł ciężko na siedzisko i uniósł do mnie paczkę.

– Zajarasz?

– Nie, dzięki.

Usiadłam obok niego i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że złączając kolana, muszę wyglądać dla niego komicznie. Rozsunęłam nogi, ale tylko lekko. Potem znów je złączyłam.

– Może jednak? – spytał. – Jesteś spięta jak plandeka na żuku.

– Poradzę sobie.

Deso skinął głową i zaciągnął się, mrużąc oczy. Nadal słyszałam śmiechy dochodzące z dołu, ale starałam się nimi nie przejmować. Skupiałam się na ledwo słyszalnej muzyce dochodzącej z jednej ze słuchawek.

– Olej ich – powiedział. – Są zakręceni jak słoiki na zimę.

– Wiem.

Darek strzepnął popiół, ale nie tak, jak robili to inni palacze, których znałam. On trzymał papierosa między kciukiem i palcem wskazującym, jakby osłaniał go dłonią przed deszczem, a trącał go lekko środkowym. Była w tym oczywista nonszalancja, ale też pewna gracia.

Boże, zwariowałam. Zachwycałam się tym, jak ktoś pali.

– Słuchaj... – zaczął Deso, obracając się do mnie. – Pały mówią, że Iza nie zaginęła, tylko spierdoliła z chaty.

– Tak?

– Moim zdaniem to farmazony – ciągnął, a ja zobaczyłam w jego oczach błysk. – Wysłała mi tego esa nie bez powodu, a jak potem zadzwoniłem, nikt się nie odzywał. Oprócz tego podobno znaleźli jej tel gdzieś pod Incydentem. Po jaką pytę miałyby go tam zostawiać?

– Może nie chciała, żeby ktoś go namierzył.

Deso popatrzył na mnie jak na wariatkę, w której skórę weszłam, kiedy tylko znaleźliśmy się na dachu. Odwróciłam wzrok. Bałam się jego oczu, bo wiedziałam, jak kiepską jestem aktorką. Jeśli zacznie wypytywać mnie o szczegóły, nie dam rady ściemniać, a moje policzki będą jak wykrywacz kłamstw.

Musiałam jak najszybciej stąd uciec. Co mi w ogóle przyszło do głowy, żeby zgodzić się na to spotkanie?

– Coś tu jest nie tak, mówię ci – dodał Deso. – I dziewczyna ma przejebane, bo wszyscy myślą, że uciekła.

Nie odzywałam się.

– Chcę jej pomóc, czaisz?

– Czaję, ale... chyba nie rozumiem, dlaczego akurat ty.

– Bo byłem ostatnią osobą, z którą próbowała się skontaktować. Musi być jakiś powód.

Był upalony ziołem? Chyba tak, bo wyglądał, jakby ktoś rzeczywiście powierzył mu jakąś wiekopomną misję.

Boże, przecież to będzie tragedia.

– To chyba zły pomysł... – powiedziałam.

– Hę? – rzucił, a ja uświadomiłam sobie, że szepczę.

Często to robiłam podczas rozmów, jakbym bała się zostać naprawdę usłyszana. Nie potrafię zliczyć, ile razy uprzejmi i wspaniałomyślni wujkowie dobra rada sugerowali, żebym mówiła głośniej. Zupełnie jakby to zależało ode mnie.

– Mówiłam, że to niedobry pomysł – powtórzyłam.

– Dlaczego?

– Niech policja się tym zajmie, przecież oni najlepiej...

– Oni gównem robią.

Wiedziałam, co zaraz usłyszę. Że potrafią tylko wyganiać z placów chłopaków z deskami. Że szczyt ich umiejętności śledczych to wykrycie, kto pił piwo stojące obok ławki. Że pałują bez powodu i ścigają nie tych, co trzeba.

Deso jednak nie zająknął się słowem o tych rzeczach.

– Siedziałem naprzeciw tego podkomisarza, patrzyłem mu w oczy – odezwał się. – Wiesz, co zobaczyłem?

– Nie.

– Typa, któremu się wydaje, że już wszystko ogarnął. Zagadka rozwiązana, wystarczy poczekać, a potem odhaczyć to w aktach i iść dalej. Oni jej nie znajdą, Żaba. Mówię ci.

Po raz pierwszy zrobiło mi się miło, kiedy ktoś użył mojego przezwiska. Uczucie jednak szybko minęło. Zrozumiałam, że Deso może władować się w gigantyczne kłopoty.

A przy okazji także mnie.

– To jak? – spytał. – Piszesz się na to?

– Ja?

– A kto inny? – odparł, nadal uważnie mi się przypatrując. – Jesteś jej najlepszą kumpelą, nie?

Byłam przede wszystkim jedną z niewielu osób, które wiedziały, co naprawdę się stało. Deso zaś nie miał o tym bladego pojęcia i musiałam zadbać, by tak pozostało.

Jedynym rozsądnym sposobem wydawało mi się pilnowanie go i trzymanie ręki na pulsie. Nie mogłam dopuścić, by wpadł na jakikolwiek trop.

Inaczej wszyscy będziemy mieć poważne problemy.

– Naprawdę nie powinniśmy się...

– Nie chcesz pomóc, to luz. Ogarnę to sam.

W jego tonie nie było nuty przekonania, że jestem gotowa odpuścić. Wiedział doskonale, że mu pomogę, choć trudno było mi stwierdzić, skąd brała się jego pewność. Może był przyzwyczajony, że nikt mu nie odmawia.

Wskazałam jedną ze słuchawek, która zwisała na kablu na jego piersi.

– Czego słuchasz?

Uśmiechnął się lekko.

– Pezet/Noon, *Szósty zmysł*. Wykurwista nuta.

Myślałam, że poda mi słuchawkę, ale się rozczarowałam. Zanim zdążyłam się zastanowić, czy to efekt niechęci do mnie, czy może odpowiedź na brak gotowości do szukania Izy, rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa.

Wyjęłam mojego rozsuwanego samsunga SGH i wstrzymałam oddech.

– Co jest? – spytał Deso, odpalając kolejnego papierosa.

– Nic.

– To kto ci męczy bułę?

– Tata – odparłam.

Pokazałam mu esemesa, jakbym broniła się przed niewypowiedzianym zarzutem. Deso zobaczył, że nadawcą jest „Ojciec”, a tekst wiadomości brzmi: „O której będziesz w domu?”.

Nie miał pojęcia, że wcześniej tak zapisałam Izę. Ani że pytanie miało zupełnie inne znaczenie.





## REFREN

### 7

Prokurator patrzy na mnie nie jak na człowieka, ale jak na uosobienie zadania do wykonania. W jego oczach nie ma emocji, jest za to determinacja, której w innych okolicznościach pewnie bym się obawiał.

W mojej sytuacji mogę jednak podejść do tego na pełnym lajcie. Byle niczego nie dać po sobie poznać.

Jako pierwszy pytania miał zadawać prokurator. Moja prawniczka przygotowała mnie chyba na wszystkie możliwe, ale mam nadzieję, że gość jednak czymś zaskoczy. Jestem gotów na mały freestyle na sali sądowej.

– Oskarżony nie przyznał się do winy – zaczyna prokurator, patrząc na mnie cały czas tak samo. – Ale czy oskarżony twierdzi, że nie zabił ofiary?

Kilka osób na publiczności nerwowo się porusza, ale pytanie nie jest tak absurdalne, jak im się wydaje. I każe mi sądzić, że oskarżyciel wie, jaka jest moja taktyka. Spoko, tym ciekawiej dla mnie.

– Nie twierdzę, że nie zabiłem – mówię.

– Innymi słowy oskarżony przyznaje, że odebrał życie ofierze?

– Tak.

Przynajmniej kilka osób się tego nie spodziewało, bo słyszę zaskoczone szepty.

Nie było jednak sensu zaprzeczać. Moje odciski palców były na miejscu zdarzenia, moje DNA znaleziono na zwłokach. Nie miałem żadnego alibi, a oprócz tego kilku świadków widziało mnie w okolicy.

– I proszę mi mówić Deso – dodaję. – Może wtedy w końcu zaczniecie traktować mnie jak człowieka.

– Zapewniam, że od początku tak robimy.

– Jasne.

Sędzia, który przewodniczy rozprawie, posyła mi upominające spojrzenie. Gównu mnie to obchodzi, bo nie muszę zabiegać o jego sympatię. Ostatecznie i tak będą musieli wydać taki wyrok, jakiego się spodziewam.

– W takim razie powiedz mi, Deso, znasz Izę Mikulską?

– Znam.

– Miałaś coś wspólnego z jej zniknięciem?

– Nie. Za to próbowałem ją odnaleźć.

Prokurator przez moment się namyśla, bo wie, że wszedł na grząski teren. Zamierzam to wykorzystać.

– Policja nic nie robiła w tej kwestii – dodaję. – Postanowiłem więc wziąć sprawę w swoje ręce. Ktoś musiał.

– Tak, wiem, ale...

– Zgłaszałem policji, że to nie żadna ucieczka, ale nikt nie chciał mi wierzyć. Cały czas powtarzali, że skoro spakowała rzeczy i kasę, to odeszła z domu dobrowolnie. Nic do nich nie trafiało, kompletnie nic.

Widzę, że prokurator chce jak najszybciej zakończyć ten wątek.

– W porządku – mówi. – A czy Iza Mikulska знаła ofiarę? Miała coś wspólnego z osobą, której odebrałaś życie, Deso?

– Nie wiem – odpowiadam od razu.

– Osiedle RZNiW to jednak dość niewielki teren. Podobno wszyscy tam się znają.

– Skoro tak, to sam pan sobie odpowiada na pytanie.

Oskarżyciel przygląda mi się, a ja mam wrażenie, że sędzia powinien go upomnieć, że niepotrzebnie przeciąga. Liczy na to, że przez to poczuję się niekomfortowo, może coś chlapnę.

Nie ma takiej opcji. Kontroluję wszystko od samego początku tej rozprawy.

– Panie prokuratorze? – odzywa się w końcu przewodniczący.  
– Jeszcze jakieś pytania?

Oskarżyciel powoli kiwa głową.

– Całkiem sporo, Wysoki Sądzie.

Sędzia wykonuje przyzwalający, może nieco ponagląjący ruch ręką, a potem poprawia łańcuch z orzełkiem, jakby chciał podkreślić, że on tu rządzi. Uśmiecham się w duchu, bo tylko tak mu się wydaje.

– Zatem proszę – rzuca.

Prokurator odchrząkuje i znów wlepia we mnie swoje oskarżycielskie spojrzenie.

– Możesz nam powiedzieć coś na temat Sojózca?

O kurwa, jednak potrafi zaskoczyć.

Oskarżyciel wciąż na mnie patrzy i wiem doskonale, co sobie myśli: że się tego nie spodziewałem, że to dla mnie kompletnie bez sensu i że wybił mnie z rytmu.

Otwieram usta, ale nic nie mówię. Dopiero po chwili wpadam na odpowiedź, której powinienem udzielić:

– To taki radziecki pojazd kosmiczny, który...

– A pisany przez „ó” z kreską?

Nie mam wyjścia, muszę zmierzyć się z tematem nieco wcześniej, niż planowałem. Zaczynam trochę kluczyć i wiem, że ludzie na widowni zastanawiają się, dlaczego muszę opowiadać o Sojózcie. Nie miał z zabójstwem nic wspólnego. Jest moim ziomkiem, nigdy nie narobiłby mi koło dupy.

Mimo to prokurator wypytuje mnie o niego przez dobry kwadrans.





## PIERWSZA ZWROTKA

### 8

Babcia wstawiała codziennie około czwartej nad ranem. Robiła mi na śniadanie kilka kanapek, zostawiała je w kuchni – która była wielkości kibla w normalnym domu – a o piątej jechała po towar do warzywniaka. Często wracała do domu dopiero po kilkunastu godzinach, wykręcając na czysto raptem kilka dych.

Nietrudno się domyślić, że kanapki nie były przesadnie bogate. Najczęściej rankiem zastawiałem je z masłem i pomidorem, ale wpierdalałem, aż mi się uszy trzęsły – głównie dlatego, że dopadała mnie gastrofaza po nocnym jaraniu.

Praca od bladego świtu musiała być katorgą, ale Celina Sodkiewicz była kobietą z żelaza, kompletnie nie do zajechania. Lubię myśleć, że mam to po niej.

Zanim wyszedłem z domu na umówione spotkanie z Żabą, wpadł do mnie Sojóz. Robił to praktycznie codziennie, mniej więcej po dwa razy. Najpierw z samego rana, na śniadanie. Potem po południu, na obiad.

Rzecz w tym, że miał kompletnie przejebane od samego urodzenia. Jego rodzice byli wyjątkowymi kanalami nie tylko dlatego, że dali mu na imię Józef. Darli na niego japę bez przerwy, a ojciec od czasu do czasu przyłożył mu tak, że Sojóz chodził z siniakami. Wszystkie odcinki ich familiady dobrze słyszałem, podobnie jak połowa bloku, ale nigdy nie interweniowałem.

Chciałem, Sojóz jednak zapewniał mnie, że będzie tylko gorzej. I że da sobie radę.

Im więcej czasu spędzał u mnie, tym spokojniej było na górze. Babcia nigdy nie miała nic przeciwko, wręcz zachęcała go, by do nas wbijał. To on podsuwał mi Kafkę, Kunderę, Pilcha i innych konkretnych zawodników, dzięki którym moje teksty nie wyglądały jak wysrane z macicy.

Był oblatany nie tylko w literaturze, bo przez większość życia nie robił nic poza zbrojeniem się w wiedzę. Z chałupy praktycznie nie wychodził, chyba że do szkoły albo do mnie. Przyjaciół nie miał żadnych – ja się nie liczyłem, bo byłem jak rodzina.

Nie było szans, żeby kiedykolwiek umoczył węża, bo wyglądał jak pomyłka genetyczna. Miał wysokie czoło i szeroką twarz, uszy jak żagle, a oczy tak małe, że gdyby nie okulary z dużymi szklami, przywodziłby na myśl kitajca.

Te rzeczy nie zależały od niego, więc nigdy nie cisnąłem z niego beki. Nie miałem za to oporów, jeśli chodziło o jego gigantyczny bebzol i włosy, które przecież mógł jakoś ułożyć. Albo opierdolić się na zapałkę, skoro tak mu to nie szło.

Podzieliłem kanapki po równo, a potem jedliśmy w milczeniu, bo Sojóz przeglądał moje zmiany do ostatniej wersji *Elo speleo*.

– Nawet niezłe... – mruknął, nie odrywając wzroku od mojego pogiętego notesu. – Intro fajne, pierwsza zwrotka też. Ale ten przedrefren mógłbyś jeszcze doszlifować.

– Fiuta sobie doszlifuj.

– Mówię poważnie – odparł, podnosząc wzrok i poprawiając okulary. – To może być niezłe.

– I stwierdzasz tak na podstawie tych setek milionów hip-hopowych nut, które przesłuchałeś?

Skrzywił się i ugryzł kanapkę.

– Nie muszę słuchać rapu, żeby wiedzieć, że widzę dobry tekst.

– Mhm.

Na dobrą sprawę nie wiedziałem nawet, że ten kawałek ma przedrefren. Po prostu pisałem to, co znałem. Nagrywałem to, z czym się osłuchałem. Sojóz czasem pierdolił mi o crescendach i innych farmazonach, ale efekt był tylko taki, że później musiałem guglować.

– Ja bym jeszcze poprawił to i owo, ale generalnie to będzie dobry numer – powiedział. – Masz już jakiś podkład?

– Puszczalem ci parę dni temu.

– A... – rzucił i przez chwilę siedział z otwartymi ustami. – To był ten ze zsampleowanym fragmentem *Ring of Fire*?

– Ta.

– Johnny Cash cię nie pozwie?

– Niech spróbuje. Pozwy z za grobu idą dość długo.

Tak naprawdę nie robiłem żadnej krzywej akcji. Samplewali wszyscy, była to normalna kolej rzeczy – bez tego hip-hop po prostu by nie istniał. Kaliber, Molesta, WWO, Pezet, Ostry. Wszyscy mieli tak sprawnie pocięte, zmiksowane i zagadane sample, że czasem nie sposób było nawet stwierdzić, skąd pochodzą. Najważniejsze było to, żeby nowy materiał nie przypominał oryginału, inaczej byłaby to po prostu kradzież.

– I dalej myślę, że powinienes dać sobie spokój z tymi Stalagbitami – dodał Sojóz.

– Bo? To zajebista nazwa.

– Nie mam na myśli nazwy, tylko zespół. Mógłbyś tę płytę spokojnie zrobić sam.

– Nie latam solo.

Dotyczyło to właściwie każdej sfery mojego życia. Byłem zwierzęciem społecznym, wśród ludzi czułem się dobrze. Kiedy zostawałem sam na sam z moimi myślami, nigdy nie wychodziło z tego nic dobrego.

– To dlatego chcesz szukać tej dziewczyny z Żabą? – spytał Sojóz.

A więc do tego dążył, przebiegły skurwysyn.

– Orientuje się w sprawie – odparłem. – I skąd w ogóle znasz jej ksywę?

– Mówiłeś mi wczoraj.

– Gówno prawda.

Byłem pewny, że nawet się o tym nie zająknąłem. Fakt, powiedziałem mu o wszystkim, co się działo, ale nie podawałem konkretów.

– Jest trochę nie w twoim typie – zauważył.

– To teraz nawet wiesz, jak wygląda?

Sojóz popatrzył na mnie znad swoich zbyt dużych okularów.

– Mam konto na Naszej Klasie, jakbyś nie zauważył – rzucił.

– Ona też.

Odłożyłem kanapkę i machnąłem ręką, uznając, że szkoda czasu na słuchanie tych bzdur. Podeszedłem do okna, uchyliłem je i zajarąłem szluga. Babcia ukręciłaby mi łeb, gdyby to widziała, ale przez kilkanaście godzin kuchnia zdąży się przewietrzyć.

– W sumie bardziej pasowałaby do mnie niż do ciebie – dodał Sojóz.

– Do ciebie pasuje tylko prawdziwa, a w dodatku rozjechana żaba, człowieku.

Józek zamknął drzwi, żeby dym nie roznosił się po mieszkaniu, a potem zaczął zbierać talerze.

– Po prostu nie daj jej się w tobie zakochać.

Kaszlnąłem, dławiąc się dymem.

– Co ty pierdolisz?

– Tak tylko mówię.

Nie miałem zamiaru dłużej tego słuchać. Pogoniłem Sojóza na górę, zabrałem plecak z korytarza i wyszedłem. Zwyczajowo nie miałem pojęcia, czy tego dnia przypadkiem nie ma kartkówy, czy coś aby nie było zadane i czy na coś nie powinienem był się przygotować. Mimo to wbiłem na pierwszy polski na pełnej kurwie.

Zbiłem kilka piątek, usiadłem z tyłu i chwilę gadałem z Pinkym. Kiedy przyszła nauczycielka, ucieliśmy nawijkę i zaczęliśmy grać w piłkarzyki w zeszyte w kratkę. Co jakiś czas kontrolnie podnosiłem wzrok, mimo że zazwyczaj nikt się nami nie interesował.

Dziś było inaczej. Ilekroć sprawdzałem, czy nauczycielka nas nie przydybała, widziałem, jak ciemnowłosa dziewczyna z pierwszej ławki się do mnie obraca. Wiktoria Zabska bez przerwy rzucała mi krótkie spojrzenia.

Wyglądało to na problem, ale już nie z takimi rzeczami sobie radziłem. Szybko wytłumaczę jej, że niczego między nami nie wyharabaści.

Do przerwy obracała się jeszcze siedem razy, a przynajmniej tyle widziałem. Może jednak będzie to wymagało trochę więcej roboty, uznałem. Ale przy okazji stwarzało też dodatkowe możliwości.

Podbiłem do niej, kiedy siedziała razem z Hordą na podłodze na korytarzu, czekając na kolejną lekcję.

– Zwijamy się? – spytałem.

Wika obcinała mnie jak kogoś, kto zgubił kaftan, spierdalając w popłochu z zamkniętego zakładu psychiatrycznego.

– Dawaj, Żaba – dodałem. – Tu nie trzeba długiej rozkminy.

– Ale...

– Co?

Podniosła się niepewnie, ale nie ruszyła plecaka, o który wcześniej się opierała. Czuję na sobie spojrzenia całej Hordy i przypuszczałem, że mają mokro na samą myśl o tym, że zabieram gdzieś Żabę.

– Mieliśmy iść po lekcjach... – powiedziała cicho.

– Zmiana planów. Pomykamy teraz.

– Ale ja już wczoraj...

– Wczoraj opuściłaś raptem kawałek matmy czy czegoś – uciałem. – Dzisiaj będzie pełnoprawna ucieczka.

Widziałem, że jest gotowa sprzeczać się ze mną aż do dzwonka, a ja nie miałem czasu na pierdolenie o Szopenie. Podniosłem jej plecak, skinąłem na nią głową i ruszyłem w kierunku schodów.

– Deso...

Poszła ze mną, a ja wiedziałem, że sprawa jest załatwiona. Nie chciało mi się czekać do końca lekcji, poza tym im więcej czasu od zaginięcia minie, tym mniejsza szansa, że trafimy na jakiś trop.

Kiedy mijaliśmy pierwsze bloki na osiedlu RZNiW, Żaba dalej protestowała. Mendziła, że trzeba zostawić to policji i że sami nie trafimy przecież na żaden ślad.

– I dokąd w ogóle idziemy? – spytała.

– Do Incydentu.

Nagle się zatrzymała.

Nie chciałem wcześniej jej tego mówić właśnie dlatego, by nie popalić jej styków.

– Żartujesz sobie, prawda? – jęknęła. – Powiedz, że żartujesz...

Pokręciłem lekko głową.

– Deso, to jest mordownia.

Czekałem, aż doda coś więcej; zarysuje wizję piekła, gdzie ludzie palą się żywcem, a demony rechoczą w głos. Wika jednak najwyraźniej uznała, że to wyczerpuje temat.

– O dziewiątej rano nikogo tam jeszcze nie zabijają – powiedziałem. – Poza tym znam tych ziomków, bujam się z nimi po mieście, czaisz?

– Nie.

– To solidna ekipa. Pomogą nam.

– Nie ma mowy.

Zmarszczyłem czoło, nie odrywając wzroku od Żaby. Najwyraźniej coś więcej było na rzeczy, bo wszystkie kaszaloty z Hordy z pewnością wiedziały, że dragi z Incydentu trafiają do szkoły właśnie przeze mnie. Tajemnicą poliszynela było, że trzymam z tamtejszymi ziomami.

– Wylajtuj – zasugerowałem. – Przeżywasz to jak Żyd okupację.

– Bo mam powody.

– Jakie?

– Tam jest niebezpiecznie.

Uniosłem wzrok i bezradnie rozłożyłem ręce.

– Ze mną wszędzie jest bezpiecznie – odparłem.

– To aroganckie.

– Ale prawdziwe.

Przez chwilę spoglądała mi w oczy, a potem powiodła wzrokiem po kablu od słuchawki, która wisiała luzem na bluzie. Z muzyką nie rozstawałem się właściwie nigdy, była soundtrackiem wszystkich moich przeżyć. Zazwyczaj jednak słuchałem jednym uchem, drugim odbierając bodźce ze świata.

Teraz zapuściłem *Zazdrość Ostrego* z albumu *Tabasko*. Numer tak dobry, z bitem i warstwą liryczną tak gęstymi, że można było wyjadać je łyżeczką. Wyobrażałem sobie, jak na pełnej kurwie pisał ten diss, doskonale rozumiałem ten zapal i hip-hopowe drganie w duszy.

Podobną determinację czułem w sprawie Izy. W pewnym momencie za punkt honoru postawiłem sobie, żeby ją znaleźć – głównie dlatego, że najwyraźniej nikt inny nie był gotów jej szukać.

Nawet jej najlepsza przyjaciółka.

Przyjrzałem się Żabie, uświadamiając sobie, że coś tu nie halo. To ona powinna ciągać mnie po miejscach, gdzie ostatnio była widziana jej kumpela, nakłaniać do współpracy i nie

dawać za wygraną. Tymczasem sprawiała wrażenie, jakby nie chciała znaleźć Mikulskiej.

– O co ci chodzi? – zapytałem.

– Po prostu nie chcę tam iść.

– Ponieważ, gdyż, dlatego że?

– Mówiłam już.

– A ja ci wyjaśniłem, że ze mną włos ci z głowy nie spadnie.

Kminisz?

Skinęła lekko głową, ale nadal nie była gotowa się zgodzić. Wbiła wzrok w ziemię, jakby chciała się pod nią zapaść. Nie miało to żadnego sensu.

– Muszę wracać na lekcje...

– Nie musisz – odparłem stanowczo.

– Nie mogę mieć ucieczki. Nie tuż przed wystawieniem ocen.

Nadal na mnie nie patrzyła, a ja chyba zaczynałem rozumieć, co tu się dzieje.

– I nie będziesz miała – rzuciłem. – Bo po pierwsze, żadna nauczycielka nie uwierzy, że dałaś dyla, a po drugie, któraś z Hordowniczek powie, że musiałaś iść do lekarza czy gdzieś. Jesteś kryta.

Zatrzymałem muzykę, a potem zrobiłem krok w jej stronę. Stałem przed nią tak długo, aż w końcu podniosła wzrok.

– W dodatku doskonale ogarniasz, że ze mną w Incydencie nic ci nie grozi – dodałem. – Możesz mi więc wyjaśnić, dlaczego za chuja nie chcesz tam iść?

Cofnęła się, choć w moim głosie nie było ani trochę agresji. Może nie powinienem przy niej przeklinać, ale dla mnie były to słowa jak każde inne. Normalne elementy własnego słownika, składającego się z tego, z czym się na co dzień obcuje.

Chodziliśmy do jednej klasy, jadaliśmy na tej samej stołówce i snuliśmy się tymi samymi korytarzami, Żaba jednak żyła w innym świecie. Punktów stycznych nie było wiele, a tym, co nas dzieliło, był też język.

– Sorry – rzuciłem.

Popatrzyła na mnie tymi ciekawymi, zielonymi oczami, ale szybko odwróciła wzrok.

– Za co?

– Za mięcho. Nie jestem przyzwyczajony...

Urwałem, bo nie bardzo wiedziałem, jak skończyć to zdanie, żeby jej nie urazić.

– Do czego? – zapytała cicho.

– Do gadania z normalnymi laskami.

Rozejrzałem się, a potem skinąłem ręką w kierunku piaskownicy i trzepaka nieopodal. Przeszło mi przez myśl, żeby wziąć Żabę za rękę, poprowadzić ją tam i nieco urobić. Szybko odsunąłem tę opcję.

– Nie ma sprawy – odezwała się, ruszając za mną. – Nie przeszkadza mi to.

Usiedliśmy na niskim, wybrakowanym murku, patrząc na piasek, w którym bawiły się tylko szczające gdzie popadnie kundle. Zapaliłem szluga i podałem paczkę Żabie.

– Częstuj się.

– Dzięki, nie trzeba.

Szybko oddała mi fajki, jakby był to worek dragów, za które ktoś może ją przydybać i zamknąć. Nie odzywałem się, dając jej chwilę na zrozumienie, że nie mam zamiaru gadać o niczym innym poza tym, o co ją zapytałem.

Wypaliłem w milczeniu, a potem rzuciłem kiepa do piaskownicy.

– Wiesz, ile minie, zanim to się rozłoży? – spytała Żaba.

– He?

– Filtr nie jest zrobiony z papieru, tylko z plastiku. I musi przeleżeć tam przez pięć lat, zanim zacznie się rozkładać. To tak, jakbyś wyrzucił do tego piasku skarpetę.

Spojrzałem na nią niepewnie, a potem wstałem z murka i podniosłem kiepa. Wyrzuciłem go do śmietnika i wróciłem do

Żaby. Stałem przed nią, czekając, aż się podniesie.

– Zadowolona?

– Wolałabym, żebyś...

– A ja bym wolał, żebyś mi powiedziała, o co kaman – uciałem. – Dlaczego nie chcesz iść do Incydentu?

Przypuszczałem, że decyzję, by w końcu odpowiedzieć, podjęła, kiedy dopalałem szluga. Gdy teraz w końcu zawiesiła na mnie wzrok na dłużej, wiedziałem już, że powie mi, w czym rzecz.

– Bo Iza tam jest – oznajmiła.

## 9

Oczywiście, że nie powinnam mu o niczym mówić. Oczywiście, że przysięgałam to Izie. I oczywiście, że złamanie tej obietnicy było błędem.

Ale kiedy patrzyłam na Desa, czułam, że mam od losu przyzwolenie na wszystko.

Od razu wyciągnął kolejnego viceroya, jednocześnie zarzucając mnie pytaniami. Robił przerwy tylko na zaciągnięcie się, a ja nie wiedziałam nawet, od czego zacząć.

Było coś podnoszącego na duchu w tym, że tak się zaangażował w próbę odnalezienia Izy. Wyglądało to, jakby w końcu znalazł w życiu coś, na czym mu zależało. A może przesadzałam, bo chciałam widzieć w nim dobrego człowieka.

Nadal chodził wokół piaskownicy, zadając pytania i nie czekając na odpowiedzi. W końcu zatrzymał się, zaciągnął się głęboko i wbił we mnie nieruchome spojrzenie.

– Spoko – rzucił. – Więc poleciałaś sobie ze mną w kulki.

– Ale ja nie...

– Nikt jej nie porwał?

W końcu pojedyncze pytanie, na które miałam szansę odpowiedzieć.

– Nie.

– I nie uciekła z domu?

– Nie, to znaczy...

– Wyjaśnisz mi to? – rzucił, ruszając w moją stronę.

Usiadł na murku naprzeciwko mnie, a ja poczułam ciarki na plecach. Byliśmy zbyt blisko siebie. Gdybyśmy oboje w tym samym czasie pochylili głowy, zderzylibyśmy się czołami.

Trzeba było użyć dzisiaj rano jakichś perfum. Planowałam to zrobić przed wyjściem z domu, ale potem stwierdziłam, że nie chcę, by Deso myślał, że jakoś specjalnie przygotowywałam się do naszego spotkania.

– Nie wiem wszystkiego – zastrzegłam.

– To mów, co wiesz.

Jego głos dalej był stanowczy, pełen pretensji, ale zupełnie nie konfrontacyjny. Ani przez moment nie obawiałam się Desa, mimo że większość znanych mi ludzi przechodziła na drugą stronę ulicy, gdy widziała go w oddali.

– Iza zadzwoniła do mnie tego wieczora, kiedy znikła – podjęłam nieco zbyt cicho. Deso jednak nie upomniał mnie, bym mówiła głośniej, zamiast tego przysunął się jeszcze trochę. – Powiedziała, że musi na jakiś czas się ukryć.

– Ukryć się? Przed kim?

– Nie sprecyzowała.

– To co ci powiedziała?

– Że nikt nie może o tym wiedzieć i że potrzebuje trochę pieniędzy.

– Ona? – rzucił z powątpiewaniem Deso. – Przecież jej starzy mają kasy w pizdu.

Nie określiłabym tego w taki sposób, ale w gruncie rzeczy nie mijał się z prawdą. Łukasz Mikulski był znanym prawnikiem, on i żona zarabiali całkiem nieźle i liczyli na to,

że córka pójdzie w ich ślady. Od najmłodszych lat właczali jej do głowy, że jedyne, co się liczy, to nauka i perspektywy. Gdyby nie to, Iza pewnie obracałaby się w takim towarzystwie jak inne ładne dziewczyny i nie miałyby wiele wspólnego z Hordą.

Zamiast tego uchodziła za kujonicę. Ubierała się stosownie do tej opinii i przesadnie o siebie nie dbała. Wciąż jednak wyglądem deklasowała mnie w przedbiegach.

– Nie mogła poprosić rodziców o pieniądze – powiedziałam. – Bo nic nie wiedzieli o jej planach.

– I jakie to plany?

– Deso... ja naprawdę niewiele wiem.

Zamiast się powtarzać, po prostu na mnie patrzył. Skinęłam lekko głową i mówiłam dalej.

– Spotkałyśmy się tamtego wieczora pod moim blokiem. Wyszłam z Merkatorom i...

– Z kim?

– To mój pies. Jamnik. Wabi się tak na cześć pioniera kartografii i autora pierwszego atlasu. Właściwie to Merkator wymyślił tę nazwę, bo wcześniej nie było nawet...

– Żaba.

– Przepraszam – rzuciłam pod nosem. – Jak zacznę o geografii, to mogę gadać i gadać.

Była to prawda, choć nigdy nie sądziłam, że przy Desie mogłabym wejść na moje zwyczajowe obroty. Z punktu widzenia prawie wszystkich w szkole byłam małomówna, ale sama nigdy bym tak się nie określiła – kiedy byłam w swoim towarzystwie, mówiłam całkiem sporo.

– Iza przyszła do mnie z twoim kolegą.

– Co? Z którym?

– Z Pinkym.

Deso spojrział na mnie, jakbym nagle zaszła go od tyłu i zniecka wbiła mu nóż w plecy. Zapalił trzeciego papierosa

w ciągu kilku minut, a ja zastanawiałam się, czy nie zrobi mi się niedobrze.

– Pierdolisz...

– Nie – odparłam.

Znów popatrzył na mnie przepaszająco, ale machnęłam ręką.

– Było już po zmroku – ciągnęłam. – Spotkaliśmy się za blokiem, a ja dałam Izie trochę pieniędzy. Kilkaset złotych. Chciałam się dowiedzieć, co się dzieje, ale znowu powiedziała mi tylko tyle, że musi się ukryć.

– A Pinky? Co mówił? Sprawiał wrażenie, jakby ogarniał, o co chodzi?

– Nawet się nie odzywał, tylko cały czas się rozglądał – powiedziałam. – Ale Iza postawiła sprawę jasno.

– To znaczy?

– Że od tego, czy ja i Pinky będziemy milczeć, zależy już nie tylko jej, ale i nasze bezpieczeństwo.

Deso wyrzucił niedopalonego papierosa i wsunął ręce do kieszeni jak narkoman na głodzie, który nie chce, by inni widzieli, że trzęsą mu się dłonie.

– Powiedziała, że to ma jakiś związek z ludźmi z Incydentu – kontynuowałam. – Że nic jej nie grozi, ale tylko pod warunkiem, że ja ani Pinky się nie wygadamy. I że za jakiś czas zjawi się policja i będzie pytać, co wiemy.

– Najwyraźniej zjawiła się od razu.

– No tak...

Deso przypatrywał mi się nieco zbyt intensywnie, a ja zrozumiałam, że stara się przesądzić, czy mówię prawdę.

– I nie wiesz, jaki to ma związek z ekipą z Incydentu?

– Nie mam pojęcia. Tylko tyle mi powiedziała.

– I teraz tam jest?

Pokiwałam głową.

– Miała ukryć się w klubie na kilka dni, dopóki wszystko nie ucichnie – ciągnęłam. – Mówiła, że jakiś fizol ma tam pokój, w którym może się zatrzymać.

– Nie jakiś.

– Słucham? – spytałam.

Deso wyjął ręce z kieszeni i skrzyżował je na piersi.

– Ziomek, do którego należy klub, nazywa się Fizol – wyjaśnił. – Niezłe się znamy, bo to od niego biorę... większość rzeczy, które latają potem po szkole.

– Rozumiem.

– Ale nikt inny nie ma z nim kontaktu – kontynuował Darek.

– A już szczególnie nie powinna go mieć taka dziewczyna jak Iza.

Podniósł się i rozejrzał. Wiedziałam, jaki będzie finał tej rozmowy – pójdziemy prosto do Incydentu, żeby Deso mógł się na własne oczy przekonać, że Iza tam się ukrywa. A potem postara się wyciągnąć z niej całą prawdę.

Wstałam i spojrzałam na niego pytająco.

– Jest coś jeszcze, czego nie wiem? – odezwał się.

– Ten esemes, który wczoraj dostałam na dachu garażu, nie był od mojego ojca.

Deso uniósł brwi.

– Przyszedł z komórki na kartę, którą kupiła sobie Iza. Miałam zapisać numer jako należący do ojca i czekać, aż da mi znać.

– Znać, że co?

– Że pieniądze, które jej pożyczyłam, są u mnie w skrzynce pocztowej.

– I były?

– Co do złotówki.

Doskonale wiedziałam, nad czym się zastanawiał. Dziewczyna pewnego wieczoru pożycza kilkaset złotych od

swojej przyjaciółki, potem znika, a dwadzieścia cztery godziny później zwraca całą pożyczkę.

To już na pierwszy rzut oka było podejrzane.

– Ile dokładnie jej pożyczyłaś?

– Osiemset złotych.

Deso wyglądał, jakbym właśnie mu oznajmiła, że mam dowód na istnienie życia na innych planetach.

– Skąd miałaś tyle floty?

– Dostaję raz w tygodniu kieszonkowe. I odkładam.

Widziałam, że ta koncepcja jest mu całkowicie obca, i właściwie się nie dziwiłam. Na miejscu jego babci też nie dawałabym mu pieniędzy, bo te z pewnością szły w całości na papierosy, alkohol i marihuanę.

Zapytał mnie jeszcze o kilka rzeczy, w tym o rolę Pinky'ego w tym wszystkim, ale nie potrafiłam udzielić więcej odpowiedzi. W końcu doszedł do wniosku, że możemy zrobić tylko jedno – zapytać samą Izę.

Nie oponowałam, bo na tym etapie sama byłam bliska podjęcia podobnej decyzji. Spokojnym krokiem przeszliśmy przez osiedle RZNiW, a potem skierowaliśmy się w stronę Incydentu. Klub mieścił się w jednopiętrowym budynku, który ileś lat temu robił za pawilon handlowy. Kiedy po zmianie systemu miasto zaczęło podupadać, bo okoliczne metropolie drenowały je bezlitośnie, budynek opustoszał i miał chyba nawet zostać rozebrany.

W końcu kupiły go szemrane typy i zrobiły w nim klub. Przez inwestycję przeszło tyle pieniędzy, że policja z pewnością powinna się tym zainteresować. Przypuszczałam jednak, że sami też na tym skorzystali.

Deso zatrzymał się przed niewielkimi, metalowymi drzwiami z tyłu budynku, a potem zapukał. Słyszałam dochodzącą ze środka muzykę i wątpiałam, żeby ktoś usłyszał.

– Co mam robić? – zapytałam.

– Hm? – mruknął Deso, obracając się do mnie.

– Jak się zachowywać?

– Normalnie. Bądź sobą.

Zapukał jeszcze raz, a potem obejrzał się przez ramię na moją skwaszoną minę.

– Coś nie tak?

– Nie mam takiego trybu, Deso.

– Znaczy jakiego?

– Normalnego bycia sobą.

Odwrócił się od drzwi, a mi przeszło przez myśl, że stanowczo za blisko stoimy. Może dla niego była to całkiem zwyczajna sytuacja, ale dla mnie nie. Rzadko kiedy rozmawiałam z kimś, kto tak zbliżał się do mojej strefy komfortu.

– Każdy ma taki tryb – odparł.

– Tylko z twojego punktu widzenia.

– A twój jest jaki?

– Taki, że zawsze muszę zachowywać się tak, żeby pasować.

– Do czego?

– Do towarzystwa, do okoliczności – odparłam pod nosem z nadzieją, że drzwi się otworzą i skończymy rozmowę, której wcale nie chciałam prowadzić.

– O czym ty mówisz? – rzucił.

– O tym, że ludzie dzielą się na tych, którzy tworzą muzykę, i tych, którzy jej słuchają. Ja należę do tych drugich.

Myślałam, że to najlepszy sposób, w jaki mogę mu wytłumaczyć, że nie każdy ma tak jak on – nie każdy zjawia się w towarzystwie, żeby kreować atmosferę, do której później dopasowują się inni. Większość ludzi, których znałam, po prostu odgrywała rolę narzuconą przez kogoś lub jakiś konwenans. I nie mogła tak naprawdę być sobą.

Deso sprawiał jednak wrażenie, jakby ta koncepcja była mu całkowicie obca.

– Każdy sam tworzy muzykę – powiedział. – Bo nie ma dwóch osób, które słyszą ją tak samo.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo na powrót zaczął pukać do drzwi. Potem kilkakrotnie mocniej w nie uderzył, a kiedy nie doczekał się żadnej odpowiedzi, zrzucił plecak i zaczął w nim szperać.

– Szukasz wytrycha? – spytałam z niedowierzaniem.

– Klucza.

Oczywiście, powinnam była się tego spodziewać.

– Tak dobrze cię tu znają, że nawet masz klucz?

Znalazł go na samym dnie, po czym zapiął plecak i otworzył drzwi.

– Czasem muszę coś zabrać, jak nikogo nie ma – odparł. – Albo w nocy coś tu skitracć.

Wprowadził mnie do niewielkiego korytarza, który wypełniały dźwięki amerykańskiego rapu. Wieczorami i nocami z pewnością grano tu wyłącznie techno, ale najwyraźniej w dzień właściciele mieli inne preferencje muzyczne.

Nagle Deso się zatrzymał, a ja prawie na niego wpadłam.

– Co się stało? – spytałam.

– Coś jest nie tak.

Rozejrzałam się po wąskim korytarzu, który wychodził wprost na jedną z sal do tańczenia.

– Ale co?

– Ktoś powinien być tu na stójce – odparł cicho Darek. – I pilnować tego korytarza.

Powoli ruszył naprzód, a ja się zawahałam. Niepokój w jego głosie, przyciemnione światła i agresywna muzyka sprawiły, że chciałam się wycofać.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział.

Na takie stwierdzenie mogłam zareagować tylko w jeden sposób. Niczym dobrze zaprogramowany automat ruszyłam za

nim, niemal dotykając jego pleców. Weszliśmy na parkiet, ale Deso znów nagle się zatrzymał.

– O kurwa... – wydusił.

Wychyliłam się zza niego, chcąc zobaczyć, co się stało.

– Nie patrz – powiedział.

Za późno. Najpierw dostrzegłam krew, a potem wszystko inne.





## REFREN

### 10

Prokurator kończy wreszcie rozmowę na temat Sojóza i przechodzi dalej. Mojego ziomka nie ma na publiczności, ale jest gdzieś w budynku. Na razie nikt nie wezwał go na świadka, bo zwyczajnie nie było powodu.

Sojóz sam nic nie widział, a cała jego wiedza pochodziła z moich relacji. Mówiłem mu o wszystkim, ale oskarżyciel i sędzia zdawali sobie sprawę, że niczego przydatnego od niego nie wyciągną.

Wiem, o co prokurator mnie teraz zapyta.

Wizyta w Incydencie z Żabą była przełomowa dla całego ciągu zdarzeń, który wessał nas jak wir. Tak naprawdę wszystko zaczęło się właśnie od tego. I pomyśleć, że gdyby Żaba nie była we mnie wtedy tak zakochana, nigdy nie powiedziałyby mi prawdy – po prostu zapodałyby mi jakąś bajkę rodem z Cartoon Network, ja może bym to łyknął i nie poszlibyśmy do Incydentu.

Zamiast tego jednak gównem uderzyło w wentylator z taką mocą, że ufajdało całą naszą przyszłość.

– Czy mógłbyś opowiedzieć nam o tym dniu, kiedy poszedłeś do klubu Incydent? – pyta oskarżyciel.

– Mógłbym.

Milczę, żeby lekko wpienić skurwiela. Moja prawniczka poradziła mi, żebym odpowiadał konkretnie na to, o co zostałem zapytany, i nie wychodził przed szereg.

– Więc proszę, opowiadaj.

– Ale o czym konkretnie?

– O wszystkim, co wydarzyło się tamtego dnia. Dlaczego tam poszedłeś, jak dostałeś się do środka, co zastałeś na miejscu i tak dalej.

Nabieram głęboko tchu i patrzę pytająco na sędziego, dając mu do zrozumienia, że odpowiadanie na tak ogólnikowe pytania to beka z wymiaru sprawiedliwości. On jednak nie reaguje.

– Poszedłem, bo to było pierwsze logiczne miejsce do sprawdzenia – mówię. – Iza ostatnim razem była widziana właśnie tam.

– I to wszystko?

– Wszystko – odpowiadam.

Czeka, aż dodam coś jeszcze. Może domyśla się, że Żaba na tym etapie powiedziała mi o wszystkim, co wiedziała – ale nie ma żadnych dowodów, którymi mógłby to podeprzeć.

– Byłeś tam sam?

– Nie. Poszła ze mną Wiktoria Zabska.

Nie ma sensu zaprzeczać, znaleźli jej materiał DNA w Incydencie. Znam ich ustalenia i teraz kminię doskonale, jak sobie to wszystko poukładali.

– Jak wszedłeś do środka?

– Drzwi były otwarte – mówię.

– I wewnątrz nikogo nie było?

– Nikogo.

Prokurator przesuwa kilka kartek po blacie.

– Bywałeś tam wcześniej?

– Na wixie? Nie.

Znów mógłbym rozwinąć, ale taktyka krótkich odpowiedzi wydaje się naprawdę sensowna. Oskarżyciel wyraźnie łapie wkurwa, a dla mnie to idealna sytuacja.

– Dlaczego nie? – pyta. – Nie lubisz imprezować?

– Lubię melanż opór.

– Ale nie w Incydencie?

– Nie. To zupełnie nie mój klimat.

Zastanawiam się, jak wiele informacji na mój temat zebrał. Na pewno rozmawiał ze wszystkimi w szkole i rozkminił, że czymś handlowałem. Pewnie nie wie, czym konkretnie ani skąd brałem towar, więc strzela w ciemno.

– Co zobaczyliście po wejściu do klubu?

– Przede wszystkim dużo krwi.

Idzie mu jak kurwie w deszcz. Znow czeka na więcej, świdrując mnie nienawistnym spojrzeniem. Co za typ. Rocznie na drogach w Polsce ginie jakieś pięć tysięcy osób, a z powodu chorób układu krążenia mniej więcej sto siedemdziesiąt tysięcy. Ten gość chce mnie dopierdolić za jeden zgon.

– A oprócz tego? – pyta. – Możesz opisać, co tam zastaliście?

– Mogę – przyznaję. – Bo tego raczej nie da się zapomnieć.





## DRUGA ZWROTKA

### 11

Wszedłem na parkiet ostrożnie, by nie zostawić żadnych śladów na rozlanej krwi. Wiedziałem, że muszę wyłączyć muzykę, żeby w ogóle zacząć rozkminiać, co się stało, ale dotarcie do konsoli zajęło mi trochę czasu.

Żaba nie ruszyła się ani o krok. Stała, jakby przyjebał jej piorun, wbijając spojrzenie w jednego z moich ziomków. Leżał bez ruchu na podłodze, podobnie jak dwóch innych. Mieli otwarte oczy i usta i liczne rany na twarzach.

Leżeli w nienaturalnych pozycjach, jakby przed śmiercią ich ciała nie podlegały już takim samym zasadom jak wcześniej. Podeszedłem do jednego z nich, ale nie było nawet sensu sprawdzać, czy jest puls.

Po chwili uświadomiłem sobie, że wszyscy zginęli tak samo. Ktoś poderzwał im gardła.

Jasny chuj, ale przypał.

Krwi było tyle, jakby wylała się nie z trzech, ale z tuzina ciał. Drzwi do garderoby i na zaplecze były otwarte na oścież, na podłodze walały się kawałki butelek, trochę banknotów i połamanych mebli.

Cokolwiek się tu stało, musiało być ostro.

– Deso...

Nie odpowiedziałem, wodząc wzrokiem wokół.

– Powinniśmy iść...

– Poczekaj.

– Ktokolwiek to zrobił, może tu być – dodała cicho Wika. – Albo zaraz wrócić.

Potrząsnąłem głową, bo mówiła całkiem do rzeczy. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale słyszałem jedynie oddech swój i Żaby. Ruszyłem powoli w kierunku korytarza po drugiej stronie sali, skąd po wpisaniu odpowiedniego kodu można było dostać się do części, gdzie zazwyczaj odbywała się prawdziwa zabawa.

Wika weszła tam za mną, starając się nie patrzeć na trzech mężczyzn z poderżniętymi gardłami.

– Znałeś ich? – spytała.

– Dość dobrze. Tych dwóch kafarów to ochroniarze, trzeci to management średniego szczebla.

Wprowadziłem kod, rozległ się magnetyczny dźwięk otwieranego zamka. Powoli weszliśmy do korytarza, spodziewając się najgorszego. Minęliśmy kilka pokoi, w których normalnie balowały VIP-y, ale niczego podejrzanego nie zauważyliśmy.

– Gdzie idziemy? – szepnęła Żaba.

– Do Trezora.

– Co?

– Do skarbcza. Tak tu się mówi na miejsce, gdzie jest szafa pancerna z całym zarobionym w ostatnim czasie kwitem – wyjaśniłem.

Kanciapa ta znajdowała się na samym końcu korytarza, a tuż obok był pokój, w którym kręcono najlepsze deale.

W pierwszym z pomieszczeń na podłodze leżał kolejny trup. Ten miał znacznie więcej obrażeń. Dwa palce oberżnięte, krwawe szramy na twarzy i szyi i zupełnie rozkwaszone jedno oko. Widok był ohydny.

Stałem bez ruchu, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Jezu...

– Poznajcie się – rzuciłem. – To Fizol.

Żaba poruszyła się nerwowo, jakby miała zamiar uciekać. Nic dziwnego. Fakt, że ktoś pozwolił sobie na zarżnięcie

właściciela klubu i szefa całej tej ekipy, oznaczał, że ci ludzie mieli plecy.

– Chodźmy... – poprosiła Wika.

Zignorowałem ją i podszedłem do sejfu. Wyczyszczono go, nie zostało się nawet parę dych.

– Chodźmy, proszę.

– Zaraz.

Niewiele osób miało pojęcie o tym, że druga skrytka znajduje się w przylegającym pokoju. Wiedziałem o niej, bo to tutaj kitrałem towar, który czasem trzeba było zrzucić. A jak nikogo nie było w Incydencie, to z tego miejsca go zabierałem.

Czym prędzej tam poszedłem, usunąłem jedną z desek w podłodze i przekonałem się, że sejf jest nieruszony.

– Co ty robisz? – spytała trzęsącym się głosem Wika.

– A jak myślisz?

– Nie możesz tak po prostu...

– Nie zostawię tu tego – uciałem.

Wprowadziłem odpowiedni kod, otworzyłem drzwiczki, a potem zamarłem. Szuwaksu było tyle, że można nim było wysmarować nosy wszystkim mieszkańcom miasta. Trochę gandzi, jakieś tabletki, w dodatku parę stów.

Kiedy szukałem siatki, w której to wszystko by się zmieściło, Żaba przykucnęła obok sejfu i zaczęła przyglądać się szczelnie oklejonym paczkom.

– Co to jest?

Tylko ona mogła zadać takie pytanie.

– Biała mery.

– Kokaina?

– Amfetamina – odparłem pod nosem, odnajdując w końcu plastikową torbę, w której powinna się zmieścić większość towaru. – Na koks niewielu tutaj stać, nie ma sensu nim handlować.

– Nie możesz tego zabrać.

Słyszałem w jej głosie, że jest o krok od paniki. Na razie jeszcze do końca nie trybiła, jej umysł nie ogarniał, co przed momentem widziała i w jakiej sytuacji się znalazła. Kiedy jednak pierwsze racjonalne myśli zaczęły nadchodzić, Żabie kompletnie odbije.

– Pomóż mi to chować – rzuciłem.

– Nie ma mowy.

– Pomóż mi, kurwa, bo zaraz ktoś może tu wrócić – syknąłem.

Szybko pożałowałem tego tonu, ale najwyraźniej zrobił swoje. Wika kucnęła obok i zaczęła razem ze mną ładować pakiety do torby. Większość się zmieściła, a resztę upchnęliśmy do drugiej, znacznie mniejszej siatki z marketu.

– Dobra – rzuciłem. – Zwijamy się.

Podniosłem towar i szybko ruszyłem w stronę wyjścia. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że Żaba nie poszła za mną. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że stoi jak kołek.

– Co jest?

Jej dotychczas blada twarz powoli odzyskiwała kolory, mimo to Wika sprawiała wrażenie, jakby kompletnie osłupiała.

– Iza... – mruknęła. – O Boże, co z nią?

Szok najwyraźniej ustąpił. Nie mogło się to stać w gorszym momencie.

– Widziałeś ją gdzieś? – dodała, rozglądając się nerwowo. – Przecież ona musiała tu być, może nadal...

– Później – uciałem. – Teraz musimy stąd spierdalać.

– Ale ona...

Złapałem Wikę za rękę, nie mając zamiaru spędzać tutaj ani chwili dłużej. Wiedziałem, że prędzej czy później zjawi się tu cały korowód ludzi, których spotkania chciałbym uniknąć. Najpierw pewnie wbiją ci, którzy stali w hierarchii nad Fizolem. Potem ci, którzy narobili tego burdelu, bo

uświadomią sobie, że towaru jest za mało. Ostatecznie na miejscu stawia się psy.

Pociągnąłem Żabę w stronę wyjścia, ale udało mi się wyprowadzić ją jedynie na parkiet. Mocno szarpnęła mnie za rękę i nagle się zatrzymała.

– Musimy sprawdzić – rzuciła.

– Nie teraz.

– A kiedy? Iza może gdzieś tu być. Ranna, wymagająca pomocy i...

– I dawno by nas usłyszała.

Wika pokręciła głową i wyjęła telefon.

– Zadzwonisz, kiedy stąd wyjdziemy – syknąłem. – Nie możemy tu zostać, rozumiesz?

Zignorowała mój alarmujący ton i wybrała numer, z którego wczoraj dostała esemesa od Izy. Kłąłem w duchu, zastanawiając się nad tym, czy nie powinienem po prostu puścić się w długą.

– Nie ma sygnału – powiedziała Żaba.

Dosyc tego, uznałem w duchu. Znów złapałem jej dłoń. Wcześniej Wika to zignorowała, ale tym razem popatrzyła na mnie, jakbym przekroczył jakąś barierę. Wywlokłem ją na zewnątrz, ściskając pewnie trochę za mocno. Wiedziałem jednak, że każda minuta może być kluczowa.

Fama o tym, co stało się w klubie, na pewno rozeszła się już w niektórych kręgach. Przypuszczałem, że pierwsza ekipa zwali się tutaj nie dalej jak za parę minut.

Chwilę później zbiliśmy z Incydentu tylnym wyjściem i oddaliliśmy się szybkim krokiem, bogatsi o niebotyczną ilość dragów i niezapomniane wrażenia.

Skierowaliśmy się od razu na Steina, wjechaliśmy na ósme piętro, a potem wpadliśmy do mojego mieszkania, jakby ktoś nas ścigał. Odetchnąłem dopiero wtedy, kiedy przekręciłem zamek.

Żaba usiadła w kuchni, nawet się nie rozglądając, jakby nie interesowało jej, gdzie się znajduje, bo i tak przebywa w innym świecie.

Postawiłem torby przy stole, zastanawiając się, ile kilo jest w środku. Miałem już trochę doświadczenia, często przerzucałem zaklejone rulony tu i ówdzie. Na oko przytaczałem jakieś osiem kilogramów czystej amfetaminy.

Szybko obliczałem w głowie, co to oznacza. Wyjdzie z tego mniej więcej szesnaście tysięcy porcji. Kurwa! Ile to hajsu? Sporo, naprawdę sporo. Tyle, że odremontuję zieleniak, załatwię babci jakiegoś dostawcę i ogarnę sporo innych rzeczy.

Dobra, spokojnie. Z tego wyjdzie więcej niż szesnaście tysięcy porcji, ale zaokrąglę w dół. Każda pójdzie mniej więcej po dwie dyszki. To da mi przynajmniej... o ja jebię, minimum trzysta dwadzieścia tysięcy złotych.

Spojrzałem na torby, zastanawiając się, gdzie najlepiej je ukryć. Zanim zdążyłem się nad tym porządnie pochylić, Żaba nagle potrząsnęła głową, przykuwając moją uwagę.

– Zadzwoń do Pinky’ego – powiedziała łamiącym się głosem.

Jeśli kiedykolwiek słyszałem prośbę będącą jednocześnie rozkazem, to właśnie w tamtym momencie.

– Za moment, najpierw...

– Nic już nam nie grozi – przerwała mi. – I trzeba sprawdzić. Może on coś wie.

Mogła mieć rację. Zacząłem bawić się w matematykę, kiedy los Izy stał pod znakiem zapytania. Wyciągnąłem telefon, wybrałem numer i czekałem, słuchając przerywanego sygnału.

– I? – spytała Wika.

– Nie odbiera.

– Ale jest sygnał?

Skinałem głową, a potem spróbowałem zadzwonić jeszcze raz. Efekt był identyczny.

Żaba podniosła wzrok na tani kuchenny zegar wiszący nad stołem.

– Mamy teraz historię – powiedziała.

Jak na zawołanie przyszedł esemes, w którym Pinkeiro pisał, że nie może gadać. Odpowiedziałem od razu.

– Co napisałeś? – rzuciła nerwowo Żaba.

– Żeby powiedział, że chujawo się czuje, i spotkał się ze mną na garażach.

– Zrobi to?

– Bankowo – odparłem bez wahania.

Nie trzeba było wiele, by przekonać Pinky’ego do dania nogi z historii. Nie musiałem nawet mówić mu, o co chodzi – a sam pewnie przypuszczał, że mam jaranie i po prostu chcę coś z nim przypalić.

Wiktoria szybko się podniosła.

– To chodźmy – rzuciła.

– Zaraz. Najpierw muszę skitrać cały ten speed.

Zamrugwała nerwowo i obcinała torby, jakby nie wiedziała, skąd się wzięły ani co się w nich znajduje. Nie miałem żadnej dobrej skrytki w domu, bo nigdy nie musiałem niczego tu bunkrować.

– Chodź, Deso – ponagliła mnie Żaba. – On może coś wiedzieć.

– Stawiam, że wie dużo więcej niż coś – mruknąłem.

Szczególnie że ten pener nigdy nawet nie zająknął się słowem o tym, że w ogóle zna Izę Mikulską. A kiedy przedstawiał mi sprawę wczoraj rano, nie dał niczego po sobie poznać.

– W takim razie schowaj to i chodźmy – powtórzyła Żaba.

– Nie mam gdzie.

– Upchnij pod łóżko i...

– Odjechałaś – uciałem, nerwowo trąc kark. – Skumaj, że ludzie od Fizola prędzej czy później zwałą mi się na chatę.

– Co? Dlaczego?

– Będą sprawdzać wszystkich, którzy mieli z nim cokolwiek wspólnego. A ja kręciłem z nim sporo akcji – odparłem, rozglądając się tak, jakbym był pierwszy raz we własnym mieszkaniu. – Na gębę mi nie uwierzą, przetrzepią całą chawirę.

Nie było sensu dalej szukać dobrego miejsca. Ale może nie musiałem w ogóle tego robić.

– Chyba że ty mi to przybunkrujesz na parę dni – rzuciłem.

– Ja?

– Nikt nie będzie tego u ciebie szukał.

– Deso, proszę cię...

– Skumaj, to tylko na chwilę, zanim znajdę lepszą miejscówkę – dodałem szybko, podchodząc do niej. – Jeden worek upchniesz do plecaka, z drugim przecież spokojnie wejdiesz do chaty. Mogę pójść z tobą.

Nie odzywała się. Głównie dlatego, że nie potrafiła wymyślić, w jaki sposób mi odmówić.

– Załatwimy to i pójdziemy wyciągnąć wszystko z Pinky’ego – dorzuciłem. – No dawaj. Sprawdźmy w końcu, o co w tym wszystkim chodzi.

Wciąż wyglądała na nieprzekonaną, ale wiedziałem, że mam ją w garści. Chciała za wszelką cenę się dowiedzieć, co się stało z jej przyjaciółką.

– O której wracają twoi starzy? – spytałem.

Zerknęła na komórkę, blednąc na samą myśl o tym, że naprawdę dopuściła myśl o skitraniu całego tego abażuru.

– Za parę godzin...

– Nikogo teraz nie ma w chałupie?

– Nikogo.

– To idziemy.

Nie zostawiłem jej żadnego pola manewru. Wiedziałem, że im szybciej zadziałam, tym lepiej. Jeśli dałbym jej czas na

zastanowienie, pewnie wszystko poszłoby w piżdziec.

Przeszliśmy na drugą stronę RZNiW i weszliśmy do bloku przy Szczyrka. Wszystkie ulice nazwano na cześć osób, które działały w Rewolucyjnym Związku Niepodległości i Wolności, a my w podstawówce tłukliśmy smęty o nim na pamięć. Do dzisiaj obudzony w środku nocy mogłem recytować, że Związek powstał w trzydziestym dziewiątym we Lwowie, prowadził działalność konspiracyjną na terenach okupowanych przez radziecką Rosję i...

I tak dalej.

Zabscy mieszkali na parterze, więc okna mieli zakratowane. Dość kiepska miejscówka, ale nie mieli tyle kasy, co starzy Izy Mikulskiej. Ci rezydowali w domku jednorodzinny tuż za osiedlem.

Żaba wprowadziła mnie do swojego pokoju, mocno zażenowana cholera wie czym. Postawiliśmy torby na podłodze i zaczęliśmy wyciągać to, co się w nich znajdowało.

- Dobra... - powiedziała cicho Wika. - Powinno się zmieścić.
- Gdzie?

Wskazała wysoką szafę. Na górze były zamknięte szafki, do których ktoś o wzroście Żaby z pewnością nie sięgał. Wyjaśniła, że trzyma tam rzeczy, których od lat nie używa.

Podsunałem sobie krzesło i zacząłem upychać towar za starymi ciuchami. Merkator siedział w progu, przyglądając mi się jak pajacowi, ale niespecjalnie się przejąłem. Miejsce na skitranie dragów było idealne, bo najwyraźniej rzeczywiście od dawna nikt tu nie zaglądał - świadczyły o tym bluzy z Kelly Family i T-shirt z Britney Spears.

Kiedy Żaba podawała mi jeden z woreczków, do których wrzuciłem luzem zawartość skrytki, nagle zamarła.

- Co jest? - rzuciłem ponagląjąco i wyciągnąłem do niej rękę. Nie odpowiadała.
- Zerwał ci się kontakt z bazą?

– Deso...

– No co? – warknąłem.

Szybko zajrzyłem, że pewnie chodzi o tabletki ecstasy. Rzeczywiście pośród innych bzdetów pixy też się znalazły. Oprócz tego widziałem trochę bilonu i jakieś inne ciulostwa, ale nic, co mogłoby zbulwersować dziewczynę.

Żaba sięgnęła do worka, a potem wyjęła brązową, skórzaną bransoletkę.

– To Izy – powiedziała.

– Co? Jesteś pewna?

Pokazała mi bransoletę, a ja wbiłem wzrok w grawer przedstawiający półksiężyc i jakiś dziwny symbol obok.

– Wszystkie takie mamy – wyjaśniła. – To jej.

## 12

Nie tak planowałam po raz pierwszy trzymać się za rękę z jakimś chłopakiem. Rozpatrywałam wprawdzie całkiem sporo scenariuszy, ale nie należało do nich bycie wywleczoną z klubu, w którym doszło do jakichś gangsterskich porachunków.

Kiedy szliśmy w stronę Hangaru, powoli docierało do mnie, że wszystko, co widziałam, było prawdziwe. Nie miało w sobie nic z urojeń, nocnych koszmarów ani zwidów.

Staralam się skupić na czymś innym. To nie były też okoliczności, w których chciałam po raz pierwszy zapraszać jakiegoś chłopaka do mieszkania. Właściwie chyba w ogóle tego nie chciałam, nigdy. Wstydziłam się tej nory, a mój pokój wyglądał, jakbym zatrzymała się na etapie gimnazjum.

Na półkach stały pluszaki, z którymi nie umiałam się rozstać. Na biurku trzymałam stare zdjęcia z wakacji z rodzicami, upominki od rodziny i bransoletki z muliny, które

kiedyś plotłam. Deso na pewno zobaczył też starą bluzę z Kelly Family, piórniki i tornister z Dragon Ballem, którego nigdy nie wyrzucę.

Od razu też musiał rozpoznać wszystkie moje gusta. Widział, że cała moja kolekcja płyt CD ogranicza się do dwudziestu paru wydań z „Muzyki mistrzów”. Uwielbiałam Verdiego, Chopina i Liszta – dla Desa nie mogłam chyba być muzycznie nudniejsza.

Na ścianie obok biurka wisiał plakat z *Nigdy w życiu!*, podpisany przez Artura Żmijewskiego – moja najcenniejsza zdobycz, a tuż obok z *Pianisty* – dla mnie najlepszego filmu kilku ostatnich lat. W rankingu Desa wyżej na pewno były *Chłopaki nie płaczą* i *Poranek kojota*.

Mimo to nie wspomniał słowem o tym, co widział. Po drodze do garażów odezwał się tylko po to, żeby zapewnić mnie, że niebawem zabierze cały ten towar i będę miała problem z głowy.

Pinky już na nas czekał. Trzymał paczkę czerwonych viceroyów, a mnie przeszło przez myśl, że chyba oni wszyscy je palą. Pewnie były najtańsze.

– Siemanko, ziomuś – odezwał się Grzesiek.

– Elo – rzucił oschle Deso.

Stanęliśmy tuż za wejściem, patrząc na rozwalonego na kanapie Pinky’ego.

– Co to za akcja? – spytał. – Musiałem zerwać się przed przerwą, a przypały mi niepotrzebne.

– Przypał będzie za coś innego – odparł Darek, podchodząc bliżej.

– Za co?

Poszłam za Desem, wciąż pamiętając ostatnie rzeczy, które usłyszałam w Hangarze.

– I co ona tu robi?

– Jest ze mną.

– Tyle widzę, człowieku.

Deso wskazał mi jeden z foteli, a sam usiadł na drugim. Pochylił się i oparł ręce na kolanach, przypatrując się Grześkowi.

– Wracamy z Incydentu – odezwał się. – Wiesz, co tam się odjebało?

– Nie.

Deso zaczął mozolnie tłumaczyć mu, co zastaliśmy na miejscu. Początkowo Pinky myślał, że to żart. Potem po prostu nie był gotów przyjąć czegokolwiek do wiadomości. Ostatecznie zapalił skręta i w końcu dotarło do niego, że mówimy prawdę.

– Ożeż kurwa... – skwitował.

– No.

– I nie było żadnego śladu po Izie?

– Żadnego oprócz bransoletki – odezwałam się.

– A więc jedyny prowadzi do ciebie, Pinkeiro – dodał Deso.

Przez moment poczułam się, jakbyśmy grali w dwuosobowej drużynie. Dzięki temu zyskałam nieco pewności i odniosłam wrażenie, że liczba rzeczy mogących mi zagrozić diametralnie się skurczyła.

Pinky potrzebował chwili, by zebrać myśli. Chodził po garażu, tarł nerwowo skronie, brał kolejne sztachy. Wreszcie zatrzymał się za kanapą i położył dłonie na oparciu.

– Ja nic nie wiem – rzucił.

– Nie pierdol.

– Powaga, ziom – powiedział stanowczo. – To wszystko nie jest tak, jak myślicie...

– Znaczy? – spytałam. – Przyszedłeś do mnie z Izą, chcieliście pieniędzy i groziliście, że jeśli się komuś wygadamy, wszyscy będziemy mieli problemy.

– Wiem, ale...

– Ale co? – włączył się Deso. – Skończ z tymi farmazonami, stary. Dziewczyna może nie żyć, trybisz?

– Trybię.

– To nawijaj – polecił mu Darek.

Pinky zwiesił na moment głowę. Kiedy z powrotem podniósł na nas wzrok, wiedziałam już, że jest gotów wszystko nam opowiedzieć. Deso sięgnął do kieszeni i zatrzymał odtwarzanie mp3.

– Ona potrzebowała pomocy – zaczął Grzesiu. – Ale nie przyszła po nią do mnie, tylko do ciebie...

Spojrzał wymownie na Desa, a ten zmarszczył czoło.

– Pompujesz?

– Nie – odparł Pinky. – Parę dni temu przyszła pod twój blok wieczorem, ale chyba nie wiedziała, pod którym numerem mieszkasz.

– Ale... czego chciała?

– Mówię przecież, że pomocy – odparł cicho Grzesiek. – Spotkałem ją, jak obcinała balkony i pewnie próbowała rozkminić, które mieszkanie jest twoje. Zapytałem, o co kaman i takie tam, wywiązała się gadka. Powiedziała mi, że szuka cię, bo musi spalić wrotki.

Pinky obszedł kanapę i opadł ciężko na siedzisko. Wyciągnął papierosa, ale zamiast go zapalić, obracał go między palcami.

Wraz z Desem czekaliśmy na więcej.

– Nie wiem, dlaczego była przekonana, że musi spierdalać, ale daj wiarę, że była przerażona.

– I co zrobiłeś? – rzucił Darek.

– Zapytałem, czego od ciebie chce.

– I?

– Powiedziała, że wie o twoich kontaktach w Incydencie.

Każdy o nich wiedział. Jeśli ktoś w szkole chciał zapalić jointa, szedł do Desa. Jeśli ktoś podpadł komuś w klubie, też

kierował się prosto do niego, żeby jakoś załagodzić sprawę i nie robić sobie większych problemów.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak Desowi udało się wejść w to środowisko. Ani dlaczego ci ludzie przyjęli go z otwartymi ramionami. A może po prostu nie chciałam się nad tym zastanawiać.

– Była przekonana, że możesz jej wszystko załatwić.

– Wszystko, to znaczy co? – włączyłam się.

– Lewe dokumenty, jakiś transport, takie rzeczy.

– Transport dokąd?

Pinky wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

– Nie wiem nawet, skąd miała na to wszystko hajsowo – rzucił. – Trochę jej zabrakło, ale wtedy wpadła na pomysł, żeby pożyczyć od Żaby. Z rana miała już konto doładowane.

– Jak? – zapytał Darek.

– Chuj wi – odparł Grzesiu. – Mówiła, że ma wszystko zaplanowane, potrzebuje tylko dojścia. Była pewna, że jej pomożesz, bo ubzdurzyła sobie, że ci się podoba.

Spojrzałam na Desa, ale on nawet na mnie nie zerknął.

– Że czasem lampisz się na nią na przerwach, że kiedyś gdzieś ją nawet zapraszałeś.

– To prawda? – odezwałam się.

Darek sprawiał wrażenie, jakby sam nie znał odpowiedzi.

– Nie wiem, może – odparł. – W gimnazjum na chwilę wpadła mi w oko, ale przez większość czasu chodziłem zbakany albo nawalony.

Ukłucie zazdrości było tyle bolesne, co absurdalne. Nie chciałam jej czuć, nie powinna w ogóle mieć racji bytu.

Przez moment wszyscy milczeliśmy. Deso mrużył oczy, wbijając nieruchome spojrzenie w oczy przyjaciela. Nie mogłam przesądzić, czy wierzy we wszystko, co Pinky powiedział, czy wprost przeciwnie.

Milczenie przeciągało się stanowczo za długo.

– Co było dalej? – spytałam w końcu.

Grzesiek się skrzywił i nagle przestał sprawiać wrażenie, jakby był gotów przekazać nam więcej.

– Mów dalej, Pinkeiro – rzucił Deso.

Rozmówca odchrząknął cicho.

– Słuchaj, ziom... – podjął. – To wszystko, co zrobiłem, było trochę z dupy, ale musisz ogarnąć, że ta laska... no, miała to coś, nie?

Chciałam go poprawić, że nie jest żadną laską. I że nadal ma to coś, bo wciąż żyje i wszystko z nią w porządku.

– Zjebałem, przyznaję.

– Bez kitu – mruknął Darek. – Po prostu mów.

Pinky zaciągnął się głęboko i pochylił.

– Naściemniałem jej, że nie pomożesz, bo ty w takie rzeczy nie wchodzisz. Za duże ryzyko, za mało korzyści. Towar przerzucasz, ale od ludzi trzymasz się z daleka.

– No i?

– Trochę musiałem ją przekonywać, że tylko jej pociśniesz, jak się do ciebie zgłosi – odparł cicho Pinky. – A potem popchnąłem jej, że mogę załatwić wszystko to, co ty, bo znamy tych samych ludzi.

Deso podniósł się z fotela i podszedł do wyjścia. Pokręcił bezradnie głową. Grzesiek oddychał ciężko i głośno, zapewne obawiając się gwałtownej reakcji przyjaciela.

Darek w końcu obejrzał się przez ramię.

– Przestań dyszeć jak dziecko w smyku – rzucił.

– Znaczy, że...

– Znaczy, że skiepsciłeś na całej linii – przerwał mu Deso. – Podbiłeś sam do Fizola?

Pinky skinął głową.

– Na mózgi się ze swoimi jajami pozamieniałeś?

– Ziombel...

– Zamknij dupę.

Grzesiek posłusznie zamilkł, a ja czekałam na to, co zrobi Deso. Wyglądał, jakby ostatkiem sił powstrzymywał emocje. Wiedziałam, że często chodzi na solówki pod garażami, nie potrzebował wiele, by dać się ponieść.

Deso obrócił się do niego, skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę Hangaru.

– Co było potem? – spytał.

– Dałem Fizolowi hajs, a on miał zabunkrować Izę i załatwić jej te papiery, których chciała. Potem znalazł jakiegoś typa, który miał ją gdzieś przewieźć.

– Gdzie? – odezwałam się.

– Nie wiem. Próbowałem coś z niej wyciągnąć, rano nawet się z nią widziałem, żeby odebrać to siano, które Iza ci wisiała... Chciałem jej pomóc, pojechać z nią na jakiś czas, ale kazała mi odpuścić.

– Bo? – rzucił Deso.

– Bo nie mogła zostawiać żadnych śladów. I mówiła, że jak ktoś się dowie, wszyscy będziemy mieli przesrane.

– Przesrane mielibyśmy, i to dosłownie, gdyby matka natura uczyniła gołębie wielkości orłów – zauważył Darek. – W takie farmazony nie wierzę. I ty też nie powinieneś.

Na moment atmosfera stała się nieco lżejsza. Deso w końcu wrócił na fotel, a Pinky rzucił mu paczkę viceroyów.

– Co jeszcze wiesz? – spytałam.

– Nic.

Darek odrzucił mu paczkę.

– Naprawdę – dodał Pinky. – Myślałem, że będzie mi wdzięczna i że zanim się stąd zwinie, czegoś się dowiem. Chciałem dzisiaj iść do Incydentu.

Nie mogłam odsunąć od siebie myśli, że nazwa tego klubu nabrała dziś nowego, upiornego znaczenia. Jakby na potwierdzenie tego w oddali usłyszałam dźwięki syren.

Pierwsze radiowozy i karetki na pewno już pędziły na osiedle RZNiW.

– Pały – rzucił Deso.

Pinky pokiwał głową.

– Nie zostawiliście tam żadnych śladów? – spytał.

Popatrzyłam na Darka, a on na mnie.

– No wiecie, żeby nie było... Przecież znajdą tam te trupy i mogą się natknąć na wasze odciski palców czy coś.

– Niczego nie zostawiliśmy – odezwał się Deso. – A nawet gdyby, musieliby mieć nasze odciski w bazie do porównania, człowieka.

– Fakt.

Może i rzeczywiście niczego nie zostawiliśmy, ale z pewnością zabraliśmy całkiem sporo. Dopiero dochodziło do mnie, że ktoś się zorientuje, iż brakuje towaru. Albo policja, albo ci stojący nad Fizolem.

I prędzej czy później wpadną na trop Desa albo mój.

Boże, w co ja się wplątałam? Musiałam jak najszybciej pozbyć się tych wszystkich narkotyków.

– Co teraz? – zapytał Pinky.

– Ty wracasz na następną lekcję, żeby nie było dymu – postanowił Deso. – A my ogarniemy temat.

– Niby jak?

Darek pstryknął końcówkę papierosa, a popiół spadł prosto do popielniczki.

– Dojdziemy, kto zrobił wjazd do Incydentu.

– I? To wszystko?

– Tyle starczy.

Pinkeiro zaśmiał się i pokręcił głową.

– Chyba ciśniesz bekę...

– Nie – odparł spokojnie Deso. – Trzeba znaleźć tę dziewczynę. Jak ustalimy, kto posłał w pizdu Fizola i jego ludzi, będziemy wiedzieli, gdzie jej szukać.

– Czyli zakładasz, że ktoś ją porwał?

– A co mam niby innego zakładać?

Pinky wciąż sprawiał wrażenie, jakby ktoś opowiadał mu niespecjalnie śmieszny kawał. Dla mnie też właściwie brzmiało to podobnie. My mieliśmy ruszyć tropem tych ludzi? Absurd.

– Powinniśmy zawiadomić policję – odezwałam się w końcu.

Deso i Grzesiek popatrzyli na mnie, jakbym oznajmiła, że zamierzam zamordować ich matki.

– Żadnych psów – rzucił automatycznie Pinky.

Darek poparł go, kiwając głową.

– Zresztą co im powiesz? – spytał. – Że znaleźliśmy bransoletkę w sejfie?

Pinky zareagował pytającym spojrzeniem, ale Deso szybko uciał wszelkie rozmowy, zapewniając, że powie mu wszystko w swoim czasie.

Może mieli rację co do policji. Przyznanie się do wizyty w Incydencie byłoby równoznaczne ze skierowaniem na siebie podejrzeń w sprawie zaginionych narkotyków. Nawet jeśli teraz nikt o nich nie wiedział, kwestią czasu było, nim zrobi się z tego głośna sprawa.

Powinniśmy oddać cały ten towar, i tyle.

Wiedziałam jednak, że na to nie ma szans. Dla Desa była to okazja, z której musiał skorzystać – i nie wykraczała dalece poza to, czym się zajmował na co dzień. Świat narkotyków był dla niego codziennością.

– To ty dałeś Izie mój numer? – odezwał się Deso.

Pinky skinął głową z pewnym zażenowaniem.

– Powiedziała, że potrzebuje go dla jakiejś kumpeli. Nie wiedziałem wtedy, że chodzi o Żabę.

Poczułam, że moje policzki płoną, ale na szczęście obydwaj rozmówcy skupiali się wyłącznie na sobie, jakby zapomnieli, że ja też tu jestem.

– Wiesz, dlaczego wysłała mi tego esa, że się boi? – spytał Darek.

Grzesiu wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mógłbyś mnie zapytać, czemu laski mają ciotę.

– Okres – poprawiłam go pod nosem.

Nagle przypomnieli sobie o mojej obecności. Popatrzyli na mnie jak na przybyszkę z obcej, zupełnie nieznannej krainy.

– I występuje dlatego, że ciało kobiety stale przygotowuje się do ciąży – dodałam. – Ścianki macicy grubieją, tworząc rodzaj osłony dla zygoty, a w tym samym czasie w jajnikach wytwarzane są komórki jajowe.

Milczeli, wciąż gapiąc się na mnie z lekko otwartymi ustami.

– Jeśli w tym momencie pojawi się plemnik, łączy się z komórką i...

– I mamy problem – rzucił Pinky i zaśmiał się nerwowo.

Właściwie nie miałam zamiaru z nim polemizować.

– Jeśli nie – ciągnęłam – to niezapłodniona komórka jajowa razem z tą osłoną, o której mówiłam, jest stopniowo usuwana z ciała kobiety. Towarzyszy temu krwawienie, o którym najwyraźniej słyszeliście.

Byłam dość dobra z teorii, jeśli chodziło o tematy związane z seksualnością. Problem stanowiła jednak praktyka.

Zaległo niewygodne milczenie. W końcu Deso odchrząknął i przeniósł wzrok na przyjaciela.

– Dobra, zbijaj – rzucił, podając rękę Pinky’emu.

– Na bank? Nie wolałbyś, żebym...

– Nie. Trzymaj rękę na pulsie i obczajaj, co się dzieje w szkole. Puść esa, jak tylko będzie jakiś smród.

– Spoko.

Pożegnali się dość skomplikowanym uściskiem dłoni, a ja odprowadziłam Pinky’ego wzrokiem. Kiedy zostaliśmy sami,

wbiłam stanowcze spojrzenie w Desa. Nie wytrzymałam długo. Ledwo popatrzył na mnie tak samo, spasowałam.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – oznajmił. – Ale nie mogę oddać całego tego szuwaksu.

– W takim razie będziemy mieć duże problemy.

– Ty nie – odparł. – Dziś albo jutro znajdę jakąś dziurę, w której można to skitracć.

– I co potem? Będziesz sprzedawał?

Zabrzmiało to jak oskarżenie. I dobrze.

– Nie schizuj się.

– Nie schizuję – odparłam, chyba po raz pierwszy używając tego słowa. – Ale chyba w ogóle nie myślisz o tym, że ktoś naprawdę zabił tych ludzi. I ukradł większość narkotyków.

Deso rozejrzał się kontrolnie, jakby się obawiał, że te osoby nagle wyskoczą zza otwartej bramy garażu. Zamknął ją, a w środku od razu zapanował półmrok. Darek podszedł do mnie i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Będzie luz – rzucił. – Nie spinaj pośladków.

– Ale...

– I zajmij się rozkminianiem, co się stało z Izą – dodał szybko. – Fetą się nie przejmuj.

Kilka krótkich zdań. Tyle wystarczyło, by ten chłopak robił ze mną, co mu się żywnie podobało.

– Musimy ustalić, po chuj wysłała mi tego esemesa, do czego doszło potem i gdzie teraz jest.

Westchnęłam, zdając sobie sprawę, że mówi to głównie po to, bym nie myślała o narkotykach i o tym, co zdarzyło się w Incydencie.

– Masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

– Tak – odparł od razu Deso. – Znajdziemy moich ziomków z klubu. Po tej akcji pewnie się zabunkrowali, ale wiem, gdzie można ich poszukać. Może Iza będzie z nimi, a jak nie, popytamy ich, czy czegoś nie wiedzą.

Zdawałam sobie sprawę, że wikałam się w coś, od czego należało trzymać się z daleka. Rozpoczęła się jakaś kryminalna walka o władzę w narkoświecie, a ja mogłam sprowadzić na siebie jedynie kłopoty.

Nie wzięłam pod uwagę jeszcze jednej rzeczy. A mianowicie tego, że w tej rozgrywce będzie brał udział jeszcze jeden gracz.

Policja.

Zaporowski zjawił się u mnie w domu jeszcze tego wieczoru z propozycją, której nikt rozsądny nie mógł odrzucić.





## REFREN

### 13

Prokurator nie ma już wielu pytań, widzę to w jego oczach. Nie zna chyba do końca mojej taktyki, ale podskórnie musi już czuć, że jest na przegranej pozycji. Ukradkowe uśmieшки mojej prawniczki zdają się to potwierdzać.

Jestem w głębokim gównie, ale wynurzam się z niego w taki sposób, że nic na mnie nie zostaje.

– Mógłbyś nam opowiedzieć o Wiktorii Zabskiej? – pyta oskarżyciel.

– Mogę nawinać o kimkolwiek. Na freestyle'u?

Sędzia lampi się na mnie z pretensją, jest już o krok od upomnienia. Prokurator jednak zachowuje zimną krew, uśmiecha się pobłaźliwie, więc ten niewielki wyskok uchodzi mi na sucho.

Obracam się przez ramię i szybko obcinam rodziców Żaby. Siedzą w drugim rzędzie na publiczności, sprawiając wrażenie, jakby mieli zamiar rzucić się na mnie z pięściami i okładać aż do momentu, kiedy urwie mi się film.

– Porządna dziewczyna – mówię. – Zanim ją poznałem, nigdy nie piła, nie paliła, nie przeklinała i tak dalej.

– A narkotyki?

– Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem, żeby coś brała.

– Pomagała ci w handlowaniu nimi?

Moja prawniczka podnosi się i rozkłada ręce.

– Wysoki Sądzie – apeluje. – Wnoszę o uchylenie tego pytania. Nie ma żadnego związku ze sprawą, nie prowadzi do poczynienia jakichkolwiek ustaleń faktycznych, a w dodatku jest jasną próbą pomówienia mojego klienta.

Dziad, który przewodniczy tej szopce, marszczy czoło. Zupełnie jakby musiał się namyślić, czy prokurator faktycznie pocisnął mi bezpodstawnie, czy nie.

– Nigdy nie handlowałem – mówię.

Obrończyni zerka na mnie z pretensją. Miałem się nie wychylać i pozwalać, żeby to ona wszystko kontrolowała, ale nie chciało mi się czekać. Ta rozprawa i to jebane dopytywanie, które zmieniło się w przesłuchanie, trwają zdecydowanie za długo.

– Co jeszcze możesz nam o niej powiedzieć, Deso? – pyta prokurator głosem rodem z procesów, w których stronami są same dzieciaki.

– A co chce pan wiedzieć?

– Interesują mnie jej upodobania muzyczne, filmowe, książkowe, serialowe... słowem wszystko, co dziś kształtuje młodego człowieka.

– Kształtują go realia.

– Właśnie o nich mówię.

– Nie – zaprzeczam. – Pan mówi o otoczce, a ja o okolicznościach, w których przychodzi na świat. O rodzinie albo jej braku, o poziomie życia, o ziomkach, o osiedlu, o przekazywanej sferze wartości.

Oskarżyciel przez chwilę milczy, a ja w końcu uznaję, że tym razem mogę się trochę rozgadać.

– Słuchała głównie klasycznej muzy – odzywam się. – W sumie nie najgorzej. Potem chciała chyba złapać mój klimat, więc zaczęła sprawdzać jakieś rapsy. Wyborów nie miała za dobrych.

Prokurator zgadza się z tym ostatnim stwierdzeniem, kiwając znacząco głową. Zaczynam mieć przez niego ciśnienie. Gdyby nie to, że sędzia dopierdoliłby mi karę porządkową, kazałbym temu cieciowi zrobić laskę kaktusowi.

- Z filmów najbliższej jej do komedii romantycznych – kontynuuję. – Lubiła jakieś polskie, z dupy wzięte bzdety, ale w sumie było w tym coś...

Urywam, szukając właściwego słowa, ale nie mogę go znaleźć. Oskarżyciel wyraźnie nie czeka, aż dokończę.

- Spotykaliście się? – pyta.

- Od czasu do czasu bujaliśmy się tu i tam.

- Nie o to pytam.

- To może trzeba precyzyjniej.

Prokurator nabiera tchu.

- Było coś między wami? – poprawia się.

- Nie.

Jestem bankowo przekonany, że nikt nie słyszy kłamstwa w moim głosie, nawet moja prawniczka.

Milczenie przeciąga się dość długo, aż w końcu sędzia upomina prokuratora. Ten unosi przepraszająco rękę i oznajmia, że już zmierza do końca. Chce poruszyć jeszcze tylko dwie kwestie.

- Byłeś w okolicy klubu Incydent, kiedy doszło do pożaru? – pyta.

- Zależy, jak zdefiniujemy okolicę.

- Czy widziałeś, jak płonął?

- Nie – mówię. – Miałem lekcje, a potem szlajałem się z moją ekipą.

- Wiesz, kto podłożył ogień?

- Nie.

Czeka chwilę, aż rozwinę, ale nie mam takiego zamiaru. Tancbuda poszła z dymem zaraz po tym, jak razem z Żabą poszliśmy do Hangaru. Policja nie zdążyła wcześniej dotrzeć na miejsce, kryminalni nie wzięli pod lupę tego wszystkiego, co tam było. Większość śladów przepadła i nikt oprócz mnie i Żaby nie wiedział nawet, że przed pożarem doszło tam do prawdziwej masakry.

– Szukaliście sprawców na własną rękę? – pyta oskarżyciel.

– My, znaczy kto?

Od początku stara się władować mnie w kontekst przestępczości zorganizowanej, ale wbijam w to. Nie ma żadnych dowodów i miota się jak desperat.

– Ty i twoi koledzy – mówi. – Szukaliście tego, kto podpalił klub?

– Nie.

– Nie potraktowaliście tego jako wyzwania rzuconego przez inną ekipę? Z innego osiedla?

– Nie znam żadnych ekip. To nie Sycylia ani *Rodzina Soprano*.

Widzi, że nic nie ugra, ale musiał rzucić to pytanie, żeby ustalić związek między tym, co wydarzyło się w Incydencie, i tym, co nadeszło później. Sędzia znów obcina go z niezadowoleniem, chcąc przejść dalej.

– Ostatnie pytanie – rzuca prokurator. – Pamiętasz moment, w którym ofiara straciła życie?

– Niezupełnie – odpowiadam bez wahania, bo wiedziałem, że właśnie o to zapyta na samym końcu.

– Ale pamiętasz, jak zadałeś śmiertelne ciosy?

– Trochę...

W sali daje się słyszeć szepty. Niektórzy nie mogą ogarnąć sytuacji, bo przecież cały ten cyrk zaczął się od tego, że nie przyznałem się do winy. A teraz praktycznie potwierdziłem, że to ja zabiłem ofiarę.

Ale zabójstwo w polskim prawie zabójstwu nierówne, tak mi powtarza moja prawniczka.

– Trochę? – pyta prokurator. – To znaczy co konkretnie pamiętasz?

– Śmierć – odpowiadam bez wahania. – I to podwójną.

– Podwójną?

- Tak. Bo umarłem w momencie, kiedy zadałem ofercie śmiertelny cios.





## TRZECIA ZWROTKA

### 14

Początkowo nie mogliśmy z Żabą uwierzyć, że kłęby dymu nad osiedlem RZNiW pochodzą z Incydentu. Na miejsce zlecieli się wszyscy, a po chwili zjawiała się straż pożarna. Nie było opcji, żeby ugasić ogień – zajął cały budynek, jakby był ze styropianu.

Trzymaliśmy się na uboczu, nie chcieliśmy rzucać się nikomu w oczy. Złapaliśmy lekkiego tripa, przekonani, że podpalacze są gdzieś w okolicy i wiedzą, że to my zaiwaniliśmy cały towar.

Nasza schiza zdawała się całkiem uzasadniona. Po tym, jak wysunęliśmy długą z Incydentu, do klubu musieli wrócić ci, którzy wcześniej na niego napadli. Może szukali dragów i hajsu, a może chcieli po prostu zatrzeć ślady. Tak czy inaczej, musieli porozlewać wszędzie benzynę – także w pokoju, w którym opróżniłem skrytkę.

Na bank zrozumieli, co się stało. Rozkminili, że ktoś tam był i skroił precjoza.

Zwinęliśmy się spod Incydentu i wróciliśmy na garaże. Znacznie więcej czasu niż dojście tam zajęło nam dojście do siebie. Musieliśmy nie tylko wszystko przegadać, ale też pozwolić wnioskowi osiąść w umyśle i się uformować. Kiedy w końcu tak się stało, oboje zgodziliśmy się, że należy skupić się na Izie.

Potrzebowała naszej pomocy, ale jedyni ludzie, którzy mogli wiedzieć, co ją spotkało, zapadli się pod ziemię. Przez kilka godzin szukaliśmy ziomków od Fizola, aż w końcu Żaba powiedziała, że musi zbijać, bo formalnie lekcje się skończyły.

Odprowadziłem ją pod klatkę, odpaliłem empetrójkę i już chciałem iść, kiedy mnie zatrzymała.

– Czego słuchasz? – zapytała.

Szybka rozkmina, po co pyta. Pewnie nie z czystej ciekawości, po prostu chce doprowadzić do klasycznie romantycznej sytuacji, czyli wspólnego słuchania jakiejś nuty na słuchawkach.

Podaliśmy jej jedną, a ona się zbliżyła.

– Eldo – powiedziałem. – *Zza szyby.*

Numer był na wypasie, jak każdy od Eldoki. Obserwowałem Żabę, kiedy poszły pierwsze wersy i zwroty, ale nie wyglądała, jakby jej przypasowały. Przesłuchała kawałek do końca, a ja byłem pewien, że odda mi słuchawkę. Trwała jednak w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w chodnik, jakby Eldo ją zahipnotyzował.

Poleciała druga nuta, a ja uznałem, że nie ma co przeciągać.

– Zbijam – oznajmiłem.

Zamrugła nerwowo i podała mi słuchawkę z taką delikatnością, jakby obchodziła się z czymś cennym.

– Jutro z rana możemy się ustawić – dodałem.

– O...

Myślałem, że doda coś jeszcze, ale była skołowana jak koń na światłach.

– Coś nie tak? – spytałem.

– Chyba... chyba nie powinnam.

– Czemu?

– Nie mogę drugi dzień opuścić lekcji.

Ja właściwie też nie powinienem tego robić. Nauczyciele wiedzieli, że nie mam w chacie łątko i czasem pomagam babci, ale ich wyrozumiałość miała swoje granice. Jeden telefon i byłby przypał.

– To po lekcjach – powiedziałem. – Dasz radę czy musisz zameldować się w chacie?

– Nie, nie muszę.

Skinałem głową, niepewny, jak się pożegnać z Żabą. Jeszcze wczoraj właściwie się nie znaliśmy, teraz miałem wrażenie, jakbyśmy mimo wszystkich różnic świetnie się rozumieli i byli dla siebie jak jasne punkty w mroku.

Poza tym nie była zwyczajną typiarą. Z jednej strony nie mogłem zbić z nią piątki i się zawinać, z drugiej nie powinienem też jej przytulać. Takie rzeczy byłyby normalne z jakąkolwiek inną laską, ale Żaba od razu pomyślałaby, że coś jest na rzeczy. A ja nie chciałem robić jej nadziei.

Ciszę jednak musiałem jakoś przerwać, bo robiła się niewygodna.

– Nara – rzuciłem.

Nie słyszałem nawet, co odpowiedziała, bo oddaliłem się szybkim krokiem. W sumie chyba nie wyszło to najlepiej, ale miałem inne problemy, które musiałem trochę porozkminiać.

Wróciłem na chawirę i zastałem babcię w kuchni. Robiła panierowane schaboszczaki, czyli to, co mogłem szamać na okrągło. Zrzuciłem plecak, podszedłem do niej i pocałowałem ją w policzek. Potem opadłem ciężko na krzesło przy stole. Chwilę gadaliśmy o pożarze, ale bez konkretów. Przypuszczałem, że dzisiaj wszystkie rozmowy w blokach na osiedlu będą zaczynały się właśnie od tego.

– Józio nie przyjdzie? – spytała w końcu.

– Babcia... mówiłem ci, żebyś tak na niego nie mówiła. To jest Sojóz.

– Nie mogę przywyknąć.

– Spróbuj. On nie lubi swojego imienia.

Obejrzała się przez ramię i otarła dłonie o stary fartuch w wyblakłe kwiatki.

– Józef to...

– Wiem, wiem – uciałem. – Bardzo godne imię. Ale jemu nie leży, a już szczególnie jeśli chodzi o to twoje zdrobnienie.

Babcia mruknęła coś pod nosem, przyjmując argument do wiadomości, ale nie miałem najmniejszej nadziei na to, że od teraz będzie posługiwała się ksywą Sojózca.

– To przyjdzie czy nie? – spytała. – Bo nie wiem, ile kotletów przygotować.

Zerknąłem na zegar kuchenny.

– Przyjdzie.

– Jesteś pewien? Wiesz, że nie lubię, jak się marnuje, a...

– Babcia, mówię przecież, że wbije. A nawet jak nie, to ja wszamię jeden więcej, jestem głodny jak Wilq.

– No dobrze – odparła cicho.

Nie ustalałem tego z Sojózem, ale oczywiste było, że mniej więcej o tej porze zjawi się, żeby przyjąć pokarm. Tym razem nie było inaczej. Wszedł bez pukania, bo miał u nas kartę stałego klienta, a potem usiadł obok mnie przy stole.

Babcia podała nam jedzenie, powiedziała Sojózowi, żeby nalał sobie kompotu z truskawek, a potem usiadła na fotelu w salonie. Było to jej stałe miejsce odpoczynku. Przy akompaniamencie cichych stęknień wyciągała nogi na niskim podnóżku, a potem brała jedną ze starych, zaczytanych książek, które znała na pamięć.

Mówiła, że za PRL-u łatwiej jej było dostać interesujące pozycje, chociaż szczerze w to wątpiłem. Większość ludzi miała z tym problem, bo jak tylko coś się pojawiało w księgarniach, od razu znikało i trzeba było chodzić po antykwariatach albo bazarach. Babcia jednak twierdziła, że miała dojścia w Domu Książki, dzięki czemu jakaś laska odkładała jej pod ladę to i owo, a potem opylała po niższej cenie. W sumie niewiele się zmieniło.

Zalukałem na okładkę. Znów katowała *Dziesięciu murzynków* Agathy Christie z „Klubu Srebrnego Klucza”. Trochę bez sensu, bo jak znało się wyjaśnienie, nie było po co czytać tego jeszcze raz. Ale lepsze to niż wiadomości.

W lokalnych pewnie poszła już fama, że znaleziono spopielone zwłoki w Incydencie.

Sojóz szybko opędzłował swojego kotleta i świdrował mnie wzrokiem.

– Co się lampisz, jakbyś ojca poznał?

– Po prostu...

– Chcesz o coś pytać, to wal.

Józek odchrząknął i złożył sztucce, a ja uświadomiłem sobie, że w jego zachowaniu jest coś, co przywodzi mi na myśl Żabę. Oboje byli niby zupełnie normalni, ale jak im się bliżej przyjrzeć, coś jakby nie stykało.

– Byłeś tam? – spytał szeptem. – W Incydencie?

– Byłem.

– I...

– Przecież nie zjarałem klubu, człowieku.

– Ale podobno tam były jakieś ofiary.

Skinałem głową i odkroiłem kawałek mięsa w panierce. Zacząłem przeżuwać, jednocześnie cicho tłumacząc mu, co zaszło. Niczego nie pomijałem, nawet siatki z szuwaksem, bo ufałem temu gościowi w stu procentach. Gdybym miał komukolwiek powierzyć swoje życie, padłoby na niego.

Kiedy skończyłem, spojrzał niepewnie na moją babcię, ale ta już kimała. A ja zrozumiałem, że bierze te dobrze jej znane książki chyba po to, żeby łatwiej przyciąć komara.

– Oszalałeś? – spytał nerwowym szeptem Sojóz. – Przecież oni musieli się zorientować, że ktoś buchnął towar.

– Ale nie będą wiedzieć, kto to zrobił.

Józek poprawił okulary.

– A nie pomyślałeś o tym, że jakimś cudem mogą się domyślić, że to ten sam gość, który ni stąd, ni zowąd zacznie sprzedawać amfetaminę na Żniwach?

– Będę uważał.

– Jak?

– Popchnę fetę tylko zaufanym ziomkom.

– No super – burknął Sojóz. – Bo narkomani to rzeczywiście godni zaufania ludzie.

– Nie świruj – rzuciłem i przysunąłem mu talerz, żeby wszamał warzywa.

Zabrał się do nich niechętnie, ale wiedziałem, że się z nimi upora, bo miał permanentną gastrofazę. Wsuwał wszystko, a czasem, kiedy się zagadał, zaoglądał albo zagrał, robił to zupełnie nieświadomie. Tak jak teraz. Mielł w ustach szybko, bo myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Jesteś pewien, że nikt was nie widział? – rzucił.

– Nie wiem, nie mam oczu wokół dupy.

– Powinieneś się upewnić.

– Jak? – syknąłem. – Miałem tam postać i poczekać, aż ktoś przyjdzie, a potem zapytać, czy przypadkiem nas nie widział? Słyszysz w ogóle, co ty pierdolisz?

Sojóz przełknął ostatni kęs i odłożył sztucce. Od razu sprzątnąłem oba talerze i włożyłem je do zlewozmywaka. Przez chwilę stałem nad nim ze zwieszoną głową.

– Gdyby ktoś nas przydybał, nie słuchałbym teraz twoich pierdoletów.

– Oby...

Puściłem wodę z kranu i zacząłem zmywać talerze.

– Ustaliłeś, gdzie są pozostali ludzie z Incydentu? – spytał.

– Nie. Dzwoniłem po ziomkach, ale większość nie odbiera. Ci, którzy w ogóle chcą gadać, nic nie wiedzą. Podobno jeden ma jakieś info, ale też nie idzie się do niego dobić.

– Kto?

Obejrzałem się przez ramię.

– A co ty jesteś, znawca lokalnych ziomali, Sojóz?

– Po prostu pytam.

– Rejson.

– Kto to? – spytał od razu Józek. – I skąd wiesz, że to nie on wywołał cały ten chaos?

Lubiłem z nim gadać, bo nawijał w inny sposób niż pozostali moi znajomi. Nie wyłaził z domu, do kompa i neta nie zawsze miał dostęp, ale książek nikt mu nigdy czytać nie bronił. Znał Kafkę, kurwa, czytał nawet Nietzschego i Kunderę, i jak czasem zasunął jakąś złotą myślą z tych dwóch, to jaja się kurczyły. Od czasu do czasu nawet przychodziło mi do głowy, żeby podsunąć mu pomysł pisania tekstów dla Stalagbitów, ale ostatecznie uznawałem, że muszą pochodzić ode mnie.

– Rejson to spoko ziomek profanator.

Wyraźnie mu to nie wystarczyło.

– Skitrał się po tej akcji, więc to bankowo nie on za nią odpowiada – dodałem. – Gdyby ściągnął jakąś obcą ekipę do Incydentu i to wszystko zorganizował, woziłby się teraz z nimi jak skurwysyn, a nie bunkrował.

Znów się obróciłem i z kamiennym wyrazem twarzy patrzyłem na Sojóz. Nadal czekał na więcej.

– Tomek Rejncki – dorzuciłem. – Od niego dostałem klucze do Hangaru. Prędzej zdradziłby własną matkę niż ziomków z osiedla.

– No dobra... – spasował w końcu Sojóz. – Wiesz, gdzie go znaleźć?

– Jeden typ twierdzi, że będzie jutro na melanżu u brata Myszona.

– To nieźle się ukrywa.

Odłożyłem talerz i zakręciłem wodę.

– Długo będziesz mnie tak jeszcze wkurwiał? – rzuciłem.

– Chwilę.

– Musisz?

– Chciałem tylko się dowiedzieć...

– Odjeb się, Sojóz – uciałem tonem, który w relacji dwóch dobrych ziomków mógł uchodzić wyłącznie za przyjacielski. –

Wiem, że Rejson zjawi się na tej libacji, i wiem, że był dzisiaj w Incydencie. Więcej mi nie potrzeba.

Zerknąłem kontrolnie na babcię i kiedy ustaliłem, że dalej kima, skinąłem na Sojóz i wyszliśmy na balkon.

– Chcesz fajka? – spytałem.

– Nie.

Zapaliłem viceroya i zakaszlałem cicho. Znów luknąłem do środka, ale babcia była tak styrana, że jej zwyczajowa czujność esesmanki lekko się przytępiła.

Niedługo jednak koniec z harowaniem. Koniec ze zrywaniem się bladym świtem i jechaniem na oparach przez cały dzień. Za cały ten hajs, który zarobię na fecie, będzie mogła pozwolić sobie nie tylko na wakacje, ale też na zupełnie inny tryb życia.

Zaciągnąłem się głęboko. Nie było sensu przejmować się pożarem. Mogłem się spodziewać, że ci ludzie wrócą, żeby sfajczyć klub i pozacierać wszystkie ślady.

Ale kim byli? Może rzeczywiście jakaś nowa ekipa chciała wjechać na nasz teren?

Nasz, mhm. To, że bujałem się z Fizolem i Rejsonem, wcale nie znaczyło, że byłem jednym z nich. Latałem z gandzią po szkołach, tylko tyle. Nie dostawałem wiele hajsu, za to w pizdu obietnic. Dopiero za jakiś czas miałem pójść wyżej w szeregach i zarabiać konkretną kasę.

To przypało, ale przynajmniej miałem towar. Dopóki zachowywałem ostrożność, nie powinno być problemów. Może Sojóz miał rację, może samodzielne sprzedawanie to zły pomysł. Znacznie mądrzej byłoby opylić to komuś w hurcie i mieć problem z bańki.

Pałem w milczeniu, starając się nie słuchać, jak Sojóz zamula. Ożywiłem się dopiero wtedy, kiedy wrócił do tematu Żaby.

– I naprawdę zostawiłeś to u niej?

– To dobra dziupla.

Józek popatrzył na mnie, jakby popaliły mi się styki.

– Przecież ona nigdy nie ukrywała przed rodzicami nawet paczki papierosów – rzucił. – To już lepiej trzeba było mnie to dać.

– Taką masz pojemną dupę? – odparłem. – Bo chyba tylko tam mógłbyś to schować. Całą resztę twojego szajsu ojciec przetrzepuje na bieżąco.

Nie zaprzeczył, bo sam przecież mi o tym opowiadał. Miał zero prywatności, mimo że nigdy niczym nie podpadł. Sojóz należał do ludzi, którzy baliby się skitrać pornola pod łóżkiem.

I właściwie w tym względzie był podobny do Żaby. Może faktycznie trochę zjebałem, dając jej szuwaks, ale w tamtym momencie wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Wiedziałem, że będę miał dwa wjazdy na chatę – jeden zorganizują ziomki od Fizola, drugi pały. To musiało stać się prędzej czy później.

– Dobrze to schowaliście chociaż? – spytał Sojóz.

– Za bluzą Kelly Family.

– Hę?

– Głęboko w szafie, ziomuś. Nie dygaj.

Józek oparł się o poręcz balkonu i wyjrzał w dół. Skończyłem palić, stanąłem obok niego i tradycyjnie splunąłem przed siebie. Obaj patrzyliśmy, jak wiatr niesie ślinę w kierunku latarni ulicznej. Od czasu do czasu robiliśmy zawody, któremu z nas uda się w nią trafić. Rzecz nie była łatwa, ale wykonalna.

– Jak jest u niej w domu? – odezwał się Józek.

Zerknąłem na niego krzywo.

– Ty... – rzuciłem. – Pytasz, jakbyś kapturzył mnicha, myśląc o niej.

– Daj spokój.

Szturchnąłem go.

– Przyznaj się, miętosisz gąbkę przy tych zdjęciach z Naszej Klasy?

– Deso...

– Na bank. Już ja cię znam, ziomuś. Piłujesz kowadło na myśl o Żabie.

– Nie.

– Tak, tak, szlifujesz swoją mikrosztangę.

– Weź...

– Równy heblujesz lancę, aż wióry lecą.

– Przystaniesz? – burknął, obracając się do mnie. – Po prostu pytam.

Znałem go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że popycha mi farmazony. Może faktycznie nie marszczył fredda, myśląc o niej, ale z pewnością mu się spodobała. Słyszałem to w jego głosie, zresztą Sojóz nie pytałby, gdyby było inaczej.

– Obczaj to: słucha muzyki klasycznej – odezwałem się. – Ma całą kolekcję na kompaktach.

– Poważnie?

Skinałem głową.

– Jakich kompozytorów? – spytał rozemocjonowany Sojóz.

– Co?

– Jakich konkretnie kompozytorów? – powtórzył. – Bacha? Vivaldiego? Verdiego? A może Chopina albo Rachmaninowa? Czajkowskiego?

Lampilem się na niego, jakbym miał zamiar mu przyłożyć.

– Powiem ci, Sojóz, że na miejscu twojej matki też piłbym w trakcie ciąży – odparłem.

Otworzyłem drzwi balkonowe i wepchnąłem go do środka.

– Ale o co ci chodzi?

– O to, że wolałbym oglądać podróż Apacza dookoła sracza niż słuchać ciebie.

– Tylko pytam...

– Nie pytasz, ale nakręcasz się jak królik po koksie – skwitowałem.

Widywałem już ziomków z taką przypadłością. Wiedziałem, że będzie coraz gorzej, bo wszystko, co usłyszą o danej lasce, tylko spotęguje ich zauroczenie. Nawet gdybym powiedział mu, że Żaba ma w szafie tornister z Dragon Ballem, a na ścianie plakat *Nigdy w życiu*, Sojóz piałby z zachwytem.

– Jaka ona jest? – spytał, kiedy zamknęliśmy się u mnie w pokoju.

Pochyliłem się i włączyłem stojącego pod biurkiem peceta.

– Cicha.

– A coś więcej?

– Nieśmiała.

Józek pokiwał głową, jakby były to kolejne atrybuty jego wymarzonej dziewczyny.

– Może was poznam, co? – rzuciłem.

– O nie, to nie byłoby dobre.

– Dlaczego nie?

– Bobby mnie zobaczyła.

W gruncie rzeczy trudno było się z tym nie zgodzić.

– Co ty, byku – odparłem mimo to. – Jeden rzut oka i niunia jest twoja.

– Jasne.

Przeszło mi przez myśl, że mimo wszystko powinienem ich spiknąć. Pasowali do siebie, tyle było oczywiste. Większość czasu spędzaliby pewnie na milczeniu, a do robótek ręcznych doszłoby mniej więcej na etapie zaręczyn, ale może nie był to taki zły pomysł.

– Ale skoro już o tym mowa... – mruknął Sojóz. – Kto będzie na tej imprezie u brata Myszona?

Usiadłem przed kompem i obejrzałem się przez ramię. Od razu zatrybiłem, do czego pije. A raczej do kogo.

– Pytasz o Ewekę?

– Ehe – potwierdził Sojóz, doskonale wiedząc, że ona i brat Myszona od lat byli dobrymi przyjaciółmi.

– Nie wiem, czy będzie. I lata mi to.

– Doprawdy?

Dobrze, że chodził do placówki dla kujonów, bo za tak sformułowane pytanie w normalnej szkole dostałby w czapę.

– Nie gadałem z nią od miesiąca – bąknąłem.

– Czyli jak spaliście ze sobą trzy tygodnie temu, to nie...

– To było miesiąc temu. I nie, nie rozmawialiśmy wtedy za dużo.

Tym razem nie miałem zamiaru dopuścić do powtórki z rozrywki. Sprawa z Ewelą była zakończona, zamknięty rozdział. Byliśmy razem przez kilka miechów, co u mnie stanowiło chyba rekord, ale nie miałem zamiaru nigdy do tego wracać.

Przeszło mi przez głowę, że oprócz niej na imprezie u brata Myszona z pewnością będzie także ziomek, który mógłby mi pomóc opylć towar w hurcie. Jeśli zamierzałem iść tą drogą, będzie to całkiem niezła okazja.

Włączyłem GG i zmieniłem status na „dostępny”. Czekają na mnie kilkanaście wiadomości, normalka. Wszyscy znajomi pisali o incydencie w Incydencie, niektórzy z ziomków chcieli ustawiać się dziś w nocy na libację, inni pytali, czy jutro na melanzu zainstaluję się z jakimś jaramiem.

Jedna wiadomość przyszła od kogoś, kogo nie miałem na liście kontaktów. Identyfikator 1703903. Wbiłem wzrok w wysoki numer, który świadczył, że ktoś założył konto niedawno. Potem otworzyłem wiadomość.

„Wiem, że to ty zabrałeś towar” – brzmiała.

Nigdy nie bałam się wracać do domu. Niektórzy moi znajomi wręcz przeciwnie, byli przerażeni, kiedy po wywiadówce musieli skonfrontować się z rodzicami lub kiedy po wyjściu na piwo musieli przemknąć tak, by nie było czuć alkoholu.

Ja nigdy nie miałam takich kłopotów. Po raz pierwszy poczułam, jak to jest, po tym, jak Deso odprowadził mnie pod klatkę, a ja weszłam do mieszkania. Rodzice czekali na mnie w kuchni.

– Gdzie byłaś? – zapytała mama.

Ojciec milczał, a ja zawsze odnosiłam wrażenie, że to właśnie wtedy jest najbardziej dyscyplinujący.

– W szkole – odparłam automatycznie, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Powinnam od razu się zorientować, że pytanie nie padło bez powodu. I że chyba nie ma sensu kłamać.

Postawiłam plecak obok stołu i wbiłam wzrok w podłogę. Rodzice siedzieli przy herbacie, choć wyglądała na dawno wystygłą.

Tata pociągnął nosem i zmarszczył brwi.

– Czy ja czuję papierosy? – spytał.

Mama powstrzymała go ruchem ręki, jakby chciała zasugerować, że wszystko po kolei. Wskazała mi krzesło przed nimi, a ja potulnie zajęłam miejsce. Nadal nie podnosiłam wzroku, nie chciałam patrzeć im w oczy.

Moje ubranie musiało przesiąknąć w Hangarze albo w Incydencie, a ja nie byłam przyzwyczajona do tego, jak łatwo dym przylega do każdej rzeczy, z którą wejdzie w kontakt. Niektórzy palili za szkołą w rękawiczkach albo trzymając papierosa między dwoma patykami, bo rodzice sprawdzali, czy palce im nie śmierdzą.

Tata już otwierał usta, by kontynuować temat, ale matka go powstrzymała.

– Nie było cię w szkole – powiedziała. – Dzwoniła twoja pani od historii, powiedziała, że uciekłaś z lekcji. Z jakimś chłopakiem.

Oskarżenia zaczynały się piętrzyć, a ja nie wiedziałam, jak zareagować. Naprawdę powinnam była się tego spodziewać. Wbrew temu, w co postanowiła wierzyć większość uczniów, nauczyciele nie byli w ciemną bici. Zorientowali się, że dobra uczennica znikająca w tym samym momencie, co chłopak odpowiedzialny za wszystkie rozróby, oznacza problem.

– Możesz nam wyjaśnić, gdzie byłaś? – dodała mama.

– I co to za chłopak?

– Daj jej powiedzieć.

– Daję – odparł ojciec. – Ale widzisz, że ma z tym problem.

Przez moment miałam nadzieję, że zajmą się przepychanką między sobą, ale osiągnęli porozumienie dość szybko. Wbili we mnie wyczekujące spojrzenia, które widziałam tylko kątem oka.

– Wiktoria – podjęła mama. – Gdzie byłaś?

– Na randce – wydusiłam cicho.

Podniosłam wzrok i przekonałam się, że patrzą na mnie, jakby nie poznawali własnej córki. Uznałam jednak, że najlepiej przynajmniej częściowo powiedzieć prawdę i liczyć na to, że jakimś cudem zrozumieją.

– Z kim? – spytał tata.

– Z Desem. To znaczy Darkiem.

W klasie był tylko jeden Darek – i znał go każdy rodzic. Jego temat pojawiał się na prawie każdej wywiadówce, a babcia Desa zazwyczaj musiała gęsto tłumaczyć się z zachowania wnuczka. Rodzice czasem opowiadali mi o tym i owym, kilka razy pytali, co myślę o takim zachowaniu, i tak dalej.

– Masz na myśli Darka Sodkiewicza? – spytała mama.

– Tak.

Spojrzeni po sobie, niepewni, jak zareagować. Spodziewali się najwyraźniej, że w pośpiechu opuściłam szkołę, bo czułam się źle, miałam miesiączkę lub rozwolnienie, co niestety mi się zdarzało. A może przypuszczali, że ktoś się ze mnie naśmiewał i nie dałam rady tego znieść.

– Ale... – zaczęła matka.

Spojrzała na tatę, licząc na to, że on dokończy. Uznałam, że chyba najlepiej będzie, jeśli przejmę inicjatywę.

– Dlatego śmierdzą papierosami – powiedziałam. – Bo Deso pali. Ja nie.

Skinęli lekko głowami.

– Zaprowadził mnie w kilka miejsc, posiedzieliśmy tam trochę, porozmawialiśmy... – ciągnęłam, właściwie nie mijając się z prawdą. – I wróciłam.

– Ale... – powtórzyła mama. – Jak to się stało?

Pytanie zabrzmiało, jakby odnosiło się do jakiegoś niestworzonego wydarzenia w kosmosie, które stawia pod znakiem zapytania wszystkie zasady rządzące wszechświatem.

– Mama ma na myśli to, czy on cię wyciągnął z lekcji. To był jego pomysł?

– Nasz wspólny.

Ojciec pochylił się nad stołem i zmarszczył brwi.

– Możesz nam to wyjaśnić?

Doceniałam, że pytają zamiast zarzucać mnie oskarżeniami i mówić, że nigdy by się tego nie spodziewali po swojej córce. Mimo to nadal nie wiedziałam, jak odpowiedzieć. Nie rozmawiałam z nimi o chłopakach, którzy mi się podobają. Właściwie nawet w ramach Hordy trudno było mi o tym mówić.

– A co tu wyjaśniać? – szepnęłam. – Przecież wy też chodziliście na randki...

– Ale nie podczas lekcji – rzuciła mama.

Szczerze w to wątpiłam, szczególnie przeglądając ich zdjęcia z czasów szkolnych. W moim wieku pili już alkohol, palili papierosy i chodzili na prywatki. Ale im więcej czasu mijało, tym bardziej zapominali o ludziach, którymi kiedyś byli.

– I nie z chłopakami, którzy sprawiają same kłopoty – dodała matka.

– To tata był święty?

– Nie święty – odparł ojciec. – Ale z pewnością nie...

– To tylko kilka lekcji – wpadłam mu w słowo. – Wszystko nadrobię. Pożyczę zeszyty od Uli, nic nie stracę.

– Oprócz sympatii nauczycieli – rzuciła mama.

– Niepotrzebna mi.

– Nie? – odparł ostro ojciec.

– Nie. Jestem przyzwyczajona.

Szybko pożałowałam tego komentarza, bo wiedziałam, że kiedy emocje opadną, będą do niego wracali i winili się za dokładanie mi ciężarów. Zdawałam też sobie sprawę, że im dłużej potrwa ta rozmowa, tym więcej takich rzeczy się pojawi.

Wstałam, a potem ruszyłam powoli do swojego pokoju, oczekując protestów. Nie zaproponowali, więc zamknęłam za sobą drzwi i położyłam się do łóżka. Huczało mi w głowie od myśli. Wracałam do wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło.

Większość rzeczy wydawała się nierealna i odległa, jakbym starała się wrócić do snu sprzed kilku dni. Były też jednak ostre, jasne wspomnienia. Nie, bardziej uczucia. Ten moment, kiedy Deso wziął mnie za rękę. I kiedy słuchaliśmy piosenki pod klatką.

Podniosłam się, usiadłam przy biurku i włączyłam komputer. Uruchomiłam eMule'a, a potem wpisałam hasło: „polski hip-hop”. Uznałam, że muszę trochę się wyedukować.

Sprawdziłam, co ma najwięcej źródeł, ale nie dało mi to dobrego oglądu popularności – w większości były to archiwa, autorskie składanki jakichś użytkowników. Zmieniłam sposób

działania. Najpierw wyszukałam w necie listy przebojów, a potem wpisywałam do eMule'a pojedyncze piosenki z hitów Eski i ściągałam je po kolei.

Na pierwszy ogień poszedł Mezo feat. Liber – *Aniele*. Musiałam przyznać, że całkiem niezłe się tego słuchało, i zaczynałam rozumieć, co Deso widzi w tej muzyce. Potem sprawdziłam *Dla mnie masz stajla* Trzeciego Wymiaru, a kiedy dotarłam do numeru *Pęten pokus* Owala i Meza, żałowałam, że tak późno w ogóle sięgnęłam po te rzeczy. To było całkiem niezłe.

Sprawdziłam jeszcze trochę piosenek, parę odrzuciłam, bo były zbyt mizoginistyczne albo brakowało im melodii. Kiedy trafiłam na *Jak zapomnieć* Jeden Osiem L, nie byłam pewna, czy to dalej hip-hop, ale brakowało mi kryteriów, żeby cokolwiek ocenić. Zrobiłam playlistę i stwierdziłam, że sprawdzę to w praktyce, kiedy spotkam się z Desem.

W końcu znalazłam coś, o czym mi wspominał. Wykonawca nazywał się Pezet, a piosenka *Seniorita*. Z niewielkich głośników firmy SUNDIO właśnie płynęły jej dźwięki, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Rodzice raczej się na to nie decydowali, zazwyczaj po prostu wchodzili, więc obróciłam się z zaciekawieniem.

Zbladłam, kiedy zobaczyłam w progu podkomisarza Zaporowskiego.

Nie potrafiłam pozbierać myśli, w jednym momencie jawa pomieszała mi się z koszmarem. Spodziewałam się wszystkiego, tylko nie tego, że policja zjawi się u mnie w domu.

Boże, czy oni coś wiedzieli? Dotarli do tego, że tuż przed pożarem byłam w Incydencie?

Zanim zdążyłam w ogóle zastanowić się nad tym, czy to możliwe, Zaporowski uśmiechnął się lekko, a potem spojrzął na komputer i uniósł brwi.

– Zmiana gustów muzycznych? – spytał.

Z trudem przełknęłam ślinę, starając się nie patrzeć na szafę. Weź się w garść, powiedziałam sobie. Deso na ciebie liczy.

– A skąd pan wie, że dotychczas nie słuchałam takiej muzyki?

Zmrużył lekko oczy, a ja zauważyłam, że stoją za nim moi rodzice. Zaniepokojenie na ich twarzach sprawiało, że miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Jakoś nie wyglądasz mi na dziewczynę lubiącą hip-hop.

– Z pozorów nikt jeszcze nie ułożył prawdziwego obrazu człowieka.

Zaporowski uniósł brwi.

– Więc wcześniej słuchałaś rapu?

Krótko i na temat. Typowy dochodzeniowiec, uznałam w duchu i upomniałam się, żeby uważać.

– A może zaczęłaś ze względu na Desa?

Wzruszyłam ramionami, a podkomisarz obrócił się do moich rodziców, wyraźnie na coś czekając. Kiedy tata skinął głową, Zaporowski zamknął drzwi. Zrozumiałam, że musieli dać mu wcześniej przyzwolenie na rozmowę ze mną w cztery oczy.

Policjant przysiadł na moim łóżku i rozejrzał się po pokoju.

– Jak ostatnio się widzieliśmy, mówiłaś, że nie znasz Desa.

Nie wiedziałam, jak zareagować, więc tylko skinęłam głową.

– A dziś okazuje się, że uciekłaś z nim z lekcji.

– Skąd pan o tym wie? – spytałam cicho.

– Hm? – mruknął. – Możesz mówić głośniej?

Następny. Tak bardzo tego nienawidziłam. Ilekroć ktoś kazał mi mówić głośniej, miałam wrażenie, że słyszy doskonale, tylko chce podkreślić, jak niepewna siebie i nieśmiała jestem.

– Skąd pan o tym wie? – powtórzyłam nieco dobitniej.

– Ktoś w szkole miał na niego oko. A więc także na ciebie.

Należało się tego spodziewać. Przecież Zaporowski podejrzewał, że to Deso pomógł Izie uciec.

Ale czy to oznaczało, że wiedział o wizycie w Incydencie? Nie mogłam tego wykluczyć, bo wcale nietrudno byłoby nas śledzić. Nie spieszyliśmy się, w dodatku dość długo siedzieliśmy przy piaskownicy.

– Zachodzi tu więc pewna rozbieżność – dodał podkomisarz.  
– Możesz mi to trochę rozjaśnić?

Nabrałam tchu. Nie czułam się najgorzej w takiej konwencji – bycie odpytywaną nie wiązało się z tak dużym stresem jak rozmowa z rówieśnikami, bo dawno zdążyłam się do tego przyzwyczaić.

– Deso zaproponował, żebyśmy się przeszli w kilka miejsc, więc się zgodziłam – powiedziałam. – Wiedział, że jestem roztrzęsiona, bo moja przyjaciółka zniknęła, i chciał mi pomóc.

– Ot tak?

– Oprócz tego ciekawiło go, dlaczego Iza dzwoniła akurat do niego. Byłam najodpowiedniejszą osobą, którą mógł o to zapytać – rzuciłam pewnym głosem. – To chyba logiczne, prawda?

– Cóż...

– Nie wiem, czy naprawdę chciał mnie pocieszyć, czy po prostu wykorzystać jako źródło informacji. Jedno jest pewne: każda dziewczyna na moim miejscu by się zgodziła. To było tylko parę lekcji.

Widziałam, że trochę wytrąciłam go z równowagi pewnością siebie. Spodziewał się popychadła, które wyśpiewa mu wszystko, co chciał usłyszeć, nawet jeśli miałyby to być nieprawda.

Niedoczekanie.

– I od kiedy policja może tak śledzić nieletnich? – dorzuciłam. – Nie popełniłam żadnego przestępstwa,

a ucieczka z lekcji to nawet nie wykroczenie.

Zaporowski przypatrywał mi się, nie zabierając głosu. Na playliście włączył się kolejny utwór, tym razem *Suczki Ascetoholix*. Przypuszczałam, że z racji seksistowskiego wydźwięku pewnie podoba się Desowi.

– Wydaje mi się, że powinnam kogoś o tym powiadomić.

– O czym? – burknął policjant.

– Że śledzą państwo niewinne dzieciaki.

– Skąd pewność, że Deso jest niewinny?

– A skąd pewność, że nie jest? – odparowałam. – Jak ostatnio sprawdzałam, trzeba było komuś udowodnić winę, a nie na odwrót. Pan zamiast tego wybrał sobie chłopaka, który jako ostatni miał kontakt z Izą, i...

– Myślałaś o tym, żeby zostać prawniczką?

Jasne, ja na sali sądowej. Przy mowie otwierającej tylko bym się jąkała, a podczas przesłuchania świadków to oni przypieraliby mnie do muru, a nie odwrotnie.

– Nie – odparłam. – I mówię tylko, jak to wygląda. Nie ma pan prawa nas inwigilować. I nie powinnam z panem rozmawiać bez moich rodziców, nawet jeśli zmanipulował ich pan tak, żeby się na to zgodzili. Mam swoje prawa. I państwo mnie chroni.

Otworzył szerzej oczy.

– Oprócz tego nie życzę sobie, żeby nasze rozmowy odbywały się bez urzędzeń rejestrujących. Chcę mieć później na piśmie wszystko, co powiem. I chcę dostać to do podpisu.

Zaporowski jeszcze przez chwilę mi się przyglądał, a potem się podniósł. Podeszedł do szafy, a mnie zrobiło się gorąco. Mogłam nie być taka konfrontacyjna, może to błąd. Jeśli miał kogoś, kto nas śledził, mógł wiedzieć o narkotykach.

Co by mi groziło, gdyby znalazł je między starymi bluzami? Dożywocie?

– Słuchaj, Wiktoria... – zaczął, opierając się plecami o szafę.  
– Jesteś porządną dziewczyną, obracasz się w dobrym towarzystwie. Naprawdę nie potrzebujesz zadawać się z kimś takim jak Deso i ściągać na siebie problemów.

– To moja sprawa, z kim się zadaję.

– Nawet jeśli te osoby są kryminalistami?

– Deso nie jest przestępcą – odparłam od razu. – Pan go tak widzi, bo nie dostrzega prawdziwego człowieka, który prześwituje przez pozory.

Westchnął bezsilnie i schował ręce do kieszeni.

– Znowu wracamy do pozorów?

– Chyba musimy, bo pan po prostu nie rozumie, że czasem to właśnie ten prawdziwie bogaty człowiek chodzi w taniej bluzie i znoszonym T-shircie.

Podkomisarz prychnął cicho.

– I to dostrzegasz w Desie? Duchowe bogactwo? – spytał z powątpiewaniem. – Jesteś zbyt mądrą dziewczyną, żeby dać się zwieść. Musisz zdawać sobie sprawę, że to tylko zauroczenie.

– Nawet jeśli, to mam do niego prawo.

– Oczywiście – przyznał Zaporowski. – Każda nastolatka przynajmniej raz musi zadurzyć się w jakimś gnojku, który ją skrzywdzi. Inaczej nie nauczy się niczego, co przyda jej się w dorosłym życiu.

Doceniałam szczerść tego człowieka i fakt, że rozmawiał ze mną jak równy z równym, ale nie miałam ochoty ciągnąć tej rozmowy dłużej. Spojrzałam ponagląco w kierunku drzwi, a on odebrał sygnał.

– Kiedy emocje opadną, zaczniesz myśleć racjonalnie – dodał. – Zadzwoń do mnie wtedy. Może będę w stanie ci pomóc.

Podszedł do mnie i sięgnął za pazuchę marynarki.

– Proszę, tylko bez zostawiania mi swojej wizytówki – bąknęłam.

– Nie mamy wizytówek.

Wyjął długopis z kieszeni, a potem zapisał swój numer w jednym z zeszytów leżących na biurku. Ruszył w stronę drzwi, ale na tyle niespiesznie, że zdołał jeszcze objąć wzrokiem cały pokój.

Kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na szafie, znów poczułam, że serce bije mi szybciej.

– To niebezpieczne towarzystwo, Wiktoria – rzucił. – Uważaj na siebie.

Nie odpowiedziałam, a na pożegnanie jedynie skinęłam zdawkowo głową.

– Mój numer prędzej czy później ci się przyda, zapewniam – dodał na odchodnym, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Słyszałam, jak Merkator cicho szczerka, co świadczyło o tym, że ktoś otworzył drzwi. Mój jamnik zawsze reagował tylko na to, inaczej nie dawał głosu.

Odetchnęłam. W tej chwili to Zaporowski wydawał mi się największym zagrożeniem, choć może powinnam go posłuchać – prawdziwym niebezpieczeństwem mogło być dla mnie właśnie to środowisko, w którym obracał się Deso.

Po wyjściu podkomisarza musiałam odbyć krótką rozmowę z rodzicami. Zapewniłam, że nie jestem o nic podejrzewana i że była to rutynowa rozmowa. Deso w ich oczach stał się jeszcze większym kryminalistą, ale nie miałam zamiaru się tym przejmować.

Chciałam napisać mu esemesa albo znaleźć go i zagadać na GG, ale uznałam, że powinniśmy być ostrożni. Jeśli policja miała na nas oko, nie mogliśmy komunikować się w sposób, który zostawiałby ślady.

Byliśmy zresztą umówieni nazajutrz po lekcjach.

Rankiem tradycyjnie usiadłam do rodzinnego śniadania w kuchni. Rzadko kiedy jedliśmy w ciszy, zazwyczaj tata czytał gazetę i mówił, co ciekawego dzieje się w Polsce i na świecie. Tym razem jednak atmosfera była grobowa.

– Prawie nie tknęłaś gofrów – odezwała się w końcu mama.

– Nie mam na nie ochoty.

Było to wierutne kłamstwo, bo niewiele brakowało, żeby burczało mi w brzuchu.

Tata przez chwilę uważnie mi się przyglądał.

– Przecież lubisz gofry – powiedział.

– Może zmieniają mi się gusta.

– Jedz – rzuciła mama. – Potem będziesz chodzić głodna.

– Nie, dziękuję.

Tym razem to ona zmierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem.

– To przez tego chłopaka, prawda?

– Teraz wszystko będzie przez niego? – odparłam. – Po prostu nie chcę teraz jeść.

Wiedziałam, że zaraz dojdziemy do tematu odchudzania. Oni będą twierdzili, że nie mam z czego chudnąć, ja będę ich przekonywała, że jest inaczej.

Ostatecznie mama zapakowała mi gofry do szkoły, a ja obiecałam sobie, że je komuś oddam.

Lekcje dłużyły mi się jak mało kiedy. Cały czas sprawdzałam komórkę, licząc na to, że czas przyspieszy. Zdawało mi się, że jest wprost przeciwnie – i że jego większość spędzam na gapieniu się na Desa.

On rzucił mi jedno krótkie spojrzenie na polskim, a potem zerknął na mnie na geografii. Zapewniłam się w duchu, że jest taki oszczędny w kontakcie po to, by zachowywać pozory.

Na długiej przerwie stał na korytarzu kilka metrów ode mnie, ale sprawiał wrażenie, jakbym nie istniała. Chciałam do niego podejść, nagle jednak otoczyli go Pinky, Myszon i Kunglao. Wszyscy wyglądali na mocno podekscytowanych,

więc podeszłam bliżej, narażając się na zaciekawione spojrzenia Hordy.

– Ekipa z Szóstki wbiła na garaże – oznajmił Pinky.

– Szukają wpierdolu? – dodał Myszon.

– Akurat teraz? – rzucił nerwowo Deso. – Po tym, jak ktoś sfajczył Incydent?

Szybko zrozumiałam, że zaraz dojdzie do ustawki. Wojna między dwiema nienawidzącymi się szkołami wydawała mi się równie zacięta i niewiele mniej brutalna od starć między rywalizującymi ze sobą klubami piłkarskimi.

Nikt nie znał zarzewia konfliktu między naszym liceum, Trójką, a znajdującą się kilka kilometrów dalej Szóstką. Po osiedlu krążyły różne legendy, ale nie miałam złudzeń, że którakolwiek z nich ma odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Od czasu do czasu ekipy z jednej lub drugiej szkoły wypuszczały się na drugą. Dochodziło do przepychanek, bójek, a potem szukania prowodyrów. Winę zawsze zrzucano na drugą stronę i wydawało mi się, że nawet kadra nauczycielska robi to względem swoich odpowiedników.

– To nie może być przypadek – rzucił Kunglao. – Trzeba zbierać ekipę.

Deso skinął głową. Tyle wystarczyło, by decyzja zapadła.

– Zajebiemy ich – dodał Myszon.

Szybko skrzyknęli kilku chłopaków, a potem rozdzielili między siebie obowiązki. Ani się obejrzałam, nastąpiła powszechna mobilizacja. Wszyscy, którzy mogli się przydać, dowiedzieli się o ustawce – i natychmiast ruszyli na zewnątrz. Korytarze zaczęły wyludniać się w okamgnieniu.

Stałam pod klasą, obserwując to pospolite ruszenie. Deso znikł mi gdzieś z oczu i pomyślałam, że jako pierwszy popędził na garaże. Dopiero wtedy przeszło mi przez myśl, że za moment naprawdę będzie się bił.

Powinnam tam być.

Zanim którakolwiek z członkiń Hordy zdążyła mnie zatrzymać, ruszyłam w kierunku schodów. Zeszłam na półpiętro, gdzie zatrzymał mnie zziębnięty Kunglao. Popatrzył na mnie jak na wariatkę.

– Gdzie idziesz? – wysapał.

– Na garaże, muszę...

– Weź nie pierdol – uciął, a potem włożył mi do ręki zmiętą kartkę papieru.

Odwrócił się i puścił się biegiem po schodach w dół, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. Rozłożyłam kartkę i przeczytałam wiadomość. Przypuszczałam, że pochodzi od Desa, ale nie mogłam być tego pewna.

Ktokolwiek do mnie pisał, chciał, żebym natychmiast wyszła ze szkoły. Na dalsze instrukcje miałam czekać na ławce za Kopcem Plonów.

## 16

Nie miałem wątpliwości, że nawet Żaba wie, o jaką miejscówkę chodziło. Górkę taką jak nasz Kopiec Plonów miało każde duże osiedle, które budowano w PRL-u. Gdzieś trzeba było zwalić wszystkie te hałdy ziemi wyrównanej pod fundamenty, dzięki czemu powstawały górki śmierci, kopy biskupie i inne takie wynalazki.

U nas po wybudowaniu RZNiW z oczywistych powodów przyjęła się nazwa z plonami. Wszyscy znaliśmy ją, od kiedy tylko pamiętaliśmy, i równie dobrze byliśmy zaznajomieni z ławerą, która znajdowała się po drugiej stronie.

To na niej często koncentrowało się całe osiedlowe życie, była centralnym punktem na mapie naszego świata. Gdybym chciał zliczyć, ile wychyliliśmy tam browców, wypaliliśmy skrętów i przesiedzieliśmy godzin, nie starczyłoby mi życia.

Już z oddali widziałem siedzącą na ławce Wikę. Rozglądała się nerwowo, niepewna, kto chciał się z nią spotkać. Kiedy mnie wypatrzyła, od razu się podniosła. Najpierw na jej twarzy pojawiła się ulga, a zaraz potem niepokój.

– Deso! – krzyknęła, podchodząc do mnie.

– Spokojnie – odparłem, unosząc otwarte dłonie.

– Boże... Przecież ty krwawisz.

Podszedłem do niej, a ona, chyba nie do końca sobie to uświadamiając, automatycznie dotknęła mojej twarzy. Otarła krew znad prawego oka, a ja syknąłem cicho.

– Jezu...

– Nic mi nie jest.

– Masz rozcięty łuk brwiowy!

Wzruszyłem ramionami, mając nadzieję, że dzięki mojej obojętności ona też trochę wylajtuje.

– Co się stało? – zapytała, przesuwając dłonie niżej po mojej twarzy.

Dalej nie uświadamiała sobie, co robi – działała jak automat zaprogramowany, by przejmować się losem innych. Ujęła mnie delikatnie za szyję, a potem lekko obróciła moją głowę, jakby sprawdzała, czy z karkiem wszystko okej.

– Dostałem w mazak – oznajmiłem.

– Tyle widzę sama, Deso – odparła i chyba w końcu zajarzyła, jak bardzo skróciła dystans między nami.

Zamrugnęła nerwowo, od razu cofnęła ręce i dała krok w tył.

– Jakiś jebaniec zdążył mi przypierdolić, zanim się szcziłem.

– Ale...

– To nieistotne – uciałem. – Na garażach dalej się naparzają, jest spora zadyma.

W tym momencie powinna zapytać mnie, co w takim razie robię tutaj, zamiast być z moimi ziomkami. Wyglądało jednak na to, że po pierwszym szoku nie ogarniała jeszcze do końca sytuacji.

- To ja ściągnąłem do nas tych kiepów z Szóstki – rzuciłem.
- Ty? Dlaczego?
- W ramach dywersji.

Złapała się za głowę, jakbym co najmniej oznajmił, że wysadziłem w powietrze budynek szkoły, żeby nie doprowadzić do kartkówki.

- Spokojnie, to nic wielkiego – dodałem. – Takie ustawki czasem się zdarzają. Wystarczy puścić fałsz, że ktoś obraził czyjąś laskę albo powiedział, że ten czy inny jest ciotą.

Wyciągnąłem paczkę wiceroyów i zapaliłem jednego. Dziaśła dalej mi pulsowały po tym, jak dostałem niespodziewaną bombę. Zawinił Kunglao, bo powinien pilnować moich pleców, kiedy ja szarpałem się z jakimś frajerem. Nie zrobił tego, a inny ciul z Szóstki szybko skorzystał.

Dostałem fangę, poszła farba, trudno. Będzie jeszcze okazja do rewanzu. Teraz miałem na głowie znacznie ważniejsze rzeczy.

- Wywołałeś bijatykę? – spytała Żaba.
- To takie trudne do ogarnięcia?
- Tak.

Znów wzruszyłem ramionami.

- Nie miałem innej opcji – odparłem. – Ktoś nas śledzi.
- Śledzi? – zapytała Wika, rozglądając się w jej przekonaniu konspiracyjnie. – Kto? Dlaczego?
- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że ktoś widział mnie wczoraj, jak wychodziłem z Incydentu.
- Skąd ta myśl?

Powiedziałem jej, jaką wiadomość dostałem wieczorem na GG od 1703903, a Żaba nagle całkowicie zbladła. Intensywnie coś rozkminiała, ale nie spieszyła się, żeby mi o tym powiedzieć. W końcu usiadła na ławce, a ja zająłem swoje stałe miejsce na oparciu.

– W tym samym czasie był u mnie Zaporowski – odezwała się cicho.

– Co ty szyjesz?

– Hm?

Wypuściłem szybko dym, a potem wziąłem Żabę pod rękę i pociągnąłem ją do góry. Usiadła na oparciu, tak jak ja.

– Jak to u ciebie był? – rzuciłem. – Wbił ci na chatę?

– Nie tylko na chatę, ale i do pokoju. Ilekroć podchodził do szafy...

– No nie pierdol.

Spojrzała na mnie z pretensją, a ja szybko się ogarnąłem.

– Sorry – rzuciłem. – Czasem mi się wymyśli. Pracuję nad tym.

– Nie szkodzi – odparła cicho. – Zaporowski rozmawiał ze mną, opierając się plecami o szafę. Wiesz, jak mi serce waliło?

– Domyślam się.

Nie byłem może nigdy w dokładnie takiej samej sytuacji, ale często miałem do czynienia z pałarzami, kiedy w okolicy była kontrabanda. Ani razu mnie nie dojebali, bo praktyka czyniła mistrza. Żaba jednak nie miała jej ani trochę, więc musiałem oddać jej należny szacun.

– Pytał cię o Incydent?

– Nie – powiedziała, kręcąc głową. – Zasugerował mi tylko, że trzymając z tobą, będę miała problemy. I że prędzej czy później zwrócę się do niego o pomoc.

Zaciągnąłem się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Oczywiście było dla mnie, że sprowadziłem na Wikę kłopoty i pewnie takie sytuacje będą się powtarzać.

– Wie, że razem uciekliśmy z lekcji – dodała Żaba, jakby było to jej największe przewinienie w dotychczasowej karierze edukacyjnej. – Moi rodzice też wiedzą.

– Mniejsza z nimi, jakoś ich ugłaskasz. Co jeszcze mówił pies?

Mrużyła zielone oczy, starając się wyłowić z pamięci coś znaczącego.

– Wiedział, że byliśmy w Incydencie? – dopytałem. – To on wysłał mi tę wiadomość?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Nie wyglądał, jakby wiedział więcej niż...

– Chciał mnie przekabacić, Deso. Zależało mu na tym, żebym na ciebie doniosła.

Spoko, może nie było tak źle, jak początkowo założyłem. Może Zaporowski wciąż siedział mi na dupie tylko dlatego, że wierzył w wersję o ucieczce Izy. I mój udział w całej sprawie.

– Pytał cię o Izę?

– Nie. W ogóle nie poruszył tego tematu.

To już nie brzmiało tak dobrze.

– Chciał rozmawiać tylko o tobie.

– Fanta-kurwa-stycznie...

Wyrzuciłem papierosa i zapaliłem kolejnego. Zamiast logicznych wniosków w głowie obracałem same przekleństwa, jakby mogły pomóc.

– Uwziął się na ciebie – dodała Żaba.

– Ewidentnie. Ale nic na mnie nie ma.

– To też dałam mu do zrozumienia.

Obróciłem się do niej, jednocześnie wypuszczając dym. Po fakcie uświadomiłem sobie, że większość poszła prosto w jej twarz. Żaba machnęła ręką, a ja poczułem się jak największy przychlast.

– Ale, Deso...

– No?

– On na pewno połączył jedno z drugim.

– Znaczy?

– Domyśla się, że zaginięcie Izy pod Incydem i pożar klubu dzień później są ze sobą powiązane.

– Tyle że może nie są.

– Naprawdę tak myślisz?

Nie musiałem odpowiadać, doskonale wiedziała, że moim zdaniem Zaporowski dobrze kmini. Te dwa zdarzenia mogły być przypadkowe, ale tylko w teorii. W praktyce najpewniej jakoś się ze sobą wiązały.

– Wszystko w końcu wyjdzie na jaw – dodała Żaba. – Tak jak Mount Everest.

Zalukałem na nią niepewnie.

– A co on ma do tego?

– To, że kiedyś w całości znajdował się pod wodą. Dzisiejszy wierzchołek kiedyś był wapniowcem leżącym na samym dnie Oceanu Indyjskiego.

Milczałem, bo nie bardzo było jak to skwitować.

– Lubię geografię – dorzuciła na usprawiedliwienie Wika.

– Zauważyłem.

Położyłem ręce na oparciu ławki i lekko się wyprostowałem. Rwało mnie w karku i przypuszczałem, że szybko nie przejdzie.

– Ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy – rzuciłem.

– To jaki jest plan?

– Zabunkrujemy się na kilka godzin gdzieś, gdzie ciul od Zaporowskiego nas nie wypatrzy. W tej chwili jest taka zadyma na garażach, że bankowo nie zauważył, że się zmyłem.

Żaba pokiwała głową, a kąciki jej ust lekko się uniosły. Sprawiała wrażenie, jakby cieszyła ją perspektywa ukrywania się przez parę godzin, ale nie chciała tego okazywać.

– I co potem? – zapytała.

– Pójdziemy na bibę do brata Myszona. Zwitkacimy się tam porządnie, a potem znajdziemy Rejsona i wyciągniemy z niego wszystko, co wie na temat Izy. I podpalenia.

– Podoba mi się to zwitkacenie się.

Rzuciłem jej spojrzenie pełne wątpliwości.

– Słowo czy czynność?

– Słowo. Jeśli chodzi o meritum, to...

– Nigdy nie piłaś ani nie jarałaś.

Skinęła głową lekko zażenowana, jakby miał to być powód do wstydu.

– Spoko – powiedziałem. – Skręcę ci takiego gibona, że po pierwszym buchu będziesz się czuła jak pro.

– Ale ja nie...

– Daj spokój – uciąłem. – W końcu musisz się sponiewierać. Kiedy, jak nie w liceum?

Nie wyglądała na zachwyconą, ale ja za punkt honoru postawiłem sobie, żeby opędzłowała choć dwa browce i wypaliła minimum pół skręta. Tymczasem jednak trzeba było się skitrać. Ktokolwiek mnie śledził, zaraz się zorientuje, że w całym tym zamieszaniu na garażach nigdzie mnie nie ma.

Zaczęliśmy popylać do niewielkiego parku opodal. Do południa kręciły się tam matki z bachorami, po południu nikt, a wieczorem schodziła się głównie żulernia. Do parku im. Suchorka, zwanego po prostu Suchorkiem, raczej nie chodziło się ani na melanże, ani tym bardziej na randki. Miejsce było więc idealne, by pójść tam z Żabą.

W monopolowym kupiłem sobie browczyka, Wika wyposażyła się w paluszki. Zasiedliśmy na jednej z ławer niedaleko stawu, który przypominał zafajdane oczko wodne, a ja otworzyłem piwo.

– Wiesz, na czym wczoraj przyłapał mnie Zaporowski? – odezwała się Żaba.

– Na klikaniu myszki?

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Sorry – powiedziałem. – Pierwsze skojarzenie.

– Na słuchaniu hip-hopu – odparła, przemilczając masturbacyjny żart.

Obróciłem się do niej, realnie zaciekawiony.

– Co ty gadasz?

– Poważnie – zapewniła. – Postanowiłam się trochę zaznajomić z twoimi gustami.

– Dlaczego?

Szybko pożałowałem pytania, widząc, jak jej policzki pokrywają się rumieńcem. Przez chwilę wodziła wzrokiem po mulastej wodzie, przegryzając paluszką.

– A tak... z ciekawości – powiedziała w końcu. – I muszę przyznać, że nawet rozumiem, dlaczego ci się to podoba.

Pokiwałem głową z uznaniem.

– Szacun – rzuciłem. – Wchodzisz na dobre tory.

– Niektóre numery są trochę seksistowskie, ale widocznie tak musi być.

Machnąłem ręką, obawiając się, że trafiła na *Ile kosztujesz?* albo *Pocałuj mnie w dupę* KaRRamBy. Dla takiej dziewczyny podobny początek przygody z rapem byłby jednocześnie jej końcem, nie uniosłaby tego ciężaru.

Właściwie jakikolwiek kontakt musiał być dla niej jak porażenie prądem. Wyobrażałem sobie, że przechodzi z Bacha na Buhha, z Verdiego na Włodiego czy z Wagnera na Jędkera i przez kilka godzin nie umie ogarnąć tego nowego świata.

Zapaliłem szluga i się uśmiechnąłem.

– Zaporowski musiał mieć *total error* – rzuciłem.

– Pewnie tak.

– Czego konkretnie słuchałaś?

Podaliśmy jej browara, ale pokręciła głową.

– Czekał – powiedziała, otwierając plecak. – Zanotowałam sobie kilka kawałków, które najbardziej mi się spodobały.

Dobra, chwila prawdy, pomyślałem. Jeśli ta dziewczyna rzeczywiście zadała sobie tyle trudu i samodzielnie wyłowiła jakiś dobry rap, będzie trzeba diametralnie zmienić do niej podejście.

W końcu wygrzebała jakiś zeszyt i przesunęła wzrokiem po kilku linijkach.

– Mezo i Liber, *Aniele* – powiedziała.

Zamarłem z fajkiem w połowie drogi do ust.

– Owal i Mezo, *Pęten pokus* – czytała dalej. – I szczególnie mi się spodobało *Dla mnie masz stajla* Trzeciego Wymiaru.

Milczałem, czekając, aż zada kolejne ciosy. Spodziewałem się, że teraz rzuci Jeden Osiem L, a potem ostatnim uderzeniem będzie coś, o czym nawet nie chciałem myśleć. Żaba jednak zamknęła zeszyt, włożyła go z powrotem do plecaka i zjadła paluszka.

– Ach, sprawdziłam też tego twojego Pezeta – dodała.

Wiedziałem doskonale, o którym numerze powie.

– *Seniorita* jest fajna, ale trochę...

Chrząknąłem niepewnie, a ona dopiero teraz rozkminiła, że coś jest nie halo. W pierwszej chwili luknęła na mnie, jakby bała się, że mam zawał i trzeba dzwonić po erkę. Dopiero potem ogarnęła, że to tylko moja reakcja na jej pierwszy kontakt z hip-hopem.

– Coś nie tak? – zapytała niepewnie.

Nawet nie wiedziałem, od czego zacząć. Może od tego, że Pezet nagrał *Senioritę* tylko raz – i to w zupełności wystarczyło mu na całe życie? Nie, nie, powinienem podejść do tego zupełnie od innej strony.

– Słuchaj...

– No?

– Tego się nie zapuszcza – rzuciłem oschle.

– Dlaczego?

– Bo Mezo, Liber, DKA, Doniu i inni to hip-hopolo.

Przez chwilę starałem się jej wytłumaczyć, że to kawałki sprzeczne z ulicznymi korzeniami rapu, melodyjne, nadające się do radia, a nie na osiedle, i tak dalej. Lampiła się na mnie jak na obcą formę życia mówiącą do niej w nieznanym dialekcie.

– Ale wszystkich ich znasz – zauważyła.

– Znam, bo muszę wiedzieć, co dissować.

– Aha. Jasne.

Poruszyłem się nerwowo, bo niewypowiedziany zarzut był jak rzucona rękawica.

– Więc ich nie słuchasz? – spytała. – Nigdy?

– Prędzej zeżarłbym kawałek swojego lewego poślada.

– To skąd wiesz, jak brzmią?

– Od ziomków.

– To ci ziomkowie słuchają?

– Nie, ale...

– Czyli to opinia nawet nie z drugiej, ale z trzeciej ręki? – spytała, a potem znów sięgnęła do plecaka.

Kiedy wyjęła z niego niewielki, stary player mp3 o pojemności stu dwudziestu ośmiu mega, wiedziałem już, że mam spory problem. Zabrałem się do tłumaczenia jej, że powinna zacząć po bożemu, tak jak ja.

– Najpierw Kaliber i Molesta. To podstawa.

– Aha.

– Potem proponowałbym WWO, O.S.T.R., Pezeta, Eldo, Paktofonikę, Hemp Gru...

– Na pewno sprawdzę.

– Obczaj sobie jeszcze później Peję, Gurala, poszperaj, ogarnij, co lubisz. Może Tede ci podejdzie, nie wiem, ale...

– Najpierw posłuchaj tego – powiedziała, podając mi słuchawkę.

Właściwie powinienem zarządzić ekspresową jednoosobową ewakuację. Tyle że po tym wszystkim, w co władowałem Żabę, byłem jej winny dużo więcej niż wspólne słuchanie hip-hopolo. Włączyła *Pęten pokus*, a ja uświadomiłem sobie, że kojarzę ten bit dlatego, że faktycznie dość dobrze znam ten kawałek. Podobnie było z innymi, które włączyła. Szybko zrzuciłem to na karb tego, że cały czas leciały w radiu i nie sposób się od nich opędzić.

– To jest całkiem dobre – rzuciła.

Nie odpowiedziałem.

Przesiedzieliśmy jeszcze dwie godziny na Suchorku, a potem szlajaliśmy się po okolicy. Brechtaliśmy się z siebie i ze świata, nawijaliśmy w sumie o wszystkim. Nigdy nie myślałem, że mogę tak dobrze spędzić czas po jednym browarze. Ani że będzie mi upływał tak szybko z Żabą – w dodatku przy wybranych przez nią numerach.

Było naprawdę zajebiście.

Aż do imprezy u brata Myszona. Wtedy wszystko się spierdoliło.





## REFREN

### 17

Wiem, o co zapyta mnie moja prawniczka. Przed rozprawą ćwiczyliśmy ten cyrk kilka razy i wprawdzie najważniejszy był dla niej Sojóz, ale o Żabie też chciała chwilę pogadać. Twierdziła, że dzięki temu sędziowie i ławnicy zobaczą mnie w innym, lepszym świetle.

Na wstępie miałem być dla nich po prostu chłopakiem z osiedla, który był gotów zrobić wszystko, żeby zdobyć trochę hajsu i wyrwać się z szarej rzeczywistości. Potem stopniowo mieli zacząć widzieć we mnie takiego samego człowieka, na jakiego patrzą codziennie w lustrze.

Chuja tam. Ci ludzie nie byli w stanie tego zrobić. Zupełnie nie ogarniali, że pierwsze mrozy każdego roku to automatyczne wynoszenie rzeczy z lodówki na balkon, żeby zaoszczędzić na prądzie. Niektórzy z nich nawet nie kminili, dlaczego nie odrywa się metek z ciuchów. Jak mieliby wejść w moją skórę?

– Darek – zaczyna obrończyni. – Możesz nam opowiedzieć o tej nocy, kiedy razem z Wiktoriaą pojawiliście się na imprezie u jednego z twoich kolegów?

– U brata Myszona, tak?

– A byłeś z Wiktoriaą na jakiejś innej?

– Nie – przyznaję, robię pauzę, a potem nabieram głęboko tchu.

Staram się sprawiać wrażenie, jakby wyjątkowo trudno było mi o tym gadać. Unikam wzroku prawniczki i udaję, że nie widzę nikogo ze składu orzekającego.

– To była tylko ta jedna – dodaję.

– Możesz opowiedzieć nam, co się tam stało?

Wbijam wzrok w blat.

– Darek?

– Muszę? – pytam cicho.

Prawniczka patrzy na przewodniczącego, jakby nie spodziewała się, że w tej kwestii pojawią się jakiegokolwiek trudności. Jakby nie znała swojego klienta, jakby wcześniej go nie przepytala.

Zastanawiam się, czy sędzia ogarnia, że to wszystko jedna wielka ściema. Pewnie tak, przecież ma z tym do czynienia na co dzień.

– Nie, nie musisz – odpowiada moja prawniczka. – Ale może w takim razie zapytam cię o konkretne rzeczy, które chcielibyśmy usłyszeć?

Kiwam lekko głową.

– Miałeś coś wspólnego z przemocą na tle seksualnym, której ofiarą padła Wiktoria na tej imprezie?

– Nie – odpowiadam od razu.

– Wiedziałeś o tym, że...

– Nie wiedziałem, kto co planuje – ucinam od razu, denerwując się. – I zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby temu zapobiec. Poza tym...

Zawieszam głos, w końcu obcinam prawniczkę, a potem członków składu orzekającego. Kiedy wreszcie patrzą na mnie z należną uwagą, zaczynam nawijkę.





## CZWARTA ZWROTKA

18

Impreza odbywała się po drugiej stronie osiedla RZNiW, w dwunastopiętrowym bloku przy Zubrzyckiego. Byłam przekonana, że mieszka tutaj rodzina Myszona, ale okazało się, że mieszkanie wynajmuje tylko jego brat – w dodatku o jedenaście lat starszy od nas.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, od razu zrozumiałam, że nie powinno nas tu być. I że wpuszczono nas tylko dlatego, że jesteśmy znajomymi Myszona – czy raczej Deso, Kunglao i Pinky nimi byli. Ja nie wiem, co tam robiłam.

W mieszkaniu unosiły się już kłęby dymu, co najwyraźniej podobało się Desowi.

– Hashkomora gotowa na nasze wbicie – podsumował, zamykając za nami drzwi.

– Baku-baku skład melduje się na miejscu – dodał Pinky.

– W pełni sił na porządne się zmachanie – rzucił Kunglao.

Myszon był już porządnie wstawiony, podobnie jak reszta towarzystwa. Mieszkanie było dość duże, oczywiście na standardy blokowiska, właściwie wyglądało, jakby powstało z dwóch lokali.

Głośna muzyka połączona z praktycznie zerową widocznością sprawiła, że poczułam się, jakbym trafiła do ostatniego miejsca, w którym chciałabym się znaleźć. Kunglao torował nam drogę przez tańczących i migdalących się ludzi, a ogłuszające hip-hopowe dźwięki sprawiały, że nie sposób było się do kogokolwiek odezwać.

Starsi nie zwracali na nas najmniejszej uwagi. Odsuwali się mechanicznie, nie obrzucając nas nawet przelotnym

spojrzeniem. Najwyraźniej znajomi brata Myszona byli przyzwyczajeni do obecności Desa i reszty.

W końcu udało nam się przebić do mniejszego pokoju. Moi towarzysze po drodze zdążyli zaopatrzyć się w piwa, zapewne tylko na rozgrzewkę. Pinky jakimś cudem zdołał w biegu wychylić setkę wódki.

W drugim pomieszczeniu było niewiele spokojniej, ale przynajmniej dało się porozmawiać.

Do czasu. Kiedy z głośników zadudniła jakaś znana wszystkim melodia, nagle podniósł się okrzyk entuzjazmu, a potem pisk kilku dziewczyn. Wszyscy się przekrzykiwali, a ja rozumiałam tylko to, co Deso krzyczał razem z innymi:

– „A ona najebana tańczyła na stole, a my napierdoleni, ożeż kurwa, ja pierdołę!”

Po chwili wytłumaczył mi, że to *Drin za drinem* Tedego, który nagrywał w towarzystwie grupy V.E.T.O. Skinęłam głową, przyjmując to do wiadomości.

Usiedliśmy na kanapie, a Deso podał mi piwo. Podziękowałam.

– Długo tu będziemy? – zapytałam.

Darek pociągnął łyk z puszki, a potem wyjął skręta i podpalił. Na odpowiedź musiałam chwilę poczekać, ale było warto, bo Deso nachylił się do mnie tak blisko, że poczułam ciarki na plecach.

– Do jutra rana! – rzucił.

– Deso...

– Pompuję – odparł, a potem przyjacielsko szturchnął mnie w ramię.

– No to?

– Znajdziemy tego skurwysyna Rejsona i wypierdalamy.

Zarówno on, jak i jego kumple zdawali się nieco zmienić po przekroczeniu progu. Zupełnie jakby imprezowe dźwięki

aktywowały w nich jakiś specjalny tryb, przeznaczony na takie okoliczności.

– Nie dygaj – dodał Darek. – Nic ci się tu nie stanie.

Rozejrzałam się po pokoju. Nie mogłam nie zwrócić uwagi na parę w rogu, która obmacywała się tak, jakby chciała pochłonąć się poprzez sam dotyk. Kiedy chłopak podwinął dziewczynie spódniczkę i włożył rękę w jej majtki, odwróciłam wzrok.

Deso rozsiadł się wygodniej.

– Na pewno tu jest? – zapytałam.

– Kto?

Uniosłam bezradnie wzrok.

– Rejson.

– Bankowo. Musi teraz być poza radarem, ale jednocześnie mieć dojsście do ziomków. Taki melanz to idealne miejsce, bo dużo się dzieje, a potem nikt nic nie pamięta.

Nie byłam przekonana co do słuszności tego toku myślenia, ale nie mogłam teraz zrezygnować. Ten człowiek rzekomo wiedział, co się wydarzyło w Incydencie. A skoro tak, to z pewnością miał też pojęcie, co spotkało Izę.

Wyobraziłam ją sobie w okolicznościach podobnych do tych. Człaby się równie nie na miejscu, ale miałyby dużo trudniej ode mnie. Była ładna, przyciągała spojrzenia chłopaków. W takiej sytuacji prędzej czy później ktoś by ją wypatrzył i się nią zainteresował.

Jezu, o czym ona w ogóle myślała, uciekając z domu?

– Napij się, wylajtuj trochę – zaproponował Deso. – Albo jeszcze lepiej, ściągnij macha.

Podał mi skręta, ale pokręciłam głową.

– Jeden buch jeszcze nikogo nie zabił.

– Nie chcę.

Wzruszył ramionami i sam zaciągnął się tak głęboko, jakby potrzebował dymu bardziej niż powietrza. Z głośników

popłynęły inne dźwięki, całkiem przystępne, musiałam przyznać. Deso chyba zobaczył, że mi odpowiadają.

– DJ 600V i K.A.S.T.A. Squad – oznajmił. – *Wychyliłybyśmy.*

– Co? Gdzie? – odezwał się jeden z przechodzących chłopaków, jakby usłyszał hasło, które wymaga natychmiastowej reakcji. Rozejrzał się, a potem utkwił spojrzenie w Darku.

– O, siemanko – rzucił.

Wymienili się na tyle skomplikowanym uściskiem dłoni, że nie potrafiłabym go powtórzyć.

– Siema – odparł Deso. – Widziałeś gdzieś Rejsona?

– Gdzieś tak... ale gdzie? Chyba, kurwa... nie wiem... – wymamrotał. – Kręcił się tu przed chwilą jego młodszy podchujaszczy. Może on wie.

Rozmówca zatoczył się w bok, a potem ruszył przed siebie mniej więcej po prostej linii. Darek rozłożył ręce, a potem rozsiadł się jeszcze wygodniej.

– Próbowałem.

– Deso...

– Spoko, spoko, przecież cały czas tylko kręcę bekę – odparł, po czym zgasił skręta i się podniósł. – Chodź, namierzemy go.

Nie było łatwo przebić się przez ciżbę ludzi, a odnalezienie w niej jednej konkretnej osoby zdawało się całkowicie niemożliwe. Sprawdzaliśmy jeden pokój za drugim, a ja przynajmniej kilka razy poczułam, jak ktoś się o mnie ociera.

Słyszałam też przynajmniej dwie piosenki, które wczoraj sama znalazłam na eMule'u. Szturchnęłam Desa, kiedy rozpoznałam głos Owala.

– Przecież to moje hip-hopolo – zauważyłam.

– Na imprezie można. Tu okoliczności są wyjątkowe.

– Poważnie?

– Lepiej, żeby się gibali do tego niż do techniwki, Żaba.

Powiedział coś jeszcze, ale zrobiło się tak głośno, że nic więcej nie usłyszałam. Może to i dobrze, bo byłam o krok od zarzucenia mu hipokryzji, a to nigdy nikomu się nie podobało.

Rejsona znaleźliśmy w końcu w jednym z mniejszych pokojów. Leżał na kanapie z jakąś dziewczyną i bynajmniej nie wyglądało na to, by pożar Incydentu zajmował jego myśli.

– Co tam, bijaaacz? – rzucił Deso.

Rejson natychmiast odkleił się od szyi swojej lubej i zerwał na równe nogi. Dopiero kiedy zobaczył Darka, rozluźnił się. Wymienili się uściskiem, który był bardziej wymyślny niż jakakolwiek choreografia, którą widziałam.

Deso przedstawił mnie jako swoją „ziomalkę”, po czym we troje wyszliśmy na balkon. Kiedy zamknęły się drzwi i muzyka stanowiąca już tylko ciche tło rozmowy, odetchnęłam. Rejson zaś odwrotnie – dopiero teraz na jego twarzy pojawiło się napięcie.

Razem z Desem zapalili skręta, a potem wszyscy oparliśmy się o barierkę i wyjrzelśmy na osiedle.

– Wszystko spoko, ziom? – odezwał się Darek.

Rejnicki zaciągnął się głęboko i skinął głową.

– Żyję – odparł. – To więcej, niż mogą powiedzieć Fizol i inni.

Deso się do niego obrócił.

– Co tam się stało?

– Chuj wi – rzucił Tomek. – Wpadła jakaś ekipa i zajebali wszystkich, którzy byli na miejscu.

– Jaka ekipa?

– Nie wiem. I nie ma nikogo, kto chciałby to ustalać.

Ściągnęłam ramiona i potarłam ręce. Nie byłam pewna, czy to z powodu niskiej temperatury, czy tego, co mówił Rejson.

– Musisz się chociaż domyślać – zaoponował Deso. – Jakaś fama przecież poszła na mieście, nie?

– Poszła.

– Więc?

– Ale takich rzeczy się nie powtarza, jak się nie jest pewnym, czaisz? – rzucił nieco ostrzej Rejson. – Nie możesz obrzucać głównym innej ekipy, jak nie jesteś na stówę przekonany, że to ona.

– To tylko między nami – odparł Darek.

Tomek spojrzał na mnie niepewnie, a w tym samym momencie Deso ściągnął bluzę i pomógł mi się w nią ubrać. Nie miałam pojęcia, czy to po to, by pokazać Rejsonowi, że jesteśmy w bliskich relacjach, czy po prostu ze względu na to, że zrobiło się chłodno. Tak czy inaczej, miałam przedziwne poczucie, jakbym nagle znalazła się w domu pod kocem. Bluza była za duża i przesiąknięta zapachem papierosów, ale czułam jeszcze ciepło ciała Desa.

– Nic nie wyjdzie poza naszą trójkę – dodał Darek.

Rejson potarł nerwowo czoło, zaciągnął się i odwrócił do nas.

– Chodzą słuchy, że to typy od Charona.

– Pierdolisz...

– Nie – odparł cicho Tomek. – Ale japa na kłódkę, Deso. Jak to pójdzie dalej, a potem ktoś rozkmini, że wyszło ode mnie, będą problemy.

– Już poszło dalej – włączyłam się. – Przecież skądś o tym usłyszałeś, prawda?

Rejnicki przez chwilę milczał.

– Fama doszła do mnie i tu powinna się zatrzymać – odezwał się w końcu. – Przynajmniej dopóki nie będzie pewności, jasne?

– Jasne – odparłam.

Obserwowałam reakcję Desa, starając się ustalić, co to wszystko konkretnie oznacza. Jeśli odczytywałam ją dobrze, Charon najwyraźniej albo był kimś, po kim Darek nie spodziewał się ataku, albo wprost przeciwnie – kimś, kogo należało się obawiać zawsze i nie bez powodu.

– Ktoś widział tę zadymę w Incydencie? – spytał Deso. – Komuś się udało stamtąd spierdolić?

– Nie. Wszyscy, co tam byli, nie żyją – odparł ciężko Rejson. – Ale typów od Charona podobno widziano w okolicy, więc... czaisz, to jedyna poszlaka. Ale tylko poszlaka.

– A towar? Cały zaiwanili?

– Cały – odparł Tomek. – Zrobiliśmy tam wjazd już po fakcie, wszystko było przetrzepane, łącznie ze skrytką Fizola. Ktoś musiał się rozpruć, bo te chuje same by jej nie znalazły.

Włożyłam dłonie do kieszeni bluzy, bo nagle zrobiło mi się jeszcze zimniej. Uświadomiłam sobie, że Deso w tej chwili jest na celowniku nie tylko tych, którzy zaatakowali Incydent, ale także tych, którzy prowadzili w nim interesy. Gdyby nasz rozmówca dowiedział się, że to my zabraliśmy towar ze skrytki, zapewne już musielibyśmy walczyć, by nie wypaść z balkonu.

– Kto sfajczył klub? – spytał Deso.

– My.

– Wy? – wypaliłam.

Rejson pokiwał głową, nie kryjąc bólu.

– Trzeba było to zrobić. Gdyby pały się zorientowały, że doszło tam do zabójstwa, siedliby na tej sprawie i drażyli do skutku.

– To chyba dobrze – zauważyłam cicho.

– Nie – odparł Rejncki. – To by nas przyblokowało na czas trwania śledztwa. I takie sprawy załatwia się samemu, kminisz?

– Kminię – odparłam.

– Poza tym było tam w pizdu obciążających nas dowodów. Papiery, jakieś resztki dragów, inne rzeczy.

Oczywiście. Powinnam była spodziewać się tego, że to właśnie tym ludziom najbardziej zależało, by policja nie miała czego szukać w Incydencie.

– Jeśli to faktycznie Charon, wszyscy mamy przejebane – powiedział Deso.

– Wiem.

– To co robimy?

– Na razie nic – odparł stanowczo Rejncki. – Siedź cicho, nie wychylaj się. Jak będą konkrety, odezwę się.

Nie brzmiało to najlepiej, ale postanowiłam nie wnikać. Kiedy obaj zamilkli, trąciłam lekko Darka i spojrzałam na niego znacząco. Zdawał się od razu wyłapać niewypowiedzianą sugestię, że nie przyszliśmy tutaj, żeby omawiać porachunki dwóch ekip.

– Słuchaj, ziomuś... – zaczął Deso. – Jest jeszcze jedna rzecz. Szukamy pewnej dziewczyny.

– Hę? Jakiej dziewczyny?

– Izy Mikulskiej – odezwałam się.

Rejson nagle spiął się bardziej niż podczas rozmowy o napadzie na Incydent. Czekaliśmy, aż powie coś więcej, ale zamilkł. Wyciągnął paczkę marlboro i poczęstował Darka.

– Kojarzysz ją? – spytał Deso.

– A powinienem?

– Chyba była w klubie, kiedy był ten wjazd.

Rejncki wzruszył ramionami, a ja utwierdziłam się w przekonaniu, że coś jest bardzo nie w porządku.

– Czemu jej szukacie? – rzucił niby nonszalancko.

– Bo miała się z nami skontaktować – powiedziałam. – A od tamtej pory cisza.

– Aha.

Podpalił sobie i nie dodał nic więcej.

– Fizol pomagał jej spalić wrotki – odezwał się Deso. – Wiesz coś o tym?

– Nie.

– A widziałeś ją w klubie?

– Zależy, jak wygląda – odparł pod nosem Rejson. – Macie jakąś fotę?

– Nie za bardzo – rzucił Darek. – Ale ciemne włosy, ładna buźka, brązowe oczy, dobry kształt, niezłe bimbały. Trochę się kamufluje ubraniem jak z lumpeksu, włosy zazwyczaj opadają jej na oczy, niezbyt ułożone.

Rejnicki milczał.

– Nieźle pachnie – kontynuował Deso. – I ma przyjemny, lekko chrypliwy głos. Taki, czaisz, seksowny.

– Mhm.

Pomijając część o kształtach i bimbałach, Darek mówił o niej z wyraźnym uczuciem. Po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że nie szuka jej tylko dlatego, że to on jako ostatni dostał od niej esemesa.

Ale czy to możliwe? Nikt z Hordy nigdy nie był obiektem westchnień takich chłopaków, choć musiałam przyznać, że Iza trochę odbiegała od reszty. Czasem rzeczywiście ktoś spojrzał na nią w sposób, o którym my mogłyśmy tylko śnić.

– Zajebałeś się w niej? – rzucił Rejson.

Dobre pytanie, uznałam w duchu.

– Po prostu musimy ją znaleźć.

– Ja wam nie pomogę. Nawet nie wiem, o kim mowa.

Deso zaklął cicho, a potem odwrócił się w kierunku drzwi.

– Chodźmy – rzucił.

Jego ton był tak stanowczy, że nawet nie dopalili papierosów. Darek poprowadził nas do jednego z pokojów, a potem usiadł przy komputerze. Poprosił, żebym zalogowała się na Naszą Klasę i pokazała Rejsonowi parę zdjęć Izy. Wydawał się niechętny, ale w końcu się jej przyjrzał.

– A... no kojarzę tę foczkę – powiedział. – Była u Fizola jakiś czas temu, ale nie wiem, co było grane. Faktycznie dobra dupa.

– Gadałeś z nią? – spytał Darek.

– Chwilę. Głównie nawijała z Fizolem i wyglądała, jakby się czegoś bała.

Trudno było mi przesądzić, czy ten człowiek mówi prawdę, czy ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej powiedzieć nam cokolwiek, byśmy dali mu spokój.

– Miała jakąś jazdę z rodzicami – dodał. – I chyba spała w kanciapie w Incydencie. Więcej może wiedzieć Didi, widziałem, jak gadały ze sobą, i wyglądało na to, że dobrze się poznały.

Zanotowałam ksywkę w pamięci i nie drażyłam, widząc, że Deso doskonale wie, o kim mowa. Nie było to wiele, ale zawsze coś. Być może właśnie otrzymaliśmy trop, dzięki któremu czegoś się dowiemy.

– Iza była w klubie, kiedy doszło do napadu? – zapytałam.

– A skąd ja mam wiedzieć? Ciała żadnej laski tam nie widziałem.

– Mogli ją zabrać ci od Charona?

Widząc wściekłe spojrzenie Rejnckiego, szybko pożałowałam tego pytania. Obaj z Desem powiedli wzrokiem dookoła, upewniając się, że nikt mnie nie usłyszał.

– Mówiłem, ryj w kubeł...

– Spokojnie – rzucił Deso. – Nikt nie słyszy.

Rejncki wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– I lepiej, żeby tak zostało – oznajmił. – A teraz zbijam. Dam znać, jak coś będzie wiadomo.

Wyszedł, zostawiając nas samych. Przeszło mi przez myśl, że może powinnam jednak rozważyć to piwo, w końcu takie okoliczności mogły się nie powtórzyć. Zanim miałam okazję się nad tym zastanowić, do pokoju wpadł Pinky. Obrzucił nas badawczym spojrzeniem, a potem skinął głową na Desa.

– Ewela tu jest – oznajmił.

Darek wyraźnie się spał, a ja zaczęłam przeszukiwać złogi pamięci, licząc na to, że trafię na jakąś Ewelę. Do klasy

z nami żadna nie chodziła, nie kojarzyłam też nikogo o takim imieniu z równoległych, ale przecież nie znałam wszystkich.

Uświadomiłam sobie, że to zupełnie niewłaściwy trop. Na tej imprezie tylko my byliśmy w wieku licealnym. Cała reszta była co najmniej o dziesięć lat starsza. No tak, może nie powinno mnie to dziwić.

Deso podniósł się powoli.

– Gdzie?

– W salonie – odparł Pinky.

Darek zwiesił głowę, nabrał głęboko tchu, a potem odwrócił się do mnie.

– Żabcia, poczekasz chwilę? – rzucił lekkim tonem.

Kompletnie mnie zamurowało. Gdyby zapytał mnie, jak mam na imię, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

– To zajmie mi tylko moment – dodał.

Skinęłam lekko głową, a on uśmiechnął się, a potem razem z Pinkym wyszedł.

Gdybym zachowała nieco trzeźwości umysłu, może pomyślałabym, że niemądrze było zostawać samej na imprezie pełnej nagrzanym i nawalonym, starszym ode mnie chłopaków.

## 19

Z głośników ustawionego na szafce laptopa płynęły dźwięki *Damy radę* WWO, a ja uznałam, że to idealny podkład, by podbić do Eweli. Stała z boku, paląc szluga i wyglądając za okno. Typowe. Zazwyczaj odpływała gdzieś myślami i zastanawiałem się, dlaczego w ogóle przyszła na imprezę do brata Myszona.

Znali się ze szkoły, ale od kiedy uświadomiła sobie, że mamy wspólnych znajomych, raczej ich unikała.

Spędziłem z nią jedno z najlepszych chwil mojego życia. Było dziko, namiętnie i przede wszystkim czuć było ryzyko na każdym kroku. Różnica jedenastu lat nam nie przeszkadzała, choć gdyby o związku dowiedziały się nieodpowiednie osoby, oboje mielibyśmy przejebane.

Podszedłem do niej i stanąłem obok. Od razu mnie zobaczyła.

– Siema – rzuciłem.

– Hej, Deso – odparła i nerwowo obejrzała się przez ramię.

– Spokojnie, nikt nie zwróci na nas uwagi.

– Mimo wszystko...

– A nawet jeśli, to po prostu gadamy.

Zaciągnęła się niecierpliwie, jakby długo czekała na kolejną dawkę nikotyny.

– A twoi kumple? – spytała.

– Przecież nic o nas nie wiedzą. Z wyjątkiem Pinky’ego.

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, a w dodatku ufała mi na tyle, by nie obawiać się, że przed kimkolwiek się rozpruję. Miałem zamiar pójść z naszą tajemnicą do grobu.

– Trochę mnie to martwi – rzuciła pod nosem, wypuszczając dym. – Grzesiek Pinkowski raczej nie uchodzi za...

– Daj spokój – uciąłem. – Pinky to spoko ziomek profanator. Nie robi żadnej krzywej akcji.

Uśmiechnęła się, ale widziałem, że musiała się do tego zmusić. Nie wspominałem o tym, że oprócz Pinky’ego wiedział o nas jeszcze Sojóz. Nie było potrzeby. Obaj byli dla mnie jak bracia i prędzej daliby się zabić, niż powiedzieli komukolwiek o tym, co było między mną i Ewelą.

– U ciebie wszystko spoko? – zapytałem.

– W miarę.

W szkole widywaliśmy się dość często, ale nigdy nie miałem okazji o nic zapytać. Ograniczaliśmy swoje kontakty do

absolutnego minimum – nawiązywaliśmy je tylko wtedy, kiedy było to konieczne, by podtrzymać pozory neutralnej relacji.

– Przyszedłeś sam? – spytała.

– Nie. Z Żabą.

Obróciła się do mnie i zamarła.

– Z Wiktoria Zabską?

– Ehe – potwierdziłem.

W tle właśnie usłyszałem wers WWO znany każdemu, kto słuchał hip-hopu: „chuj na to kładę, bo i tak damy radę”. Przy tym kawałku mogłem wszystko, przez co obawy i rezerwa Eweli wydały mi się jeszcze bardziej od czapy.

Z któregoś pokoju doszedł krzyk jakiejś dziewczyny. Głośny, ale krótki. Najwyraźniej na chwilę się zapomniała, kiedy doszła na szczyt.

– Ktoś tam ostro się bawi – rzuciłem.

– Deso... – powiedziała poważnym tonem Ewela. – Ona nie może nas zobaczyć, rozumiesz?

– Wylajtuj.

– Mówię poważnie. To nie jest dziewczyna, która zachowa to dla siebie.

– Przecież o niczym nie wie. Stoimy, gadamy, nic się nie dzieje.

Ewelina pokręciła głową, a potem mocno zdusiła papierosa w popielniczce na parapecie. Zanim zdążyłem powiedzieć jej, że nie ma po co spinać pośladków, pożegnała się i odeszła.

– Ewela, nie wymiękaj! – krzyknął ktoś, kiedy szła do wyjścia.

Zostałem sam, patrząc na wybudowany na planie litery E blok tuż obok. Na osiedlu znajdowały się wyłącznie takie, zupełnie jakby miejski architekt wpadł tylko na jeden pomysł i wyczerpał całą wenę. Przez to blokowisko było lustrzanym odbiciem samego siebie, wciąż powielanym szarym obrazem.

Osiedle RZNiW. Mekka tych, których nie stać było na to, by naprawdę żyć. Azyl dla tych, których ścigały realia. Przeszło mi przez myśl, że świat tu o mnie zapomni.

Nie, kurwa, nie będzie tak. Miałem mnóstwo towaru, z którego wyciągnę jeszcze więcej hajsu. Napisałem dobre teksty i sklepiłem przyzwoite bity, z których wyjdzie porządny nielegal. Wyrwę się z tego jebanego siedliska nijakości.

Po chwili podbił do mnie jeden z ziomków, zapaliliśmy jointa. Na moment zupełnie zapomniałem o tym, że nie przyszedłem tu sam. Nie zatrybiłem, że powinienem sprawdzić, co z Żabą. Ani że ten krótki krzyk mógł pochodzić od niej.

Poczułem, że komórka wibruje mi w kieszeni. Dzwonił Sojóz, ale nie było sensu odbierać. Z pewnością nie miał mi nic ciekawego do powiedzenia, a i tak zrobiło się za głośno na rozmowę. Poza tym musiałem sprawdzić, co z Żabą.

Zgasilem skręta i ruszyłem w stronę pokoju, w którym siedziała Wika. Drzwi były zamknięte, choć nie przypominałem sobie, żebym je tak zostawiał. Taki widok na imprezie oznaczał tylko jedno – że w środku odpierdalało się tarło.

Nie zdążyłem sprawdzić, co się dzieje, bo drzwi nagle się otworzyły i na korytarz wyszła Żaba. Rozejrzała się gorączkowo i kiedy mnie zauważyła, utkwiła we mnie nieruchomy wzrok.

Szybko do mnie podeszła i wskazała wyjście.

– Chodźmy stąd – rzuciła.

– Wszystko okej?

– Tak. Ale chcę już stąd iść.

– Spoko – odparłem, zerkając w kierunku pokoju.

W środku nikogo nie zauważyłem. Może przesadzałem. Wika zamknęła się, bo nie chciała, żeby ktokolwiek się jej narzucał. Zrozumiałe, w końcu została sama.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytałem.

Poprawiła nerwowo włosy.

– A dlaczego miałoby nie być? – odparowała ostro.

– Luz, tak tylko pytam.

– Po prostu nie mamy już tu czego szukać. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, co nam potrzebne.

Ruszyła w stronę klatki schodowej, a ja poszedłem za nią. Chętnie zostałemby jeszcze trochę i porządnie się ubzdryngolił, ale nie mogłem zostawić Żaby drugi raz samej. Przyszedłem tu z nią, to wypadało ją odprowadzić.

Zresztą prawie nikt na osiedlu jej nie znał. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie jest stąd. A to nigdy dobrze się nie kończyło.

Ledwo wyszliśmy na klatkę schodową, Żaba zatrzymała się jak rażona piorunem i wbiła wzrok w osobę opierającą się o ścianę. Kiedy stanąłem obok niej, od razu zrozumiałem, co spowodowało ten nagły zawias.

Przy drzwiach stała Ewela. Paliła papierosa i wyglądała, jakby biła się z myślami. Kiedy zobaczyła Wiktorię, niemal upuściła szluga.

– Pani profesor? – wydusiła Żaba.

Widok naszej nauczycielki geografii, która właśnie opuściła imprezę, musiał być dla niej jak lampa między oczy.

Mało kto mówił na Ewelę w ten sposób, bo była tylko jedenaście lat starsza od nas. Większość za plecami tytułowała ją zresztą Gegrofruzią lub w podobny sposób. I to nie bez powodu.

Ale Wika oczywiście musiała okazać szacunek.

– Dobry wieczór – odparła nieco zmieszana Ewela.

Dla mnie sytuacja nie była szczególnie kłopotliwa – wystarczyło zachowywać się normalnie i Żaba w niczym by się nie połapała. Ewelina jednak od razu się spięła. W dodatku nie okazała żadnego zdziwienia, że widzi tu swoją uczennicę.

– Co pani tutaj robi? – rzuciła Żaba.

Ewela zmusiła się do uśmiechu i chyba dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie zareagowała w żaden sposób na moją obecność.

– Pytanie chyba powinno brzmieć: co wy tutaj robicie? – odparowała. – To impreza dla dorosłych.

O proszę, jednak zachowała na tyle zimnej krwi, by mi przysrać.

– My tylko...

– Jesteśmy przelotem – wtrąciłem. – Gospodarz to starszy brat Myszona.

– Tak, wiem – odparła Ewelina. – Ale to was bynajmniej nie usprawiedliwia.

Zbliżyła się najpierw do mnie, a potem do Żaby. Dobrze, zaczynała ogarniać temat.

– Piliście alkohol? – rzuciła.

– Nigdy w życiu, pani profesor – odparłem.

Skrzywiła się, bo ilekroć pompowałem sobie z naszej różnicy wieku albo faktu, że jestem jej uczniem, zdrowo się wkurwiała. Widziałem wiele razy, jak ze sobą walczy, ale ostatecznie uczucie było silniejsze niż racjonalność. Zresztą wcale jej nie pomagałem – miesiącami robiłem wszystko, żeby się we mnie zabujała. Początkowo była to niezła rozrywka, ale po jakimś czasie okazało się, że z mojej strony też jest coś więcej.

– Mam skontaktować się z twoimi rodzicami? – spytała Ewela, patrząc na Żabę. Potem przeniosła wzrok na mnie. – I z twoją babcią?

– Nie trzeba.

– Chyba jednak powinnam chociaż ich powiadomić, jak spędzacie wieczory.

– Naprawdę nie trzeba – odparłem i szturchnąłem Wikę. – Prawda?

– Prawda – potwierdziła szybko. – My tylko chcieliśmy...

– Co?

– Musieliśmy coś podrzucić Myszonowi – włączyłem się. – Nie nasza wina, że akurat jest tu biba.

Ewelina skupiała się głównie na Wice. Całkiem słusznie, bo im bardziej ją przestraszy, tym większa szansa, że nigdy nikomu nie powie o tym, że widziała tutaj swoją nauczycielkę.

Właściwie nie było w tym niczego dziwnego. Ewela przyszła na imprezę do swojego ziomka. Tylko tyle. To, że uczyła geografii jego młodszego brata, nie miało wielkiego znaczenia.

Ale lepiej było mieć coś na Żabę, temu nie mogłem zaprzeczyć.

– Mam w to uwierzyć? – spytała Ewelina.

– Proszę pani, my naprawdę...

– Mniejsza z tym – ucięła, a potem wskazała ręką windę. – Zmykajcie stąd. I żebyście więcej nie widziała na imprezach dla dorosłych, bo będę dzwonić do rodziców. Jasne?

– Jasne – odparła Wika.

Ewela spojrzała na mnie.

– A dla ciebie to klarowne, Darek?

– Bardzo.

Chwilę później zjechaliśmy na parter i wyszliśmy z bloku. Żaba głęboko odetchnęła, a ja odniosłem wrażenie, jakby z barków spadł jej większy ciężar niż ten związany z przypadkowo spotkaną nauczycielką.

Chciałem się upewnić, czy wszystko okej, ale uznałem, że pytanie w kółko o to samo nie ma sensu.

Odpaliłem fajka i ruszyliśmy w kierunku jej domu. Spodziewałem się, że będzie starała się rozkminić, co Ewela robiła na korytarzu, ale Żaba szła w milczeniu, nieobecna myślami.

Przeszło mi przez głowę, że Kunglao albo Myszon mogli wpaść do tego pokoju na bombie i przez ten cały czas, kiedy

mnie nie było, robić sobie z Wiki polewkę. Nie chciałem jednak męczyć jej buły.

Odprowadziłem ją pod klatkę, a ona bez słowa otworzyła drzwi.

– Jutro sprawdzimy tę Didi? – spytała.

– No.

– Wiesz, gdzie jej szukać?

– Aż za dobrze.

Spojrzała na mnie nieprzeniknionym wzrokiem.

– To lancypudra – wyjaśniłem.

– Co?

– Zawodowy lachociąg, Żaba.

Wyjąłem paczkę viceroyów i dopiero teraz zajarzyłem, że mam ostatniego. Kurwa, o tej porze już nigdzie nie kupię. Zresztą nie miałem kwitu, ostatnie kilka zeta wydałem na browca.

– Chcesz powiedzieć, że Iza zakumplowała się z prostytutką?

– Na to by wychodziło.

– To bez sensu.

– Dlaczego? – odparłem, trochę poirytowany deficytem fajek.

– Dla mnie to całkiem logiczne.

Popatrzyła na mnie, jakbym obraził jej matkę, a ojca co najmniej wykastrował.

– Co masz na myśli? – spytała.

– To, że w Incydencie za dnia przebywały same profesjonalne lambadziary. Przychodziły na rozwózkę do innych miejsc albo zdawały hajs, różnie. W każdym razie Iza raczej nie mogła tam trafić na kogokolwiek innego.

Przez chwilę myślałem, że pociągnie temat i będzie chciała ze mnie wydusić, skąd wiem, gdzie szukać Didi. Miałem jednak farta, bo Wika od razu odpuściła.

– Jutro po lekcjach? – spytała.

– No.

Pokiwała głową, a potem pożegnała mnie cichym „cześć” i nieznacznym uśmiechem. Zostałem sam przed klatką i przez chwilę zastanawiałem się, czy dzięki Didi do czegoś dojdziemy. Może tak, bo jeśli Iza faktycznie spędziła trochę czasu w Incydencie, to mogła powiedzieć jej, o co w tym wszystkim chodzi.

Nabrałem głęboko tchu i znów zajrzałem do paczki.

Jeden fajek. I długa noc.

Wszystko było nie tak, ale nie miałem zamiaru się tym przejmować. Jeśli to rzeczywiście Charon zrobił wjazd do klubu, musiałem działać szybko.

Wróciłem na imprezę do brata Myszona, a potem namierzyłem ziomka, który miał pomóc mi opchnąć cały ten towar z Incydentu.

Zrobiłem w życiu sporo kiepskich ruchów. Ten był zdecydowanie najgorszy z nich wszystkich.

Załatwiłem jednak, co trzeba. Następnego dnia miałem dopiąć szczegóły.

Kiedy wróciłem do domu, zobaczyłem na stole w kuchni koperty, a w nich ostatnie rachunki. Babcia musiała do późnych godzin nocnych rozkminiać, jak to wszystko popłacić. Przejrzałem wydruki tak, żeby nie widziała, że cokolwiek ruszałem.

Ja pierdolę, trzy stowy za samo światło. I znowu jakiś rachunek z warsztatu, bo coś się stało z przednią lewą półośką w gruchocie babci. Ile razy słyszałem w telewizji, że tacy jak my w ogóle nie powinni mieć fury? Że to czarna dziura, która tylko wciąga hajs i nie daje nic w zamian?

No, może tak, ale jakoś trzeba było przywozić rzeczy do warzywniaka codziennie rano. Nie mówiąc już o tym, że jakikolwiek dalszy dojazd komunikacją wiejską to też wydatek.

Zostawiłem papiery tak, jak je znalazłem, obiecując sobie, że to już niedługo. Jeszcze trochę, a nie trzeba będzie

przejmować się takimi pierdołami.

Wszedłem do pokoju i włączyłem kompa. Na GG czekała na mnie wiadomość od 1703903.

„Jeśli sprzedasz ten towar, ty i Zabska nie żyjecie”.





## REFREN

### 20

Wyrecytowałem co do słowa wszystko, co miałem powiedzieć o tamtej imprezie u brata Myszona. Z jednej strony nie pominąłem niczego, co mogło mi pomóc, z drugiej przemilczałem wszystko, co mogłoby zaszkodzić.

Patrzę na moją prawniczkę, czekając, czy spyta mnie o coś jeszcze. Robi to bez wahania.

– Kiedy dowiedziałeś się, co spotkało tam Wiktorię?

– Dużo później.

– I jaka była twoja reakcja?

– Byłem wściekły – przyznaję. – I wiedziałem, że to przeze mnie. Bo to ja ją tam zabrałem, zostawiłem samą i jej nie przypilnowałem. Powinienem być jej pilnować, nie spuszczać jej z oka... Przecież... ona właściwie...

Nikt mi nie przerywa. Sędzia ani moja obrończyni nie zabierają głosu nawet wtedy, kiedy robię długą pauzę.

Przez chwilę wbijam wzrok przed siebie, na przestrzał.

– Jej w ogóle nie powinno tam być – dodaję w końcu. – Niepotrzebnie ją tam zabierałem. I wiem, że to moja wina.

Prawniczka kiwa głową, jakby to rzeczywiście nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

– Powiedziałeś wtedy o tym komuś?

– Tak.

– Komu?

– Wie pani.

– Twojemu przyjacielowi, tak? Józefowi Sokulskiemu?

– Sojózowi – poprawiam ją. – Nazywajmy rzeczy po imieniu, a ludzi po ksywach. Tak będzie najlepiej.

Obrończyni unosi ręce w przepaszającym geście.

– Jasne – mówi. – I jak zareagował Sojóz?

– Był wkur... był okropnie wściekły. Doszło między nami do szarpaniny, zarzucał mi, że to przeze mnie i że spierd... że spieprzyłem Wiktorii całe życie.

Prawniczka utrzymuje nieruchomy wzrok na moich oczach.

– A zrobiłeś to, Deso? – pyta.

– Tak – przyznaję. – Po tym ona już nigdy nie była taka sama. I nigdy nie będzie.





## PIĄTA ZWROTKA

### 21

Trochę zasnęłam, ale biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, nie było to nic dziwnego. W dodatku siedziałam do późna, bo po powrocie do domu zobaczyłam wiadomość od nieznajomego na GG.

Wyglądał na przypadkowego internautę. Wpisał „Wika” w wyszukiwarkę i po prostu zagaił. Nie zdziwiło mnie to, bo sama też czasem robiłam podobne rzeczy, kiedy chciałam zwyczajnie z kimś pogadać – wpisywałam męskie imiona, które lubiłam. Zresztą pozostałe dziewczyny z Hordy też znały ten sposób.

Osoba po drugiej stronie mogła oczywiście być tą, która pisała do Desa – więc tym bardziej zaangażowałam się w rozmowę. Ta była jednak całkowicie powszednia. Nic nie wskazywało na to, by ten człowiek chciał ze mnie cokolwiek wyciągnąć.

Rano nie miałam wiele czasu, żeby się wyszykować do wyjścia, w dodatku Deso przysłał mi esemesa chwilę po tym, jak otworzyłam oczy. Miał dać znać dopiero po lekcjach, ale najwyraźniej z jakiegoś powodu czas naglił.

„Zadzwonisz?” – pisał. „Skończyła mi się karta”.

Upewniłam się, że rodzice mnie nie usłyszą, i od razu wybrałam numer.

– Siema, Żabcia – rzucił niemal mechanicznie. – Mam kupca.

Potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie po tym powitaniu.

– Co?

– Mam nagranego typa na to, co kitrasz w szafie.

– Jezu, Deso...

– Tak?

– Musisz mówić, jakby ktoś nas podsłuchiwał?

Mruknął coś niezrozumiałego – pewnie przekleństwo, tyle że w ostatniej chwili zasłonił mikrofon albo odwrócił głowę.

– Potrzebuję tych toreb, Żaba – oznajmił. – I to na teraz.

– Na teraz?

– Na już.

– Ale... – zaczęłam, czując, że robi mi się gorąco. – Nie mogę ich ot tak wynieść.

– Dlaczego nie?

Spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, czy o tej porze Darek może być już upalony ziołem.

– Nie zmieszczę ich w plecaku – szepnęłam. – I nie wyniosę ich przecież na oczach rodziców.

– To przemknij tak, żeby cię nie widzieli.

Milczałam.

– Przecież nie jesteś Everestem wypiętrzającym się z Oceanu Indyjskiego – dodał. – Możesz cichaczem dać nogę.

– Nie mogę – odparłam stanowczo. – Zawsze się żegnamy, więc tym bardziej zainteresują się, co się dzieje, jeśli nagle spróbuję wyjść bez słowa.

Deso przez chwilę się namyślał. A może po prostu nie dowierzał, że to rzeczywiście jest takim problemem.

– Dobra – odezwał się. – To wyjdź po nich. O której zbijają do roboty?

– Tata za chwilę, ale mama dzisiaj nie pracuje.

– Niewiary-kurwa-godne...

– Przepraszam, Deso – powiedziałam, sama nie do końca wiedząc dlaczego.

– Nie twoja wina.

– Możemy spróbować jutro.

– Nie.

Było to tak stanowcze, że aż się wzdrygnęłam.

– Uskuteczniemy inną opcję – dodał Darek. – Wbiję do ciebie zaraz i przepakujemy to. Do dwóch plecaków zmieści się bez problemu.

– Ale...

– Za chwilę będę. Narciarz.

Zanim zdążyłam powiedzieć, że to dokumentnie beznadziejny pomysł, Deso się rozłączył. Panicznie rozejrzałam się po pokoju. Strach przed konfrontacją Darka z moimi rodzicami mieszał się z obawą o to, co tutaj zobaczy. Nie potrafiłam nawet stwierdzić, które z tych uczuć jest mocniejsze.

W co ja się wpakowałam?

Spojrzałam w lustro i natychmiast doszło trzecie utrapienie. Zjadłam ostatnio stanowczo za dużo czekolady i teraz moja twarz wyglądała jak biedronka. Miałam jeszcze trochę czasu do wyjścia, planowałam zamaskować choć te największe syfy.

Cholera jasna, teraz już nie było szans, że zdążę.

Musiałam działać. Szybko wybiegłam z pokoju, oznajmiłam mamie, że zaraz przyjdzie po mnie Darek, żeby odprowadzić mnie do szkoły – i że kluczowe jest, by chwilę przytrzymała go w kuchni, bo ja muszę się przygotować.

Wysmarowałam się korektorem tak beznadziejnie, że miałam wrażenie, jakbym tylko pogorszyła sytuację. Wszystkie pryszcze były widoczne, szczególnie te wystające. O tych, które wczoraj wycisnęłam, nie chciałam nawet myśleć. Po co to robiłam? Mogłam po prostu poczekać, dać sobie spokój, nie panikować. Teraz skóra w tych miejscach była sucha, sytuacja nie do uratowania. Tragedia, kompletna tragedia. Koniec cholernego świata.

Kiedy usłyszałam głosy w kuchni, upomniałam się w duchu, że cera to w tej chwili moje najmniejsze zmartwienie. Mieliśmy

wynieść kilogramy narkotyków z mojego domu. Na oczach rodziców.

Oprócz tego z pewnością wzięli już na celownik Desa. Musiałam przyjść mu w sukurs.

Wpadłam do kuchni, jakby się paliło. Darek siedział przy stole i obejmował dłońmi kubek herbaty. Po drugiej stronie, niczym dwójka terminatorów, siedzieli moi rodzice.

Wbiłam wzrok w nieszczęsnego Desa.

– Chodź – rzuciłam nagle.

Tata popatrzył na mnie, jakby nie poznawał własnej córki.

– Wikuś? – spytała mama.

Nie mogło być gorzej. Na szczęście Deso od razu skorzystał z okazji, że uwaga moich rodziców skupia się na kimś innym, i się podniósł.

– Już się poznaliście, tak? – spytałam. – To dobrze, bo chcę Darkowi coś pokazać.

– Zaraz, zaraz, mamy do porozmawiania z tym...

– Wystarczy, mamuś – ucięłam. – Przecież widzę, że chcieliście go przesłuchiwać jak rodzicielskie Stasi.

Darek zawahał się przed zrobieniem kroku w moim kierunku, więc szybko do niego podeszłam, złapałam go za rękę jak zagubione dziecko, a potem zaciągnęłam do pokoju. Trzasnęłam drzwiami na tyle głośno, by mama i tata nie mieli wątpliwości, że nie życzę sobie, by były otwierane.

Deso stał jak słup soli, wodząc wzrokiem po pokoju. W końcu skupił się na mnie i odchrząknął cicho.

– Coś nie halo? – zagaił.

– Nie. To znaczy tak.

– Czyli w końcu... tak czy nie?

Zamknęłam oczy, jakby dzięki temu problem mógł zniknąć.

– Mam syfy.

– Że co?

– Wskoczyły mi te pieprzone krosty! – syknęłam, odwracając się.

Przez chwilę w pokoju trwała cisza. Przypuszczałam, że za moment zastąpi ją śmiech. Wprawdzie Deso raczej nie będzie się ze mnie nabijał, ale z pewnością potraktuje to jako coś wesołego.

Powoli obejrzałam się przez ramię. Patrzył na mnie z zaciekawieniem.

– W sumie... – odezwał się. – Syfy są trochę jak konstelacje na niebie.

– Co ty powiedziałaś?

– Zaczynasz dostrzegać je dopiero, jak ich wypatrujesz.

Tylko przez moment udało mi się utrzymać powagę. Potem roześmiałam się bezradnie, a cały kłopot nagle znikł. Kiedy spojrzałam na rozbawionego Desa, odniosłam wrażenie, że z tym człowiekiem każdy wybój byłby okazją do wesołego podskoku.

– Wyglądasz zajebiście, Żabcia – rzucił. – Nie spinaj się.

– A ty nie ściemniaj.

Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Mówię tylko, jak jest.

– Dla ciebie – odparłam. – Dla innych niektóre rzeczy są większe, niż ci się wydaje. Tak jak Pacyfik.

– Pacyfik?

– Jest tak gigantyczny, że ma praktycznie jedną półkulę na własność. Mapy tego nie oddają, ale gdybyś zanurkował w pewnych miejscach, a potem przebił się dokładnie na drugą stronę Ziemi, dalej byłbyś na Pacyfiku.

Deso uniósł brwi, ale nie mogłam stwierdzić, czy nie dowierza w sam fakt, czy może w to, że mu go w tej chwili przedstawiam.

– Na mapach zazwyczaj dzieli się Pacyfik na pół, dlatego nie widać, jaki jest naprawdę.

– Okej... – odparł w końcu. – Musiałem to przegapić na geografii.

– Nie. Po prostu nie było o tym mowy.

A nie było, bo nauczycielka, którą wczoraj spotkaliśmy, nie za dobrze sobie radziła. To był chyba jej pierwszy rok w szkole, skupiała się tylko na tym, co było zapisane w programie. Żadnych ciekawostek, niczego, co mogłoby zainteresować innych. Ja miałam sporo takich rzeczy w zanadrzu.

– Bierzmy te torby i zbijajmy – odezwał się Darek. – Jedna do mojego plecaka, druga do twojego.

– I co potem?

– Zobaczymy.

Otworzyłam szafę, ale się zawahałam. On w tym czasie przyglądał się książkom stojącym na półce nad biurkiem. Wyeksponowane były tam wszystkie tomy Harry'ego Pottera – od pierwszego do piątego. Podobno szósty miał wyjść w przyszłym roku, ale nie była to potwierdzona informacja.

Odgarnęłam trochę ciuchów i spojrzałam na dwie torby, przez które ostatnio miałam trudności ze spaniem.

– Nie mam zamiaru pomagać ci w sprzedaniu tego, Deso – zaznaczyłam. – Wyniosę z domu i ci oddam. A potem idę do szkoły.

– Wiadomo.

Nie zabrzmiało to ani trochę przekonująco. Mimo to załadowałam torbę do plecaka, a potem Deso zrobił to samo. Zasunęliśmy suwaki w tym samym momencie, a ja poczułam się, jakbym brała udział w przestępstwie wszech czasów.

Kiedy wyszliśmy z pokoju, Darek posłał uśmiech mojej mamie.

– Tylko prosto do szkoły – powiedziała. – I bez żadnych wagarów, jasne?

– Oczywiście – odparł Deso.

Mówił identycznym tonem jak przed momentem, kiedy zapewniał mnie, że nie będę miała nic wspólnego ze sprzedażą tych narkotyków.

– Zadzwoń później do waszej wychowawczyni i przekonamy się, czy to rzeczywiście było dla was takie oczywiste.

– Mamuś...

– Tylko się dowiem, nie będziemy rozmawiać o niczym innym.

Spojrzałam na Desa, a on posłusznie skinął głową.

– Chciałabym też numer do twojej babci, Darek.

– Nie ma telefonu.

– W takim razie numer stacjonarny do was.

Deso podszedł do stołu w kuchni, przy którym siedziała moja mama. Mimowolnie spojrzałam na plecak i pomyślałam, co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział, co w nim jest. Trafilibyśmy do więzienia? W tym wieku już chyba można. A jak nie, to poprawczak albo jeszcze coś gorszego.

– Źle mnie pani zrozumiała – odparł Darek. – Nie mamy w ogóle telefonu. Nie stać nas.

Mama nieco się zmieszała.

– Ale za trzy tygodnie jest wywiadówka – dodał. – Na pewno babcia chętnie z panią porozmawia. Tylko proszę mi powiedzieć, o czym konkretnie, żebym mógł ją uprzedzić.

– Cóż, wołałabym...

– Chociaż chyba mogę się domyślić – ciągnął. – Chciałaby pani rozmawiać z nią o mnie, prawda? O tym, że mam zły wpływ na Wiktorię? Że przeze mnie raz w życiu uciekła z lekcji i dzięki temu miałem okazję spędzić jeden z najlepszych dni w moim życiu?

Mama otworzyła usta, ale się nie odezwała. Deso podciągnął rękaw i zerknął na zegarek.

– Przepraszam, ale musimy iść, żeby się nie spóźnić. – Podał mamie rękę. – Było mi bardzo miło panią poznać.

Wychodząc, uśmiechnęłam się niepewnie, a mama odpowiedziała tym samym. Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu, odetchnęłam z ulgą.

– Powinieneś zostać politykiem – oznajmiłam, wychodząc na zewnątrz.

– Bo dobry ze mnie negocjator?

– Nie. Bo świetny z ciebie krętacz.

Zaśmiał się cicho, idąc w kierunku szkoły.

– Nie robiłem twojej matki w ciula – odparł.

Chciałam kontynuować temat, ale rozległ się dzwonek telefonu Desa. Spojrzał niepewnie na wyświetlacz, a ja zauważyłam, że dzwoni ktoś z numeru, którego nie miał zapisanego. Odebrał, nie zwalniając kroku.

– Elo – rzucił.

Przez chwilę tylko słuchał.

– Chyba w chuja walisz... – powiedział, nagle się zatrzymując. – Nie, nie ma takiej opcji. Wiesz, ile mnie kosztowało, żeby to wszystko zabrać z dziupli? Tak, kurwa, mam teraz przy sobie. Nie, nie mogę nigdzie tego zbunkrować. Albo zaraz...

Deso urwał, spojrzał na mnie, a potem odszedł kawałek. Zostałam przy ławce, na której zazwyczaj siedziały jakieś chłopaki. O tej porze było tutaj jeszcze pusto. Usiadłam, nerwowo spoglądając na zegar w telefonie. Nie mogłam się spóźnić, bo mama nie rzucała słów na wiatr i po południu z pewnością zadzwoni do wychowawczynie.

Darek wrócił po chwili, klnąc jak szewc.

– Wiesz, co odpierdolił ten w dupę zajebany chuj? – syknął.

Podniosłam się i wskazałam wzrokiem kierunek do szkoły. Deso nie ruszył się ani o krok.

– Nie – odparłam.

– Nie chce szuwaksu. Nie weźmie ani grama.

– Jak to?

– Mówi, że to pierdoli, że nie warto ryzykować. Że jest za gorąco, a i tak wiadomo, czyj to towar.

Deso poklepał się po kieszeniach spodni i zaklął.

– Masz pożyczyć trzy osiemdziesiąt? – spytał.

– Na co?

– Na paczkę viceroyów.

Poszliśmy w kierunku kiosku, który znajdował się nieopodal Celiniaka – jak niektórzy mówili na zieleniak prowadzony przez babcię Darka. Zastanawiałam się, czy właścicielka aby nas nie zauważy i nie zorientuje się, że wnuczek kupuje papierosy, ale przemknęliśmy tyłem.

– Nie możesz sprzedać komuś innemu? – spytałam.

– Osiem kilo amfy? Komu?

– Nie wiem, może...

– Ten gość był jedynym, któremu mogłem to opylić.

Zaciągnął się nerwowo i znów rzucił pod nosem wiązanek, tym razem obrażając matkę i innych członków rodziny jego niedoszłego kontrahenta.

– Jak on tego nie przygarnie, to nikt inny tego nie zrobi.

– To co teraz? – spytałam.

Chciałam pozbyć się tego worka jak najprędzej. I z pewnością nie zamierzałam chodzić z nim cały dzień po szkole.

– Nie możesz sam sprzedawać? – rzuciłam.

– Odjebało ci?

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem, a Deso natychmiast przyjął przeproszający wyraz twarzy.

– Sorry, Żabcia – mruknął. – Nie chciałem, żeby to tak... Zresztą sam początkowo zamierzałem... Przepraszam, okej?

– Nie szkodzi.

Wypuścił dym i oparł się o tył kiosku.

– Nie mogę sam tego popychać, bo ktoś od Rejsona zaraz się zorientuje. Rozkminią, że to ja zaiwaniałem całe to białko

z Incydentu.

- No dobra – powiedziałałam. – To co robimy?
- Musimy czekać.
- Na co?
- Na kupca.
- Z narkotykami w plecakach? – jęknęłam.

Przez moment miałam ochotę poprosić go, żeby poczęstował mnie viceroyem. Zadziwiająco, jak paradygmat rozładowania stresu paleniem jest przyjmowany przez tych, którzy nigdy nie mieli z papierosami nic wspólnego.

- Coś wymyślę – odparł Deso. – Do tej pory towar musi zostać u ciebie.
- O, nie. Nic z tego.
- Nie ma innej opcji.
- Nie możemy teraz tam wrócić jak gdyby nigdy nic.
- Wcale nie mówię, że mamy teraz wracać. Zrobimy to po lekcjach.

Mogłam się sprzeciwić, mogłam nawet się kłócić i postawić mu ultimatum. Oczywiście nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, przez co weszliśmy na teren szkoły, taszcząc po cztery kilogramy narkotyków.

Pilnowaliśmy swoich plecaków jak oka w głowie, a z każdą kolejną lekcją stres stawał się coraz większy. Kiedy po długiej przerwie gruchnęła wiadomość, że podkomisarz Zaporowski zjawi się w szkole, by porozmawiać z kilkoma osobami, niemal zesłam na zawał.

Wiedziałam, że będzie chciał widzieć się ze mną i z Desem. Nie mieliśmy jednak gdzie schować towaru, a ucieczka byłaby najgorszym możliwym rozwiązaniem.

Czekaliśmy na rozwój wypadków, podczas gdy Zaporowski wzywał kolejne osoby. Czułam się jak podczas odpytywania całej klasy na środku sali. Ponieważ miałam nazwisko na „Z”, zazwyczaj byłam ostatnia, więc mogłam liczyć na to, że

nauczycielka nie zdąży mnie wywołać przed przerwą i nie będę musiała publicznie występować przed wszystkimi.

W takich sytuacjach pręcej czy później padało jednak także na mnie. W wypadku przesłuchań Zaporowskiego okazało się, że jest inaczej. Nie chciał się widzieć ani ze mną, ani z Desem.

Innych pytał wyłącznie o rzeczy związane z Izą i wyglądało na to, że policja w końcu przyjęła do wiadomości, że coś jest nie tak. W całej szkole dało się zresztą wyczuć atmosferę grozy, zupełnie jakby zaginięcie Izy miało być tylko początkiem serii tragicznych zdarzeń.

Kiedy po ostatniej lekcji poszliśmy z Darkiem na palarnię, staraliśmy się zrozumieć, co się stało i o co chodziło. Nie dotarliśmy do żadnych sensownych wniosków.

– Wbijajmy w to – skwitował Deso. – I chodźmy do ciebie.

– Czekaaj.

– Na co?

– To może nie być najlepszy pomysł.

– Dlaczego nie? – odparł, przeczuwając pewnie, że będę na nowo oponowała przed chowaniem towaru u mnie.

– Bo mamy ważną rzecz do załatwienia.

– Jedno nie przekreśla drugiego.

– Przekreśla – uparłam się. – Bo jak wejść, to już nie wyjdę.

– A co to jest, obóz koncentracyjny?

Uniosłam wzrok.

– Tata mnie z tobą nigdzie nie puści, Deso – powiedziałam.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że zrobię wszystko, żeby pójść z nim do dziewczyny, która mogła jako ostatnia rozmawiać z Izą. Rodziców bym jednak nie przekonała, nie było nawet sensu próbować.

– Najpierw pójdziemy do Didi – postanowiłam. – A dopiero potem odniesiemy do mnie towar.

– Pompujesz?

– Nie – odparłam.

- Chcesz cały dzień nosić białą mery na plecach?
- Przed chwilą ci to nie przeszkadzało.
- Bo przed chwilą byliśmy w szkole, gdzie nikt nie miałby powodu, żeby się do nas przysrać. Ale na mieście wystarczy zainteresowanie jednego pałarza i będziemy mieli...
- Nie obchodzi mnie to – ucięłam. – Idziemy do tej prostytutki, i koniec.

Deso w końcu zrozumiał, że rzadko stawiam sprawę tak jasno – ale kiedy już to robię, muszę być naprawdę pewna swego. Dopalił papierosa w milczeniu, a potem niechętnie skinął głową i ruszył w stronę przystanku.

Minęliśmy budkę z zapiekankami, w której żywiła się większość uczniów Matusa, a potem niewielki kiosk, na którym widniała wrzuta „D.So”. Jej autor co chwila oglądał się za siebie, jakby coś zgubił.

- Gdzie mieszka ta Didi? – zapytałam.
- Na innej ośce.

Zawahałam się, bo pierwszą zasadą życia na osiedlu RZNiW było to, by go nie opuszczać. Na innych blokowiskach nie było czego szukać, zresztą nie mieliśmy tam zbyt dobrej opinii. Większość ludzi się stąd nie ruszała, bo nie miała powodu – tutaj był cały świat, jaki znali. I nawet go lubili, kiedy pili lub palili zioło.

- Luz – rzucił Deso, dostrzegając moją nerwowość. – Będziemy uważać.

- Byłeś tam kiedyś?
- Mhm – potwierdził cicho.

Nie chciałam dopytywać o powód. Przyspieszyliśmy kroku, widząc już wiatę przystanku. Deso wciąż raz po raz się odwracał, a w końcu syknął z irytacją.

- Co się dzieje? – spytałam.
- Ktoś się za nami ciągnie jak smród po gaciach – odparł. – Widziałem gościa pod szkołą. Teraz idzie na przystanek.

– Może...

– Nic sobie nie wkręcam, Żaba. Zaporowski musiał puścić za nami, kurwa, ogon.

Skręciliśmy w jedną z osiedlowych uliczek, a kiedy Deso się odwrócił, potwierdziło się, że mężczyzna nadal za nami idzie. Poczułam, że serce mi przyspiesza. Czy policja mogła tak po prostu śledzić obywateli? A może był to ktoś inny?

Niespiesznie skręciliśmy w jakąś uliczkę, a potem Deso nagle pociągnął mnie w bok. Weszliśmy szybko do jednej z klatek, przebiegliśmy przez korytarz i wyszliśmy po drugiej stronie bloku. Potem zawróciliśmy na przystanek. Nikogo za sobą nie dostrzeżliśmy.

Podróż autobusem zajęła nam nieco ponad kwadrans, a potem Darek bez trudu znalazł właściwy blok i mieszkanie Didi. Kobieta od razu otworzyła nam drzwi i powitała Deso uśmiechem. Ze środka dobiegały dźwięki muzyki elektronicznej, słyszałam kilka podniesionych głosów.

– Chyba przypadkowo wbiliśmy na jakiś bauns? – spytał Deso.

– Jesteście w samą porę.

Didi zaprosiła nas do środka, a potem usadziła na kanapie i powiedziała, że przyniesie coś do picia i jedzenia.

– Ona chyba jest...

– Kompletnie zmelanżowana – dokończył za mnie Darek. – Albo zwitkacona, jeśli wolisz.

– Przyda nam się na coś?

– Zobaczymy – odparł, a potem spojrzął na nasze plecaki, leżące przy kanapie.

Didi wróciła chwiejnym krokiem, podśmiewając się z czegoś. Zaraz za nią wszedł starszy mężczyzna w samej koszuli i slipkach, a za nim jego kolega w podobnym stroju.

Prostytutka podała nam po piwie, a potem na stoliku przed nami usypała ścieżkę białego proszku.

– Najlepszy koks po tej stronie świata – wymamrotała. – Częstoście się, nasi sponsorzy są dziś bardzo szcudrzy.

Jedno oko miała przymknięte, ale drugim zerknęła na dwóch roznegliżowanych mężczyzn. Skinęli głowami i chyba szybko tego pożałowali, bo wyglądali, jakby świat zaczął im wirować.

– Porobieni bardziej od niej – zauważył Deso. – A ja na trzeźwo tego nie zniosę.

– Proszę cię...

– Spoko, spoko – uciał od razu. – Przecież przyszliśmy tu na konkrety.

Mimo to wziął duży łyk piwa, a potem popatrzył na chodzącą w kółko prostytutkę.

– Te, Didi – rzucił.

Zatrzymała się i rozejrzała nerwowo, jakby nie była pewna, skąd dochodzi głos. Obiecałam sobie, że nigdy nawet nie spróbuję żadnego narkotyku.

– Deso! – ucieszyła się kobieta. – Co ty tu robisz?

Darek założył nogę na nogę.

– Szukam kogoś.

– To już nie musisz – odparła, dotykając piersi. – Jestem tu.

– Widzę. Ale potrzebny nam namiar na pewną dziewczynę.

– Jedyne namiar, jakiego potrzebujesz, mój słodki, to trajektoria lotu tutaj – oznajmiła bełkotliwie, przesuwając ręce niżej.

Wymieniliśmy się szybkimi spojrzeniami. Znów nie chciałam myśleć o tym, że Darek najprawdopodobniej swojego czasu był jej stałym klientem.

Dwaj mężczyźni rozsiedli się na fotelach, a ja uświadomiłam sobie, że wbijają we mnie wzrok.

– Spróbuj tego koksu, mówię ci – dodała Didi. – Mocarny jak kutas Zeusa. Do mnie nie przychodzi się z byle czym.

– Może później. Na razie naprawdę musimy znaleźć...

– Moją przyjaciółkę – włączyłam się.

Prostytutka wbiła we mnie wzrok i przez chwilę wyglądała na kompletnie zaskoczoną moją obecnością.

– A coś ty za jedna?

– Żaba – odparł za mnie Deso. – Koleżanka, która...

– Czemu nie pijesz, młoda?

– Nie lubię – powiedziałam.

Didi machnęła ręką z irytacją.

– To wypierdalaj stąd. Takich tutaj nie lubimy.

– Zaraz wyjdziemy – zapewniłam. – Chcemy tylko...

– Pijesz, zostajesz – ucięła, podchodząc do mnie. Dwóch mężczyzn drgnęło, jakby nerwowy ton prostytutki ich zaalarmował. – Nie pijesz, nie ma cię. Jasne?

– Chcemy tylko zapytać...

– Pij albo spierdalaj! – krzyknęła tak głośno, że mimowolnie chciałam zasłonić uszy. – Nie będę gadała z cipą, której nie ufam. A jak ktoś nie pije, to jest, kurwa, podejrzany.

Deso lekko mnie szturchnął.

Spojrzałam na piwo i sprawdziłam procenty. Pięć przecinek sześć, niby nie tak dużo, ale dla kogoś, kto w ogóle nie pił, to z pewnością był nadmiar.

– Wal na hejnał, już.

– Wylajtuj, Didi...

– Sklej pieroga! – wydarła się na Desa.

– Zaraz... – rzuciłam.

– A ty graj na piździe harmonijką.

– Co?

– Zamknij, kurwa, gębę. I pij albo już was tu nie ma.

Spojrzałam na puszkę bez przekonania.

– Nie masz czegoś słabszego? – odezwał się Darek. – Jakiegoś karmi albo czegoś takiego?

Kobieta potrząsnęła głową, a potem znikła w kuchni. Po chwili wróciła z nieco słabszym piwem, ale różnica dwóch

procentów chyba nie mogła zdziałać cudów. Zabrała mi poprzednią puszkę, od razu się napiła, a potem wsadziła mi w rękę świeżo otwartą.

– To co? – odezwał się Deso. – Wychyłyłybyśmy?

Didi łypała na mnie, jakbym była wrogiem publicznym numer jeden. Wyglądało na to, że nie mam wyjścia, więc napiłam się piwa. Smakowało jak coś zepsutego, ale widząc, że tyle nie wystarczy, musiałam pociągnąć jeszcze kilka razy. Dopiero wtedy kobieta spasowała.

Usiadła na oparciu fotela i spojrzała na nas nieco przyjaźniej.

– To czego chcecie?

– Podobno widziałas się z Izą Mikulską – odezwał się Darek.

Przyglądałam się jej reakcji, ale Didi nie dawała niczego po sobie poznać. Może była przyzwyczajona do niewygodnych pytań, a może po prostu jej nie kojarzyła.

– Była w Incydencie, zanim wjechała tam ta banda chuja – dodał Deso. – Fizol miał załatwić jej lewe papiery i jakiś transport.

Prostytutka milczała, a ja poczułam, że zaczyna mi się lekko kręcić w głowie. Tak szybko? Od takiej ilości piwa? Nie, raczej nie. To z emocji.

– No? – rzucił Darek. – Sczaiłaś, o kogo chodzi, czy nie?

– A co wam do tej laski?

Deso wskazał na mnie ręką, a ja, ponaglana przez kobietę, napiłam się jeszcze trochę.

– To jej przyjaciółka, przecież mówiła. Musimy ją znaleźć.

– Tyle że ona raczej nie chciała być znaleziona.

Znów po sobie spojrzeliśmy.

– Inaczej nie spierdalałaby, jakby się paliło, no nie? Zwłaszcza że wtedy jeszcze się nie paliło... – dodała Didi i popatrzyła na mnie. – A ty nie wyglądasz mi na jej kumpelę.

– Dlaczego nie?

– Zupełnie nie ten klimat. Tamta laska była zdrowo pojebaną imprezowiczką, a ty ewidentnie jesteś cichą myszką i...

– Iza nie była żadną imprezowiczką – zaoponowałam.

Kobieta zaśmiała się, a potem pociągnęła porządny łyk piwa. Odstawiła puszkę na stolik i popatrzyła na mnie jak na idiotkę.

– Dziecko – rzuciła. – Spędziłam z twoją rzekomą kumpelą tylko jeden wieczór, ale tyle w zupełności wystarczyło. Iza wyjarała tyle jointów, ile ja przez tydzień, a do tego obaliła chyba pół butelki tekli. I wszystko to mimo jej stanu.

– Stanu? – rzucił Deso.

– Była w ciąży – odparła Didi. – Nie wiedzieliście?

## 22

Zanim wyszliśmy z klatki, obczaiłem dokładnie teren. Nie namierzyłem nikogo, kto mógłby nas śledzić, więc dałem Żabie znak, że możemy wychodzić. Wzrok miała mętny i lekko się zataczała, więc musiałem ją przytrzymać.

Zaraz po tym, jak Didi zrzuciła na nas bombę o ciąży, z Wiką zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Mamrotała, a potem zaczęła gadać od rzeczy i się brechtać. Szybko rozkminiłem, że Didi pewnie wrzuciła jej coś do piwa.

Rozmowę z landrynką musiałem dokończyć praktycznie sam. I spodziewałem się, że potem wszystko będę musiał powtarzać Żabie.

Kiedy zajechaliśmy na osiedle RZNiW, dalej była jak dętka. Nie było mowy, żebym w takim stanie zabrał ją do domu. Poszliśmy do mnie, bo do momentu, aż babcia wróci z zieleniaka, miałem jeszcze trochę czasu.

Chwilę po tym, jak ułożyłem Żabę u mnie w pokoju, przybił Sojóz.

– Co tam? – rzucił, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę po prostu go obcinałem.

– Masz jakiś pajęczy zmysł, który mówi ci, kiedy jestem na chacie? – rzuciłem pod nosem.

– He?

– Czy cały dzień wisisz w oknie, czekając?

– Daj spokój – odparł, wchodząc do kuchni.

Rozejrzał się w poszukiwaniu jedzenia, ale na próżno.

– Znalazłem dobry kawałek – odezwał się. – I wydaje mi się, że mógłbyś w tym kierunku pójść ze Stalagbitami.

– Ta? I co to za numer?

– *Skamieniali*. Trzeci Wymiar i Teka.

Rozłożyłem ręce. Niech to chuj, znalazłem się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości, w której wszyscy wokół zdawali się wyrywać uliczne korzenie rapu i zastępować je sadzonkami.

– Oprócz porządnego bitu jest też dobry przekaz – dodał Sojóz, ruszając do mojego pokoju. – Puszczę ci zaraz.

– Znam ten kawałek – mruknąłem.

– No, to dobrze. Mógłbyś...

Urwał, kiedy zobaczył, kto leży na łóżku. Na moment zamarł, a potem natychmiast wycofał się do korytarza. Popatrzył na mnie, jakby właśnie się dowiedział, że pod blokiem zakopałem ciało.

– Co... – wydukał półgłosem. – Co ona tu robi?

– Leży.

– Widzę, że leży! – uniósł się Sojóz, ale wciąż udawało mu się mówić szeptem. – Ale jak... skąd? Dlaczego?

– Dziabnęła bronxa z wkładką.

– Jaka?

Wzruszyłem ramionami i otworzyłem lodówkę. Pustki jak zwykle, nie było czego szukać.

– Przecież ona nie pije – powiedział cicho Sojóz. – Ani tym bardziej nie bierze.

– A skąd ty to wiesz?

Obejrzałem się przez ramię i posłałem mu znaczące spojrzenie. Potem zamknąłem lodówkę i uznałem, że czas na szluga.

– Dalej wgapiasz się w jej zdjęcia na Naszej Klasie i czytasz, co pisze na forach?

Sojóz wyszedł za mną na balkon, po czym obaj oparliśmy się o balustradę i wyjrzelśmy na Żniwa.

– A potem pucujesz torpedę, myśląc o...

– Nie – uciął. – I jeśli musisz wiedzieć, to piszemy czasem na GG.

– Co ty pierdolisz?

– Poważnie – zastrzegł.

– Jakim cudem?

Odchrząknął nerwowo, kiedy ja zapalałem fajka.

– Napisałem do niej jakiś czas temu.

– Tak z dupy max?

– Nie – odparł z niezadowoleniem. – Znaczy... w sumie może i tak. Zagadałem i napisałem jej, że po prostu wklepałem imię Wiktoria w wyszukiwarkę, bo je lubię. Wywiązała się gadka szmatka, wiesz, jak jest...

Uśmiechnąłem się lekko i pokręciłem głową.

– Podalesz się za przypadkowego typa na GG? – spytałem z niedowierzaniem.

– Jestem przypadkowy.

Czasem rzucał takie niby zagubione uwagi, które świadczyły o jego niskiej samoocenie, a ja nie ogarniałem za bardzo, co z nimi zrobić. Przekonywanie go, że nie ma racji, byłoby stanowczo zbyt pedalskie.

– Jak się zaraz obudzi, to nie będziesz – rzuciłem.

Potrząsnął głową.

– Nie może mnie tu zobaczyć.

– Zluzuj poślady, Sojóz. Przedstawię was, nawiniesz o... jakichś tam kafkowskich sprawach i będzie spoko. Jak znasz ciekawostki geograficzne, to też możesz dorzucić. Ona lubi takie rzeczy.

– Nie ma mowy. Idę.

Myślałem, że kręci bekę, ale okazało się, że jest śmiertelnie poważny. Nie udało mi się go zatrzymać i musiałem dopalać szluga sam. Kiedy wróciłem do środka, Żaba nadal kimała.

Dałem jej dwie godziny, zanim ją obudziłem. Mieliśmy jeszcze parędziesiąt minut, zanim babcia wróci, więc uznałem, że najlepiej będzie sprawdzić, ile Wika pamięta i co muszę jej przypomnieć.

Najwyraźniej film urwał jej się zaraz po tym, jak dowiedzieliśmy się o ciąży Izy. Podałem Żabie herbatę i zastanawiałem się, co zrobić z jej błyszczącymi oczami. Jej starsi od razu zajarzą, że coś nie halo.

– Co ona mi dała? – spytała Wika z lekką chrypką.

– Nie wiem.

– Boże...

– Nie telep się, nie było tego dużo. I już zeszło.

Usiadłem przy biurku, nie mając pojęcia, jak choćby lekko przykitrać to, co bez trudu można było dojrzeć w jej oczach. Może jakimiś kroplami? Sam nigdy nie miałem takich problemów, bo praktycznie cały czas byłem albo lekko zbakany, albo ciut wstawiony. Babcia nie pamiętała już, jak wyglądam normalnie.

– I nie mogła mówić poważnie... – mruknęła Żaba. – Iza i imprezowiczka to antonimy...

Nie odzywałem się, pozwalając jej poukładać myśli.

– I ta ciąża? Przecież to jakaś bzdura. Ona nawet nie doszła z nikim do pierwszej bazy.

– Nie?

Wika posłała mi niepewne spojrzenie, w którym wychwyciłem nieco wstydu.

– Nie każdy zaczyna tak szybko jak ty – powiedziała.

– Ona chyba jednak zaczęła.

– Nie. To niemożliwe.

Luknąłem kontrolnie na zegarek.

– Nie mamy czasu na etap wyparcia – oznajmiłem. – Musimy dotrzeć do konkretów, czaisz?

Skinęła głową i napiła się herbaty. Było coś wprost zajebistego w tym, jak obejmowała kubek – zupełnie jakby liczyła, że całe jego ciepło rozejdzie się po jej ciele.

– Didi twierdziła, że Iza zaciążyła jakiś miesiąc temu – dodałem. – Masz jakieś pojęcie, co wtedy robiła?

– Nic nadzwyczajnego.

– Nie wyjechała nigdzie na weekend? Nie pojawiła się któregoś dnia w szkole z worami pod oczami?

– Nie – zaprzeczyła od razu Żaba. – Przecież bym wiedziała.

Chciałem powiedzieć, że wielu rzeczy najwyraźniej nie zajarzyła, ale zachowałem to dla siebie.

– Co jeszcze mówiła Didi?

– Z istotnych rzeczy?

– O te nieistotne nawet nie chcę pytać...

– Twierdzi, że Iza powiedziała o ciąży komuś w rodzinie. Ale nie dopytywała, czy chodziło o starych.

Wika odstawiła kubek i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Że co? – rzuciła.

– Jej rodzice mogli wiedzieć o tym od samego początku.

– I Iza powiedziała to tej prostytutce?

– No – potwierdziłem. – Zbombiły się razem i trochę zbratały, zanim impreza rozkręciła się na dobre. Potem, gdzieś koło dwudziestej trzeciej, Iza zniknęła Didi z oczu. Ta twierdzi, że widziała ją jeszcze z jakimś typem, ale nie znała go.

Żaba podniosła się i podeszła do okna.

– Pytałeś ją, jak wyglądał?

– Wiadomo – odparłem. – Ale była już tak porobiona, że niewiele zapamiętała. Zresztą mógł to być jakiś przypadkowy gość.

– W naszym wieku?

– Starszy. Co do tego nie miała wątpliwości.

Też w pierwszej chwili pomyślałem o Pinkym. W końcu mógł totalnie polecieć w chuja, kiedy opowiadał nam o tym, co się stało. Didi była jednak przekonana, że facet kręcący się koło Izy był dużo starszy.

Podszedłem do Wiki i podałem jej herbatę.

– Chcesz coś jeszcze? – zapytałem. – Może grzotniesz kawę?

– Nie, dzięki.

Przez chwilę w milczeniu przesuwaliśmy wzrokiem po blokach, a potem patrzyliśmy na ludzi wracających z pracy. Każdy samochód miał swoje miejsce na parkingu, mimo że formalnie nie były nikomu przydzielane. Z autobusów pasażerowie wychodzili zawsze w podobnej kolejności, a potem stałą trasą szli do swoich klatek. Zazdrościłem im, że żyją w swojej osiedlowej, ułożonej i zakrzepłej monotonii.

– To niewiele nam daje – odezwała się Żaba. – Przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiemy się, co to za facet.

– Niekoniecznie.

Upiła łyk herbaty i zerknęła na mnie pytająco. Szybko uciekła spojrzeniem, jakby kontakt wzrokowy sprawiał jej ból.

– Mamy już pewien ogląd – odezwałem się.

– Na co?

– Na sytuację. Iza zachodzi w ciążę, mówi o tym rodzicom, a miesiąc później uznaje, że musi spierdolić z domu. Zwraca się do Pinky'ego, który pomaga jej z dojściem do Fizola. Daje mu hajs, wszystko jest tip-top. W noc poprzedzającą wyjazd

coś się pierdoli. Wychodzi z klubu, wysyła mi esa, że ktoś za nią idzie, a potem ślad po niej ginie.

Żaba się nie odzywała.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze? – spytałem.

– Wszystko?

– To, że Zaporowski zjawił się w szkole już z samego rana.

Wika wzruszyła ramionami i dopiła resztkę herbaty, a ja znów skontrolowałem czas. Powinniśmy wychodzić.

– To akurat jest całkowicie zrozumiałe – powiedziała. – Mikulscy to znani i szanowani ludzie. Mają kontakty w urzędach, w policji pewnie też.

– Tym bardziej powiedzieliby Zaporowskiemu o ciąży.

– A skąd wiesz, że tego nie zrobili?

– Bo nie pytał nas o nic, co mogłoby choć luźno się z tym wiązać – odparłem. – Nie męczył nam były o chłopaków, z którymi się spotykała. Nie chciał wiedzieć nic o szkolnych imprezach, randkach i tak dalej.

Przez moment milczeliśmy.

– Moim zdaniem albo wie, kto jest ojcem, albo nie dowiedział się o ciąży – dodałem.

– Ale po co Mikulscy mieliby to ukrywać? Każda informacja może być na wagę złota.

Skinałem głową, a potem zasugerowałem Żabie, że powinniśmy zbijać, o ile nie chce poznać mojej babci. Zgodziła się od razu, jakby to spotkanie miało rzeczywiście arcyjebitne znaczenie.

Gdybym podobnie przejmował się widzeniem z jej rodzicami, z pewnością znalazłbym sposób, żeby inaczej przetransportować towar z powrotem do jej pokoju.

Zamiast tego wspólnie ruszyliśmy do jej domu.

– Co mam robić? – spytała po drodze. – Jak się zachowywać?

– Normalnie.

– Ale przecież jestem pod wpływem alkoholu i chyba narkotyków.

Zalukałem na nią z niedowierzaniem.

– Nic ci nie jest – powiedziałem, po czym uznałem, że muszę zmienić temat. – A tak w ogóle...

– Hm? – mruknęła cicho.

– Nie pisał ktoś do ciebie ostatnio na GG z nieznanego numeru?

– Pisał.

W jej głosie pojawiła się wyraźna nuta nadziei, jakby spodziewała się, że to ja. Kurwa, powinienem bardziej uważać, bo ta dziewczyna ewidentnie się we mnie zajebała.

– I powiedział, że po prostu wpisał w wyszukiwarkę „Wiktorja”, bo lubi to imię?

Żaba głośno przełknęła ślinę.

– Tak.

– To Sojóz – rzuciłem szybko. – Mój dobry ziomek. Mieszka nade mną, znamy się od gówniarza. Piszę się go przez „ó” z kreską.

– Sojóz?

– No – potwierdziłem. – Chodzi do pierdolnika dla za bardzo uzdolnionych miździuchów. Ale spoko typ, ręczę za niego.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, w dodatku wyglądała na zawiedzioną. Trudno, uznałem, przynajmniej nie łapała już jazdy, że starzy ją przydybią.

– Ach... – odparła, a potem lekko potrząsnęła głową. – Ale nie mówił, że lubi imię Wiktorja, tylko zdrobnienie. Wika.

– Tak? Mnie pitolił coś innego.

Nie odpowiedziała, jakby nie miało to najmniejszego znaczenia. Może tak było.

A może nie? Sojóz nie miał prawa wiedzieć, że Żaba nie lubi swojego pełnego imienia. Mnie powiedziała o tym podczas posiadówki w parku Suchorka, ale nigdy mu o tym nie

mówiłem. Jebaniec, musiał ją ostro szpiegować w necie. A to oznaczało, że zakochał się w niej bardziej, niż myślałem.

Trudno, uporam się z tym, jak będzie trochę spokoju.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się w bloku Żaby, nagle mnie zatrzymała, kładąc mi rękę na klatce piersiowej. Natychmiast ją cofnęła, jakby poraził ją prąd.

– Nie wchodź ze mną – powiedziała. – Jak wrócę sama, rodzice nie będą się tak interesować. Jak zobaczą ciebie, będą mnie o wszystko wypytywać.

– Nie no, zaraz...

– Wezmę ten towar – przerwała mi. – A ty zabierzesz moje książki i zeszyty. Jutro się wymienimy.

Zawahałem się, choć była to sensowna propozycja. Właściwie mogła rano po prostu zostawić podręczniki w chacie, ale może nie do pomyślenia dla niej było, że poszłaby do szkoły nieprzygotowana.

– Nie wiem, czy do jutra znajdę jakąś dziuplę.

– Musisz – odparła. – Bo ja nie zamierzam tego dłużej przechowywać. I tak już wiele dla ciebie zrobiłam.

Trudno było temu zaprzeczyć.

– Znajdź skrytkę albo kupca, Deso. Na jutro.

– W porządku.

– I nie gniewaj się na mnie.

Powiedziała to w taki sposób, że nawet gdybym miał za co, pewnie bym nie potrafił. Odchrząknąłem nerwowo.

– Spoko.

– I musimy porozmawiać z rodzicami Izy.

– Jasna sprawa.

– Jeśli wiedzą, kto jest ojcem dziecka, może uda nam się trafić na kolejny trop.

Pokiwałem głową i nagle zapragnąłem wyjść z klatki i zajarać. Z jakiegoś powodu stanie przed Żabą w małej,

zamkniętej przestrzeni wydawało mi się kłopotliwe. Zrzuciłem plecak i szybko przepakowałem, co trzeba.

Wszystkie jej manele ważyły więcej niż szuwaks. Ja zazwyczaj miałem jeden notatnik do wszystkiego i w porywach ze dwie książki.

- Nie zapomnij jutro żadnego zeszytu.
- Masz to jak w banku.
- No to cześć.
- Narka - rzuciłem.

Tym razem to ona odeszła jako pierwsza, a ja odprowadzałem ją wzrokiem aż do drzwi jej mieszkania.

- Żabcia - odezwałem się.
- Tak?
- Wyślij mi później esa, czy wszystko spoko ze starymi.

Skinęła głową, a potem wyciągnęła klucz. Odwróciłem się i wyszedłem, nie chcąc ryzykować, że Zabscy mnie zobaczą. Dobrze kminiła - taki widok z pewnością wzbudziłby ich podejrzliwość.

Wyszedłem na zewnątrz i kiedy zapaliłem szluga, zobaczyłem jakiegoś szybko odchodzącego gościa w oddali. Nie wiedziałem, czy to ten sam, który wcześniej się za nami ciągnął. Może tak, ale teraz miałem na to wyjebane. Mogliby mnie nawet przeszukiwać, byłem czysty.

Większą część wieczoru spędziłem na rozkminianiu z Sojózem, jaki powinien być mój następny ruch w sprawie dragów. Sprzedawać sam nie mogłem. Nabyć hurtem nikt nie będzie gotów.

Ostatecznie została tylko jedna opcja.

Opylić cały towar temu, kto w pierwszej kolejności chciał go buchnąć. Musiałem znaleźć sposób, by skontaktować się z Charonem.

Łatwo nie będzie, a kiedy już mi się uda, równie dobrze może się to okazać ostatnią rozmową, jaką w życiu odbędę.

Nie miałem jednak wyjścia – i nie mogłem pozwolić, żeby towar dłużej leżał w szafie u Żaby.

Robiło się zbyt gorąco. Jeśli ktoś od Zaporowskiego się za nami ciągnął, to psy wiedziały, że coś się dzieje i Wika jest zamieszana. Mogli już pracować nad nakazem przeszukania jej mieszkania.

W środku nocy podjąłem decyzję i zadzwoniłem do Didi. Wiedziałem, że ma różnych klientów, w tym także ziomków od Charona. Powinna nakierować mnie w dobrą stronę.

Kiedy jednak odebrała, moje priorytety szybko się zmieniły.

– W końcu zajarzyłam – oznajmiła. – Ten typ, co z nim Iza gadała, to Bizon. On ostatni ją widział.

Poczułem, że serce zabiło mi szybciej.

– Chcesz do niego numer? – spytała.

## 23

Deso czekał na mnie pod budką z zapiekankami, po drodze do szkoły. Zauważyłam go już z oddali. Miał na sobie bordową bluzę z kapturem, szerokie spodnie i kiwał się lekko w rytm muzyki dobywającej się ze słuchawek playera mp3. Kiedy do niego podeszłam, wyciągnął z ucha jedną z nich.

– Elo, Żabcia.

– Hej – odparłam. – Będiesz teraz codziennie chodził ze mną do szkoły?

– Wiadomo. Muszę cię pilnować.

– Raczej tego, co mam w plecaku.

Nie skomentował, ale bynajmniej nie musiał. Dobrze wiedziałam, że jest tu tylko z tego powodu, a cała nasza znajomość jest konsekwencją okoliczności, niczym więcej. Miałam całą noc na przemyślenie tego.

– Znalazłeś kupca? – spytałam.

– Jestem na dobrej drodze.

– Deso...

– Spoko, spoko – uciał. – Skitramy zaraz towar i będziesz miała to z bańki.

Podziękowałam mu zdawkowym skinieniem głowy i się rozejrzałam.

– To gdzie go schowamy?

– W seicento mojej babci.

Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem, czekając, aż oznajmi mi, że to żart. Deso jednak wskazał ręką parking.

– To dobra kryjówka – rzucił. – W dodatku babcia używa auta tylko z samego rana, kiedy przywozi majdan do warzywniaka. Potem stoi nieużywane.

Wyciągnął z kieszeni zapasowe kluczyki i potrząsnął nimi z uśmiechem.

– Zbunkrujemy wszystko pod fotelem pasażera, dobrze zabezpieczymy i będzie luz.

– To nie mogliśmy zrobić tego wcześniej?

– Wcześniej u ciebie było najbezpieczniej.

Pokręciłam głową, uznając, że być może nie powinnam tak bezkrytycznie polegać na ocenie Desa. Często zaczynał dzień od skręta, a potem nie przestawał popalać lub popijać aż do zapadnięcia w sen.

Trochę zajęło nam schowanie towaru, bo cały czas się rozglądaliśmy i przerywaliśmy, ilekroć ktoś się zbliżał.

– Jeszcze chwila i nie wyrobimy się na pierwszą lekcję – zauważyłam nerwowo, chowając przedostatnią paczkę z amfetaminą. – A ja nie chcę mieć spóźnienia tuż przed tym, jak będą wystawiać oceny.

– Czemu nie? – odparł Deso, czekając, aż jakaś kobieta z wózkiem się oddali. – I tak masz zupełny lajt. Będą piąteczki z góry na dół.

– O ile czegoś nie zepsuję na ostatniej prostej, to może tak – przyznałam. – Ale ta niedawna ucieczka i spóźnienie to...

– To nic. Pomyśl o tym, że ja mam zagrożenia z matmy i fizyki.

– Naprawdę?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że użyłam tonu tak poważnego, jakby co najmniej oznajmił mi, że kogoś zabił.

– Nie wyglądasz na przejętego.

– Bo lata mi to koło chuja.

– Może nie powinno.

Kobieta z dzieckiem się oddaliła, a Deso szybko wykorzystał okazję i schował resztę towaru. Upchnął ją mocno pod siedzenie, następnie zabezpieczył kawałkiem jakiejś szmaty. Po skończonej robocie otrzepał ręce i zamknął seicento.

– Tak czy inaczej, dziś się nie spóźnimy – oznajmił.

Zerknęłam na zegarek, który nosiłam od czasów komunii.

– Bo nie wybieramy się na lekcje – dodał Deso.

– Mów za siebie.

– Gadałem w nocy z Didi – rzucił. – Udało jej się namierzyć typa, który rozmawiał z Izą jako ostatni. Najwyraźniej było to parę minut przed tym, jak wysłała mi tego nieszczęsnego esa.

Darek wyciągnął papierosa, a ja czekałam na więcej.

– Musimy go odwiedzić – dodał. – Gość może coś wiedzieć.

– To po lekcjach, ale teraz...

– Teraz albo nigdy, Żaba – uciął Deso. – Typek podobno dzisiaj się zawija.

– Dokąd?

Darek wzruszył ramionami.

– Powiedział Didi tylko tyle, że musi stąd spierdalać. Jak się pospieszymy, jeszcze go dorwiemy. Jak nie, ziom przepadnie, i tyle z tego będzie.

Od początku mówił, jakby był pewien, że uzyskanie mojej zgody to jedynie formalność. I miał rację. W takiej sytuacji nie

mogłam zrezygnować, nawet jeśli miałabym podpaść nauczycielom i moim rodzicom.

Jakoś sobie z tym poradzę.

– To jak? – spytał Deso. – Idziemy?

– Może powinniśmy powiadomić...

– Psiarnię? Ni hu, hu. Najpierw nam narobią koło dupy, a potem będą gonić za ziomkiem przez parę tygodni.

Zwiesiłam głowę, czując nieprzyjemny zapach viceroyów. Wszystkie papierosy śmierdziały, ale te chyba wyjątkowo. A może była to tylko autosugestia spowodowana niską ceną. Zrobiłam małe badanie rynku: paczka marlboro kosztowała sześć czterdzieści.

– Gdzie on mieszka?

– Przy Czarnika – odparł Deso, wskazując jeden z bloków w oddali. – Jak się uwiniemy, zdążymy jeszcze na którąś lekcję.

Nie wyobrażałam sobie, jak miałabym tak po prostu wrócić do szkoły i liczyć na to, że nie zobaczy mnie żaden z nauczycieli, których lekcje opuściłam. Desowi zaś nawet nie przeszło przez myśl, że może to być coś kłopotliwego, bo prawdziwe problemy wiązały się z narkotykami, prostytutkami i tak dalej.

Naprawdę żyliśmy w dwóch różnych światach.

Do bloku przy Czarnika weszliśmy bez większego problemu. Wystarczyło zadzwonić na domofon i powiedzieć, że roznosimy ulotki. Pierwsza osoba odłożyła słuchawkę, druga w niewybrednych słowach kazała nam się oddalić, ale trzecia po prostu otworzyła.

Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania, w którym według Didi mieliśmy zastać mężczyznę zwanego Bizonem. Kiedy otworzył nam drzwi, zrozumiałam, że ksywka wcale nie była na wyrost.

Gospodarz zajmował prawie całą futrynę, a ręce miał jak łopaty.

– Bizon? – rzucił Darek.

Mięśniak rozejrzał się po korytarzu.

– A co, kurwa, nie widać? – odparował.

– W sumie...

– Coś ty za jeden?

– Deso.

Rozmówca zmarszczył czoło.

– Ten od Fizola?

– Ehe. Didi miała mnie zapowiedzieć.

Bizon podrapał się po masywnym karku, a potem skinął głową. Wszedł do środka, a ja zrozumiałam, że na bardziej wylewne zaproszenie nie ma co liczyć. Ledwo zamknęliśmy za sobą drzwi, gospodarz kazał nam się zatrzymać.

– Dalej nie wbijacie – oznajmił. – I tak robię wyjątek.

Drzwi do wszystkich pokoi były zamknięte, a na podłodze w korytarzu leżały dwie sportowe torby, wypchane po brzegi. Najwyraźniej rzeczywiście zdążyliśmy w ostatniej chwili.

– Chcieliśmy zapytać pana o...

– O Mikę – przerwał mi Bizon.

Spojrzeliliśmy na siebie z Desem. Od razu skojarzyliśmy, że to od nazwiska Izy.

– Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak na nią mówił.

– Tak mi się przedstawiła.

Iza nie lubiła ksywek mniej więcej tak jak ja, ale może powinnam przekreślić większość rzeczy, które o niej wiedziałam.

– Więc rozmawiał pan z nią? – spytałam.

– Rozmawiania nie było wiele.

– Słucham?

– Zrobiła mi laskę w kiblu.

Deso drgnął nerwowo, a ja starałam się przesądzić, czy aby się nie przestyszałam.

– Walisz ściemę – rzucił Darek.

– Niby po kiego miałbym to robić?

– Nie wiem, ale...

– Była porobiona w trzy dupy, ja też. Poszliśmy do kibla, zamknęliśmy się w kabinie, a potem klęknęła do miecza. Cała historia.

Absurd. Nie byłam gotowa przyjąć tego do wiadomości. W klasie były takie dziewczyny, ale Iza do nich nie należała. Może i nie wiedziałam o niej wszystkiego, ale to było po prostu niemożliwe.

– No, może nie cała, bo młoda prawie się udławiła – dodał Bizon.

Spodziewałam się, że zaraz zanieśnie się seksistowskim rechotem i rzuci Desowi porozumiewawcze spojrzenie, ale trwał w bezruchu. Najwyraźniej nie była to sugestia odnośnie do wielkości przyrodzenia.

– Oporządziła mi pałę zawodowo – dorzucił rzeczowym tonem. – Miała tylko problem z połykiem.

Zrobiło mi się niedobrze, a Darek uniósł rękę.

– Dobra, styknie – oznajmił. – Co działo się z nią potem?

– Przepłukała usta, wyszliśmy z kibla, walnęliśmy parę shotów tequili i się pożegnaliśmy. Tańczyła przez chwilę na parkiecie, a potem zobaczyłem, jak wychodzi.

– Ot tak? Po prostu?

Bizon podrapał się po karku, a ja nadal starałam się poukładać w głowie to wszystko, co usłyszałam. Trudno byłoby mi uwierzyć choćby w to, że Iza tańczyła, nie wspominając o innych rzeczach.

Owszem, czasem z Hordą chodziłyśmy na imprezy szkolne, ale nigdy, przenigdy żadna z nas nawet nie stanęła na parkiecie.

- Nie wiem, czy ot tak – odparł Bizon. – Nie śledziłem jej.
- Ile czasu minęło od wyjścia z kibla do wyjścia z klubu?
- A skąd mam wiedzieć? Byłem napruty.
- Kurwa mać...

Nie mogłam nie zauważyć, że mimo znacznej różnicy w masie mięśniowej ten człowiek odnosił się do Desa z pewnym szacunkiem. Najwyraźniej trzymanie z Fizolem rzeczywiście coś znaczyło na osiedlu.

- Wiem, że nie wróciła, bo potem jej szukałem – dodał Bizon.
- Próbowalesz się z nią kontaktować? Rozpytywałeś o nią?
- Nie.

To wciąż niewiele nam dawało. Nie wiedzieliśmy, czy po wysłaniu Desowi wiadomości Iza wróciła do klubu, czy coś faktycznie jej się stało. Jedna i druga ewentualność wprawiała mnie w trwogę, szczególnie kiedy przypominałam sobie, jak skończyli ludzie w Incydencie.

- Nic więcej nie wiem – oznajmił Bizon. – A teraz muszę się zbierać.

Przez moment patrzyli na siebie z Desem.

- Tobie też to radzę.
- Ja się nigdzie nie wybieram – odparł Darek.
- A powinienesz. Wszyscy wiedzą, z kim jesteś kojarzony na mieście. Czaisz, że skończysz tak, jak inni od Fizola?
- Nie wszyscy. I dam sobie radę.
- To życzę ci, kurwa, powodzenia.

Bizon otworzył drzwi, a potem wzrokiem wskazał nam korytarz. Nie zwlekaliśmy, bo nie było już niczego, co moglibyśmy od niego wyciągnąć. Do szkoły szliśmy w milczeniu, oswajając się z tym, że zabrnęliśmy w kolejną ślepa uliczkę.

- Myślisz, że to prawda? – spytałam.
- Gość nie miałby po co kłamać. A jeśli już, to w drugą stronę: zarzekałby się, że nigdy nie miał nic wspólnego

z zaginioną dziewczyną.

– No tak...

Deso nagle złapał mnie za rękę i zatrzymał. Miałam wrażenie, że dłonie od razu mi wilgotnieją, ale powiedziałam sobie w duchu, że to tylko złudzenie. Takie samo jak ten żar na policzkach.

– Musimy przycisnąć jej starych – powiedział Darek. – To jedyne, co nam zostało.

– Ale o co chcesz ich pytać?

– Z pewnością nie o to, czy ich córka robiła lody przypadkowym koleśiom w sraczu – mruknął. – Przynajmniej nie bezpośrednio.

Zacisnęłam usta, a cała moja nerwowość znikła.

– Kurwa, sorry...

– Naprawdę mógłbyś być bardziej delikatny. Niewiele, ale chociaż trochę.

– Postaram się – odparł. – Ale teraz chodźmy do Mikulskich.

– Nie.

– Żaba, daj spokój, przecież nie chciałem...

– Nie chodzi o to – rzuciłam stanowczo. – Czas nas nie goni, możemy wrócić na lekcje. Ty szczególnie, skoro masz dwa zagrożenia.

Przekonanie go zabrało mi chwilę, ale w końcu chyba się zorientował, że nie ustąpię, i ruszyliśmy w kierunku szkoły. Dał mi jedną słuchawkę i przez resztę drogi szliśmy blisko siebie, słuchając tej samej muzyki.

– Zipera – oznajmił Deso. – *Bez ciśnień.*

– Wesole – skwitowałam. – I zupełnie niepasujące do mojego obecnego stanu.

– Zaraz pójdzie *Tylko słowo* Eldoki. Lepiej ci siądzie.

Deso miał rację. Kawałek ociekał nostalgią i niezbyt optymistyczną refleksją, ale jednocześnie było w nim coś – może ładunek autentycznej pasji – co podnosiło na duchu.

Ledwo się skończył, rozległ się dźwięk telefonu Darka. Szybko rzucił okiem na wyświetlacz, zatrzymał muzykę, a ja oddałam mu słuchawkę. Odszedł kawałek i przez kilka minut z kimś rozmawiał.

Wrócił z wyraźnym uśmiechem.

– Jest szansa złapania szympansa – oświadczył.

– Co?

– Opcja na opylenie całego towaru.

Wolałabym, żeby o tych sprawach mówił nieco ciszej, mimo że teraz pod szkołą nie było nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Do przerwy pozostał jeszcze niecały kwadrans.

– Próbowałem wczoraj w nocy dobić się do Charona.

– Chyba żartujesz...

– To jedyne wyjście, Żabcia.

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem.

– Chcesz to sprzedać człowiekowi, który zabił tych wszystkich ludzi w Incydencie? – zapytałam. – Jezu...

– Nie ma innej możliwości.

– Przecież on... przecież...

Urwałam, nie bardzo wiedząc, od czego w ogóle zacząć.

– On mógł porwać Izę – wydusiłam w końcu.

– Wiem. I możesz być pewna, że ustawię się z nim nie tylko po to, żeby domknąć sprawę dragów.

– To nie jest dobry pomysł, Deso.

– Dobry czy nie, innego nie ma – odparł lekkim tonem Darek. – Poza tym wygląda na to, że gość chce się ugadać.

– Rozmawiałeś z nim bezpośrednio?

Deso potwierdził skinieniem głowy, a potem wskazał palarnię. Mieliśmy jeszcze ponad dziesięć minut do przerwy, więc właściwie nie było sensu wracać na samą końcówkę lekcji.

Po chwili zatrzymaliśmy się na tyłach szkoły, a Darek zapalił papierosa.

– Typ ma ciśnienie, żeby dostać ten szuwaks – odezwał się. – Zgodził się dać mi jedną trzecią hajsu z góry, a pozostałą część po tym, jak przygarnie towar. To dobry układ.

– No nie wiem...

Deso rzucił okiem na komórkę.

– Za godzinę odbieram ten kwit.

– Już? Teraz?

– Nie ma na co czekać – odparł spokojnie. – Wezmę kasę, na spokojnie przeliczę, a dopiero potem Charon dostanie fetę.

Patrzyłam, jak się zaciąga, i myślałam o tym, że robi tylko dobrą minę do złej gry. W rzeczywistości musiał być tak samo przerażony jak ja.

– Przecież on może cię zabić – powiedziałam.

– Nie będzie mu się opłacało.

– Bo?

– Bo w ten sposób nie dostanie tego, czego chce.

Pokręciłam głową, nie dowierzając, że w ogóle muszę prowadzić taką rozmowę.

– Przecież nie zabije cię teraz, tylko później, kiedy przyjdiesz dać mu wszystko.

– Nie dam mu wszystkiego od razu – odparł Darek i wypuścił dym, lekko się uśmiechając. – Dostanie połowę, a drugą skitram gdzieś niedaleko. Powiem mu gdzie, dopiero jak będę bezpieczny. To ma sens, nie?

Przez chwilę milczałam.

– Sama nie wiem... – odezwałam się w końcu. – A co z twoimi kolegami?

– Co z nimi?

– To nie jest jakaś niehonorowa zdrada, która narazi cię na uliczną wendetę?

Deso wyrzucił viceroya, nie przejmując się tym, by go zgasić.

– Ekipa Fizola się rozpadła – odparł. – Każdy jest teraz zdany na siebie. A ja potrzebuję hajsu.

- Do czego?

- Do życia, Żaba - powiedział cicho.

Czułam, że nic dobrego z tego nie będzie. Deso chciał wejść w konszachty z człowiekiem, którego ksywkę każdy wypowiadał ze strachem. Nie miałam pojęcia, kim jest Charon, ale nie ulegało dla mnie wątpliwości, że aby budzić postrach w tym środowisku, naprawdę trzeba się postarać.

Zdawałam sobie też jednak sprawę, że to właśnie ten człowiek może wiedzieć, co stało się z Izą.





## REFREN

### 24

Przerwę spędzam zamknięty w pokoju z moją prawniczką. Przyniosła mi papierosy, lepsze od tych, które normalnie palę. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, ale wiem, że zaraz będziemy powtarzać po raz setny wszystko, co zostało nam do zrobienia.

Zaciągam się głęboko i czuję, jak dym wypełnia moje płuca.

– Wszystko okej? – pyta obrończyni.

Kiwam głową.

– A wyglądasz jak pół dupy z za krzaka.

– Zaraz będę wyglądał jak cała.

– Na pewno? – pyta z powątpiewaniem. – Bo przesłuchanie świadków zaczynamy od Wiktorii, pamiętasz o tym?

– Wiki – poprawiam ją.

Mówiłem jej niezliczoną ilość razy, że Żaba nie toleruje swojego pełnego imienia, ale do tej kobiety jakby to nie docierało. W ogóle wydaje się niespecjalnie zainteresowana tym, co myślą i czują inni. Obchodzi ją jedynie wygrana. A mnie to pasuje.

Ułożyła zajebisty plan, który realizujemy krok po kroku. Ci, którzy przyglądają się temu wszystkiemu z zewnątrz, muszą myśleć, że pójdę siedzieć. Sędziowie, ławnicy i prokurator powinni już jednak zdawać sobie sprawę, że wyjdę obronną ręką, mimo że zabiłem człowieka.

– Będiesz z nią rozmawiać? – pytam.

Prawniczka patrzy na mnie jak na kretyna.

– Nie mogę instruować świadków co do tego, jakie zeznania mają złożyć.

Rozglądam się po pokoju.

– Podłuch tu jest? – rzucam. – Czy ki chuj?

– Nie.

– To mów normalnie.

Kobieta wzdycha i sama też zapala papierosa.

– Wiktoria wie, co ma mówić – oznajmia z przekonaniem. – Jest dobrze przygotowana.

– Nie wyłamie się?

– Nie.

– I nie pomyli niczego?

Prawniczka znów posyła mi niezbyt korzystne spojrzenie.

– Sporo od niej zależy – mówię. – Wolę mieć pewność, że ogarnie temat.

– Zapewniała cię przecież, że tak będzie.

– Wiem – przyznaję i znów głęboko się zaciągam. – I nie mam wątpliwości, że zrobi wszystko, co w jej mocy. Chodzi mi tylko o to, czy nie złapie jakiegoś tripa. Mogłabyś...

– Nie mogę z nią rozmawiać przed tym, jak zajmie miejsce na mównicy.

– Jasne – rzucam pod nosem.

Przez chwilę palimy w milczeniu. Oboje mamy świadomość, że tworzymy genialną, ale trochę delikatną konstrukcję. Mnóstwo zależy w niej od Żaby. Gdyby się pomyliła lub poddała emocjom, wszystko mogłoby się zawalić.

– A prokurator? – pytam. – Nie boisz się, że dociśnię ją za mocno?

– Na jaką okoliczność?

Wzruszam ramionami, bo w tym układzie to nie ja jestem tym, który ma wszystkie odpowiedzi.

– Będzie dobrze – zapewnia mnie obrończyni. – Zrobiłeś wszystko, co istotne. Powiedziałeś sporo o Sojózcie, wszyscy go zapamiętali i znają jego rolę w tym wszystkim. To najważniejsze.

– Mhm – potwierdzam.

Sojóz był kamieniem węgielnym całej tej konstrukcji. Bez niego nie istniała.

– Wspominaj o nim, kiedy tylko będzie okazja – dodaje prawniczka. – Ale...

– Ale nie nachalnie, wiem, wiem.

– To ma być naturalne.

– To też wiem.

Temat Sojóza przerobiliśmy więcej razy niż jakikolwiek inny. Nie ma sensu wszystkiego powtarzać.

Znów palimy w milczeniu. Po chwili orientuję się, że obrońcy mi się przygląda. Zastanawiam się, czego szuka, co próbuje ustalić. Na tym etapie wie przecież o mnie praktycznie wszystko.

Może poza jedną rzeczą.

– Nigdy nie zapytałaś mnie, dlaczego tak naprawdę zabiłem tego człowieka – mówię.

– Bo mnie to nie interesuje.

Gasi papierosa, a ja lekko się uśmiecham.

Nie pytała, bo nie musiała.





## SZÓSTA ZWROTKA

### 25

Spodziewałam się, że odebranie pierwszej płatności zajmie Desowi znacznie więcej czasu, ale zjawił się już po następnej lekcji. Był wyraźnie pobudzony, jakby się czegoś naćpał. Nie przejmując się tym, że wszyscy na korytarzu skupili na nas uwagę, złapał mnie za rękę, a potem poprowadził na stronę.

– Mam to – rzucił. – Żabcia, naprawdę to mam...

Urwał i rozejrzał się jak szaleniec.

– Co? – odparłam.

– Hajs. Sto koła. Jebane sto koła!

– Sto tysięcy?

Pokiwał głową i się zaśmiał. Naprawdę sprawiał wrażenie obłąkanego, ale przy takiej kwocie chyba nie powinnam się dziwić. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wygląda taka góra pieniędzy, ale nie potrafiłam.

– Dał ci wszystko?

– No – potwierdził Deso z niemającym uśmiechem.

– Jak... jak to wygląda?

– Mieści się w dwóch pudełkach na buty.

– I gdzie je schowałeś?

– W Hangarze.

Nie wydawało mi się to zbyt bezpieczną kryjówką, a Darek chyba zauważył moje wahanie.

– Spoko, nikt tego nie znajdzie. Jest dobrze ukryte.

Obróciłam się w kierunku klasy i zobaczyłam, że cała Horda przygląda mi się w całkowitej konsternacji. Uświadomiłam sobie, że stoimy z Desem tak blisko siebie i mówimy na tyle cicho, że musimy sprawiać wrażenie dwójki flirtujących osób.

– Jesteśmy bogaci, Żaba – dodał Darek.

– My?

– Przecież pomagasz mi od samego początku. Podzielę się z tobą tą kasą.

Mimo że nigdy nie uważałam się za materialistkę, serce zabiło mi szybciej na myśl o tym, że to tylko jedna trzecia całej sumy, którą obiecał Charon. Jeśli rzeczywiście Deso miał zamiar podzielić się ze mną, wreszcie mogłabym sobie kupić przynajmniej część rzeczy, których mi brakowało lub których byłam ciekawa. Ot, jeden z tych fluidów kosztujących ponad dwieście złotych – zawsze mnie zastanawiało, jak to musi działać, skoro jest takie drogie. Albo buty. Trochę ubrań. Nowy telefon, to z pewnością, bo swojego miałam już dosyć.

Kolejne możliwości pojawiały się w jeszcze szybszym tempie. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, jak niewiele potrzeba, by dać się uwieść pieniądzom. Właściwie nie trzeba było ich nawet mieć.

– Dobra – rzucił Deso. – Idziemy na fizykę, przesiedzimy jakoś, a potem zwijam się dokończyć interes.

– I to tyle?

– Tyle – odparł. – Będziemy mieć tę sprawę z głowy.

– Jesteś pewien?

Mój entuzjazm nieco przygasł, do głosu zaczynał dochodzić rozsądek.

– Znowu zaczynasz? – odparł Darek.

– Nie, tylko że...

– Co?

– To nadal niebezpieczne, Deso – mruknęłam, a on nieco się odsunął. – Nawet jeśli dasz mu teraz tylko część, a resztę schowasz, to przecież...

– Daj spokój – uciął. – Widzisz wszędzie zagrożenia, bo ich szukasz.

– To źle?

– Tak – odparł stanowczo. – Bo to zupełnie jak z czerwonym samochodem. Jeśli cały czas o nim myślisz, na ulicy dostrzeżasz tylko auta w tym kolorze. Z obawami jest identycznie.

Uniosłam brwi, chcąc zaoponować, ale właściwie miał trochę racji. Może nie powinnam skupiać się na czarnych scenariuszach, tylko pozwolić sobie na nieco optymizmu. Charonowi zależało przecież na tym towarze, a nie na tym, by wyrządzić Desowi krzywdę.

Lekcja dłużyła nam się okrutnie, a kiedy w końcu rozległ się dzwonek na przerwę, Darek niemal wybiegł z sali. Tuż przed wyjściem zatrzymał się jednak jak rażony piorunem, a ja prawie na niego wpadłam.

– Kurwa... – jęknął.

Obejrzałam się kontrolnie przez ramię, by sprawdzić, czy nauczycielka nie usłyszała.

– Zaporowski – dodał Deso.

– Co?

– Idzie tu.

Wyrzałam na korytarz i zobaczyłam podkomisarza zmierzającego prosto do nas. Wbijał wzrok w Darka i nie ulegało wątpliwości, że to z nim będzie chciał rozmawiać.

Zrobiło mi się gorąco na samą myśl, że Zaporowski mógł do czegoś dotrzeć. Może widział Desa z narkotykami lub pieniędzmi? Może miał jakichś informatorów, którzy dali mu znać o ubijanym przez niego interesie?

– Kurwa mać – powtórzył Darek, potem obrócił się do mnie.

– Nie mogę się spóźnić.

– To co robimy? – spytałam gorączkowo.

– Jeżeli ten cwel mnie przydupi, musisz pójść na spotkanie z Charonem za mnie.

– Co takiego?

Deso złapał mnie pod ramię i odciągnął na bok klasy, by zbliżający się Zaporowski nas nie widział.

- Weźmiesz towar z seicento – szepnął, zbliżając się do mnie.
- Część dasz Charonowi, część...
- Chyba zwariowałeś.

Zerknął nerwowo w kierunku korytarza.

- Dasz radę.
- Nie, Deso. Nie ma mowy.
- Nic ci nie będzie – rzucił, a potem podniósł przegub mojej ręki i sprawdził godzinę. – Masz piętnaście minut. Ustawiłem się z Charonem przy ławerze, na której siedzieliśmy w Suchorku.

- Deso, proszę cię...
- To ja ciebie proszę – uciął półszepem. – Jak Zaporowski mnie zaraz dopierdoli, wszystko przepadnie, rozumiesz? Z Charonem nie ma żartów, nie ma przekładania, nie ma leczenia w kulki.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, zanim wepchnął mi kluczyki od seicento do kieszeni. Zaraz potem w progu pojawił się podkomisarz. Spojrzałam na niego z nadzieją, że to po mnie tutaj przyszedł, nie po Desa.

- Darek, pozwól ze mną – powiedział.
- Dokąd?
- Na krótką rozmowę w gabinecie dyrektora.

Mógł oponować, stawiać się i domagać wyjaśnień, ostatecznie jednak na nic by się to nie zdało. Posłał mi jeszcze krótkie spojrzenie, a potem razem z Zaporowskim wyszli na korytarz.

Zostałam sama ze swoimi myślami, mimo że dziewczyny z Hordy natychmiast mnie osaczyły. Rozentuzjasmowane pytały o to, co się właśnie wydarzyło, o czym rozmawialiśmy i dlaczego policja znów chce rozmawiać z Desem.

- Nie wiem – powiedziałam. – Dajcie mi chwilę...

Wyszłam na korytarz, czując, że nogi mam jak z waty.

Weź się w garść, pomyślałam. Deso nie poprosiłby mnie o zastąpienie go, gdyby nie było to jedyne rozwiązanie. Nie ryzykowałby tak bardzo – i przede wszystkim nie stawiałby mnie w takiej sytuacji. Najwyraźniej rzeczywiście była to jedyna możliwość.

Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, że Charon jest psychopata, który nawet niewielkie spóźnienie potraktuje jak zniewagę. A gdyby dowiedział się, że Deso się nie zjawił, bo w tym czasie rozmawiał z policją, coś głupiego mogłoby wpaść mu do głowy.

Musiałam to zrobić. Darek na mnie liczył i wierzył, że potrafię stanąć na wysokości zadania.

Cały plan był ułożony, mnie pozostało jedynie wcielić go w życie. Nie miałam wiele czasu, więc szybko opuściłam szkołę. Park Suchorka był niedaleko, a dotarcie do seicento zajmie mi raptem parę minut.

Zdążę bez problemu.

Nie dając się nikomu zatrzymać, minęłam palarnię i skierowałam się ku blokowi Desa. Serce biło mi coraz szybciej.

Wyobrażałam sobie spotkanie z kimś pokroju Bizona, kto stawi się pewnie z ochroniarzami. Jak tylko mnie zobaczy, parsknie śmiechem. Musiałam nastawić się na reakcje na poziomie Kunglao, Myszona i Pinky'ego, może dużo gorsze.

Nie szkodzi, poradzę sobie.

Przyspieszyłam kroku, czując, że dokonuje się w moim życiu jakiś przełom. Jeszcze niedawno nic nie zmusiłoby mnie do takiego szaleństwa. Teraz zaś zaczynałam już układać w głowie, co powiem.

To nie będzie tylko ubicie interesu. Miałam zamiar zrobić wszystko, by dowiedzieć się, co się stało z Izą.

Wydawało mi się prawdopodobne, że Charon może coś wiedzieć, bo zaginięcie dziewczyny i napad na klub praktycznie w tym samym czasie musiały być ze sobą związane. A może przesadzałam? Może przypisałam temu człowiekowi więcej zła, niż to wynikało z czystej logiki?

Nieistotne. Niebawem sama się przekonam.

Kiedy znalazłam się w okolicy Celiniaka, usłyszałam podniesione głosy. Zwróciłam wzrok w kierunku budki, w której pracowała pani Sodkiewicz, i zamarłam. Kilkuosobowa grupa przechodniów pochylała się nad kimś, kto leżał na ziemi. Tuż obok zobaczyłam rozbite szkło i porozrzucane warzywa i owoce.

Stałam bez ruchu, powoli podnosząc spojrzenie. Zieleniak został zdewastowany. Ściany ktoś rozbił młotem lub siekierą, wszystkie szyby były potłuczone, a kasa leżała na zewnątrz.

– O Boże... – jęknęłam, podchodząc bliżej.

Babcia Desa leżała na czyjejs bluzie. Twarz miała bladą i sprawiała wrażenie, jakby balansowała na granicy omdlenia. Ktoś uderzał ją w policzek, starając się do niej dotrzeć, ale zdawała się niczego nie słyszeć.

Sama przez moment czułam się podobnie zdezorientowana. Potem nagle się ocknęłam.

Czas uciekał, nie mogłam pozwolić sobie na rozpytywanie, co się stało i czy życiu pani Sodkiewicz coś zagraża. Powinnam iść. Natychmiast.

Zamknęłam na moment oczy, bezskutecznie starając się uspokoić oddech. W końcu ruszyłam w stronę seicento. Muszę załatwić, co trzeba, potem od razu tutaj wrócę. Dowiem się wszystkiego i poinformuję Desa.

Tak, tak należało zrobić.

Zaczęłam lekko truchtać, choć kiedy na WF-ie miały odbywać się jakiegokolwiek biegi, udawałam niedyspozycję. Od razu zrobiło mi się gorąco, ale się tym nie przejmowałam.

Charon i jego ludzie i tak będą sobie ze mnie drwić, kilka plam potu niczego nie zmieni.

Podbiegłam do parkingu i znów stanęłam jak wryta, patrząc na seicento.

Boczne szyby były rozbite, drzwi otwarte na oścież. Cokolwiek tu się wydarzyło, miało miejsce niedawno, bo nikt nie kręcił się jeszcze przy samochodzie.

– Nie... – szepnęłam. – Jezu, nie...

Podeszłam ostrożnie do auta, jakby ktoś umieścił w nim ładunek wybuchowy. Powoli zajrzałam pod siedzenie pasażera.

Pusto.

Narkotyki zniknęły.

Natychmiast odeszłam od samochodu, obawiając się, że ktoś mnie zobaczy i stwierdzi, że to moja sprawka. Myśli nie chciały poukładać mi się w głowie, niczego nie rozumiałam.

Charon? Czy ktoś inny?

Może osoba, która nas śledziła, nie została wysłana przez Zaporowskiego?

Nagle dotarło do mnie, że mamy problem, z którego się nie wywinjemy. Deso dostał jedną trzecią całej kwoty, a Charon nie zobaczył ani grama towaru.

Próbowałam się ruszyć, ale nie potrafiłam. Jednocześnie coś starało się dobić do mnie z podświadomości.

Upomniałam się w duchu, by nie panikować. Nie wszystko stracone. Nawet jeśli nie ma już śladu po narkotykach, możemy przecież oddać pieniądze. Będzie to wymagało trochę ekwilibrystyki, jeśli Charon faktycznie był niezrównoważony, ale przecież nie wydaliśmy ani złotówki.

Chyba że...

Zanim kolejna myśl skryształizowała mi się w głowie, ruszyłam biegiem w kierunku garaży. Tym razem już nie truchtałam, pędziłam ile sił. Musiałam znać odpowiedź.

Już z oddali zobaczyłam to, czego się obawiałam.

Drzwi Hangaru były wyważone, a meble w środku rozwalone. Po dwóch pudełkach na buty nie było śladu.

Pieniądze znikły. A wraz z nimi nadzieja na bezpieczeństwo.

## 26

Z Zaporowskim nie poszło mi tak, jak planowałem. Trzymał mnie dość długo i przepytывał stanowczo zbyt szczegółowo. Dotarł do informacji, że razem z Żabą szukamy Izy, i chciał wiedzieć, z kim konkretnie rozmawialiśmy.

Nie była to jednak całkowita strata czasu, bo dzięki rozmowie udało mi się potwierdzić dwie rzeczy. Po pierwsze, nie wiedział nic o ciąży Izy. Kręciłem się wokół tematu, podpuszczałem go, ale ani razu nie zauważyłem, żeby zajarzył. Po drugie, to nie on nas śledził. Nie miał pojęcia, że byliśmy u Didi, nic nie wiedział o naszych innych posunięciach.

Mógł dobrze grać, ale nie podejrzewałem go o takie umiejętności.

Kiedy skończył maglowanie, zacząłem lampić się na niego ponagłająco, licząc na to, że mnie wypuści. Przypuszczałem, że Wika ubiła już interes i mieliśmy teraz tyle hajsu, że należało odpowiednio to opić.

– Mogę już iść? – rzuciłem, patrząc na drzwi gabinetu dyrektora.

– Za moment.

Znów chwilowe milczenie. Miałem serdecznie dosyć tego ciula, ale wiedziałem, że tylko czeka, aż dam temu wyraz.

– Zdaję sobie sprawę, że łatwiej wam dotrzeć do pewnych informacji – odezwał się w końcu. – Wasi rówieśnicy chętnie z wami rozmawiają. Z policją nie bardzo.

– Mhm.

Podkomisarz przysunął się do biurka.

– Jeśli jest coś, co udało wam się ustalić, musicie dać mi znać – rzucił. – Rozumiesz, o czym mówię?

– Czaję, czaję.

– Chyba nie – odparł Zaporowski i westchnął. – Sama rozmowa z funkcjonariuszem to dla ciebie ujma, co? Malujesz pewnie CHWDP na murach? I słuchasz tych kawałków, w których się śpiewa, że półmetrowy chuj wchodzi w dupę policjantom?

– Nie śpiewa się, tylko rapuje.

Podkomisarz pokręcił bezradnie głową.

– Jeśli chcecie, żeby ta dziewczyna się odnalazła, musimy współpracować.

Wzdrygnąłem się na samą myśl, że mogę stać się jedną z suk.

– Wcześniej się pan upierał, że uciekła z moją pomocą. To chyba byłoby dla mnie bez sensu, żebym współpracował?

– Odkryliśmy nowe okoliczności.

– Jakie?

– Nie mogę tego zdradzić, chłopcze.

– W takim razie ja też niczego nie mogę.

Szybko pożałowałem, że to powiedziałem. Była to automatyczna riposta, ale powinienem był w porę się powstrzymać. Przez nią pies poczuł trop.

– A więc coś wiesz?

– Nie, ale jeślibym wiedział, to i tak pewnie zachowałbym to dla siebie.

Zaporowski podniósł się i do mnie podszedł. Dobra, pomyślałem, to jest ten moment, kiedy skończy się pierdolenie i zaczną się groźby.

– Posłuchaj... – podjął podkomisarz. – W tej chwili zakładamy, że ta dziewczyna została porwana.

Tego się nie spodziewałem. Zmienili zdanie? Dlaczego?

– Mamy powody sądzić, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Jakie?

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć – uciął tonem tak stanowczym, że nie było sensu dalej pytać.

Podniosłem wzrok, a on od razu wycofał się do drzwi. Otworzył je i wskazał mi korytarz.

– To wszystko? – spytałem z niedowierzaniem.

– Sam postanowisz, co zrobić z tą informacją.

Podniosłem się niepewnie.

– Jeśli czegoś się dowiesz, odezwij się do mnie. Od tego może zależeć, czy ta dziewczyna przeżyje.

Skinąłem mu lekko głową, a potem wyszedłem z gabinetu i szybko opuściłem budynek szkoły. Myślałem o tym, co się właśnie stało, i starałem się jakoś to uporządkować. W końcu uznałem, że to jakaś technika manipulacyjna. Chciał ze mnie wyciągnąć konkrety, więc łągał. Prawo pewnie na to pozwalało.

– Deso! – rozległ się krzyk z oddali.

Zobaczyłem stojącą niedaleko palarni Żabę. Nie wyglądała dobrze. Rozglądała się nerwowo i nie mogła ustać w miejscu, jak ćpun na głodzie. Kurwa, to nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Spodziewałem się problemów – ale nie takich, jakie mi po chwili zrelacjonowała.

Zanim na dobre dotarło do mnie, co to wszystko znaczy, już pędziłem w kierunku zieleniaka. Na miejscu nikogo nie było, a jeden z sąsiadów powiedział mi, że babcia trafiła do szpitala.

Zapierdalałem na przystanek ile sił w nogach. Czekaając na autobus, odchodziłem od zmysłów, i gdyby nie Żaba, z pewnością albobym się porządnie ująrał, albo nawalił do nieprzytomności.

Zanim dotarliśmy do szpitala, Wika starała się wszystko mi wyjaśnić. Nic z tego nie rozumiałem.

Do sali, w której leżała babcia, wpuścili mnie bez problemu. Nic jej nie było, zasłała, kiedy zobaczyła, co stało się

z warzywniakiem. Ktoś zdemolował całą budkę, ukradł pieniądze z kasy i zniszczył towar.

Chciała od razu to zgłosić, ale ją powstrzymałem. I tak nie miała ubezpieczenia, więc o jakimkolwiek hajsie mogliśmy tylko śnić. A dopóki nie wiedziałem, kto to zrobił, najmądrzej było nie angażować psiarni.

W końcu ją przekonałem. Posiedziałem z nią trochę, a potem wyszedłem na korytarz i zobaczyłem siedzącą na jednym z krzeseł Żabę. Robiła coś na komórcie ze spuszczoną głową.

Usiadłem obok niej i głęboko nabrałem tchu.

– Długo czekasz? – spytałem, bo zupełnie straciłem poczucie czasu.

– Trochę ponad pół godziny. Jak ona się czuje?

– Będzie okej. Fizycznie nic jej nie jest.

Zrobiło mi się słabo na samą myśl, że ktoś mógłby potraktować ją podobnie jak ten pieprzony warzywniak. Zabiłbym gnoja, bez chwili zastanowienia i przejmowania się konsekwencjami.

– Widziała, kto to zrobił?

– Dwóch typów w kominiarkach.

– Zgłosiła to?

– Nie – odpowiedziałem i oparłem głowę o ścianę. – Sam się tym zajmę. Zresztą to wszystko jest powiązane, Żaba. Zaginięcie Izy, atak na Incydent, na moją babcię, zajebanie nam całego towaru i kasy...

– Ale kto mógł to zrobić?

– Jak to kto? Jebany Charon.

Pokręciła głową, jakby była przekonana, że to niemożliwe. Mnie wydawało się to najlogiczniejszą opcją.

– Poszłam w to miejsce spotkania – powiedziała.

– Że co?

– To znaczy nie konkretnie tam, ale patrzyłam z oddali.

– Pompujesz? – rzuciłem. – Obserwowałaś Charona z przyczajki?

Pokiwała głową, a ja pochwaliłem ją w duchu za odwagę. Sam na jej miejscu nawet nie zbliżałbym się do Suchorka.

– Zjawił się o umówionej porze, Deso. I wyglądał na niezadowolonego, kiedy nikt nie przyszedł na spotkanie.

Milczałem.

– Chyba raczej nie robiłby tego, gdyby to on ukradł te narkotyki.

– Nie, raczej nie – przyznałem. – Ale w takim razie gównno, które na nas spadło, jest biblijnych rozmiarów.

Charon dał nam jedną trzecią całej sumy. A my nie mieliśmy ani złotówki, by mu oddać.

– Wiem – odparła Żaba. – Więc co teraz?

– Trzeba spierdalać.

– Nie możesz tak po prostu...

– Nie ja, my – poprawiłem ją. – Kiedy Charon zacznie mnie szukać, obczai, że bujałaś się ze mną w ostatnim czasie. Będiesz pierwszą osobą, którą przyciśnie.

Wika patrzyła na mnie z nadzieją, jakbym miał zaraz powiedzieć, że tylko kręcę sobie bekę i jest całkowicie bezpieczna. Prawda była jednak taka, że ludzie Charona dopierdolą nie tylko ją, ale też jej rodzinę i znajomych.

– Nie mamy wiele czasu – dodałem. – Rozumiesz?

– Ale przecież...

– Nie mam już żadnych pleców, Żaba – uciąłem. – Nie zbiorę żadnej ekipy, bo ludzie, którzy się liczyli, zostali zajebani w Incydencie. I nas spotka dokładnie to samo, jeśli tu zostaniemy.

Obróciła się do mnie i dotknęła mojej dłoni.

– Deso, proszę cię...

– Nie mogę nic więcej zrobić – odparłem. – Musimy zniknąć, przynajmniej na jakiś czas.

Chciałem ją przeprosić za cały ten gnój, który przeze mnie na nią spadł, ale uznałem, że to tylko zwiększy jej poczucie bezsilności.

– Charonowi znikło sto koła, nie odpuści tego. W dodatku potraktuje to jako zniewagę i naplucie mu prosto w ryj.

Wika otworzyła usta, ale się nie odezwała.

– Przewróci osiedle RZNiW do góry nogami, szukając najpierw mnie, a potem ciebie – kontynuowałem. – I nie będzie go obchodziła ani twoja płęć, ani wiek. Psychol wszystkich traktuje równo.

Zbladła, ale chyba zaczynało do niej docierać, że oboje mamy tak samo przejebane.

– A jeśli to nie on?

– A kto? – odparłem. – Członkowie komisji do sprawy afery Rywina?

– Nie. Ale przecież to musi być ta sama osoba, która wysyłała ci te wiadomości na GG. Groziła, żebyś nie sprzedawał towaru. I że zginiemy, jeśli to zrobisz.

Widmo spod numeru 1703903. Tak, pamiętałem o nim.

– To mógł być Charon – powiedziałem. – A nawet więcej, to bankowo był on.

Żaba zamilkła, a ja przypuszczałem, że dojdzie do tego samego wniosku. Charonowi zależało przecież przede wszystkim na tym, żebym nie opylił komuś szuwaksu, zanim on nie położy na nim łapy.

– Nie możemy tak po prostu uciec... – szepnęła Wika.

– Ano nie, nie możemy. Musimy.

– Ale...

– Ale co?

– Co z twoją babcią? – spytała cicho. – I moimi rodzicami? Z Hordą? Przecież ludzie Charona na pewno będą próbowali coś z nich wyciągnąć...

– Zorganizujemy to tak, żeby nikt nie podejrzewał, że coś wiemy.

– To znaczy?

– Nie wiem, kurwa, nie wiem – odparłem nieco zbyt nerwowo. – Może zaaranżujemy ucieczkę z domu, a potem przekonamy wszystkich, że coś nam się stało. Zupełnie jak...

Kiedy urwałem, popatrzyliśmy na siebie niepewnie.

– Zupełnie tak jak Iza? – spytała Żaba.

Odpowiedź była oczywista. I zdawało się, że to ma sens.

Jeśli Iza myślała identycznie jak ja teraz, mogła zrobić to wszystko z tego samego powodu. By nikt nie próbował wyciągnąć czegokolwiek od jej bliskich.

Nagle podniosłem się z krzesła.

– Chodź – rzuciłem. – Czas wbić się Mikulskim na chatę.

## 27

Po tym, co Deso powiedział mi w szpitalu, nie byłem pewna, czy dobrze robimy. Jeśli czas rzeczywiście naglei, powinniśmy się pakować, póki pora – póki Charon nie wie, gdzie mieszkamy.

Tymczasem zamiast tego zatrzymaliśmy się przed dużym, ogrodzonym domem Izy, który znajdował się kawałek za ostatnim z bloków osiedla RZNiW. Stało tu kilka innych budynków, ale żaden nie był tak duży jak ten, w którym mieszkali Mikulscy.

– Deso – odezwałam się niepewnie. – Mamy na to czas?

– Tak.

Jego przekonanie było głębokie i niezachwiane, a ja nie miałam pojęcia, z czego wynika.

– Jesteś pewien?

Powiódł wzrokiem po ogrodzeniu, a potem obrócił się do mnie.

– Wszystko jest ze sobą związane.

– Nie możesz mieć co do tego pewności.

– Niepotrzebna mi – odparł, nadal patrząc na mnie tymi swoimi nicującymi oczami. – Bo odpowiedzi są bliżej, niż myślisz. Tak jak USA i Rosja.

– Co?

– Dzieli je odległość tylko czterech kilometrów – oznajmił Deso. – Choć mało kto o tym wie, bo na mapach zawsze...

– Wiem, jak przedstawia się mapa świata w odwzorowaniu Merkatora – przerwałam mu. – Ale skąd ty to wiesz?

Przeszło mi przez myśl, że najwyraźniej postanowił zapoznać się z moimi zainteresowaniami. Tego się po nim bynajmniej nie spodziewałam i musiałam przyznać, że mi to schlebia.

– Sojóz trochę doczytywał po tym, jak powiedziałem mu, że lubisz ciekawostki geograficzne – odparł. – A potem ostro przymulał, zapodając mi jedną za drugą.

– Ach...

– Mniejsza z tym – zakończył temat i podszedł do bramy. – Czas przetestować nasze rozkminy w praktyce.

Zadzwoił na domofon, ale nikt nie odebrał. Próbowaliśmy jeszcze kilkakrotnie, z takim samym skutkiem, po czym powiedliśmy wzrokiem po ulicy. Deso zapalił papierosa, a ja starałam się dojrzeć samochód Mikulskich.

– Nie ma auta – powiedziałam.

– Co nic nie znaczy, bo może być w garażu.

Darek ujął mój przegub i sprawdził godzinę. Lubiłam, kiedy to robił.

– Ewentualnie są jeszcze w robocie.

– Może – przyznałam. – Choć na ich miejscu raczej wzięłabym urlop i czekała na wieści.

Deso pokiwał głową, a po chwili oboje usłyszeliśmy, że ktoś się do nas zbliża. Obróciłam się z przestraszeniem, przekonana, że zobaczę Charona lub jego ludzi. Zamiast tego wbiłam jednak wzrok w starszą kobietę w ogrodowych rękawiczkach.

Kojarzyłam ją. Była sąsiadką Izy, która od czasu do czasu dawała nam jakieś owoce ze swojego ogródka, kiedy u Mikulskich urządzaliśmy zebrania Hordy, zwane dla niepoznaki kurułtajami.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– O, to ty, dziecko. Spodziewałam się jakichś... chuliganów.

Popatrzyła znacząco na Desa, a ten przyjął poprawny uśmiech. Był dość czarujący, choć w szerokich spodniach, zbyt dużej bluzie i z papierosem w ręku nie mógł działać cudów.

– Co ty tu robisz? – dodała kobieta. – Nie powinnaś być w szkole?

– Właściwie to...

– To okropne, co stało się z tą dziewczynką – przerwała mi. – Wiadomo już coś?

– Niestety nie – odparłam. – Ale szukamy rodziców Izy. Są może w domu?

– Och, na pewno nie.

Deso zrobił pół kroku do przodu, jakby chciał przejąć inicjatywę, ale go powstrzymałam. Mnie też nie umknęła niezachwiana pewność kobiety, ale wolałam sama prowadzić tę rozmowę.

– Skąd pani wie? – zapytałam.

– Wyjechali.

– Jak to? Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Widziałam, jak wnoszą bagaże do samochodu, a potem odjeżdżają. Wyglądało na to, że na dłużej.

Wymieniliśmy się z Darkiem spojrzeniami pełnymi niedowierzania.

– Jest pani pewna? – spytałam. – Przecież mogli po prostu coś gdzieś przewozić.

– A gdzież tam, drogie dziecko. Torby podróżne mieli, takie jak do samolotu. Załadowali je do bagażnika, odjechali, i tyle.

Milczeliśmy, nie bardzo wiedząc, jak się do tego odnieść. Wydawało się to niemożliwe, by jacykolwiek rodzice zaginionego dziecka decydowali się na wyjazd w takiej chwili.

– Zresztą zatelefonowałam do nich godzinę czy dwie później.

– O...

Tylko na tyle było mnie stać.

– Chciałam zapytać, czy coś podlewać w ogrodzie pod ich nieobecność. Podziękowali, bo kogoś już od tego mieli. Ale nie zaprzeczyli, że wyjeżdżają.

To nie stawiało ich w zbyt dobrym świetle.

A może coś mi umykało? Może ten wyjazd miał sens? Jeśli Iza była w niebezpieczeństwie, oni także mogli się w nim znaleźć. Tok myślenia Desa, którym poszedł w szpitalu, ostatecznie mógł okazać się właściwy.

– Wie pani, o kogo chodzi? – odezwał się Darek.

– Słucham, chłopcze?

– Kto ma zajmować się ich ogrodem?

– Ano pewnie Celina.

Deso lekko się cofnął, jakby odepchnęła go jakaś siła. Ja zaś zachowałam zimną krew. Kobiet o tym imieniu było przecież trochę na osiedlu RZNiW.

– To znaczy tak przypuszczam – dodała sąsiadka Mikulskich. – Bo bywała tu ostatnio, to może poprosili ją, żeby podlała dereń czy kalinę. One bardzo lubią wodę.

– Jaka Celina? – rzucił Darek.

– Nie wiem, jak jej na nazwisko. Ma ten zieleniak niedaleko Steina, na pewno znacie. Podobno jacyś wandale go...

– Bywała tu ostatnio? – przerwał jej Deso, jakby nie słyszał, co kobieta przed momentem powiedziała.

Ujęłam lekko jego rękę, próbując go nieco uspokoić, ale zdawało mi się, że w ogóle tego nie odnotował.

– A co tak cię dziwi? Kobieta pewno nie zarabia wiele, a przecież płacić musi za tę budę i asortyment. Poza tym ma na utrzymaniu jakiegoś huncwota, co to jego matka się zabiła paręnaście lat temu. Głośna sprawa była tutaj na osiedlu.

– A ta pani Celina... – zaczęłam. – Bywała tutaj wcześniej? Przed zaginięciem Izy?

Rozmówczyni podrapała się po skroni.

– Chyba nie. A przynajmniej ja jej tu nie widziałam.

– Ale widziała pani, jak rozmawiała z państwem Mikulskimi?  
– ciągnęłam.

– Ano nie raz, przecież mówię.

– To były przyjacielskie kontakty czy może...

– A coś ty taka ciekawska, dziecko?

– Po prostu chciałabym wiedzieć.

Kobieta zmarszczyła brwi i nabrała tchu.

– Normalne kontakty chyba. Chociaż czasem może dało się wyczuć jakieś napięcie, ale nie wiem, o czym gadali. Mogę tylko się domyślać.

– I domyśla się pani?

– Cóż... – Rozmówczyni się rozejrzała. – Coś tam słyszałam.

– Co konkretnie?

– Że ten nicpoń od Celiny miał jakiś związek z zaginięciem młodej Mikulskiej. Pewno jego babka przychodziła tu, bo chciała wyprostować to i owo z rodzicami.

Było to kompletnie nierealne, bo babcia Desa nie miała o tym zielonego pojęcia.

– Co ona z nim ma... – dodała pod nosem rozmówczyni. – Córka jej się zabiła, zabrała ze sobą jej wnuczkę, a został na tym świecie taki łobuz, co to jej tylko przynosi troski.

Ścisnęłam mocniej dłoń Desa, a on dopiero teraz jakby zorientował się, że stoi jak rażony piorunem. Widziałam, że decyzję o powrocie do szpitala podjął natychmiast. Ja też nie chciałam dłużej czekać.

Jego babcia była ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o jakikolwiek związek z tą sprawą. Właściwie wydawało się to całkowicie absurdalne. A jednak z jakiegoś powodu tutaj ostatnio bywała.

I powód ten musiał być istotny.

## 28

Popylaliśmy w stronę szpitala szybkim krokiem, mimo to udało mi się zapalić szluga. Nic mi w tej sprawie nie pasowało, w głowie miałem całkowity chaos.

– Może to przypadek? – podsunęła Żaba.

– Że moja babcia zjawiała się u tych ludzi akurat teraz? Weź nawet, kurwa, nie...

– Spokojnie.

Spojrzałem na Wikę przepraszająco i obiecałem sobie, że nauczę się gryźć w język, przynajmniej przy niej.

– Ale to nie ma sensu, Deso.

– Wszystko ma sens – powiedziałem. – Nawet to, że gdzieś dzień jest dłuższy niż rok.

– Znowu ciekawostka, tak?

– Tak. W tym wypadku chodzi o Wenus. Cały obrót planety wokół jej osi zajmuje dwieście czterdzieści trzy dni, a okrążenie Słońca dwieście dwadzieścia pięć dni. Dzień trwa dłużej niż rok.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

– Sojóz naprawdę wkręcił się w te tematy – rzuciłem. – I męczy mi nimi bułę non stop.

- Ale tobie najwyraźniej łatwo wpadają do głowy.
- Bo jest w niej sporo miejsca do zagospodarowania.
- W to nie wątpię – bąknęła.

Musiałem jednak przyznać, że okazywały się przydatne – szczególnie kiedy chciałem zmienić temat albo udobruchać Żabę. Poza tym Sojóz przedstawiał mi je z taką podniętą, że trudno było go nie słuchać.

- Musowo trzeba was poznać – zauważyłem.
- Sama nie wiem... – odparła, nie zwalniając kroku.

Oboje myślami byliśmy gdzie indziej i rozmowę kontynuowaliśmy jakby mimo woli. Może potrzebowaliśmy tego, by nam kompletnie nie odjechało od tych wszystkich emocji.

- Będziecie mieli wyjątkowo nerdowskie dzieci, ale trudno.
- To już planujesz dla mnie potomstwo?
- Lepiej wcześniej planować niż wpaść, nie?

Ledwo rzuciłem tę myśl, uświadomiłem sobie, jak niefortunna była. Nadal nie wiedzieliśmy nic o ciąży Izy, mimo że to właśnie ona mogła być powodem jej ucieczki z domu. Ucieczki, która ostatecznie przerodziła się w porwanie lub coś gorszego.

Tak to w tej chwili widziałem. I wydawało mi się, że to dość logiczna rozkmina.

Do szpitala poszliśmy naokoło i wbiliśmy do budynku bocznym wejściem. Spodziewałem się, że ludzie Charona już na nas polują – a jeśli to oni tak urządzili babcię, z pewnością wiedzieli, że to właśnie tutaj najlepiej na mnie czekać.

Nikogo jednak nie namierzyliśmy i bez trudu dostaliśmy się do sali, w której leżała babcia. Oprócz niej leżakowały tu dwie inne kobiety, ale miałem to w dupie. Upewniłem się, że babcia czuje się na tyle dobrze, by rozmawiać, a potem przedstawiłem jej dziewczynę, z którą przyszedłem.

- Żaba – rzuciłem.

Babcia wciąż była blada, ale kiedy zobaczyła, kogo przyprowadziłem, od razu nabrała nieco kolorów.

– Przedziwne imię.

– Na imię ma Wiktoria, ale go nie lubi. Woli Wika, jeśli już.

Żaba podeszła bliżej i skłoniła lekko głowę. Poprawiła okulary, nieco zakłopotana.

– Nie mówiłeś mi nic o swojej lubej, Daruś.

– Babcia... błagam cię.

– Co znowu?

– To nie żadna luba – powiedziałem z nadzieją, że zdrobnienie umknęło Żabie. – Przynajmniej nie moja. Sojózka, jeśli już.

Babcia w końcu oderwała wzrok od Wiki i popatrzyła na mnie. Wydawała się nieco zawiedziona.

– Ach, rozumiem...

Żaba nadal się nie odzywała i wyglądała, jakby została wezwana do odpowiedzi ustnej przez nauczyciela, który chciał jej dopierdolić. No, przynajmniej tak mniej więcej wyobrażałem sobie jej minę w tej hipotetycznej sytuacji.

– Byliśmy u Mikulskich, babcia.

– Słucham?

– U rodziców Izy. Tej laski, która...

– Dziewczyny.

– Tak, tej dziewczyny, która zaginęła – poprawiłem się.

Czekaliśmy na jakąkolwiek reakcję, ale babcia miała twarz pokerzystki. Jeśli cokolwiek ją niepokoiło, nie sposób było tego dostrzec.

– Po co tam poszliście? – spytała.

Zimnokrwista istota, ale jednocześnie potrafiąca okazać więcej ciepła niż ktokolwiek, kogo znałem. Nie chciałem mieć takiego przeciwnika. W ogóle nie chciałem, by ona nim była.

A jednak w tej chwili musiałem ją tak traktować.

– Jedyne trop wiódł do ich domu – powiedziałem.

– Trop? A cóż wy, prowadzicie jakieś dochodzenie?

Wika w końcu zbliżyła się do łóżka i uśmiechnęła lekko.

– Staramy się pomóc – odezwała się cicho. – I spodziewaliśmy się, że od rodziców Izy dowiemy się czegoś, co mogłoby okazać się przydatne.

– To znaczy czego?

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Właściwie czegokolwiek – powiedziała Żaba. – Bo... widzi pani, okazuje się, że Iza była w ciąży.

Babcia była autentycznie zaskoczona, ale wydawało mi się, że tylko ja to wyczałem. Kojarzyłem jej reakcje na tyle dobrze, że pokerowa maska od czasu do czasu lekko prześwitywała.

Widocznie nie znała się zbyt dobrze z Mikulskimi. Przynajmniej nie na tyle, by wyjawili, że córce ktoś strzelił gola. Ale po co u nich była? Czego od nich chciała?

– Bożeż ty mój... – powiedziała cicho. – Przecież to jeszcze dziecko.

Oboje skinęliśmy głowami, jakby bulwersowało nas to w takim samym stopniu.

– To dlatego uciekła?

– Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć – odparła Żaba. – Ale państwo Mikulscy wyjechali.

– Wyjechali? Teraz, kiedy ich córka zaginęła?

Tym razem w reakcji babci nie zobaczyłem prawdziwego zdziwienia. Było udawane.

– To wydaje się niemożliwe – rzuciła.

– A jednak spalili wrotki – odparłem, przysiadając na łóżku.

– I policja nic nie zrobiła?

– Ano nie. Są w tym całkiem niezli.

Babcia posłała mi spojrzenie pełne niezadowolenia, które musiałem znosić za każdym razem, kiedy jechałem po służbach. Mundur z symbolem orła automatycznie wzbudzał w niej szacunek, choć nie bardzo rozumiałem dlaczego.

- Nie do pomyślenia... – powiedziała cicho.
- Nie do pomyślenia było to, co usłyszeliśmy od ich sąsiadki
- oznajmiłem.
- Czyli?
- Że widziałaś się z nimi, zanim wyjechali. Byłaś u nich, rozmawiałaś z nimi.

Najlepszy aktor w takiej sytuacji nie byłby chyba w stanie ukryć zdziwienia. Oczy babci się rozszerzyły, a usta rozchyliły. Zanim zorientowała się, że się zdradziła, było za późno. Nawet Wika zobaczyła chwilowe oszołomienie.

- Tej kobiecie musiało się coś...
  - Nic jej się nie pomyliło. Zna cię.
- Babcia pokręciła głową.
- To jakieś nieporozumienie, Daruś.

Pochyliłem się nad nią, starając się opanować. Nie było łatwo, bo uświadomiłem sobie, że osoba, która mnie wychowywała, właśnie skłamała mi prosto w oczy.

- Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś mi, że prawda boli tylko przez chwilę, a kłamstwo przez całe życie?

Oczywiście, że pamiętała. Powtarzała mi to nie raz i nie dwa. Właściwie wtłaczała mi to do głowy od wczesnego dzieciństwa z taką upartością, że nie potrafiłem nigdy porządnie jej naściemniać. Większość przypałów wychodziła na jaw, bo uznawałem, że babcia zasługuje na prawdę.

Oprócz tego była jak najlepszy śledczy, więc prędzej czy później i tak doszłaby, co i jak.

Teraz milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a ja patrzyłem jej prosto w oczy.

- Co tam robiłaś? – spytałem.

Z trudem przełknęła ślinę, a potem popatrzyła na dwie pozostałe pacjentki. Udawały, że nie przysłuchują się rozmowie, ale jedna z nich od kilku minut nie przewróciła

strony w gazecie, a druga nawet nie przyłożyła długopisu do krzyżówki.

W końcu się zorientowały, że obok rozwiązywane są ważne sprawy rodzinne, i wspaniałomyślnie zostawiły nas samych.

– Nie okłamuj mnie, babcia – powiedziałem.

Skinęła lekko głową.

– Dlaczego tam poszłaś? – dodałem.

– Musiałam sprawdzić, czy zaginięcie tej dziewczyny ma jakiś związek z tobą...

Żaba przysiadła po drugiej stronie łóżka, sprawiając wrażenie, jakby chciała posłużyć babci wsparciem.

– Czyli wiedziałaś, że psy... że policja mnie o coś podejrzewa?

– Nie. To powiedzieli mi dopiero rodzice Izy.

Popatrzyłem na Wikę, ale ona nadal skupiała się na babci.

– Więc skąd w ogóle pomyśl, że mam z tym coś wspólnego? – zapytałem.

Babcia nabrała głęboko tchu i podciągnęła się do wezgłowia. Przyszło jej to z takim samym trudem, jak wyduszenie kolejnych zdań.

– Stąd, że twoja matka doskonale wiedziała, z kim zaszła w ciążę.

– Co?

– Znała twojego ojca, ja i dziadek też.

– Zaraz...

– To Łukasz Mikulski, Daruś – powiedziała z trudem. – Ojciec Izy.

Poczułem potrzebę, żeby zerwać się na równe nogi, ale jednocześnie wydawało mi się, że odmówią mi posłuszeństwa. Przez moment nie potrafiłem się poruszyć.

– Ale... przecież... – wydukałem. – Całe życie popychano mi ściemę?

– To nie tak.

– Przecież tyle razy pytałem, do kurwy nędzy! – uniosłem się.  
– Próbowałem to od ciebie wyciągnąć, a ty przez te wszystkie lata leciałaś sobie w kulki? No ja pierdolę!

Wika spojrzała na mnie w sposób, który dobrze znałem. Nie musiała nawet się odzywać. Sam wzrok wystarczył, żeby mój rosnący wkurw nieco wyhamował.

– Dlaczego? Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Daruś...

– Ten cwel wiedział, że ma syna? – rzuciłem, kręcąc głową. – Na pewno wiedział. Przecież byłaś u niego.

– Chciałam...

– Kto jeszcze wiedział? Jego żona?

Zadawałem stanowczo za dużo pytań, nie dając jej szansy na odpowiedź. Potrzebowałem ochłonać, wyjść na fajka. Ale jednocześnie musiałem już w tej chwili poznać wszystkie odpowiedzi.

– Iza? – dodałem.

To by miało sens. Może dlatego napisała tamtego esemesa akurat do mnie. Jeśli zdawała sobie sprawę, że jestem jej przyrodnim bratem, może uznała, że też coś o tym wiem. I że pomogę jej chętniej niż jakiś przypadkowy typ.

– Posłuchaj... – odezwała się babcia. – Jego rodzina nic o tym nie wiedziała. Twoja mama zaszła w ciążę tydzień przed tym, jak Łukasz ożenił się z matką Izy.

Uniosłem dłoń, a potem spojrzałem na Żabę.

– Kiedy Iza ma urodziny? – spytałem.

– Dziesiątego lutego.

Trochę ponad tydzień po mnie. Pięknie. Oznaczało to, że Łukasz Mikulski zapłodnił dwie kobiety mniej więcej w tym samym czasie.

– Ja jebię... – mruknąłem. – To było podczas wieczoru kawalerskiego, prawda?

Babcia skinęła lekko głową.

– Więc moja matka była...

– Była dobrym człowiekiem, który musiał zmagać się z wieloma problemami. Problemami, które ją przerosły.

– Była dziwką? – rzuciłem.

Babcia nie musiała odpowiadać. Wstałem z łóżka i podszedłszy do okna, musiałem wesprzeć się o parapet. Po mojej głowie krążyły jedynie przekleństwa. Miałem ochotę rzucać mięchem i po prostu komuś wpierdolić.

– Obiecaliśmy sobie z twoim dziadkiem, że...

– Że nigdy mi nie powiecie o tym, że jestem dzieckiem kurwy.

Obróciłem się i pokręciłem głową. Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnę, ale kiedy tylko Żaba podniosła się i do mnie podeszła, część emocji opadła.

– On wie, tak? – zapytałem.

Potwierdziła zdawkowym skinieniem.

– I przez lata nic? Nawet słowem się nie odezwał?

– To nie jest typ człowieka, za jakiego mają go ludzie...

– I nie pozwalicie go o alimenty? – ciągnąłem z niedowierzaniem. – Przecież oni mają kwitu tyle, że się nim podcierają.

– Daruś...

– Przestań – syknąłem.

Rzadko zdarzało mi się odnosić do niej w taki sposób – i zawsze szybko tego żałowałem. Teraz też.

– Nie chcieliśmy niczego od tego człowieka – powiedziała babcia. – Poza tym to znany prawnik i...

– I co? Badania DNA by chyba nie sfałszował?

Rozumiałem, że zrobiłby niezły gnój, ale tym bardziej należało go docisnąć. Najwyraźniej jednak dziadkowie uznali, że nie warto.

– Nie chciał mieć z tobą nic wspólnego – dodała ze smutkiem babcia. – I dzięki Bogu, bo to naprawdę ktoś, od kogo trzeba

trzymać się z daleka.

– Skąd wiesz? Znasz go? – rzuciłem oskarżycielsko. – Nie, bo nawet moja matka nie miała za bardzo okazji go poznać. Zdążyła tylko dać mu dupy na wieczorze kawalerskim.

– Deso... – włączyła się w końcu Żaba. – Nie denerwuj się.

– Jak mam się nie denerwować? Słyszysz w ogóle to wszystko?

– Słyszę.

Krótką, spokojną i do bólu oczywistą odpowiedź z jakiegoś powodu sprawiła, że emocje znów nieco opadły. Swoim spokojem Wika uświadomiła mi, że niepotrzebnie łapię tripa.

Ostatecznie jakie to wszystko miało znaczenie? Urodziłem się, zostałem wychowany przez babcię, a tu i teraz byłem tym samym człowiekiem, który jeszcze przed momentem nie wiedział o kilku sprawach.

W dodatku miałem przyrodnią siostrę. Siostrę, która zaginęła.

– Gdzie są Mikulscy, babcia? – zapytałem. – Dokąd pojechali?

Natychmiast się nachmurzyła, a wszystkie zmarszczki na jej twarzy się uwydatniły.

– Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby z nim o tym rozmawiać.

– Mam go w dupie – rzuciłem. – Chcę znaleźć Izę i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. A tylko oni mogą mieć odpowiedzi.

Babcia popatrzyła na Żabę, a ta pokiwała głową.

– To bardzo by nam pomogło – powiedziała Wika. – Bardziej, niż pani sądzi.

– Dlaczego?

Już otwierałem usta, ale Żaba mnie uprzedziła.

– Bo wpakowaliśmy się w coś, co nas przerasta.

– I Iza może pomóc wam się z tego wydostać?

– Niewykluczone. A już z całą pewnością pomoże nam lepiej to wszystko zrozumieć.

Dla babci było to niewystarczające. Starła się wyciągnąć nieco więcej najpierw z Wiki, potem ze mnie. Żadne z nas nie miało zamiaru zdradzać niczego, co wiązało się z Charonem. Oznajmiliśmy tylko tyle, że w inny sposób naprawdę nie wygrzebiemy się z bagna, w które się władowaliśmy.

Ale czy Iza rzeczywiście mogła nam w jakikolwiek sposób pomóc? Wątpiłem w to. Pewnie, była związana z całą sprawą, ale to nie znaczyło, że cokolwiek od niej zależało.

Chciałem ją znaleźć przede wszystkim dlatego, że doprowadzałem sprawy do końca. W dodatku wciąż nie wiedziałem, czy może liczyć na kogokolwiek innego.

Żaba odegrała to przed babcią jednak całkiem dobrze. Wiarygodnie, jakby faktycznie była absolutnie pewna, że Iza może nam pomóc.

– Wiem tylko, że pojechali do jakiejś niewielkiej miejsciny na wschodzie – powiedziała w końcu babcia. – Nazwa od Żeromskiego... Chyba Żeromice. Tak, tak, na pewno. Wydaje mi się, że to województwo lubelskie.

Wika zapisała nazwę w telefonie i podziękowała tak, jakby babcia właśnie uratowała nam tyłki. Wystawiła wprost perfekcyjne przedstawienie w swoim małym teatrze.

Tyle że nie była dobrą aktorką.

Ledwo to sobie uświadomiłem, zrozumiałem, że z jakiegoś powodu naprawdę jest przekonana, że Iza nam pomoże.

## 29

Nie byłem gotowa przedstawić Desowi mojego toku rozumowania, jeszcze nie teraz. Udało mi się przekonać go, że po prostu dobrze gram przed jego babcią i w istocie nie widzę

żadnego związku między zaginięciem Izy a naszym problemem z Charonem.

Byłam jednak pewna, że moja przyjaciółka mogła okazać się naszym ratunkiem.

Jedyny problem stanowiło to, jak dostać się aż pod Zamość. Deso rzucił, że pojedziemy seicento, ale nie byłam do tego pomysłu nastawiona zbyt optymistycznie. Auto było w opłakanym stanie. No i ostatnim, czego chciałam, było zatrzymanie Darka za jeżdżenie bez prawka.

Jednocześnie czas naglił. A my nie powinniśmy zostawać na osiedlu RZNiW ani chwili dłużej.

– Wyjście jest tylko jedno – oznajmił Deso, kiedy wyszliśmy niepostrzeżenie ze szpitala.

– Że podrzuci nas któryś z twoich kolegów?

– Nie. Oni wszyscy będą teraz na celowniku. Potrzebujemy kogoś, kto nie jest ze mną kojarzony.

– I kto ma prawo jazdy.

Nie uśmiechało mi się podróżowanie pociągami, szczególnie że Mikulscy mogli przecież zmienić miejsce, a my stracilibyśmy mnóstwo czasu.

– Gegrofruzia – rzucił Deso.

– Hm?

– Sorry, wy chyba jej tak nie nazywacie. Ewelina, nasza nauczycielka geografii.

– Pani Blusiewicz?

– Tak z kolei żaden z nas na nią nie mówi...

Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Kobieta miała takie kształty i kości policzkowe, że niewiele brakowało, a oprócz chłopaków wdychałyby do niej także dziewczyny.

– Ale ona...

– Pomoże nam – przerwał mi Deso.

– Skąd ta pewność?

– Mamy dobre układy – odparł pod nosem, a potem wyjął komórkę. – Kurwa, zapomniałem. Karta mi się skończyła. Dasz zadzwonić?

Podaliśmy mu swój telefon bezmyślnie. Przepisał numer, a potem go wybrał. Przysłuchiwałam się rozmowie z coraz większym niedowierzaniem, bo pasowała bardziej do dwójki dobrych przyjaciół niż nauczycielki i ucznia.

Kiedy Darek oddał mi komórkę, nadal nie potrafiłam objąć tego umysłem.

– Znamy się przez wspólnych znajomych – rzucił.

– Ty i nasza nauczycielka geografii?

– Przestaniez? – odparł Deso. – Jesteś rozregulowana bardziej niż taktyka Janasa w meczach eliminacji.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie, bo zaczynały mi się układać w głowie jedyne logiczne wytłumaczenia powodu, dla którego pani Blusiewicz tak szybko zgodziła się zawieźć dwoje swoich uczniów na Lubelszczyznę. Nie, zaraz, Deso nie wspomniał nic o mnie. Musiała być przekonana, że jedzie tylko z nim.

– O Boże... – jęknęłam. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć...

– Niczego nie chcę ci powiedzieć. Znamy się, to tyle.

– Ale...

– Przestań robić z dupy kościotrupy i chodź – uciał.

– Dokąd?

– Do niej do domu.

Wydawało mi się, że niewiele brakowało, bym zakrztusiła się powietrzem.

– Że co?

– Tylko na chwilę, bo musi jeszcze coś ogarnąć. Poczekamy moment, a potem jedziemy.

Nie wierzyłam w to, co robię.

Miałam nie tylko zniknąć na jakiś czas, nie mówiąc nic rodzicom, ale i wplątać w to wszystko jedną z moich

nauczycielek. Jak do tego doszło? Jakim cudem znalazłam się w aż tak opłakanej sytuacji?

Nie miałam dużo czasu na zastanowienie, bo dziesięć minut później drzwi do swojego mieszkania otworzyła nam pani Blusiewicz. Popatrzyła na Desa dość neutralnie, a potem wbiła przerażony wzrok we mnie.

– Zwariowałeś? – rzuciła.

– Mówiłem ci, że to sprawa życia lub...

– To jakaś zabawa, tak? – dodała szybko. – Wkręcacie mnie w coś?

Jeszcze przez moment próbowała udawać, że tak naprawdę nie wie, co się dzieje i co Darek tutaj robi. Odgrywała tę scenkę specjalnie dla mnie, co potwierdziło moje przypuszczenia, że między nią a Desem coś było.

Niewiarygodne. Wprawdzie po szkole chodziły różne plotki na jego temat, ale sądziłam, że są rozsiewane przez niego samego, bo chciał uchodzić za maczo. Tymczasem on w istocie sypiał z naszą nauczycielką.

W końcu wpuściła nas do środka, a potem razem z Darkiem poszli na stronę. Przypuszczałam, że tłumaczy jej, iż tak naprawdę nic mi nie powiedział. A oprócz tego zapewnia, że to dla nas faktycznie być albo nie być.

Musiał być przekonujący i nieźle ją przestraszyć, bo ostatecznie się zgodziła. Kazała nam poczekać w jednym z pokoiów, a potem wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Deso od razu usiadł przed komputerem.

Bez choćby chwilowego zastanowienia wpisał hasło do systemu.

– Mógłbyś chociaż udawać, że nigdy tu nie byłeś...

Obejrzał się przez ramię, ale nie skomentował.

– Zresztą nieważne – dodałam. – Powiedz mi przynajmniej, gdzie jest toaleta.

– W prawo i prosto. Drzwi po lewej stronie.

– Dzięki – mruknęłam.

Kiedy wróciłam, akurat włączał GG. Zalogował się na swój profil i oboje zobaczyliśmy, że czekało na niego mnóstwo wiadomości. W tym jedna od numeru 1703903.

– Co pisze? – spytałam szybko.

Deso odchrząknął, a ja się nachyliłam, by samej zobaczyć treść.

– „Widzisz, gnojku?” – odczytał początek wiadomości. – „Mówiłem ci, żebyś nie ruszał tego jebanego towaru. Teraz ty i Żaba macie przepierdolone jak stąd do wieczności”.

Wzdrygnęłam się na samą myśl, że ktoś śledzi nas na tyle skrupulatnie, by znać każdy nasz ruch. Kim był ten człowiek?

Spojrzałam na dalszy ciąg.

„Nie szukajcie Mikulskich. Nie grzebcie w tej sprawie”.

Jezu, on naprawdę wszystko wiedział.

„Nie ja zabrałem waszą kasę. I nie ja podpierdoliłem wam towar.

Jestem po waszej stronie, rozumiecie?

I mogę wam pomóc tylko, jeśli będziecie robić to, co mówię.

Nie wyjeżdżajcie z miasta, Charon znajdzie was wszędzie.

Jedyny ratunek to oddanie mu kasy i odpracowanie ujmę na honorze.

Rozumiecie?”

Oboje skończyliśmy czytać w tym samym momencie. Wpatrywaliśmy się w monitor w milczeniu, nie mając pojęcia, jak to wszystko rozumieć.

– To nie może być Charon – odezwał się Deso. – Nie bawiłby się w takie rzeczy.

– W takim razie kto?

– Ktokolwiek to jest, najwyraźniej to on zajebał nam towar.

– Twierdzi zupełnie odwrotnie.

– Taaa... Chuja w rączki i dwa pączki – mruknął Deso. – Wiedział o wszystkim. Śledził nas i najwyraźniej widział, gdzie

skitraliśmy szuwaks.

Mieliśmy nieco lepszy obraz tego człowieka. Wcześniej nadawca używał form bezosobowych, teraz ujawnił się jako mężczyzna, a poza tym pisał do Desa „gnojku”, więc najprawdopodobniej był starszy. Choć z drugiej strony mogła być to przecież zmyłka.

– Kto to może być, Deso? – spytałam bezsilnie. – Zaporowski?

Darek obrócił się na krześle i spojrzał mi w oczy.

– Nie wykluczam – rzucił. – Gość jest w piździec podejrzany. Pozwolił Mikulskim dać dyla i nawet się o tym nie zająknął, jak się z nim widziałem. A musiał już o tym wiedzieć.

– To żaden dowód.

Deso podniósł się i wyciągnąwszy paczkę fajek, uchylił okno. Zapalił i zaciągnął się głęboko.

– No dobra – bąknął. – To kto, jak nie on?

– Może któryś z twoich kolegów?

Darek prychnął cicho.

– Pinky prędzej włożyłby ortalion i wbił na wixę, niż mnie wystawił. Ręczę za niego, bo to...

– Spoko ziomek profanator – dokończyłam. – Tak, tak, wiem. A Kunglao i Myszon?

Deso wzruszył ramionami i wypuścił dym na zewnątrz.

– Nie podejrzewasz ich?

– Bądźmy szczerzy, to frajerzy.

– Aha. To wszystko tłumaczy.

– W sensie moje dobre ziomki, ale jednak częściowo leszcze i trochę kabany. Byliby gotowi coś takiego odstawić, ale nie potrafiliby tego zrobić.

A jednak ta osoba musiała być naprawdę blisko, by nieustannie trzymać rękę na pulsie. Usiadłam przed komputerem i napisałam wiadomość.

– Co robisz? – rzucił Deso.

– Pytam anonima, kim jest.

– Bankowo ci odpowie.

Rzuciłam Darkowi krótkie spojrzenie.

– Im więcej napisze, w im dłuższą konwersację go wciągniemy, tym lepsza szansa, że dowiemy się czegokolwiek – powiedziałam. – I może dzięki temu, co wie, ustalimy, w jakich okolicznościach zdobył informacje. I dzięki temu odkryjemy, kim jest.

– Jasne.

Spojrzałam na monitor w oczekiwaniu na odpowiedź. Użytkownik był niedostępny, ale podskórnie czułam, że widzi, co piszę.

„Czego chcesz?” – dodałam.

Chciałam dorzucić jeszcze pytanie o to, w jaki sposób niby może nam pomóc, ale uznałam, że na to za wcześnie. Rozmówca i tak był górą, nie powinnam dawać mu teraz dodatkowego poczucia wyższości.

– Może źle to kminimy? – spytał Deso. – Może to ktoś z twojego otoczenia?

Uśmiechnęłam się na samą myśl.

– Pewnie ktoś z Hordy – zasugerowałam. – Olga, Ula czy Anita? Na kogo stawiasz? A może moi rodzice?

Darek zaciągnął się płytko i tym razem nie pofatygował się, by wypuścić dym na zewnątrz.

– Nikogo innego w moim otoczeniu nie ma – ciągnęłam. – Dla większości ludzi jestem jak Bir Tawil.

– Eee...

– Najprawdziwsza *terra nullus*, ziemia niczyja. Obszar trapezu o powierzchni jakichś dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych między Egiptem i Sudanem. Nikt go nie chce, a rządy obydwu tych państw twierdzą, że należy do drugiego.

– Eee... – powtórzył Deso.

- Ja mam podobne powodzenie wśród ludzi, gdybyś nie zauważył.

- Nie przeginaj - odparł pod nosem, a potem wyrzucił papierosa przez okno. - Dla mnie jesteś jak Arktyka.

- Taka chłodna, co?

- Taka cenna, że wszyscy wokół zgłaszają do ciebie roszczenia terytorialne.

Chyba sam się poniewczasie zorientował, jak to zabrzmiało. Mój wzrok automatycznie się do niego przykleił, nie potrafiłam odwrócić go nawet, kiedy poczułam, że policzki mi płoną. Deso był równie skołowany.

Miał rację co do statusu geopolitycznego Arktyki - ani chybi za sprawą swojego przyjaciela. Może naprawdę powinnam zainteresować się tym chłopakiem. A może oboje powinniśmy...

- Sojóz - rzuciłam nagle. - On o wszystkim wiedział, prawda? O miejscu, gdzie ukryłeś narkotyki, i tak dalej?

Darek potrząsnął lekko głową, jakby budził się z chwilowego letargu.

- Oddałby za mnie życie, a ja za niego.

- Jesteś pewien?

- No raczej.

Wydawał się urażony samym pytaniem i chciał coś dodać, ale nagle drzwi się otworzyły. Pani Blusiewicz pokręciła głową z niezadowoleniem, a potem skinęła na nas ręką.

- Zostaw okno uchylone - bąknęła.

Po chwili opuściliśmy jej blok, wciąż ostrożnie się rozglądając. Miałam wrażenie, że wszyscy nam się przypatrują i tylko czekają na to, by powiadomić Charona.

Wsiedliśmy do czarnego opla corsy bez słowa, a potem opuściliśmy osiedle RZNiW. Deso zajął miejsce pasażera z przodu, ja usadziłam się na środku tylnej kanapy. Czułam

się trochę nie na miejscu, ale wolałam widzieć drogę przed nami.

Nie mogłam opędzić się od myśli, że popełniam błąd za błędem. Może należało zupełnie inaczej podejść do tych wszystkich problemów. Poinformować policję, a potem pozwolić, żeby Zaporowski i reszta się tym zajęli.

Musiałabym jednak przyznać się do przechowywania narkotyków i próby sprzedaży. A to raczej przekreśliłoby wszystkie moje plany na przyszłość.

Chwilę po tym, jak wyjechaliśmy z miasta, rozległ się dzwonek komórki Desa.

– Rejson – powiedział.

Przez chwilę tylko słuchał, co rozmówca ma do powiedzenia, stopniowo błędząc.

– Kurwa, jesteś pewien? – rzucił w końcu.

Odpowiedź kolegi bynajmniej go nie ucieszyła.

– Dobra, dzięki. Nara.

Odłożył komórkę, a potem spojrzął na mnie w lusterku.

– Ludzie Charona już nas szukają – powiedział. – Rejson mówi, żebyśmy nie wracali do domów, bo nas dopierdolą.

Zamknęłam oczy. Czas chyba zacząć modlić się o to, by w Żeromicach były jakieś odpowiedzi.

## 30

Przekonywanie Żaby, by na czas tego wypadu mówiła do Eweli po imieniu, było daremne, ale nie miałem zamiaru spędzać tylu godzin w aucie na słuchaniu, jak tytułuje moją byłą „panią profesor”. Z jakiegoś powodu brzmiało to jak rozruch przed jakąś erotyczną gierką.

Po tym, jak dobiliśmy do Żeromic, nie musieliśmy zbyt długo szukać hotelu, w którym zadekowali się Mikulscy. Wystarczyło

obrać kurs na najdroższy, znajdujący się w samym rynku, wypasiony przybytek.

Wszamaliśmy na szybko jakieś ciasta w kawiarni przy ratuszu, a potem wyszliśmy na starówkę. Była zaniedbana, władzom miasta ewidentnie nie uśmiechało się inwestować w nią żadnego hajsu.

Niektórzy mówili, że teraz, po wejściu do Unii, takie rzeczy się zmieniają. Ja nie dawałem temu wiary. Może i z krajów Zachodu popłynie trochę kwitu, ale co za różnica? I tak będzie trafiał do tych samych kielni, co do tej pory.

Politycy dalej będą się bogacić i kręcić krzywe akcje jak ta z Rywinem, a reszta będzie udawać, że nie potrzebuje droższego zegarka, bo każdy przecież pokazuje ten sam czas.

Spojrzałem na plakat wyborczy jakiegoś ciecica, który przyklejono na słupie z ogłoszeniami. Michał Ozga kandydujący do rady miasta z ramienia Unii Republikańskiej. Szczęrzył się, kurwa, jak pedofil na placu zabaw i zapewniał, że czas na zmiany w mieście.

Jasne. Na takich haselkach nie zajedzie daleko. Zerwałem kawałek plakatu, a potem poszliśmy w kierunku hotelu.

– Jaki jest plan? – odezwała się Żaba. – Tak po prostu tam wejdziemy i zapytamy o Mikulskich?

– Nie – odparłem. – Wbijesz sama, przedstawisz się jako siostrzenica i poprosisz o numer pokoju.

– Ja?

– Wyglądasz najniewinniej.

Ja w bluzie z kapturem i szerokich spodniach z pewnością nie mogłem tam wjechać. Ewela pewnie bez problemu przekonałaby obsługę, o ile ta składałaby się z samych facetów. W przypadku kobiet mogłoby być gorzej.

Ale Wika powinna wzbudzić zaufanie u każdego.

– Jak nie będą chcieli podać, powiesz, żeby poprosili Mikulskich o zejście do holu. Czaisz?

– Czaję.

– Dasz radę?

Skinęła głową, po czym weszła do środka. Zostałem na zewnątrz z Ewelą i spodziewałem się, że będziemy kontynuować rozmowę, którą urwaliśmy po drodze. Ilekroć zatrzymywaliśmy się na opróżnianie pęcherzy i byliśmy chwilę sami, zaczynała robić mi jazdę za to, że zabrałem Wikę.

Teraz nie było inaczej.

– Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli ona komuś powie? – rzuciła Ewelina.

– Ale co powie? Że pojechaliśmy do jakiejś zapadłej wiochy?

– Nie jest głupia. Widzi przecież, że coś między nami jest.

– A jest?

– Że było – poprawiła się Ewela i nerwowo przeczesła włosy.

– Oboje będziemy mieć przesrane.

– Ja i tak mam.

– I chcesz, żebym ja też miała?

Zbliżyłem się do niej i położyłem ręce na jej biodrach. Widziałem, że w pierwszej chwili chciała je odrzucić, ale ostatecznie tylko lekko zadrżała.

– Nie chcę – powiedziałem.

– To chyba zapomniałeś, ile lat grozi za współżycie z nieletnim.

– Przypominam sobie o tym co jakiś czas i za każdym razem mam taki wzrost popytu w spodniach, że...

Odrzuciła moje ręce, a ja próbowałem się nie roześmiać.

– Sorry – rzuciłem. – Nie mogłem przegapić takiej okazji.

– Pierdol się, Deso.

– Daj spokój. Żaba nic nie wyczai, a nawet gdyby, nie będzie wiedziała, czy do czegoś doszło, czy tylko ze sobą kręciliśmy.

Nie wyglądała na przekonaną. Pewnie przypominała sobie wszystkie lekcje, podczas których Wika nadawała jak najęta podczas odpowiedzi. Czasem wiedziała więcej niż Ewela

i zdawali sobie z tego sprawę chyba wszyscy – nawet ci, którzy zamiast słuchać, rżnęli w piłkarzyki w zeszytach w kratkę.

– Zresztą jak przyjdzie co do czego, Żaba się nie rozpruje.

– Co?

– Nikomu nic nie zdradzi, luz.

Ewelina pokręciła głową z irytacją, a ja uświadomiłem sobie, że wypadałoby okazać jej trochę wdzięczności za to, że nas tu przywiozła. Niby robiła to, by pomóc znaleźć jedną z uczennic, ale oboje wiedzieliśmy, że prawdziwy powód był inny.

Wika w końcu wyszła z recepcji i skinęła na nas ręką.

– Czekają na dole – powiedziała. – Chodźcie.

– Ja zostaję – odparła Ewela.

– Hę? – rzuciłem.

– Musicie zrozumieć. Nie mogę pozwolić, żeby rodzice mojej uczennicy widzieli, że wożę po kraju dwoje innych uczniów.

– A, no tak – odparłem, a potem ruszyłem przed siebie.

Miałem wrażenie, że Żaba to kupiła, ale na tym etapie pewnie przyjęłaby każdą wersję, byleby nie musieć się nad tym wszystkim zastanawiać i móc zająć się ważnymi sprawami.

Wszedłem do środka powoli, jakby coś mogło mi tu zagrozić. Zobaczyłem Mikulskich już z oddali. Siedzieli przy kawie, gadali, całkowicie skupieni na sobie. Nie wyglądali jak rodzice dziewczyny, która zaginęła.

– Co im powiedziałaś?

– Że mamy dla nich informacje – odparła cicho Żaba. – Tak ważne, że musieliśmy tutaj przyjechać, żeby im je przekazać.

– Łyknęli to?

– Chyba nie.

Zastanawiałem się, czy z ich punktu widzenia jesteśmy dwójką uczniów szukających sensacji, czy może znajomymi Izy, którzy chcą pomóc w odnalezieniu jej.

Podeszliśmy do nich, a ja wbiłem wzrok w Mikulskiego.

Mój jebany ojciec. Człowiek, który nie miał nawet na tyle rozumu, żeby przypadkową dziwkę na swoim wieczorze kawalerskim wyruchać w gumie. Człowiek, który wyrzekł się mnie praktycznie od razu, a potem zapomniał o moim istnieniu.

Zerknął na Wikę, a potem na mnie. Byłem pewien, że mnie nie rozpoznał.

Logiczne. Przecież nie śledził, co się ze mną dzieje. Nie oglądał moich zdjęć, nigdy mnie nie spotkał. Na szkolnych przedstawieniach ani innych bzdurach się nie pojawiał, matka Izy zawsze była sama. Teraz przynajmniej wiedziałem dlaczego.

Kobieta podniosła się, podała nam rękę i uśmiechnęła się lekko. Po chwili chyba ogarnęła, że nie powinna demonstrować takiej pogody ducha i banan od razu znikł z jej twarzy.

– To naprawdę niesamowite, że przejechaliście za nami tyle kilometrów – powiedziała.

Mikulski skinął głową, a potem łaskawie wskazał nam krzesła po drugiej stronie stołu. Usiedliśmy na nich z Żabą, a ja nie odrywałem wzroku od ojca.

– Skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać? – spytał.

Wika popatrzyła na mnie, czekając, aż coś wymyślę. Miałem już gotową wersję zdarzeń, więc odpowiedziałem bez wahania.

– Od psów.

– Psów?

– No – potwierdziłem. – Podkomisarz Zaporowski był u nas w szkole, przesłuchiwał mnie. Podpytałem go o to i owo i chlapanął, że pojechaliście do Żeromic.

Patrzyłem na nich uważnie, starając się ocenić, czy ta wersja jest dla nich do przyjęcia, czy nie. Najwyraźniej była, bo nie wydawali się ani trochę zaskoczeni.

Zaporowski musiał więc wiedzieć o ich wyjeździe.

Co to konkretnie oznaczało, jeszcze nie ogarniałem. Spodziewałem się jednak, że prędzej czy później wszystko rozkminię – potrzebowałem jeszcze tylko kilku elementów.

– Nie chciał mi tylko powiedzieć, co tutaj robicie – dodałem.

Łukasz Mikulski chrząknął z niezadowoleniem. Wnerwiało go, że nie zwracam się do nich właściwie, ale mnie przynosiło to trochę satysfakcji.

– To trochę dziwne, że zamiast czekać w domu na powrót Izy, pojechaliście do innego miasta – kontynuowałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, chłopcze? – rzucił Mikulski.

– Nic.

Zaległo milczenie, które przerwała dopiero kelnerka, pytając, czy coś podać Żabie i mnie. Podziękowaliśmy, bo nie mieliśmy zamiaru tracić czasu na pierdoły.

– Zanim jednak powiemy wam, z czym przyjechaliśmy...

– Nikt cię nie nauczył kultury? – przerwał mi ojciec.

– Nie miał kto.

Chciałem dodać coś jeszcze, ale Wika położyła mi dłoń na ramieniu i jak zawsze mnie uspokoiła.

– Jesteśmy tutaj, bo podobno... – zaczęła Mikulska.

– Ktoś widział tu Izę – dokończył za nią mój ojciec.

Spojrzeliśmy po sobie z Żabą.

– Jak to? – wypaliła. – Tutaj? Naprawdę?

– Kto?

Nasi rozmówcy milczeli, zachowując całkowity spokój. On napił się kawy, ona wytarła kilka kropel ze swojej filiżanki. Ewidentnie jebnięci ludzie i ani trochę się nie dziwiłem, że Iza zdecydowała się dać dyla.

– Jakiś człowiek skontaktował się z nami przez kancelarię – odezwał się w końcu Mikulski. – Napisał maila, w którym twierdził, że widział tutaj Izę.

– I? – rzuciłem. – Daliście znać pałom? Zrobiliście coś?

– Wsiedliśmy w samochód i przyjechaliśmy.

– Dlaczego?

Patrzyli na mnie z pretensją, jakbym zaserwował im jakiś paszkwil.

– Mogliście powiadomić psiarnię. Tak zrobiłby każdy, kto...

– Możesz mówić normalnie, chłopcze? – przerwał mi ojciec. – Bo momentami mam wrażenie, jakbym znalazł się w zakładzie karnym.

A żebyś tam, kurwa, skończył.

– Wiadomka – odparłem. – Więc czemu nie powiadomiliście policji?

– Nie mamy do nich zaufania.

Gówny prawda, Zaporowskiego trzymacie na smyczy.

– To zupełnie tak jak ja – rzuciłem. – Mamy jednak ze sobą więcej wspólnego, niż myślałem.

Znów napił się kawy i protekcjonalnie westchnął. Zastanawiałem się, czy aby na pewno mnie nie kojarzy. Może już coś rozkminił? Może chociaż podejrzewał?

Chciałem pociągnąć temat braku zaufania do policji, ale moja ciekawość była większa.

– Wiecie, że chodzimy z Izą do klasy? – spytałem.

Spojrzeli na Żabę.

– Cóż, wiemy, że Wiktorია jest jej koleżanką, ale o tobie chyba nie słyszeliśmy – odezwała się Mikulska.

– Poza tym się nie przedstawiłeś, chłopcze.

– Deso – odparłem.

Nie miałem zamiaru wykladać wszystkich kart już po pierwszej rundzie. Jeśli ojciec tylko coś podejrzewał, to wolałem, żeby pożył trochę w niepewności.

– Dlaczego nie ufają państwo policji? – zapytała Wika.

– Bo dotychczas nie zrobili nic, by na to zaufanie zapracować – odparł Mikulski. – Dopiero niedawno dopuścili możliwość, że Iza zaginęła, a nie uciekła.

- Powaga? - rzuciłem. - Z tymi wszystkimi koneksjami prawniczymi nie udało wam się pociągnąć za odpowiednie sznurki?

Ojciec przewrócił oczami, a jego żona popatrzyła na mnie jak na kogoś, kto nie ma bladego pojęcia, jak działa świat.

Wiedziałem o tym, kurwa, lepiej od nich. W przeciwieństwie do nich zdawałem sobie sprawę, że jak się nie ma hajsu, trzeba mieć znajomości. Że w banku bogaty dostaje premię za to, że się nachapał, a biednemu dopierdolą, by wyrównać sobie bilans. Że biedny odwali kitę, zanim dostanie się do lekarza, tymczasem bogaty zostanie przyjęty z biegu ze stłuczonym paznokciem. I że jak znasz dyrektora liceum, to twoja córka będzie miała zajebisty start, jak nie, pożegnaj się z perspektywami. A był to dopiero początek - prawdziwe koneksje zaczynały się liczyć dopiero w momencie, kiedy wchodziło się na rynek pracy.

Przyjęcie? Tylko po znajomości. Awans? Zakładając, że nie dasz komuś dupy, potrzebny znajomy na górze.

Niech chuj strzeli wszystkich takich jak Mikulscy. I dzięki Bogu, że ten cwel się mnie wyrzekł.

- Mniejsza z tym - rzuciłem. - Przyjechaliśmy, bo mamy wam coś do powiedzenia.

- Co takiego? - spytała Mikulska.

Żaba otworzyła usta, ale nie miałem zamiaru dać jej szansy na przekazanie wieści w uprzejmy, łagodny sposób. Chciałem rzucić na nich bombę i sprawdzić, czy spierdolą do schronów.

- Iza jest w ciąży - oznajmiłem.

Najpierw spojrzeli po sobie, a potem utkwili wzrok we mnie. Żadnego „co?!”, żadnego „słucham?”, nic. Nie odzywali się.

Dopiero po chwili ona potrząsnęła lekko łepetyną. Mikulski wyglądał jak świnia, która wjechała się w pomidory.

- Przecież to... - zaczęła kobieta. - To absolutnie niemożliwe.

– Niestety jesteśmy tego pewni, proszę pani – odezwała się Żaba. – Rozmawialiśmy z dziewczyną, której Iza się do tego przyznała.

– Ale... ale...

Mikulska w poszukiwaniu ratunku spojrzała na męża, ale on zdawał się zbyt zszokowany, by cokolwiek wydusić. Nie mogłem przesądzić, czy gra, czy rzeczywiście trudno mu się pozbierać.

– Nie wiemy z kim – dodała Wika. – I obawiam się, że nie dowiemy się, dopóki nie zapytamy o to Izy.

– Albo was – rzuciłem.

– Co takiego? – spytała Mikulska.

– Zakładam, że o tym wiedzieliście, bo dziewczynie mieszkającej z wami pod jednym dachem raczej trudno byłoby to ukryć. Nawet gdybyście nie słyszeli porannego spawania, czulibyście smród rzygów.

Nie mogłem mieć co do tego pewności. W mieszkaniu takim jak moje z pewnością nie uszłoby to niczyjej uwagi. Nie mogłem nawet głośniej pierdnąć w kiblu, kiedy u babci były jakieś znajome z kościoła. W rezydencji Mikulskich moja siostra mogła jednak do woli puszczać bełty i nikt by się nie zorientował.

– Zresztą Żaba twierdzi, że Iza by wam o wszystkim powiedziała, nie zatrzymywałaby tego dla siebie – kontynuowałem. – Szukałaby u was wsparcia, bo zawsze dobrze się o was wypowiadała. A jednak z jakiegoś powodu nie zająknęliście się o tym przed Zaporowskim, więc...

– Dość tego, chłopcze – rzucił Mikulski. – Jesteś z siebie zadowolony? Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy? Coś ci powiem, bo najwyraźniej nie ma nikogo, kto by ci to wyjaśnił. Jesteś bystry jak woda w kiblu, rozumiesz?

– Na tyle bystry, żeby spokojnie splukać takie gówno jak ty.

Ojciec chciał się podnieść, ale jego żona szybko go powstrzymała, kładąc mu rękę na udzie.

– Spokojnie – powiedziała. – Nie daj się sprowokować.

– Więc mam pozwolić, żeby ten szczył...

– Starają się tylko pomóc.

Mikulski zacisnął usta, próbując się opanować. Nie miałem złudzeń, że gdybyśmy byli sami, już byśmy szli na solo. Nie miałbym nic przeciwko. Kapiszon kozaczył teraz, ile mógł, ale pewnie nikomu w życiu nie dał po ryju. Nie wiedziałby nawet, jak się do tego zabrać.

Kiedy niespodziewanie się podniósł, pomyślałem, że ma zamiar zaryzykować. Oznajmił jednak tylko, że zaraz wraca, a potem poszedł w kierunku toalety. No tak.

– Przepraszam, ja też skorzystam – odezwała się Mikulska.

Poszli na naradę, a my zostaliśmy sami, nie wiedząc nawet, od czego zacząć analizowanie tego wszystkiego. Zdążyliśmy rzucić kilka ogólnikowych spostrzeżeń, zanim rodzice Izy wrócili. Wyglądało na to, że ojciec nieco się uspokoił.

– No... – rzuciłem. – To komu już świstak z nory wychodził?

– Słucham? – spytała Mikulska.

– Kogo tak przycisnęło, że nie mógł dłużej...

– Daj spokój – poprosiła Żaba.

Spasowałem, a Mikulscy zajęli swoje miejsca. Przez chwilę nam się przyglądali.

– Nie wiedzieliśmy nic o ciąży – odezwała się pojednawczym tonem kobieta. – I gdyby nie to, że ty nam to mówisz, Wiktoria, nawet bym w to nie uwierzyła...

Ojciec lekko skinął głową. Po wcześniejszej złości nie było już śladu – może zorientował się, że chcemy pomóc, a może po prostu sobie to wyreżyserowali.

– To wszystko jest absurdalne – powiedział.

– Nasza córka nie mogłaby, nie byłaby w stanie... – dukała Mikulska.

Tym razem to on położył jej rękę na ramieniu i starał się ją uspokoić. Nie była to przesadzona, teatralna ani nieszczerza reakcja. Wydawała się naturalna. Zupełnie taka, jaką widywało się u wszystkich par żyjących w długoletnich związkach.

– Myślicie, że to z powodu ciąży uciekła, tak? – zapytała matka Izy.

– Taki jest logiczny wniosek – odezwała się Żaba.

– Ale dlaczego by nam nie powiedziała?

– Może się bała – odparłem bez zastanowienia.

Widziałem, jak ciężar tej świadomości osiada powoli na ich barkach. Zaczynali zdawać sobie sprawę, że to być może przez nich Iza podjęła decyzję o ucieczce. I że właśnie to doprowadziło do sytuacji, w której ktoś napadł ją po opuszczeniu Incydentu.

– Nie miałyby czego się bać – rzucił Mikulski. – Poza tym...

Urwał, kiedy rozległ się standardowy dzwonek nokii. Ojciec od razu sięgnął do kieszeni, wyjął telefon i przyłożył go do ucha. Przez chwilę słuchał tak uważnie, jakbyśmy nagle gdzieś znikli.

– Tak, rozumiem – powiedział. – Tutaj? U nas w pokoju? Oczywiście.

Odłożył telefon i skinął głową w kierunku windy.

– Musimy iść – rzucił do żony.

Natychmiast się podnieśli, a ja zajarzyłem, że cały czas czekali na ten telefon.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Skontaktował się człowiek, który widział Izę.

– No i?

– Chce się z nami spotkać w naszym pokoju hotelowym. Zaraz tam będzie.

– A skąd wie, gdzie się zatrzymujecie?

Małżeństwo spojrzało po sobie.

– On... cóż, wygląda na to, że w ogóle sporo wie – powiedziała Mikulska, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. Dla mnie zabrzmiało co najmniej niepokojąco. – Musimy już iść.

– Moment... – zaproponowała Żaba.

– Nie mamy czasu – uciał ojciec. – On już gdzieś tu jest, być może czeka pod drzwiami, aż przyjdziemy.

– W takim razie idziemy z wami – oznajmiłem.

– Słucham? – odparła Mikulska.

– Nie przejechaliśmy tylu kilometrów, żeby wrócić z niczym.

– Chcemy pomóc – wsparła mnie Wika. – Ale potrzebujemy kilku odpowiedzi. Jakiegoś tropu, który pozwoli nam ruszyć dalej.

Mikulscy byli na granicy pogonienia nas w pizdu. Ostatecznie jednak musieli uznać, że szkoda czasu na przepychanki z gówniarzami.

Wjechaliśmy windą na drugie piętro, a potem podeszliśmy pod ich pokój. Nikogo tu nie było, drzwi były zamknięte. Weszliśmy do środka, a ja zobaczyłem, że Mikulscy jeszcze nawet się nie rozpakowali.

Usiedliśmy z Żabą przy niewielkim stoliku, a wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Mikulski znalazł się przy nich niemal natychmiast. Otworzył je, a ja przez chwilę nie widziałem, kto stoi w progu.

Zaraz potem zobaczyłem mężczyznę, którego dobrze znałem.

Charon wszedł do środka.

## 31

Wzdrygnęłam się, kiedy za pierwszym mężczyzną weszło dwóch kolejnych, a ostatni zatrzasnął głośno drzwi. Ustawili się obok Łukasza Mikulskiego, a potem wszyscy popatrzyli na

Desa, jakby chcieli go zabić. Darek natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Co jest, kurwa...

– Zamknij ryj – rzucił od razu jeden z nowo przybyłych.

– Deso, co się dzieje?

– To jebany Charon – syknął Darek, stając tak, by mnie zasłonić.

Od razu się podniosłam, nie chcąc, by sam stawiał temu czoła. Nagle uzmysłowiłam sobie, że trzęsą mi się nogi, i świat momentalnie przestał wydawać mi się realny.

Charona rozpoznałam od razu. Jako jedyny miał na sobie koszulę, dwóch pozostałych nosiło cienkie bluzy, pod którymi doskonale było widać ich muskulaturę. Goryle skrzyżowali ręce na piersi, a Mikulski spojrział na Desa i lekko się uśmiechnął.

– I co masz mi teraz do powiedzenia, bystrzaku? – spytał.

– Że nie jestem ginekologiem – odparował Darek. – Ale pizdę poznaję bez problemu, kiedy przede mną stoi.

Mikulski ruszył ku niemu, ale Charon powstrzymał go wyciągniętą dłonią. Przez moment nikt się nie poruszał, a ja obawiałam się, że Deso zaraz zdecyduje się na coś nieroztropnego. Jako pierwszy jednak krok naprzód zrobił Charon, zbliżając się do nas.

– Nie czas na kozaczenie – oznajmił. – Gdzie jest mój hajs? I mój towar?

– Nie wiem.

– Chuja tam, kurwa, nie wiesz.

Chłód w głosie tego człowieka był tak przejmujący, że mimowolnie ściągnęłam ramiona. Mięśniacy byli gotowi do działania, Mikulski zaś tylko czekał, by obejrzeć to przedstawienie. Jego żona była jedyną osobą w tym towarzystwie, która zdawała się nie czerpać satysfakcji z naszego położenia.

Jezu, jak mogli? Musieli powiadomić Charona, że tutaj jesteśmy, i ściągnąć go, by się nami zajął.

Nie, zaraz, to kompletnie bez sensu. Przecież ci ludzie nie zdążyliby tutaj przyjechać w tak krótkim czasie. Musieli być już w Żeromicach, może nawet w samym hotelu. Mikulscy mogli dać im znać tylko w jednym momencie – kiedy oznajmiłszy, że Iza była w ciąży, a oni poszli do toalety. Wcale się nie naradzali, tylko kontaktowali z człowiekiem, który chciał nas dopaść.

Ale co to oznaczało? Że od początku działali z Charonem? Czy że to on ich tu ściągnął?

Dotychczas nie mieliśmy jasnego i niepodważalnego powiązania między Izą a atakiem na Incydent. Teraz wydawało się, że w końcu je znaleźliśmy.

– Zapytam jeszcze raz – rzucił Charon. – Gdzie jest mój kwit i towar?

– Ktoś mi je podpierdolił.

Mężczyzna zbliżył się jeszcze trochę, a ja widziałam, jak Deso się spina.

– Nie widziałeś, co się działo na Żniwach? – dodał Darek. – Ktoś zdemolował warzywniak mojej babci, włamał się do auta, w którym trzymałem cały szuwaks, i...

– Tą budą zajęli się moi ludzie.

Deso zacisnął usta.

– Co?

– W ramach wysłania ci sygnału, że to poważna sprawa.

– Ty skurwielu...

Darek zacisnął pięści i nie wiem, co by zrobił, gdybym nie złapała go mocno za ramię. Potrząsnął głową i popatrzył na mnie, jakby przeszedł go prąd. Potem na powrót wbił wzrok w Charona.

– Z autem nie miałem nic wspólnego – oznajmił mężczyzna.

– Aha. Z garażem też nie?

– Nie wiem nawet, o czym mowa.

– O miejscu, gdzie skitrałem twój hajs.

Charon zmrużył oczy.

– Rozpierdoliliśmy ten zieleniak – przyznał. – Ale to wszystko, co zrobiliśmy.

– W takim razie czyja to robota?

Mężczyzna splunął na podłogę.

– Chuj mnie to interesuje – odparł. – Dla mnie liczy się to, że dostałeś kasę i nie dostarczyłeś produktu. Nie tylko mnie orznąłeś, ale okazałeś też brak szacunku.

– Zaraz...

– A to, złamany kutasie, wkurwia mnie bardziej niż wszystko inne.

Skinął na dwóch stojących za nim goryli, a ci natychmiast ruszyli naprzód. Krzyknęłam, ale wiedziałam, że nic to nie da. Jeden złapał Desa za bluzę, drugi wyprowadził cios. Darek uchylił się przed nim i kopnął tego, który go trzymał. Mięśniak stęknął, a Deso wyrzucił pięść w górę, trafiając go w szyję.

– Zostawcie go! – krzyknęłam.

Mikulski natychmiast znalazł się przy mnie. Chwył mnie i odciągnął w momencie, kiedy jeden z oprychów przywalił Desowi prosto w zęby.

Darek nie miał szans z dwoma takimi mięśniakami. Próbował się bronić, kilka razy im przywalił, ale większość ciosów wyprowadzali oni. Jeden go trzymał, drugi okładał – i na zmianę. Deso obrywał po twarzy i brzuchu. Kulił się, ale jeden z goryli natychmiast go podnosił, a drugi zaczynał okładać.

Kiedy upadł na podłogę, zaczęli go kopać.

Wciąż krzyczałam, starając się wyrwać Mikulskiemu. Widziałam, jak krew tryska z nosa Darka, jak wylewa się z jego ust i sprawia, że niemal się dławi.

– Przestańcie!

Mikulski cisnął mną na podłogę jak szmacianą lalką, zaśmiewając się przy tym. Podniosłam wzrok i spojrzałam na jego żonę, ale zdawała się przebywać w zupełnie innym świecie.

– Proszę! – krzyknęłam do niej.

Nie zareagowała. Wbijiała puste spojrzenie w Desa, który obrywał kolejnymi ciosami.

Z przerażeniem pomyślałam, że zaraz posuną się o krok za daleko. Będzie za późno, żeby uratować Darka.

Kiedy jego twarz była cała we krwi, a on z trudem łapał oddech, Charon w końcu dał sygnał, by przestać.

Deso kaszlnął, starając się odsunąć od dwóch napastników. Ja cała się trzęsłam, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Łzy ciekły mi po policzkach, całe ciało zdawało się pulsować, a serce waliło jak młotem. Nie mogłam nawet zrobić pełnego wdechu.

Charon podszedł do Desa i spojrzał na niego z góry.

– Nie wiem, kto zajebał ci hajs i fetę – rzucił. – Ale chcę widzieć jedno i drugie, rozumiesz?

– Kurwa... – zdołał jedynie wycedzić Darek.

Wsparł się lekko na rękach, jeszcze kawałek wycofał, a potem powoli podniósł, przytrzymując się fotela. Mrużył jedno oko i chwiał się tak bardzo, że myślałam, że padnie bez życia na podłogę.

– Żniwa to małe osiedle – kontynuował Charon, poprawiając kołnierz koszuli. – Dwa dni powinny ci w zupełności wystarczyć, żeby dowiedzieć się co i jak. Jeśli nie dostanę wszystkiego, zajebię najpierw twoją pierdoloną babkę, potem tę małą sukę. – Spojrzał na mnie, a ja wstrzymałam oddech. – A na końcu ciebie. Czaisz?

Deso kaszlnął, wypluwając krew.

– Czaisz, kurwa?!

– Tak.

Charon pokiwał głową z zadowoleniem.

– Możesz próbować spierdolić, to oczywiste. Wielu tak by zrobiło na twoim miejscu.

Ostrożnie się podniosłam i podeszłam do Darka. Stałam obok niego, zupełnie jakby istniał choć cień szansy na to, że w razie czego zdołam mu pomóc.

– Wiesz, co się wtedy stanie? – dodał Charon.

– Wiem...

– Gówno wiesz – rzucił pod nosem. – Bo nie masz bladego pojęcia, że mamy tę sukę, która was tu przywiozła.

– Co?

Deso zrobił krok naprzód, ale stracił równowagę. Złapałam go w porę, by pomóc mu osunąć się na fotel. Boże, mieli panią Blusiewicz? Ile oni wiedzieli? I skąd? Z pewnością widzieli ją przed hotelem, ale przecież...

Co się tutaj w ogóle działo?

– Nic jej się nie stanie, jak zobaczę to, co moje.

– Skurwysynu...

– Nie będzie łatwo powstrzymać chłopaków, to naprawdę dobra dupa. Ale jeśli obiecasz mi grzecznie, że będziesz współpracował, zrobię, co w mojej mocy.

– Jak spadnie jej z głowy choćby...

– Kretyńsko jest grozić, kiedy nie ma się czym – uciał Charon. – Nauczycielka będzie bezpieczna, jak wypełnisz zadanie. Jak nie, polecimy z nią na kilka batów. A potem zanurkuje w jakimś jeziorze.

Sięgnął do kieszeni, po czym rzucił w Desa kluczykami od opla corsy.

W pokoju hotelowym zaległa kompletna cisza. Po chwili słychać było jedynie charczący, płytki oddech Darka.

– Zajarzyłeś wszystko, czy trzeba ci to powtórzyć?

– Zajarzyłem.

- Dwa dni - rzucił Charon, a potem skinął na swoich towarzyszy.

Kiedy wyszli na korytarz, wciąż trudno było mi uwierzyć, że nie wrócą. Mimowolnie mogłam myśleć tylko o tym, że to jeszcze nie koniec. Że zaraz drzwi znów się otworzą, a te goryle rzucają się na Desa i dokończą to, co zaczęli.

Popatrzyłam na matkę Izy. Wciąż zdawała się pogrążona w malignie.

Ojciec mojej przyjaciółki był za to wyraźnie zadowolony z każdej rany na twarzy Darka. Podszedł do nas zupełnie bez strachu, pewny siebie, a nawet gotowy poprawić, jeśli byłoby trzeba.

- Jak pan mógł... - odezwałam się.

Nawet na niego nie patrzyłam. Skupiałam się na Desie, który wodził mętnym wzrokiem po pokoju.

- Otrzyj mu ryj, zanim stąd wyjdziecie - oznajmił Mikulski.

Popatrzyłam na niego z wściekłością. Kiedy się uśmiechnął, miałam ochotę napluć mu w twarz.

- Nie wie pan, co pan zrobił - rzuciłam. - Nic pan nie rozumie.

- To ty nic nie rozumiesz, mała.

Denerwowałam się jeszcze bardziej, ale co mogłam poradzić? Pozostało mi chyba tylko jedno: powiedzieć temu człowiekowi, jaka jest prawda. I liczyć na to, że jakimś cudem dzięki niej się ocknie.

- To pański syn - powiedziałam.

- Raczej bezpański.

Otworzyłam usta, zdziwiona.

- Myślałaś, gówniaro, że nie wiedziałem?

Najwyraźniej myliłam się co do wielu rzeczy i wraz z Desem nie mieliśmy pojęcia, na jak grząskie piaski trafiliśmy. Pomogłam mu wstać, a potem zaprowadziłam go do toalety.

Ostrożnie obmyłam jego twarz, żałując, że nie mam wody utlenionej ani gazików.

– Kurwa mać, Żabcia...

– Spokojnie, nie ruszaj się.

– Jak to możliwe?

Ścierałam krew z jego szyi, ale z twarzy nie było sensu. Niektóre rany były tak głębokie, że powinnam chyba zabrać go na szycie do szpitala.

– Jakim cudem on się tak szybko zjawił? – dodał Darek.

– Musiał tu być.

– Czyli... – Urwał i syknął, kiedy dotknęłam jego szczęki. – Czyli ci dwaj współdziałają.

– Najwyraźniej.

– Ale jak? Po co?

Nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko tyle, że Charon i Mikulski są ze sobą w bliskich relacjach. I że ma to związek z zaginięciem Izy.

## 32

Dotarliśmy do czarnej corsy na pełnej przyczajce, by nikt nas nie zobaczył i nie zainteresował się wpierdołem, który ewidentnie mi spuszczone. Widziałem się w lustrze, zanim opuściliśmy pokój Mikulskich, i nie wyglądało to najlepiej – pierwszy lepszy samarytanin zaciągnąłby mnie na najbliższy komisariat albo prosto do szpitala.

Mimo to usiadłem za kółkiem, bo Żaba prowadzić nie potrafiła. Ja nie miałem z tym żadnego problemu, nie raz i nie dwa brałem nocą seicento babci, żeby powozić się trochę po mieście z ziomkami.

Przynajmniej w normalnych okolicznościach szło mi całkiem nieźle. Teraz coś szarpało mnie w brzuchu i w klatce

piersiowej, a każdy ruch sprawiał, że chciałem jęczeć z bólu.

– Dasz radę? – zapytała Wika.

– A mam wyjście? – odparłem, przekręcając kluczyk. – Ci ludzie mają Ewelę, a my musimy jak najszybciej...

Kiedy wbiłem wsteczny, miałem wrażenie, że rozrywam sobie wnętrzności. Zakląłem cicho i zerknąłem w tylne lustro.

– Jesteś pewien, że to nie jedna wielka manipulacja?

– Hm? – mruknąłem.

– Że to nie oni ukradli pieniądze i narkotyki?

– Jestem pewien – potwierdziłem. – Nie zadawaliby sobie takiego trudu, żeby zmuszać nas do gonienia za własnym ogonem.

Wycofałem, a potem ruszyłem w kierunku wyjazdu z miasta.

– To co zrobimy?

– Znajdziemy jumacza, który zaiwanił naszą własność.

– Jak?

Popatrzyłem na Żabę z niewypowiedzianą prośbą, żeby przestała zamulać. Chyba ją odebrała, bo zmusiła się do lekko optymistycznego spojrzenia.

– Jeszcze nie wiem – powiedziałem. – Ale to musiała być ta sama osoba, która nas śledziła. I widziała, gdzie chowamy hajs i szuwaks.

– Ktoś od Zaporowskiego?

– Może – przyznałem.

Moje typy zmieniały się właściwie bez przerwy, bo nie miałem ani jednego konkretnego. Mógł to być każdy i nikt.

Wyjeżdżałem z miasta, starając się nie przekraczać dozwolonej prędkości. Ostatnim, czego teraz potrzebowaliśmy, była niespodziewana kontrola policji i pożegnanie się z samochodem, którego formalnie nie miałem prawa prowadzić. Szczególnie że właścicielka obecnie nie mogła poświadczyć na moją korzyść.

Mimo że Wika starała się wciągnąć mnie w rozkminy na temat tego, kto buchnął nam fanty, nie mogłem przestać myśleć o Ewelinie. Kurwa, w co ja ją władowałem? Wyobrażałem sobie, że teraz zamknęli ją w jakiejś piwnicy i tylko czekali na to, aż dostaną zielone światło, żeby się z nią zabawić.

– Deso?

Ścisnąłem mocniej kierownicę i spojrzałem na Żabę.

– Co mówiłaś?

– Że może to już za wiele... i że może najwyższa pora powiadomić policję.

Przełknięcie śliny dalej przychodziło mi z trudem; miałem wrażenie, że gardło mam zwężone, a na jego ścianach wyrasta coś ostrego. Jeden z koksów Charona musiał w ramach rewanzu przypierdolić mi w tchawicę.

– A jeśli to Zaporowski? – spytałem. – Jeśli to on połakomił się na ten hajs? To co wtedy? Jesteś gotowa tak zaryzykować?

– Chyba tak.

Musiałem przyznać, że tego się po niej nie spodziewałem.

– Jakie mamy wyjście? – ciągnęła. – Szukać na oślep tego złodzieja?

Nie odpowiadałem.

– W dodatku jeśli pójdziemy z tym na policję, będziemy mogli powiedzieć o powiązaniach Charona z ojcem Izy.

– I?

– I to rzuca zupełnie nowe światło na sprawę.

– Czyli? Jakie masz konkretnie dowody na cokolwiek?

Żaba spojrzała przed siebie, jakby chciała sprawdzić, czy na drodze nie ma żadnego zagrożenia. Potem nachyliła się do mnie.

– Nasze słowo – odparła. – I fakt, że Iza załatwiała swoją ucieczkę w klubie, który zaraz potem został zaatakowany.

– To nie wystarczy pałom.

– Może i nie, ale...

– Ale oprócz tego pójdę siedzieć za handel narkotykami i chuj wie, co jeszcze – uciałem. – A tobie przysrają za współudział. Nie wyjdziemy z tego obronną ręką i Charon to czai. Skumał, że jest całkowicie bezpieczny.

Nie było o czym gadać, tyle że Wika jeszcze sobie tego nie uświadamiała.

– Jesteśmy zdani na siebie, Żaba – skwitowałem.

– Niekoniecznie.

Zerknąłem na nią z powątpiewaniem, ale szybko wróciłem do obserwowania drogi. Chyba jeszcze nigdy nie jechałem na takim tripie, tak uważnie przyglądając się poboczom i wypatrując suszarki.

– Jest jeszcze anonim z GG, który najwyraźniej wie dosyć sporo – przypomniła.

– I który jednocześnie może być naszym złodziejem.

Pokręciła głową z przekonaniem, że gadam bzdury.

– Po co by się kontaktował? To nie miałoby sensu.

– A co ma według ciebie sens? Że to jakiś typ, który po prostu chce nam pomóc?

– Musimy to przynajmniej sprawdzić – postanowiła. – Szczególnie że nie mamy żadnego innego tropu.

Miała rację, ale nie chciało mi się wierzyć w to, że ten człowiek rzeczywiście mógł nam pomóc. Pisał wprawdzie, że jeśli zrobimy wszystko, co mówi, wyjdziemy z tego obronną ręką, ale musiałbym być kompletnym dekle, żeby uznać, że ktoś z dobrej woli wyciąga do nas pomocną dłoń, nie oczekując niczego w zamian.

Podobne rozmowy prowadziliśmy aż do osiedla RZNiW. Dzięki temu zluzowałem trochę porty i przynajmniej przez moment wydawało mi się, że jakoś to wszystko ogarniemy. Z głową Wiki i moją zaradnością damy, kurwa, radę.

Zabraliśmy babcię ze szpitala, a Żaba pomogła mi wprowadzić ją do domu. Musiałem tradycyjnie nasłuchać się lamentów i znieść to, jak zareagowała na moje poobijane ryło. Dość długo przekonywaliśmy ją, że nic mi nie jest i to wszystko tylko tak źle wygląda, ale ostatecznie odpuściła. Sam bym tego nie przepchnął, na szczęście Wika była jak gwarancja prawdy.

Nie chciała napić się nawet herbaty, twierdząc, że musi zbijać na chatę i zmierzyć się ze zbyt wieloma pytaniami swoich starych. Odprowadziłem ją pod blok, po drodze rozkminiając, w jaki sposób powinienem jej podziękować. W sumie nie pamiętałem, bym wcześniej miał taki problem z okazaniem komukolwiek wdzięczności. Może po prostu tego nie robiłem?

- Dzięki – rzuciłem w końcu.
- Nie ma za co. I poradzimy sobie, Deso.
- Nie ma innej opcji – odparłem.

Nie byłem dobry w te klocki. Ilekroć się żegnaliśmy, czułem się, jakbym był pierwszym lepszym frajerem, który nie umie zagadać do jakiejś laski.

Włożyłem słuchawkę do ucha i odpaliłem odtwarzacz. Po pierwszych dźwiękach rozległ się złowrogi rechot, a ja wiedziałem od razu, na jaki numer trafiłem. Vienio i Pele, *To dla moich ludzi*.

- To idę – powiedziała Żaba.
- No.

Wyciągnęła klucze i otworzyła drzwi, ale nie weszła do środka, jakby na coś czekała. Przez moment patrzyliśmy na siebie, a ona chyba spodziewała się, że po prostu zbiję na chatę, jak zawsze.

- To do jutra – odezwała się.
- Daj znać, jak tam ze starymi.
- Dam. Na GG?

– Najlepiej – odparłem. – Bo dalej...

– Nie masz hajsowa na karcie, czaję – powiedziała z uśmiechem.

Nie mogłem powstrzymać wafla na twarzy.

– Jestem spoko ziomkini profanatorka? – dodała.

– W pizdu – potwierdziłem.

W końcu weszła na klatkę i zamknęła drzwi. Stałem tak jeszcze chwilę jak ostatni ciul palestyński, a potem odwróciłem się i ruszyłem przed siebie. W drodze na chawirę towarzyszyli mi Pezet i Noon. Kawalek *Nie jestem dawno* rozpierdalał mnie od wewnątrz, był liryczną i muzyczną implozją.

Kiedy dobiłem na chatę, od razu poszedłem pod prysznic. Potem posiedziałem chwilę w pokoju, gapiąc się w ścianę. Nie mogłem zmusić się do czegokolwiek, byłem dętką.

Ożywiłem się dopiero wtedy, kiedy wyczułem, że coś się gotuje. Babcia czekała na mnie w kuchni – wciąż była obolała, jakby dostała lanie podobne do mojego, mimo to zrobiła podwójną szamę.

– Dla Józka – powiedziała. – Bo przyjdzie, prawda?

– Pewnie tak.

Na moment zmniejszyła gaz i nakryła garnek, a potem obróciła się do mnie.

– Powiesz mi, co się stało?

– Babcia...

– Nie muszę znać wszystkich szczegółów. Chcę tylko wiedzieć, czy z nim rozmawiałeś. I czy on ci to zrobił.

– Mikulski? – prychnąłem. – Ta ciota nie sprzedałaby mi jednej lampy, zanimbym...

– Nie mów tak o nim.

Skrzywiłem się i od razu pożałowałem, bo cała twarz mnie zapiekła.

– Nie zasłużył na lepsze określenie – odparłem.

– Mimo wszystko to twój ojciec.

– No i? Mam go szanować tylko za to, że zakisił ogóra na wieczorze kawalerskim?

Babcia opuściła wzrok, a mnie zrobiło się cokolwiek chujowo. Nie potrzeba jej było więcej zmartwień, a ja tylko dokładałem jej kolejne. Podszedłem do niej, objąłem ją lekko i zapewniłem, że Mikulski nie miał nic wspólnego z tym, co mi się stało.

– Wypadek przy pracy – odparłem, a potem usłyszałem pukanie do drzwi. – Sojóz – rzuciłem, dziękując mu w duchu za to, że przyszedł akurat teraz.

– Idź, otwórz. Jeszcze trochę podgrzeję zupę.

Powitałem ziomka szybkim uściskiem dłoni, a potem zawiesiłem wzrok na jego różowawym T-shircie.

– Zajebista koszulka, ziombel – oceniłem. – Męskich nie było?

Mruknął coś pod nosem, a chwilę później wzięliśmy talerze i zamknęliśmy się u mnie w pokoju. Jemu mogłem wytłumaczyć dokładnie, co się stało. Słuchał, nie przerywając, i wszamał prawie całą zupę. Ja zdążyłem opędzlować może kilka łyżek.

Babcia podała szamanko właściwe do okoliczności. Gdybym musiał cokolwiek gryźć, pewnie połamałbym sobie wszystkie zęby.

– Powinieneś to zgłosić... – powiedział Sojóz.

– Pojechało?

– To już naprawdę nie są przelewki, Deso – zaoponował tonem, który kojarzył mi się z Żabą. – To nie jest roznoszenie trawki czy przenoszenie kasy dla Fizola. Masz do czynienia z prawdziwym gangsterem, który...

– Który chce odzyskać hajs i zaiwanić mi cały towar – przerwałem mu. – I właśnie dzięki temu wiem, że jak tylko to oddam, będzie lajt.

– Tak po prostu?

– Tak – potwierdziłem. – Bo Charon dostanie dwie trzecie amfy za frajer. Przełknie jakąkolwiek zniewagę, bo będzie mi wdzięczny. Tyle że ja zostanę z pindolem na wierzchu.

Sojóz pokiwał głową.

– I cały kwicior przypadnie – dorzuciłem pod nosem.

– Naprawdę tym się teraz zajmujesz?

– A ty byś po prostu to olał? – syknąłem. – Miałem dostać ponad trzysta koła. Kumaszu, ile problemów bym za to rozwiązał?

Zostawiłem łyżkę w talerzu i odsunąłem go. Sojóz popatrzył na mnie pytająco.

– Szczególnie teraz przydałaby nam się ta kasa, bo cały zieleniak poszedł w chuj. Nie był nawet ubezpieczony.

Józek wciąż patrzył na talerz.

– Ja jebię – rzuciłem. – Szamy ci nie dają na chacie?

– Nie za bardzo.

– Wsuwaj – odparłem. – I tak nie jestem głodny.

Położyłem się na łóżku i wbiłem wzrok w sufit. Tak naprawdę miałem w dupie utracony hajs. Teraz to nie była już kwestia profitów, ale przeżycia. Liczyła na mnie nie tylko Ewelina, ale też wszyscy inni zamieszani w tę sprawę.

Rozwiązać mogłem ją stosunkowo łatwo. Musiałem tylko znaleźć złodzieja i odzyskać to, co zwinął.

Usiadłem przed komputerem i otworzyłem GG. Od razu rzuciła mi się w oczy wiadomość od Żaby.

Zaraz potem zorientowałem się, że Sojóz stoi nade mną i przez ramię zagląda na monitor.

– Co pisze? – spytał, odkładając talerz na biurko. – Ma przerypane?

– Dość jebitnie. Dostała szlaban, pożegnała się z kieszonkowym, zabrali jej telefon, może używać kompa tylko w określonych godzinach i...

– I co jeszcze? Telewizor będą jej wyłączać? I wprowadzą cenzurę czytanych książek?

Wzruszyłem ramionami.

– Najwyraźniej Zabscy nie mają doświadczenia w dowalaniu kar porządkowych.

– I co teraz zrobisz?

– A co mam zrobić? Zorganizować zbiórkę Caritasu?

– Nie, ale przecież... jesteście duetem, nie?

Nawet gdyby nie zabrzmiało to jak badanie gruntu, i tak wiedziałbym, że nim jest. Sojóz zakochiwał się w tej dziewczynie coraz bardziej, choć jej obraz bankowo miał coraz mniej wspólnego z Żabą, którą znałem. Sojóz stworzył sobie własny, oparty na tym, co ode mnie usłyszał.

– To, że jest uziemiona, nic nie zmienia – odpowiedziałem po chwili. – Do szkoły muszą ją przecież puścić.

– I znowu się zerwiecie?

Uniosłem błagalnie wzrok.

– Ziomuś – rzuciłem. – Co ty w ogóle pierdolisz?

– Cóż...

– Ewela jest chuj wie gdzie, po Izie nadal nie ma śladu, ja mam na karku Charona, a ty próbujesz się dowiedzieć, czy rwę laskę, która ci się podoba?

– A rwiesz?

Pokręciłem głową i wskazałem mu wyjście.

– Wykurwiał stąd w podskokach.

– Ale ja przecież tylko...

– Idź mi stąd, bo ci wyjebię z bani, Sojóz. Nie żartuję, przysięgam.

Przez chwilę patrzył na mnie jak zaszary kot ze *Shreka*, ale nie miałem zamiaru się ugiąć.

– A mogę skończyć zupę?

– No nie wierzę...

Uniosł brwi, czekając na odpowiedź.

– Wtranżalaj szybko i won – rzuciłem, a potem skupiłem się na tym, co jeszcze napisała Żaba.

Nie zakomunikowała mi tego wprost, ale z wiadomości jasno wynikało, że jest roztrzęsiona. Nie dorzuciła ani jednej emotki, co właściwie było równoważnikiem grobowego tonu.

Pierwszy raz została uziemiona, pewnie w ogóle pierwszy raz tak podpadła rodzicom. Mimowolnie zacząłem rozkminiać, jak wyglądało jej życie, zanim mnie spotkała, kiedy nagle zobaczyłem inną wiadomość.

– Ożeż ty złamany kutafonie...

– Co? – rzucił Sojóz.

– Nie do ciebie. Patrz.

Józek odłożył łyżkę i zerknął na ekran. Zobaczył wiadomość od 1703903, którą natychmiast otworzyłem.

„I po co to było?

Opłacało się jechać do Żeromic? Nie lepiej było mnie posłuchać?

Miałbyś mniej siniaków, Deso”.

Spojrzeliśmy po sobie, obaj nie mogąc uwierzyć w to, co widzimy.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Sojóz.

– Łachudrą, który ewidentnie wszystko wie.

– Ale skąd? Śledzi was?

Miałem ochotę zajarać, ale kiedy babcia jeszcze nie spała, raczej sobie na to nie pozwalałem. Potem po prostu uchylałem okno i lekko się wychylałem, trzymając się futryny.

– To nie może być jedna osoba – powiedziałem. – Nie dałaby rady dybać na nas cały czas.

– A może obserwuje osiedle?

– Jak ty? – rzuciłem.

Szybko tego pożałowałem, choć prawdą było, że Sojóz sporo czasu spędzał w oknie, lampiąc się na ludzi snujących się po

Żniwach. Teraz popatrzył na mnie tak, jakbym w ułamku sekundy stał się obcym człowiekiem.

– Chyba nie sugerujesz, że mam z tym cokolwiek wspólnego?

– Nie – odparłem szybko. – Sorry.

Skinął lekko głową. Tyle wystarczyło, żebyśmy przeszli nad tym do porządku.

Wróciłem wzrokiem do wiadomości i doczytałem ją do końca.

„Twój hajs i towar są w bezpiecznym miejscu.

Mówiłem ci. Wystarczy, że zrobisz, co każę, a wszystko odzyskasz.

Ewelę też”.

Nawet gdybym naprawdę miał jakieś wątpliwości co do Sojóza, ten ostatni wers by je przekreślał. Nie miał pojęcia o porwaniu Eweliny, dopóki mu o tym przed momentem nie powiedziałem.

– Co teraz? – spytał.

Położyłem ręce na klawiaturze i nabrałem głęboko tchu.

„Co mam zrobić?” – napisałem.





## REFREN

### 33

Słucham zeznań Żaby ze spokojem. Wiem, że się nie pomyli, nie odejdzie od scenariusza i nie zawiedzie.

Nie rozczarowuję się. Wika mówi bardzo wiarygodnie, przez większość czasu wpatrując się pustym wzrokiem w jakiś punkt przed sobą. Opowiada o tym, jak poszukiwaliśmy Izy na własną rękę, a potem dochodzi do momentu, kiedy poszliśmy na imprezę u brata Myszona.

Jej historia osiąga punkt kulminacyjny. Żaba zaczyna przedstawiać szczegóły tego, jak się do niej dobierano. Głos jej się łamie, zaczyna szybciej mrugać, jakby chciała powstrzymać łzy. Wszyscy słuchają z przejęciem i współczuciem – choć to drugie zdaje się jedynie pozorowane przez oskarżyciela.

Ten w końcu pyta:

– Czy powiadomiła pani kogoś po zdarzeniu?

– Nie.

– Dlaczego?

Kilka kobiet siedzących na publiczności cmoka z dezaprobatą. To dopiero początek. Każde pytanie tego typu wkurwi więcej osób, niż prokurator się spodziewa. Dla niego nie ma to jednak znaczenia, liczy się tylko to, co uda mu się obalić lub nie.

– Byłam w szoku – odpowiada Żaba.

– Jak długo?

– Jezu, nie wiem... Nie zapisywałam tego w kalendarzu.

Oskarżyciel unosi lekko dłonie w przeproszającym geście.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla pani trudne, ale...

– Nawet pan nie wie jak.

Przez moment na sali trwa całkowita cisza.

– Rozumiem – odzywa się cicho prokurator, a potem odchrząkuje. – Czy możemy kontynuować?

Gość ma totalnie przejebane. Nie odnajduje się w tej sytuacji, a jego empatia jest tak wymuszona, że niemal śmieszna. Gdyby szefostwo tutejszej prokuratury było trochę bardziej ogarnięte, wysłaliby na tę rozprawę jakąś laskę. Kolo przesłuchujący kogoś na okoliczność gwałtu był na z góry straconej pozycji.

Mimo to próbuje dalej.

– Opisała nam pani dość dokładnie to zdarzenie, ale nie powiedziała, czy się broniła.

– Słucham?

– Nie wiemy, czy próbowała pani...

– Wysoki Sądzie – włącza się moja prawniczka. – Wnoszę o uchylenie tego pytania.

Przewodniczący składu orzekającego wygląda, jakby właśnie rzuciła mu gorącego ziemniaka.

– Na podstawie?

– Nie prowadzi do ustalenia istotnych faktów w sprawie – odpowiada obrończyni. – Chyba że prokuratura zamierza podać w wątpliwość sam fakt gwałtu?

Przenosi pytające spojrzenie na oskarżyciela. Ten kręci głową i przywołuje na twarz wyraz oburzenia. Powinien grać w teatrze, tyle że szkolnym, gdzieś w Pipidowie Dolnym.

– Próbuję po prostu ustalić wszystkie okoliczności. Nie usłyszeliśmy, czy świadek się broniła, czy nie, a zatem pytanie wydawało mi się zasadne.

Przewodniczący chwilę się namyśla. Nie wie, co zrobić z tym kartoflem. W końcu się zgadza i prosi Żabę, żeby odpowiedziała.

– Nie broniłam się.

Na sali rozlega się cichy szmer.

– Podobnie jak wiele innych osób, które nie są w stanie stawić fizycznego oporu swojemu gwałcicielowi – dodaje Wika i patrzy na prokuratora. – Rozumie to pan? Wie pan w ogóle, czego doświadcza zdecydowana większość ofiar?

– W tej chwili interesuje mnie tylko pani.

– Ja też zaliczam się do tej grupy, więc powiem panu.

Żaba idzie za ciosem, dobrze. Współczuję jej, że musi przez to wszystko przechodzić, ale moja prawniczka zapewniała mnie, że bez tego zeznania będziemy w ciemnej dupie.

– Mimowolny paraliż – odzywa się Wika. – Uczucie kompletnej bezbronności połączone ze znieruchomieniem. Wiem, że dla pana modelowa ofiara to taka, która się szarpie, wyrywa i bije napastnika, bo wtedy nie ma wątpliwości, że została zgwałcona, i można szybko zakończyć postępowanie. Prawda?

Pytanie jest jak wymierzony w prokuratora gnąk, ale ten nie wie, jak się uchylić.

– Prawdziwy świat wygląda inaczej – mówi Żaba. – W nim ofiara najczęściej po prostu nie jest w stanie nic zrobić.

Dawaj, ponaglę go w myśli, dawaj. Zapytaj ją, czy jest w ogóle pewna, że oponowała. Byłoby to standardowe zagranie adwokata broniącego mężczyzny oskarżonego o gwałt, ale w tym postępowaniu to prokuratorowi zależało na tym, żeby obalić zeznania Żaby.

Jebaniec uparcie milczy, nie chcąc narażać się kobietom ze składu orzekającego. Widzę już, że będzie próbował zmienić temat, przynajmniej na chwilę, jakby chciał dać Wice szansę, by ochłoneła.

– Wiedziała pani, kto pisał do oskarżonego na komunikatorze Gadu-Gadu z numeru 1703903? – pyta w końcu.

– Nie.

- Ale powiedział pani o tym, że otrzymuje takie wiadomości?
- Tak.

Krótko i konkretnie, czyli idealnie. Nie dawała mu żadnych dodatkowych informacji – niczego, co mogłoby zostać użyte przeciwko nam.

Żaba korzysta z okazji, żeby na mnie spojrzeć. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, mam wrażenie, że wszyscy inni ludzie na moment zostają wymazani. Potem jednak znów odzywa się prokurator i rzeczywistość na powrót staje się taka jak przed chwilą.

- Możemy wrócić do tamtej imprezy? – pyta.

- Tak.

- Piła pani na niej alkohol?

- Nie.

- Tańczyła pani z jakimiś mężczyznami?

Dobrze, idzie w kierunku, na którym mi zależy.

- A czy ja w ogóle wyglądam panu na kogoś, kto tańczy?

- Proszę odpowia...

- Albo na kogoś, kto przymila się do facetów? Kto potrafi ich podrywać albo chociaż dać im do zrozumienia, że mogą na coś liczyć? Bo chyba do tego pan zmierza? – nie daje sobie przerwać Żaba. – To była pierwsza impreza w moim życiu, proszę pana. I ostatnia.

Uśmiecham się w duchu.

Żaba kłamie jak z nut.





## SIÓDMA ZWROTKA

### 34

Wieczorem rodzice przestali krzyczeć na mnie dopiero wtedy, gdy nie wytrzymałam i popłynęły pierwsze łzy. Rankiem, podczas śniadania, wszystko zaczęło się na nowo.

– Ten chłopak ma na ciebie destrukcyjny wpływ – oznajmiła mama.

– Otóż to – poparł ją ojciec. – Nie będziesz się z nim więcej spotykać.

– Inaczej zaprzepaścisz całą swoją przyszłość.

– Wszystko, na co do tej pory tak ciężko pracowałaś.

– I to, co staraliśmy się ci zapewnić.

– Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda, Wikuś?

Nie odpowiadałam, usiłując się skupić na śniadaniu, a nie na ich kazaniach. Ostatecznie musiałam jednak chociaż skinąć głową.

– Odprowadzę cię do szkoły – powiedział tata. – A potem cię odbiorę.

– To niekonieczne – odparłam cicho.

Szanse, że mój opór przyniesie zamierzone efekty, były równe prawdopodobieństwu wygrania powstania warszawskiego, ale musiałam spróbować.

– Nie muszę być traktowana jak ktoś niepoczytalny...

– Nie jesteś – zapewniła mama.

– Traktujemy cię tak, jak na to zasłużyłaś. Czyli jak osobę nieodpowiedzialną.

Właściwie trudno było się z nimi nie zgodzić. Wszystko, co robiłam w ostatnim czasie, było całkowitym zaprzeczeniem

dotychczasowej mnie. Ale miałam przecież ku temu powody, o których rodzice nie mieli zielonego pojęcia.

Może powinnam im o wszystkim powiedzieć? Po prostu szczerze z nimi porozmawiać?

Nie, to tylko pogorszyłoby sprawę. Od razu poszliby na policję i z kilku problemów zrobiłoby się kilkanaście. A ja do końca życia byłabym kojarzona tylko jako „ta dziewczyna”.

– Przecież nie ucieknę po raz kolejny... – powiedziałam cicho.

– Nie, nie uciekniesz. I ja o to zadbam.

– Ale tato...

– Nie ma żadnego ale.

Odłożyłam sztucce i odsunęłam od siebie gofry, własnoręcznie przygotowane przez mamę.

– Ludzie będą się ze mnie śmiać – powiedziałam. – Rozumiecie?

– Niech cię nie interesują ludzie – odparł tata.

– Ale nikt inny nie jest odprowadzany do szkoły przez rodziców. Wyobrażacie sobie, co będzie, jeśli...

– Wyobrażam sobie, że tylko w ten sposób będziemy mieć pewność, że poszłaś na lekcje – uciał.

– W dodatku porozmawiamy z twoją wychowawczynią – dodała mama.

– Proszę was, nie róbcie...

– Robimy to, co dla ciebie dobre, Wikuś.

– Nie zgadzam się.

– Dopóki mieszkasz pod tym dachem, nie musisz się zgadzać – uciał tata, sięgając po klasyczny argument.

Inna dziewczyna być może powiedziałaby, że w takim razie nie ma zamiaru dłużej pod tym dachem mieszkać. Mnie jednak nie było stać na takie deklaracje. Nie chciałam też dłużej sprzeczać się z rodzicami.

– Zjedz do końca – poradziła mama. – Będziesz potem chodzić głodna.

Zjadłam, spakowałam się, a potem razem z tatą opuściłam blok. Spodziewałam się, że Deso będzie na mnie czekał, ale nie miałam żadnego sposobu, by to sprawdzić. Komórkę miał tata, a do komputera nie było sensu siadać – dziś rano stałam się uboższa o kabel od internetu.

Nie pomyliłam się co do Darka. Stał w pewnej odległości od klatki, ale kiedy tylko mnie zobaczył, ruszył w moją stronę. Na szczęście szybko zorientował się w sytuacji i zatrzymał. Naciągnął kaptur, a ja modliłam się, żeby tata go nie zobaczył.

– Długo będę pod takim nadzorem? – spytałam, żeby skupić na sobie jego uwagę.

– Dopóki nie zmądrzejesz.

Było w jego głosie coś, co mogłabym zinterpretować jako nutę wsparcia. Może spuścił nieco z tonu, kiedy nie było mamy i nie musiał uchodzić za srogiego ojca, sprawującego w rodzinie rządy twardą ręką.

Może nawet trochę mnie rozumiał? Mama w moim wieku właściwie tylko się uczyła, ale on nieraz opowiadał, jaki był kochliwy i jakie rzeczy z powodu tych platonicznych miłości robił.

Wolałam jednak tego nie sprawdzać i postanowiłam nie odzywać się przez całą drogę do szkoły.

Tata miał inne plany.

– Może daliśmy ci za dużo luzu – odezwał się.

Nie podjęłam rękawicy. Obejrzałam się przez ramię, by zobaczyć, co robi Deso. Ruszył za nami, ale trzymał się w bezpiecznej odległości. Podziękowałam mu w duchu za roztropność, bo gdyby doszło do konfrontacji z moim ojcem, nie skończyłoby się to dobrze dla nikogo.

– Ale nigdy nie mieliśmy powodu, by wprowadzać rygor – ciągnął tata. – Zawsze byłaś...

Urwał, szukając odpowiedniego określenia.

– Dobrą córką? – podsunęłam smętnie.

Popatrzył na mnie z rodzicielskim współczuciem, a mnie zrobiło się nieco cieplej na sercu.

– Wciąż jesteś. Najlepszą.

– To co miałeś na myśli?

– Grzeczne dziecko – odparł z lekkim uśmiechem.

Uznałam, że więcej sympatii już mi dziś nie okaże, więc nawet nie próbowałam ciągnąć tematu. On też nie. Doszliśmy w okolice szkoły w milczeniu, a tuż przed ostatnim zakrętem tata zatrzymał się, złapał mnie za rękę, a do drugiej wcisnął komórkę.

– Nie będę robił ci siary – szepnął. – Trafisz sama.

– Dzięki.

– Ale jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, zawiedziesz mnie i mamę, rozumiesz?

Pokiwałam głową z wdzięcznością i pewnym zażenowaniem.

– Ufaliśmy ci bezgranicznie, Wika – dodał. – A ty wykorzystasteś to i zrobiłaś rzeczy, o które nigdy byśmy cię nie podejrzewali.

– Wiem i... przepraszam.

Naprawdę było mi przykro, że tak się na mnie zawiedli, ale gdybym mogła cofnąć czas, z pewnością postąpiłabym dokładnie tak samo. Iza na mnie liczyła, a w tej chwili już nie tylko ona.

– Po prostu już nigdy więcej nie rób czegoś takiego, dobrze?

– Dobrze.

Tym razem skłamałam. Miałam przecież zamiar zrobić wszystko, by odnaleźć moją przyjaciółkę i uratować panią Blusiewicz. A to oznaczało, że znów będę musiała zawieść rodziców.

Może kiedyś zrozumieją, może nie. Ja w każdym razie nie miałam innego wyjścia.

Weszłam do szkoły, ale nie skierowałam się do klasy, w której miałam pierwszą lekcję. Czekałam na korytarzu na

Desa.

Zjawił się chwilę po dzwonku. Byliśmy sami i czułam, jak wzbiera we mnie adrenalina. Normalnie wypełniony korytarz był teraz pusty i z jakiegoś powodu sprawiało to, że serce biło mi szybciej.

– Twój starszy dybał pod szkołą – powiedział Deso. – Musiałem chwilę odczekać.

– Pewnie myślał, że zrobię w tył zwrot.

– Mhm – przyznał Darek. – Wyjdźmy lepiej z drugiej strony.

– I co potem?

– Potem powiem ci o wiadomości, którą wczoraj dostałem od anonima.

Poziom adrenaliny wzrósł jeszcze bardziej. Opuściliśmy budynek wyjściem, które normalnie było zamknięte – otwierano je wyłącznie podczas przerw... lub kiedy ludzie mający dobre układy z woźnym go o to poprosili. Jak teraz Deso.

Ledwo wyszliśmy, zapalił viceroya i głęboko się zaciągnął.

– Więc? – spytałam. – Czego on chce?

– Żebyśmy znaleźli Izę.

– Co?

– Obiecuje oddać hajs i towar, jeśli ją znajdziemy i zapewnimy jej bezpieczeństwo.

Wodziłam wzrokiem za rozplywającym się w powietrzu dymem z papierosa, zupełnie nie rozumiejąc, co ten człowiek chciał osiągnąć. Z pewnością nie to, o czym pisał, bo tak czy owak przecież szukaliśmy Izy.

– To bez sensu – powiedziałam.

– Wiem.

– Napisał coś jeszcze?

– Żebyśmy zainteresowali się śladami w domu Mikulskich.

– Jakimi znowu śladami?

Deso zaciągnął się spokojnie i wzruszył ramionami. Jego opanowanie mogło wynikać tylko z tego, że z pewnością zaczął dzień od solidnej dawki marihuany.

– I jak niby mamy się tam dostać? – zapytałam.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że nie mamy czasu?

– Totalnie.

– W dodatku jeśli dziś ucieknę z lekcji, to jutro i przez kolejne dni rodzice nie wypuszczą mnie już z domu?

– Tylko jeśli do niego wrócisz – odparł i wypuścił dym.

Powiedział to, co kłębiło mi się w głowie, od kiedy tylko się obudziłam. Jeśli chciałam pomóc Izie i pani Blusiewicz, musiałam zwać z domu. Nie było innej możliwości, bo balansowałam na granicy całkowitego uziemienia.

– Nie stać nas na półśrodki – dodał Darek. – Musimy iść na rympał.

Popatrzyłam na niego niepewnie.

– Nadal masz na myśli moją ewentualną ucieczkę z domu czy mówisz już o czymś zupełnie innym?

– Twoja spierdolka nie jest ewentualna, Żabcia.

– Cóż...

– A drugie pójście na rympał wiąże się z tym, że musimy wbić się Mikulskim na chatę.

– Z pewnością nas wpuszczą.

– Nie będą mieli nic do gadania, bo ich nie zapytamy.

– Nie?

Zaciągnął się, a potem wyrzucił papierosa. Nie dał mi szansy na to, żebym wytłumaczyła mu, jak szalony to pomysł. Złapał mnie za rękę, a potem pociągnął w kierunku domów jednorodzinnych.

Potrafiłam myśleć tylko o tym, że trzyma moją dłoń – przynajmniej przez jakieś trzydzieści sekund, bo tyle to trwało.

Kiedy doszliśmy do budynku Mikulskich, Deso oznajmił, że był tu przed stawieniem się pod moim blokiem i wszystko wskazuje na to, że dom stoi pusty.

– Nie wrócili jeszcze? – spytałam.

– Obstawiam, że im się nie spieszy. Siedzą w Żeromicach, bo mają tam spokój.

Zaszliśmy do budynku od tyłu i stanęliśmy przy ogrodzeniu. Darek zapalił jeszcze jednego viceroya, a ja przyjrzałam się dość wysokiemu płotowi, który musielibyśmy sforsować. Myślałam jednak o czymś zupełnie innym.

– Co oni w ogóle tam robili? – odezwałam się. – Myślisz, że ktoś naprawdę widział tam Izę?

– Niby kto? Charon? – rzucił z powątpiewaniem Deso.

– Nie, ale przecież akurat w tym względzie mogli powiedzieć prawdę.

Darek wypuścił dym, uważając, by nie dmuchać na mnie.

– Jeśli cokolwiek udowodnili w tym zasranym hotelu, to właśnie to, że potrafią wciskać kit – odburknął. – Nie dostali żadnego cynku na temat Izy. Pojechali tam...

– No? – ponagliłam go, kiedy urwał. – Po co?

– Chuj wi – odparł z rezygnacją Deso. – Ale na pewno nie miało to nic wspólnego z poszukiwaniami córki. Na moje oko tych dwoje zębów miało z tym coś wspólnego.

Po tym, co za ich sprawą nas spotkało, właściwie trudno było dalej mieć ich za porządnych ludzi. Ale czy byliby w stanie wyrzucić jakąkolwiek krzywdę Izie? Nie potrafiłam przesądzić.

– Dobra – rzucił Darek. – Włazimy.

Powiodłam wzrokiem po murze.

– Jak?

– Zrobię ci podpórkę – odparł, pochylając się i zaplatając ręce. – Staniesz, złapiesz za skraj płotu, a potem się podciągniesz.

Miałam gramolić się przez to ogrodzenie, narażając się na to, że Deso będzie widział mój wielki tyłek tuż nad swoją głową? I że dobitnie odczuje, ile ważę? Niedoczekanie.

– Dam sobie radę sama.

– Nie mówię, że nie – odparł. – Ale będzie łatwiej, jeśli...

Podeszłam do płotu, zdeterminowana, by sobie poradzić. Stałam na palcach, a potem złapałam za krawędź i zaczęłam się podciągać. Szło mi nawet nie najgorzej. Przynajmniej przez chwilę.

Potem zaczęłam gramolić się tak niezgrabnie i niepewnie, że Deso natychmiast znalazł się przy mnie.

– Chyba jednak nie dam rady – wysapałam.

– Pomogę ci.

– Nie. Jesteś cała obolała.

– Po prostu cię trochę podsadzę.

– Nie ma...

Urwałam, czując, że zaczynam się ześlizgiwać. Pięknie. Zamiast polepszyć sytuację, tylko ją pogorszyłam. Zaraz runę na ziemię, odzierając się z wszelkiej godności.

– Później mnie za to spoliczkujesz – rzucił Deso.

– Za co?

Zanim zrozumiałam, co ma na myśli, poczułam jego dłonie na moich pośladkach.

– Ej!

Nie zważając na protesty, podsadził mnie i pomógł wejść na górę. Zaraz potem sam się tam znalazł i nie czekając, aż w jakikolwiek sposób skomentuję to zajście, zeskoczył na drugą stronę.

– Schodzisz? – spytał, wyciągając do mnie rękę.

Tym razem zgramoliłam się bez jego asysty, choć musiałam wyglądać jak naleśnik zsuwający się z patelni. Kiedy znalazłam się na dole, otrzepałam spodnie i posłałam Darkowi długie spojrzenie.

– Sorry – mruknął. – Nie było innej opcji.

Ruszyłam bez słowa w kierunku domu.

– I fajny tyłek.

– Co?

– Nic.

– Co właśnie przed chwilą do mnie powiedziałaś?

– Nie wiem. Słyszałaś coś?

Zatrzymaliśmy się przed jednym z okien, a ja dopiero teraz pomyślałam o tym, z czym wiąże się wejście do środka.

– Masz zamiar wybić okno? – odezwałam się.

Zadowolenie na twarzy Desa kazało mi sądzić, że postawiłam pytanie czysto retoryczne.

– Najpierw chciałem się upewnić, że nie ma tu alarmu.

– Jak?

– Pytając ciebie.

– A skąd ja mam wiedzieć?

Wskazał ręką dom, jakby odpowiedź była oczywista.

– Przecież nieraz przychodziłaś do Mikulskich, nie? – rzucił.

– Ale nie analizowałam domu pod kątem zabezpieczeń antywłamaniowych...

Darek zmrużył oczy i skinął nieznacznie głową.

– Zdecydowanie za późno zaczęłaś się ze mną bujać.

– Zdecydowanie – potwierdziłam.

On zajrzał do środka przez okno, ja oparłam się plecami o ścianę budynku. Starłam się przypomnieć sobie każdą moją wizytę u Izy. Przychodziłyśmy czasem, kiedy jej rodziców nie było w domu. Nigdy nie wyłączała żadnego alarmu, ale przecież mogli go aktywować tylko wówczas, gdy wybywali na dłużej.

– No i? – spytał Deso.

– Nie wiem. Nigdy nie widziałam żadnego systemu alarmowego, ale...

Zanim zdążyłam dokończyć, Darek zrzucił bluzę i owinał ją sobie wokół dłoni. Potem jednym szybkim ruchem przywalił w okno. Szyba pękła, a ja zamarłam.

Nasłuchiwałam ogłuszającego wycia i oczami wyobraźni widziałam już uzbrojonych policjantów na posesji. Ucieczka z domu byłaby jednym z moich najmniejszych zmartwień.

Nic się jednak nie stało. Deso odczekał jeszcze moment, a potem przełożył rękę przez rozbite okno i z trudem je otworzył. Wgramolił się do środka.

– Idziesz? – rzucił.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie było żadnej plakietki firmy ochroniarskiej na ogrodzeniu – odparł, a ja odniosłam wrażenie, że trzymanie mnie w niewiedzy przynosiło mu pewną satysfakcję. – Poza tym, jeśli Mikulski trzyma z Charonem, to nie potrzeba mu żadnych alarmów. Wszyscy zawodnicy w promieniu kilkudziesięciu kilometrów wiedzą, żeby się tu nie włamywać.

Podał mi rękę, a potem pomógł wejść tak, bym się nie skaleczyła.

– Jeśli masz rację, to... niezbyt optymistyczne, Deso.

– No. I dopiero teraz to zajarzyłaś?

Weszliśmy do salonu i rozejrzeliśmy się uważnie. Telewizor i wieża były wyłączone z kontaktu, co sugerowało, że Mikulscy zdecydowali się wyjechać na dłużej, niż się spodziewałam. Może jednak w Żeromicach nie było żadnego tropu.

– Prowadź – powiedział Darek.

Nie musiałam pytać dokąd. Weszliśmy na piętro, do pokoju Izy, a potem zaczęliśmy systematycznie przetrząsać wszystko, co się tam znajdowało. Ani w jej notatnikach, ani w komputerze nie znaleźliśmy niczego przydatnego. Żadnej wzmianki o tym, kto był ojcem jej dziecka. Ani słowa o tym, co zamierzała.

Sprawdzaliśmy pokój po pokoju bez większej nadziei na przełom. Kiedy dotarliśmy do sypialni Mikulskich, Deso znalazł w jednej z szafek nocnych pojedynczy klucz, który zdawał się do niczego nie pasować.

– Co to niby ma otwierać? – spytał, rozglądając się.

Żadna z szafek nie była zamykana, próżno też było szukać tu jakiegokolwiek sejfu. Przez moment milczeliśmy.

– Widziałaś tu jakieś kajdanki? – podsunął w końcu Darek.

– Kajdanki?

– No wiesz, do zabaw w jebadełku.

Oczywiście, mógł mieć skojarzenie wyłącznie z figłami łóżkowymi. Ja wprost przeciwnie, bo jak mówili koledzy Desa, nikt jeszcze nie ściągnął mi simlocka.

Ale może właśnie dzięki temu potrafiłam rozumować bez podtekstów seksualnych. Przez moment zastanawiałam się nad tym, czy widziałam w domu Mikulskich jakiegokolwiek skrytki lub drzwi zamykane na klucz.

Chodziłam po pokoju, by lepiej mi się myślało. I nagle się zatrzymałam, przypominając sobie coś.

– Co jest, Żabcia? – rzucił Deso lekkim tonem.

– Coś sobie uświadomiłam.

– Co?

– W tym domu jest piwnica. Zamykana na klucz.

Deso milczał.

– Kiedyś widziałam, jak ojciec Izy z niej wychodzi, a potem przekręca zamek.

– No i? – spytał, patrząc na klucz z zawodem, jakby liczył na to, że będzie otwierał jakieś tajemne przejście.

– Nie dziwi cię to? – odparowałam.

– Że gość majsterkuje sobie, wnosi albo wyciąga coś z piwnicy? I że zamyka ją, kiedy obce dzieciaki są w domu? Nie bardzo.

– Niczego ze sobą nie miał – odparłam. – I po co komu piwnica w takim budynku jednorodzinym? Mają przecież poddasze. Zazwyczaj nie robi się podpiwniczenia, bo to niepotrzebny koszt.

Deso spojrział na mnie z pewnym zaciekawieniem, jakby nie spodziewał się, że dziewczyna może mieć jakiegokolwiek pojęcie o architekturze. A mnie wydawało się, że to całkowicie logiczna sprawa.

– Tacy jak Mikulscy po prostu nie mają co robić z kasą – odparł. – Ale warto sprawdzić.

Zeszliśmy na dół i trafiwszy na zamknięte drzwi, popatrzyliśmy po sobie niepewnie. Poczułam niepokój, przypominając sobie, że kiedy Mikulski wychodził z piwnicy, wyglądał... po prostu dziwnie. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, kiedy wiedziałam więcej o tym człowieku, wydało mi się to niepokojące.

Deso umieścił klucz w drzwiach. Pasował.

Zeszliśmy po schodach do piwnicy, a kiedy trafiliśmy do przestronnego pomieszczenia i włączyliśmy światło, oboje zamarliśmy.

– Boże... – zdołałam tylko wydusić.

## 35

Zrobiłem krok naprzód, ale Żaba zupełnie znieruchomiała.

– Co to, kurwa, jest? – zapytałem.

Mieliśmy przed sobą ciemne, duże pomieszczenie, które przywodziło na myśl średniowieczną salę tortur. Cegły na ścianach nie były niczym zamaskowane, podłogę wyłożono kamieniami, a metalowe urządzenia zajmujące niemal całą przestrzeń sprawiały, że można było tutaj kręcić wyjątkowo krwisty horror.

Powiodłem po nich wzrokiem. Łóżko przypominające stół sekcyjny, podwieszane pod sufitem haki, pojemniki ze szczypcami, młotkami, igłami... Krzyż stojący na środku, metalowe zgniatacze, koła do łamania ludzi, ostro zakończone wałki, kołki, krzesła z elementami wbijającymi się w ciało...

Nie potrafiłem rozpoznać połowy rzeczy, które się tu znajdowały.

– Ja pierdolę – rzuciłem. – To istna katownia.

Na części rzeczy widać było czerwone i białe zacieki. Gdzieś dało się dostrzec odbarwienia na kamiennej podłodze. Cokolwiek się tu działo, ktoś zadał sobie trud, by zatrzeć ślady.

– Jezu... – jęknęła Wika.

Popatrzyłem na nią i uświadomiłem sobie, że całkowicie zbladła.

– Co to jest, Deso? – wydusiła. – Co się tu działo?

– Nic dobrego.

W końcu podeszła nieco bliżej. Złapała mnie lekko za rękę, a ja szybko mocno ścisnąłem jej dłoń.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem kilka zamkniętych klutek, których kraty były powyginane w różne strony. Pewnie po to, by można było wysunąć przez nie określone części ciała. Potem moją uwagę przykuły gruszki – metalowe przyrządy, które dało się umieścić w którymś z otworów ciała i rozeprzeć.

Wiedziałem, że mój ojciec był pojebem, ale nie że aż takim.

– Myślisz, że... – zaczęła Żaba.

– Że udostępniał to studiom filmowym? Raczej nie.

Ręka jej się trzęsła, więc obróciłem się do niej i posłałem jej uspokajające spojrzenie.

– Nie dygaj, Żabcia – rzuciłem. – Oprócz nas nikogo tu nie ma.

– Jesteś pewien?

W sumie nie byłem. Patrząc na to wszystko, łatwo było dojść do wniosku, że gdzieś znajduje się ukryte przejście prowadzące do jakiejś celi, w której Mikulski trzymał swoje ofiary.

Mimowolnie się wzdrygnąłem, a Żaba wyglądała, jakby przeszedł przez nią prąd.

– Sprawdźmy, co tu jest – powiedziałem.

– Nie – odparła szybko. – Chodźmy stąd, proszę.

– Moment...

– Jeśli ktoś nas tu znajdzie, po nas.

Starąłem się przytrzymać jej wzrok, ale był tak rozbiegany, że nie potrafiła skupić się na mnie nawet przez chwilę. Teraz patrzyła na dużą konstrukcję w kształcie imadła i z pewnością myślała o tym samym, co ja – ile osób w tym zginęło?

– Wylajtujesz trochę? – rzuciłem. – Jeśli ktoś ma nas tu dopierdolić, to tylko policja. Tuż po tym, jak zobaczą wybite okno.

Nie było takiego niebezpieczeństwa, bo ogrodzenie było dość wysokie, a krzewy w ogrodzie utrudniały dostrzeżenie czegokolwiek – ale wolałem, żeby Wika myślała o tym niż o makabrze, jaka musiała się tu odpierdalać.

W końcu się zgodziła, by przeszukać tę katownię. Znaleźliśmy wszystko to, czego się spodziewałem: kneble, szcypce, obłe kołki, kajdanki i inne narzędzia służące do unieruchamiania ofiar.

– Jak w *Pile*...

– Co? – spytała cicho Żaba, jakby bała się, że obudzi drzemiące tu demony.

– Taki film.

– Nie widziałam.

– Bo nie ma jeszcze u nas. Nagram ci screenera, tylko daj płytkę.

Nie odpowiedziała, przyglądając się czemuś, co wyglądało na ginekologiczny wziernik.

Przeszukiwaliśmy kolejne metalowe pojemniki i gabloty, które równie dobrze można by montować w prosektorium.

– Ziomkom wypalam filmy za paczkę fajek, ale tobie...

– Deso, zobacz.

Wika kucała obok jednej z szafek, zasłaniając mi to, co znalazła. Kiedy do niej podszedłem, zobaczyłem znajomy widok.

– Najwyraźniej nie tylko ty nagrywasz filmy.

– No, najwyraźniej – odparłem, wyciągając cake'a verbatimów CD-R.

Dokładnie takich, jakich sam używałem.

– Jest tu gdzieś odtwarzacz? – spytałem.

Rozejrzeliśmy się, ale nie dostrzeżliśmy żadnego urządzenia. Może Mikulski niczego tu nie trzymał ze względu na wilgoć, a może zwyczajnie miał tutaj lepsze rzeczy do roboty.

Piwnica zdawała się pozbawiona wentylacji. Nie miała okien, a drzwi prowadzące na klatkę schodową były tak grube, że z pewnością tłumiły większość dźwięków.

Znów poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach. Skinąłem na Żabę ręką, a potem ruszyliśmy na górę. Cokolwiek było na tych płytach, z pewnością mogło dać nam odpowiedź na pytanie, co się tutaj działo.

Usiedliśmy przed kompem Izy, a ja umieściłem pierwszą płytkę w napędzie. Zakręciła się z charakterystycznym świstem, a potem wyskoczyło windowsowskie okienko eksploratora.

Kilka plików wideo.

– Skurwysyn... – rzuciłem. – Naprawdę robił nagrania...

– Nie widziałam tam nigdzie kamery.

– Może ją znosił albo gdzieś zbunkrował. Co za różnica?

– Żadna – odparła szybko Wika. – Zamierzasz to włączyć?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Ani trochę – odparłem, a potem odpałem pierwszy filmik.

Początkowo widzieliśmy tylko zaciemnione wnętrze piwnicy. Potem ktoś stojący za kamerą włączył światło i z mroku powoli wyłoniła się stojąca na środku pomieszczenia dziewczyna.

– Iza... – jęknęła z niedowierzaniem Żaba.

Mikulska była naga. Ręce miała związane za plecami, a sznur był umocowany do kajdanów, które unieruchamiały jej nogi. W ustach miała czarny, gumowy knebel, oczy zasłonięte przepaską w tym samym kolorze. Na sutkach znajdowały się szczypce, a spływająca z nich krew ciągnęła się po jej ciele aż do stóp.

– Boże...

Obróciłem się do Wiki.

– Nie musisz tego oglądać – powiedziałem.

Nie ruszyła się ani o krok, a mnie przeszło przez myśl, że powinienem ją odciągnąć i zobaczyć resztę sam. Wydawało mi się, że jestem w stanie poradzić sobie ze wszystkim, ale psycha Żaby tego nie zniesie. Do końca życia będzie to pamiętała.

Zanim zdążyłem podjąć decyzję, zza kamery wyłonił się mężczyzna. Też był nagi, ale nie dało się dostrzec jego twarzy. Dopiero kiedy podszedł do Izy, zobaczyliśmy, że to jej ojciec.

Zbliżył się do niej i zaczął przyglądać się jej ciału, jakby analizował dzieło sztuki. Wodził po nim rękoma, wyraźnie podniecony, a w pewnym momencie poprowadził ją do klatki.

– Nie wierzę... – rzuciła trzęsącym się głosem Wika. – Deso, to niemożliwe.

– Może jednak nie powinnaś...

– Muszę to zobaczyć – ucięła.

Z jej tonu jasno wynikało, że z jakiegoś powodu poczuwa się do odpowiedzialności. Spasowałem, chociaż pewnie nie

powiniennem.

Mikulski wprowadził córkę do klatki, wyjął jej knebel i kazał uklęknąć. Robiła wszystko posłusznie, niemal mechanicznie. Zajarzyłem od razu, że była do tego przyzwyczajona. To nie był jednorazowy wybryk tego pojeba.

Zamknął klatkę, a Iza przysunęła się tak, by jej usta znalazły się w wygięciu krat. Przełożył przez nie dłonie, złapał za tył jej głowy, a potem wepchnął jej w usta swojego nabrzmiałego chuja.

– Ja pierdolę...

Żabą targnął odruch wymiotny. Odwróciła się i odbiegła kawałek, a ja z obrzydzeniem patrzyłem, jak Mikulski gwałcił własną córkę. Kiedy doszedł, dławiała się i nie mogła złapać oddechu, ale nie puszczał jej głowy.

Usłyszałem, że Wika nie wytrzymała i haftnęła. Szybko do niej podbiłem i położyłem jej rękę na plecach, przytrzymując włosy. Trwała tak chwilę, zgięta w pół, głośno dysząc i plując.

Kiedy się wyprostowała, od razu przyciągnąłem ją do siebie i objąłem. Mamrotała coś, ale wciskała twarz tak mocno w moje ramię, że nic nie rozumiałem. Nie wiedziałem, ile czasu minęło, zanim ją wypuściłem.

Spojrzałem na monitor. Scena się zmieniła – tym razem Iza leżała na brzuchu, rozciągnięta na jednym ze stołów przypominających sekcyjne. W kadrze pojawił się inny gość, tym razem w masce. Wszedł w dziewczynę od tyłu, podczas gdy Mikulski stanął z przodu i robił to, co wcześniej.

Wyłączyłem nagranie.

Przez jakiś czas milczeliśmy, a ja potrafiłem myśleć tylko o całym cake'u, który stał obok. Nie musiałem włączać ani jednej z pozostałych płyt, by rozkminić, co się na nich znajduje. Wyprowadziłem Żabę do innego pomieszczenia, kazałem jej położyć się na kanapie, a potem wróciłem do pokoju.

Posprzątałem rzygi, umyłem wszystko i starałem się zostawić tak, jak było. Okna wprawdzie nie naprawię, Mikulski będzie wiedział, że tu byliśmy, ale przynajmniej zatrę trochę śladów.

Nie wiedziałem, czy to ma jakikolwiek sens. Mój umysł odmawiał posłuszeństwa, zaczynało mi odpierdalać. Zamknąłem piwnicę, schowałem klucz z powrotem do szafki nocnej.

Kiedy wróciłem do Żaby, była cała blada.

– Deso? – odezwała się, jakby niepewna, gdzie jest.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, biorąc ją za rękę.

– Zdupiajmy stąd.

Poszła za mną bez słowa i tym razem nie protestowała, kiedy ją podsadzałem. Nie czułem nawet bólu po wpierdolu, który spuszczono mi w Żeromicach, byłem kompletnie odcięty od wszystkiego.

Po tym, jak znaleźliśmy się za ogrodzeniem, ruszyliśmy szybkim krokiem w kierunku Suchorka, zupełnie jakbyśmy próbowali przed czymś uciec. Nie było takiej opcji. To, co zobaczyliśmy, będzie ciągnęło się za nami już zawsze.

Usiedliśmy na jednej z ławek, a ja wyjąłem paczkę viceroyów. Ledwo ją otworzyłem, zobaczyłem, że Wika wyciąga rękę.

– Daj.

Poczęstowałem ją, a potem jej podpaliłem. Nawet się nie zaciągnęła, ale i tak zaniósła się kaszlem.

Przez chwilę paliłem w milczeniu, a ona przyglądała się dymowi z papierosa. Wzięła dwa albo trzy płytkie buchty, zanim porządnie się sztachnęła.

– Co z tym zrobimy? – zapytała.

– Nie wiem. Na razie nie ogarniam.

Obróciła się do mnie. Wyglądała dziwnie z papierosem między palcami, jakby przybyło jej lat. Kiedy podniosła go do ust, poczucie niewłaściwości jeszcze się wzmogło.

– Powinniśmy zanieść to na policję – odezwała się Żaba.

- Nie ma mowy. Nie wiemy, kto w tym siedzi.
- Ale...
- To jest gruba sprawa.
- I właśnie dlatego trzeba poinformować policję.
- I pozwolić, żeby Charon z Mikulskim zabili Ewelę? – rzuciłem.

Wika wyglądała, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że ci ludzie nadal mają Ewelinę. W tej chwili była kartą przetargową, nie mogli jej skrzywdzić. Gdyby jednak zobaczyli, że coś jest nie w porządku, zmieniliby zasady gry.

- Tak, przepraszam... po prostu...
- Luz – rzuciłem.

Żaba sztachnęła się i znów lekko zakaszła.

- Myślisz, że ten z zasłoniętą twarzą to Charon? – zapytała.
- Może. Ale nawet jeśli nie, to przecież siedzą w tym gównie razem. Widziałas sama, że skurwiele dobrze się znają. To nie jest jednorazowa, przypadkowa współpraca czy coś.

- W takim razie co? On i Charon razem prowadzą jakiś przestępczy biznes?

- Na to bym stawiał – przyznałem z ulgą, bo udało nam się nieco skrócić z głównego toru rozmowy. – Prawnik, mafioso, niewielka różnica. Plus w gangsterce potrzeba kogoś obeznanego z prawem, nie?

Wika pokiwała głową. Znów przez chwilę przypatrywała się papierosowi, a potem go wyrzuciła.

- Teraz wiemy, dlaczego Iza uciekła.
- No raczej – potwierdziłem.
- Pytanie, gdzie jest teraz. I czy się ukrywa, czy ktoś naprawdę ją porwał po wyjściu z klubu.

Wszystko, czego się dowiedzieliśmy, rzucało zupełnie nowe światło na sprawy drugorzędne, ale nie dawało odpowiedzi, na które najbardziej liczyliśmy. Po prostu nie było tropu, którego

moglibyśmy się chwycić. A to sprawiało, że miałem coraz czarniejsze myśli dotyczące losu mojej przyrodniej siostry.

– Wszystko po kolei – powiedziałem, zmuszając się do ogarnięcia. – Najpierw hajs, towar i Ewelina. Potem Iza.

Żaba nie protestowała. Tak jak ja, potrzebowała jakiegoś logicznego planu. A przynajmniej tak sądziłem przez chwilę.

– Tyle że jedyną osobą, która wie, gdzie są pieniądze i narkotyki, jest twój anonim z GG – zauważyła. – I nie wyjawি nam tego, jeśli nie spełnimy jego żądania.

– Którym jest odnalezienie Izy.

Wika przesunęła po włosach trzęsącymi się dłońmi.

– Błędne koło – powiedziała. – I nie wiem, jak moglibyśmy się z niego wyrwać...

– Mamy płyty CD – zauważyłem.

– Ale mówiłeś, że policja nie wchodzi w grę.

– I nie zmieniam zdania. Jedyne, co wchodzi policji, to półmetry...

– Deso – zestrofowała mnie.

Uniosłem przepaszająco ręce, chociaż wydawało mi się, że im bardziej uda mi się rozluźnić, tym lepiej będę trybił. A optymalnym rozwiązaniem byłoby wyjaranie choćby połowy jointa. Umysł od razu by mi się rozjaśnił.

– Nie mam na myśli psów – oznajmiłem. – Ale te materiały to nasza karta przetargowa. Możemy je prehandlować, kminisz?

Kminiła oczywiście bez trudu. Sama z pewnością pomyślała o tym już dawno.

– I myślisz, że to takie proste? – rzuciła. – Po prostu powiesz Mikulskiemu, że wymienisz cake'a płyt za Ewelinę?

– I za nasz dług.

– A on ot tak się zgodzi – mruknęła z ironią.

Podniosłem się i zdeptałem fajka.

– Szybko zajarzy, że nie ma innego wyjścia – zauważyłem. – To będzie dla niego absolutnie oczywiste.

– Deso, dla większości ludzi nic nie jest oczywiste. Nawet to, jaki jest najwyższy szczyt na świecie.

Lekko się uśmiechnąłem, bo najwyraźniej teraz to ona starała się nieco zmienić atmosferę. Dobrze, tego właśnie potrzebowaliśmy. Po tym, co widzieliśmy, każda namiastka normalności była na wagę złota.

– To nie Mount Everest – dodała.

– Wiem. Chimborazo.

Żaba popatrzyła na mnie jak na człowieka, który właśnie oznajmił jej, że wygrała w wielkiej loterii.

– Jego wierzchołek to najdalszy punkt mierzony od środka Ziemi – dorzuciłem. – Bo znajduje się niedaleko równika, tam, gdzie planeta jest lekko wybrzuszona. A Mount Everest jest najwyżej tylko wtedy, gdy mierzymy od poziomu morza.

Dawno nie byłem z siebie taki zadowolony.

– Jestem pod wrażeniem – pochwaliła mnie Wika. – Znowu zasługa Sojózsa?

– Niestety. Gość ma na twoim punkcie takiego pierdolca, że oprócz rzeczy bieżących ostatnio słucham tylko o geografii. Zajebał się w tobie, że chuj.

– Cóż... miłość jest ślepa.

– A smutek niemy – skwitowałem.

Żaba spojrzała na mnie z uznaniem, a ja poczułem, że mam *flow*.

– Jeszcze jakieś pomysły? – spytała.

– Złość jest głucha. Bo nie słyszy głosu racjonalności.

Ma też zespół Tourette'a, ale tę myśl zostawiłem dla siebie.

– Nieźle.

– Sprawiedliwość ślepa, ale węch ma doskonały. Zawsze wyczuje strach.

Wika wyglądała, jakby dopiero uświadomiła sobie, że potrafię sklecić parę dobrych wersów. Szczególnie siadł mi ten

ostatni i uznałem, że powinienem dorzucić go do którejś nuty Stalagbitów.

– Może jeszcze będą z ciebie ludzie – zauważyła Żaba.

– Poczekaj, aż ci coś zarymuję.

– Może później. Teraz zajmijmy się prawdziwymi problemami.

Nabrała głęboko tchu, a z jej twarzy znikło całe odprężenie. Rzeczywistość wracała szybko, w dodatku ze zdwojoną mocą. Po raz kolejny zamilkliśmy, nie zwracając uwagi nawet na przechodniów, którzy z pewnością byli bliższymi lub dalszymi znajomymi Zabskich. Na osiedlu RZNiW znali się wszyscy.

– Więc co zrobimy? – zapytała w końcu Wika.

– Postawimy Charonowi ultimatum.

– I naprawdę myślisz, że... nas nie zabije?

Dobre pytanie, uznałem w duchu.

– Jeśli będzie chciał odzyskać te płyty, to nie.

– A jeśli go nie ma na nagraniach? – ciągnęła coraz bardziej nerwowo Żaba. – I jeśli Mikulski nie jest nikim ważnym, tylko zwykłym, szeregowym pracownikiem? Charon poświęci go bez wahania.

Miała rację, ale w głębi duszy musiała też zdawać sobie sprawę, że nie mamy innego wyjścia.

– Deso...

– No?

– Musimy obejrzeć pozostałe płyty.

Obróciłem się do niej i zmarszczyłem czoło.

– Odkorbiło ci?

– Może gdzieś widać, kim jest ten drugi człowiek... Jeśli potwierdzimy, że to Charon, nie będziemy musieli blefować.

Wyciągnąłem kolejnego papierosa i zapaliłem. Rzygać mi się chciało na samą myśl, że będziemy oglądać podobne sceny, może nawet gorsze. Tyle płyt, kurwa! Ile tam musiało być materiału?

Normalnie nagrywałem ziomkom jeden dwugodzinny film na jednym CD-ku, ale wszystko zależało od kompresji wideo. W cake'u było dwadzieścia pięć sztuk, więc zakładając, że jakość będzie podobna, dawało to... pięćdziesiąt godzin zwyrodnialstwa i ohydztwa z moją siostrą w roli głównej.

Zaciągnąłem się głęboko. Nikotyna z jakiegoś powodu sprawiała, że robiło mi się nieco lepiej. Przynajmniej pod względem kondycji psychicznej.

– W porządku – powiedziałem. – Masz rację.

Żaba skinęła smętnie głową.

Wróciliśmy do mnie, a potem usiedliśmy przed komputerem. Babcia była w domu, nie miała po co wychodzić. Zamknąłem drzwi, zablokowałem je krzesłem, po czym usiedliśmy przed kompem.

Podpiąłem słuchawki, Żaba włożyła do ucha jedną, ja drugą. Potem włączyłem filmik.

Za pierwszym podejściem wytrzymailiśmy czterdzieści minut. Iza była poniżana, opluwana i wykorzystywana na każdy możliwy sposób, jaki pojawił się w chorej głowie Mikulskiego i jego kumpla. Robili wszystko tak, by na ciele nie pozostawiać żadnych widocznych śladów. Te na psychice im wystarczały.

Za drugim razem udało nam się obejrzeć tylko dwadzieścia minut. Spasowaliśmy, kiedy drugi z mężczyzn wpychał dziewczynie do dupy jeden z przyrządów ginekologicznych, a drugi spuszczał jej się na włosy.

– Nie mogę, Deso... – jęknęła Żaba, a ja zobaczyłem, że łzy cieką jej po policzkach.

Otarłem je, nawet się nie zastanawiając. Zwykły odruch bezwarunkowy, ale Wika wzięła to za coś więcej. Przysunęła się, a ja szybko ją objąłem i przytuliłem.

– Połóż się – zaproponowałem. – Przejrzę jeszcze parę plików i zobaczę, czy ten pierdolony skurwysyn zdejmuje w którymś momencie maskę.

Ściągnął ją w piątym filmiku.

Zobaczyłem twarz, którą dobrze znałem. Twarz, której nie spodziewałem się zobaczyć.

## 36

Deso złapał mnie raptownie za rękę, a potem przyciągnął do komputera. Wskazał stop-klatkę, a ja wbiłam wzrok w mężczyznę ledwo mieszczącego się w kadrze. Myślałam zapewne, że kamera już go nie widzi, ale szczęśliwie dla nas, pomylił się.

Zaporowski.

Patrzył na Izę z wyuzdaniem i był wyraźnie zmęczony, jakby właśnie skończył długi i intensywny wysiłek. Na jego twarzy widziałam też zadowolenie i poczucie wyższości, podobne do tych, które przejawiał Mikulski.

– Jebany kawał chuja – syknął Deso, wstając z krzesła przy biurku.

Podszedł do okna, otworzył je na oścież, a potem wychylił się za framugę i zapalił papierosa.

– Uważaj – powiedziałam cicho.

– Skurwysyn pierdolony – rzucił, jakby mnie nie słyszał. – Teraz wszystko ma sens.

Dla mnie nic już nie miało sensu, ale postanowiłam się nie odzywać.

– To dlatego zjawił się tak szybko po zaginięciu – ciągnął Darek. – Nie chodziło o to, że Mikulski uruchomił kontakty w policji, tylko o to, że obaj obawiali się tego, co Iza może komuś powiedzieć.

Deso splunął na zewnątrz, a wraz ze śliną jego usta jednocześnie opuściła strużka dymu.

– I dlatego nie przyjmował wersji, że została porwana. Upierał się, że to ucieczka. I naprawdę był pewien, że ja jej w tym pomogłem. Śledził nas, bo chciał wysledzić ją.

Spodziewałam się, że zaraz usłyszę kolejną salwę przekleństw, ale Darek zamilkł. Przez chwilę palił w milczeniu.

– Nic nie powiesz? – rzucił, nie odwracając się.

– Nie wiem co.

– Może chociaż, że miałem rację?

– Co do czego?

– Psów – odparł przez zęby Deso. – Do zasranych mend, które nie mają nic wspólnego z tym, co niby mają robić. Do skurwiałych szmat, które...

Urwał, kiedy podeszłam do niego i zabrałam mu papierosa. Nie spodziewałam się, że tak szybko się uspokoi, ale po raz kolejny coś sprawiło, że moja bliska obecność go wyciszyła. Spojrzał na mnie przepaszająco, choć nie do końca wiedziałam, czego żałuje.

– Jedno zepsute winogrono nie znaczy, że wszystkie w kiści są niedobre – odparłam cicho.

Darek popatrzył na mnie niepewnie.

– Ale mniejsza z tym – dodałam. – Mamy jakiś konkret. Możemy działać.

– Żebyś wiedziała.

– Powinniśmy pójść z tym...

– Żadnych kurew – uciął od razu Deso. – Nawet jak ta twoja kiść jest w miarę zdrowa, to nie wiesz, ile konkretnie w niej zgniłych winogron. Nie będziemy ryzykować.

– To pojedźmy do innego komisariatu.

– Nie – odparł Darek, zabierając mi viceroya. – Załatwimy to sami.

– Jak?

Oboje wciąż byliśmy tak roztrzęsieni tym, co zobaczyliśmy, że nie wyobrażałam sobie, byśmy mogli cokolwiek osiągnąć.

Byłe podejście do okna wydawało się niemal ekstremalnym wysiłkiem, podobnie jak prowadzenie tej rozmowy.

– Pójdziemy z tym do samego Zaporowskiego – oznajmił Deso.

– Świetny pomysł.

– Jedyne wykonalne – odparł całkiem poważnie. – Pokażemy mu to nagranie, a potem...

– O czym ty w ogóle mówisz?

– O tym, że zmusimy go, żeby się rozpruł. Dowiemy się wszystkiego.

Pokręciłam głową z rezygnacją.

– Zakładasz, że on cokolwiek wie.

– Bo wie – odparł twardo Darek. – On, Mikulski i Charon działają razem, to pewne.

– Skąd ta pewność?

Zawahał się, a ja poczułam, że właśnie przebijam się przez warstwę emocji i docieram do racjonalnej części jego umysłu.

– Nic na to nie wskazuje – powiedziałam. – Z jednej strony mamy to, co działo się w piwnicy Mikulskich, z drugiej to, co nas spotkało w Żeromicach. Twój ojciec zna Zaporowskiego i Charona, ale to nie znaczy, że ci dwaj są ze sobą powiązani.

Deso zapalił kolejnego papierosa i nie odpowiedział.

– Charona nie ma nigdzie na nagraniach – dodałam. – Nie mamy czym mu zagrozić. Nie postawimy mu ultimatum i nie zmusimy go do niczego. Haka mamy tylko na Mikulskiego i Zaporowskiego.

Chciał, żeby wszystko się ze sobą łączyło. Żebyśmy za jednym zamachem zyskali kartę przetargową i rozwiązali sprawę zniknięcia Izy. Było to jednak myślenie życzeniowe i nie miało wiele wspólnego z tym, co odkryliśmy.

– Wiemy już, co jej się stało – ciągnęłam uparcie. – Musimy skupić się na tym, żeby ją znaleźć, Deso. Spełnimy żądanie

anonima, on powie nam, gdzie są pieniądze i narkotyki, pani Blusiewicz zostanie uwolniona, a my...

– Przecież to jedna wielka ściema – mruknął Darek.

– Co?

– Ten cały układ z anonimem. Kimkolwiek jest ten typ, gównu nam da.

Przechyliłam głowę i zmarszczyłam czoło.

– Po kiego grzyba miałby nas zmuszać do szukania Izy, co?

– Cóż...

– Na chuju bombki, na piździe druty, to się kompletnie nie trzyma kupy.

Doceniłam ten niezbyt wyszukany rym lekkim uśmiechem. Deso zaś zdawał się nakręcać. Odniosłam wrażenie, że w jego głowie pojawiła się jakaś myśl, która sprawiła, że zobaczył wszystko w nowym świetle.

– Mówię ci, ktoś leci z nami w kulki – dodał.

Wyrzucił niedopalonego papierosa przez okno i zamknął je z trzaskiem.

– Deso...

– No?

– Ultimatum anonima to jedyne, co mamy. Jedyne, czego możemy się trzymać.

– Wiem – odparł. – Ale planuję to, kurwa, zmienić.

– Jak?

Nabrał głęboko tchu, usiadł przed komputerem, a potem ściągnął bluzę i rzucił ją na łóżko. Wyglądał, jakby miał zamiar wyskoczyć z kimś na solówkę.

Usiadłam obok i spojrzałam na monitor.

– Jak? – powtórzyłam.

– Na pełnej kurwie – odparł, a potem zabrał się do roboty.

Przyglądałam się temu z niedowierzaniem. Kilka razy próbowałam go powstrzymać. Tłumaczyłam, że to niedobry,

wręcz tragiczny pomysł. Nakłaniałam, by się zastanowił, zważył na konsekwencje, których nie odkręcimy.

Wszystko na nic.

Deso miał dosyć bycia pionkiem w tej grze, chciał ustalić nowe, własne zasady.

I dokonał tego w sposób, na który mnie z pewnością brakowałoby odwagi.

Kiedy skończył, wyprostował się i wyłączył komputer. Rozległ się krótki dźwięk zamykania Windowsa XP, a potem monitor wygasł. Przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się w czerń na ekranie, widząc w niej swoje niewyraźne odbicia.

– Kimniesz u mnie? – odezwał się Darek.

– Chyba nie mam wyjścia.

Odchrząknął i rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz się zorientował, że mnie tutaj wpuścił.

– Dobra, spoko... – rzucił pod nosem. – W takim razie walnij się na wyro, ja sobie coś zorganizuję na podłodze.

– Nie ma mowy.

– Wolisz na glebie?

– Wolę razem w łóżku.

Nie wierzyłam, że naprawdę to powiedziałam. Nie zastanawiałam się, nie rozważałam, jak to potraktuje. Po prostu wypaliłam to, co pomyślałam, kiedy tylko wspomniał o spaniu tutaj.

Emocji było zbyt wiele. Mój świat zmienił się za bardzo, a konsekwencje przyszły za szybko.

Najwyraźniej nie odnajdowałam się w tej nowej rzeczywistości, stałam się zagubioną, inną wersją samej siebie. Patrzyłam na Desa w oczekiwaniu, że zaraz mnie wyśmieje lub powie, że wolałby spać na klatce schodowej.

– Okej – powiedział jednak, a mnie serce się zatrzymało.

Położyliśmy się jakiś czas później. Dość blisko siebie, ale jednocześnie daleko – on przesunął się maksymalnie na skraj

łóżka, ja umościłam się przy samej ścianie. Uważaliśmy, żeby się nie dotknąć, jakbyśmy mogli się oparzyć.

Kiedy brałam kąpiel, zadzwonił do Sojóza i kazał mu zejść piętro niżej, ale ten stanowczo zaoponował. Wywiązała się między nimi przepychanka słowna, a ja żałowałam, że ją przegapiłam. Dziwnie było mi z myślą, że jakikolwiek chłopak wstydzi się mnie na tyle, by sama perspektywa spotkania spędzała mu sen z powiek.

Deso kilkakrotnie groził, że wejdzie do niego i wyciągnie go siłą, ale Sojóz był nieustępliwy. Darek twierdził, że jeszcze nigdy nie słyszał przyjaciela tak przerażonego, więc w końcu odpuścił.

Ja zaś doszłam do wniosku, że muszę kiedyś go poznać. Choćby po to, by się przekonać, czy rzeczywiście zadurzył się we mnie tak, jak ja w Desie.

Prychnęłam w duchu. Oczywiście, wszystkie myśli musiały wracać do niego i mojego uczucia. Nie potrafiłam się od nich uwolnić, choć próbowałam na wszelkie sposoby.

– Moi rodzice mnie zabiją – odezwałam się, chcąc zająć czymś myśli.

– Powiem coś wzruszającego na pogrzebie.

Szturchnęłam go lekko, a on obrócił na moment głowę w moją stronę. Potem szybko wbił wzrok w sufit.

– Napisałaś im esa, że jesteś bezpieczna i żeby nie łapali tripa?

– Mhm – potwierdziłam. – Tuż przed wyłączeniem komórki.

– To luz.

– Chyba mamy inne pojmowanie luzu.

Obrócił się na bok i popatrzył na mój profil. Mogłam myśleć tylko o niedoskonałym kształcie mojego nosa i o tym, że moje policzki muszą teraz nefajnie zwisać. Dzięki Bogu syfa, z którym nie mogłam sobie poradzić, miałam po drugiej stronie twarzy. Próbowałam zamaskować go dziś rano, ale

skutek był marny. Miałam wrażenie, że zostanie mi do końca życia – i wtedy wydawało się to jedną z najważniejszych rzeczy na świecie. W tej chwili chętnie wróciłabym do problemów tego typu.

– Jutro będzie po wszystkim – odezwał się Darek. – I nic z tych rzeczy nie będzie miało już znaczenia.

– Tak myślisz?

– Nie inaczej.

Przez chwilę leżeliśmy w ciszy.

– Żaba...

– Tak?

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Jak rano zobaczysz u mnie drągala, nie przestrasz się, okej?

– Słucham?

Obróciłam się do niego raptownie, jednocześnie przyciągając sobie więcej kołdry.

– Mam na myśli poranny maszt – dodał zupełnie niepotrzebnie Deso. – Czasem po prostu stoi jak widły w gnoju i...

Nie dokończył, bo zepchnęłam go z łóżka. Wyrznął na podłogę i zanim się zorientował, co się stało, rzuciłam w niego poduszką. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, którą w końcu przerwała pani Sodkiewicz.

– Wszystko w porządku, dzieci? – spytała.

– Tak, proszę pani! – odkrzyknęłam. – Coś nam spadło.

Wychyliłam się za skraj łóżka i spojrzałam z góry na Darka.

– Ty i twoje widły śpicie dzisiaj na podłodze – oznajmiłam.

Odpowiedział pełnym niedowierzania uśmiechem, a potem ubił poduszkę i ułożył się na tyle wygodnie, na ile było to możliwe.

Oboje korzystaliśmy z ostatnich chwil, w których mogliśmy cieszyć się względnym spokojem.

Z samego rana sytuacja diametralnie się zmieniła.

## 37

W kilku redakcjach tego ranka musiała być jazda jak w najlepszych wixiarniach – nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Początkowo na pewno pojawiło się niedowierzanie, a zaraz potem przyszło zrozumienie, że zaczyna się prawdziwa, jebitna impreza wszech czasów.

Musiał myśleć tak każdy dziennikarz, który dostał mojego nocnego maila.

Napisałem w nim dość szczegółowo o tym, co robili adwokat Mikulski i podkomisarz Zaporowski, a na dowód tego załączyłem jeden z filmików. Wybrałem ten, na którym nie było widać twarzy dziewczyny, bo zależało mi na chronieniu Izy.

Dałem dziennikarzom namiary na obydwu skurwysynów. Numer Mikulskiego znalazłem bez problemu w sieci, a Zaporowski sam dał Żabie swój. Do ósmej rano miałem już całą skrzynkę zawałoną wiadomościami – i spodziewałem się, że te dwie mendy mają nie mniejszy ruch na liniach telefonicznych.

Już w południe NSI wyemitowała pierwszy materiał. Ocenzurowano prawie wszystko, w dodatku zatrzymywano nagranie za każdym razem, kiedy miało dojść do jakiejś chorej akcji. Dwie godziny później pojawiły się doniesienia na TVN24, a w tak zwanym międzyczasie internet zalał tajfun artykułów, pospiesznych analiz i wypowiedzi ekspertów.

Otworzyłem jebaną puszkę Pandory.

W dodatku kiedy tylko jeden z dziennikarzy zapytał mnie, czy wiem, gdzie znajdują się teraz mendy, od razu podałem adres hotelu w Żeromicach. Nie wnikałem, czy powiadomi pały. Zasady związane z niedonoszeniem nie miały zastosowania do takich zwyroli jak Mikulski.

Zatrzymali go wczesnym popołudniem, a niedługo potem pewnie postawili mu zarzuty. Zaporowski w porę dał nogę, co mnie wcale nie dziwiło. Pewnie miał jeszcze kilku kumpli w policji, którzy w to wszystko nie wierzyli i pomogli mu uciec.

Oglądaliśmy relację na żywo u mnie w chacie. Pokazywano właśnie, jak Mikulski jest wyprowadzany w kajdankach z hotelu w Żeromicach. Zaraz potem zrobiono najazd kamery na typa, z którym dziennikarz przed momentem rozmawiał. Podpis na pasku informował, że to komisarz Konarzewski.

Gość dokonał zatrzymania, ale wyglądał, jakby miał pogubić się nawet podczas przedstawiania się.

– Czy wiadomo już, kto poinformował organy ścigania o procederze, w którym uczestniczył zatrzymany? – rzucił dziennikarz NSI.

– Tak.

Reporter czekał na więcej, ale Konarzewski nie potrafił wydusić z siebie niczego innego.

– Czy może pan to ujawnić?

– Nie.

– Chodzi o jakąś osobę? Organizację?

– O osobę.

– Brała udział w procederze?

– Nie.

Odwróciłem się do Żaby. Siedziała przy oknie, wodząc pustym wzrokiem po osiedlu RZNiW. Zastanawiała się pewnie nad tym samym, co ja – czy dobrze zrobiliśmy. Efekty mogły być różne, bo nie sposób było rozkminić, jak zachowa się Charon.

Jeśli się wkurwi, zajmie się Ewelą. Jeśli był zamieszany w to, co robili Mikulski i Zaporowski, zaraz potem spierdoli z kraju. Jeśli nie, będzie czekał na to, aż spełnię jego ultimatum.

Istniało wiele niewiadomych, ale byłem przekonany, że dobrze ogarniam ogólny obraz. I że zrobiłem to, co powinienem.

Miałem plan. Wystarczyło tylko się go trzymać.

– Czy wiadomo, kim była ofiara widoczna na filmie? – spytał reporter.

– Nie.

Nie dotarli jeszcze do informacji, że zaginęła córka Mikulskiego. Kiedy zaczną grzebać u mnie w mieście, pewnie kilku dziennikarzy dojdzie do wniosku, że jedno musi być powiązane z drugim. Miałem jednak nadzieję do tej pory załatwić sprawę.

– W takim razie proszę pozwolić, że zapytam – ciągnął dziennikarz. – Czy to szersza, zorganizowana siatka? Czy może szaleństwo dwóch ludzi?

– Wygląda na to, że proceder był ograniczony.

– A więc...

– A więc był ograniczony do oskarżonych.

– Rozumiem – odparł z niezadowoleniem reporter. – A czy udało się odnaleźć jakiś trop policjanta, który brał w tym udział?

– Pracujemy nad tym.

– Pan konkretnie?

– Nie. Ja jestem tutaj i odpowiadam na pytania.

Uśmiechnąłem się w duchu, bo typ może nie był taki beznadziejny, jak na początku sądziłem. Tak czy inaczej, nie chciało mi się dłużej go słuchać. Wyłączyłem telewizor i rozsiadłem się wygodniej na fotelu.

Za Zaporowskim ruszą teraz psy w całym kraju. Tutaj może miał znajomości, ale wszystkie pozostałe pały będą zdrowo wkurwione tym, co zrobił. Nie miałem wątpliwości, że rozjadą go na płasko.

– Nie idziecie do szkoły? – odezwała się babcia z kuchni.

Razem z Żabą obróciliśmy się w jej kierunku.

– Zaraz wychodzimy – powiedziałem.

– Dobrze. Żebyście się tylko nie spóźnili.

– Jasne, babcia.

– I mogę podejść do państwa Zabskich porozmawiać, jeśli...

– Nie trzeba, proszę pani – odparła szybko Wika. – Ale dziękuję bardzo. I za gościnę, i za propozycję.

Ta dziewczyna była idealna do urabiania pocziwych ludzi, uznałem w duchu. I po raz pierwszy ucieszyło mnie, że odcięli nam telefon w mieszkaniu. Gdyby było inaczej, babcia tarabaniłaby do rodziców Żaby i cała sprawa by się posypała.

Zjedliśmy śniadanie, a ja napisałem Sojózowi esemesa, że ma ostatnią okazję, żeby stawić się na widzenie z Wiką. Była tym wyraźnie zainteresowana, jakby w końcu uznała, że faktycznie musi go poznać.

– I co odpisał? – spytała.

Odchrząknąłem i uniosłem komórkę jak prompter.

– „Mam dzisiaj na rano, idę już do szkoły” – odczytałem. – „Ale przekaż Wice, że moje myśli migrują do niej jak Kanadyjczycy do stumilowego pasa terenów przygranicznych na południu”.

Odłożyłem telefon i spojrzałem pytająco na Żabę.

– Siedemdziesiąt pięć procent populacji mieszka w takiej odległości od granicy ze Stanami – wyjaśniła.

– Aha.

– Widzę, że cię to nie zainteresowało.

– Nie za bardzo.

– A to w pewien sposób romantyczne – odparła ciszej, by babcia nie słyszała.

Nachyliłem się nad stołem, jakbym chciał wyjawic Żabie jakiś sekret.

– W takim razie inaczej rozumiemy romantyzm – mruknąłem.

Wika zmrużyła oczy.

– Czyżbyś był zazdrosny?

– O ciebie? I Sojózka?

Nie zareagowałem tak, jak powinienem, bo pytanie mnie zaskoczyło. Właściwie nawet nie samo pytanie, ale to, że było w pewnym sensie trafne. Poczułem małe ukłucie zazdrości. Totalnie bezsensowne i niespodziewane, ale jednak niemożliwe do niezauważenia.

– Zbijajmy – rzuciłem głośniejszym głosem. – Bo się spóźnimy.

Spieszyło mi się nie tylko dlatego, że chciałem uciąć temat. Przypuszczałem, że psiarnia niedługo trafi na nasz trop – w taki czy inny sposób zorientują się, że to ja wysłałem nagranie do mediów, i będzie pozamiatane.

Nie mogłem na to pozwolić. Spierdoliliby wszystko, mój plan posypałby się w trzy strzępy.

Przed wyjściem z domu sprawdziłem jeszcze skrzynkę mailową. Była zawałona pytaniami od dziennikarzy. Wszystkie zignorowałem i włączyłem GG.

– Żabcia – powiedziałem.

Podeszła szybko.

– Jest odzew od anonima.

– Co pisze?

Oboje spojrzeliśmy na monitor. Pierwsza wiadomość pochodziła sprzed godziny – między nią a kolejną było kilka minut różnicy, jakby nadawca musiał się uspokoić.

„Coś ty zrobił? Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to niebezpieczne? Narażasz nie tylko siebie, ale i wszystkich

innych”.

Przesunąłem wzrok niżej.

„Nasz układ pozostaje bez zmian”.

Nie dodał nic więcej, a ja nie miałem zamiaru tracić czasu na pytanie go o cokolwiek. Na wcześniejsze próby Wiki odpowiedział milczeniem, zupełnie je ignorując. Teraz byłoby tak samo.

Napisałem więc tylko to, co sam chciałem mu przekazać.

– Jesteś pewien? – spytała Wika.

Wcisnąłem enter.

Już kwadrans później zabunkrowaliśmy się z Żabą w Hangarze i zamknęliśmy go od wewnątrz. Czekaliśmy na rozwój wypadków, niepewni, czy zaprojektowana przeze mnie konstrukcja wytrzyma zderzenie z rzeczywistością.

W mojej głowie wyglądała idealnie. W praktyce mogła mieć źle położony środek ciężkości.

W pewnym momencie Żaba wyciągnęła telefon i przesunęła go po stoliku, jakby składała jakąś deklarację.

– Co robisz? – spytałem.

– Nic.

– Zastanawiasz się, czy nie zadzwonić do starych?

– Nie – odparła z wyraźnym bólem w głosie. – Choć chciałabym.

Nie wątpiłem w to ani przez chwilę. Zabscy musieli odchodzić od zmysłów i szukać jej wszędzie. Pechowo dla nich, że nie wiedzieli, gdzie mieszkam – i że policja miała w tym momencie pełne ręce roboty. Za parę godzin jednak poszukiwania ruszą na pełnych obrotach, a wszyscy zaczną kojarzyć zaginięcie Izy ze zniknięciem jej przyjaciółki.

Zapaliłem szluga i zamknąłem oczy. Wszystko się ułoży, powtarzałem sobie w duchu. Zrobiłem, co trzeba. Musiałem tylko pozwolić, by to czas teraz zrobił swoje.

Siedzieliśmy przy niewielkim stoliku, starając się zająć czymkolwiek. Słuchaliśmy muzyki z mojego odtwarzacza, co jakiś czas włączaliśmy radio w komórce, trochę gadaliśmy, próbowaliśmy kręcić bekę z tej czy innej sprawy.

W końcu puściłem jej *Każdy ponad każdym* WWO i powiedziałem, żeby skupiła się szczególnie na nawijce Sokoła i storytellingu w tym kawałku. Lepszego przykładu nie znałem, poza tym w tej chwili oboje potrzebowaliśmy właśnie czegoś takiego.

– I co? – zapytałem, kiedy numer dobiegł końca.

Widziałem, że Wiktoria była lekko w szoku.

– Nieźle.

– W tych twoich nutach nie ma takiego przesłania, co?

Żaba obróciła się do mnie, a ja obawiałem się, że zaraz będę musiał wysłuchać nowicjuszowskiego spojrzenia na hip-hop, które pomijało zupełnie jego uliczne korzenie, dopuszczało śpiewane refreny i podkłady rodem z popowych list przebojów.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy, ale Wika się nie odzywała.

– Puszczalam ci *Skamieniałych*? – spytała.

– To Trzeci Wymiar, tak? – jęknąłem.

– O, jednak coś kojarzysz.

– Sojóz mi to jakiś czas temu zapodał, twierdząc, że dobry bit.

– I?

– I chuj na to kładę.

– Deso...

Uniosłem obronnie ręce, jakbym się spodziewał, że ma zamiar mi przywalić. Żaba tylko się uśmiechnęła.

– Dobra, dobra – rzuciłem. – Nie jest takie złe. I może faktycznie jakaś refleksja im tam siadła.

Mimo to nie miałem zamiaru zmieniać playlisty. Poleciał kolejny kawałek z mojej, tym razem *Tabasko* O.S.T.R.

Wysłuchałem się w linijki nawijane przez Ostrego i dopiero po chwili zorientowałem się, że Wika wbija we mnie wzrok.

– Co jest, Żabcia? – zagailem.

– Nic.

– To czemu lampisz się na mnie jak komornik na telewizor?

– Tak po prostu.

Widziałem, że chciała powiedzieć więcej, tylko nie bardzo ogarniała jak. Szturchnąłem ją, a potem otworzyłem paczkę szlugów i podałem jej jednego.

– Zastanawiam się, jak to się dla nas skończy – powiedziała, biorąc viceroya.

– Normalnie. Dzieci, dom na wsi, buda dla psa, te sprawy.

Uśmiechnęła się lekko, kiedy jej podpalałem.

– Mówię poważnie – zastrzegła. – Zakładając, że twój plan wypali, co z nami zrobią?

– Obsypią nas złotem i zrobią honorowymi obywatelami tego smutnego jak pizda miasta.

Żaba obcięła mnie z ukosa.

– Nie wiem – dodałem poważniejszym tonem. – Jak dobrze pójdzie, nikt się nie dowie o dragach i hajsie. Będziemy kryci.

– A jeśli dobrze nie pójdzie?

– To mamy przepierdalone jak karpie w Boże Narodzenie.

Wika skinęła głową i zaciągnęła się płytko. Wyglądała z fajkiem między palcami coraz bardziej naturalnie. Może jeszcze będą z niej ludzie.

Sięgnąłem do odtwarzacza i zmieniłem folder.

– Co puszczasz? – spytała.

– Klasyki. Teraz czas na *Głuchą noc Peji* i *Slums Attack*.

Żaba przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym w jej oczach zakołatał się błysk zrozumienia.

– Znam to – powiedziała. – Było dość często na Vivie.

– No – potwierdziłem niezadowolony, jakby fakt, że coś leci w telewizji, sprawiał, że traci na wartości.

Nie zdążyłem wytłumaczyć Żabie istoty komercjalizacji rapu – ani tym bardziej sam jej zrozumieć – bo rozległo się głośne walenie w drzwi garażu. Oboje niemal podskoczyliśmy, jakby poraził nas prąd.

– Co jest, do chuja! – krzyknął ktoś z zewnątrz.

Odetchnąłem.

– Spokojnie – powiedziałem do Żaby. – To Pinky.

Podszedłem do bramy i otworzyłem ją, wpuszczając do środka Pinkowskiego. Ten najpierw machnął ręką do Wiki, a potem popatrzył na mnie jak na szaleńca. Zbiliśmy piątki, jak tego wymagała kulturka.

– Co jest, bijjaaacz? – rzuciłem zamiast powitania.

Obejrzał się na bramę.

– Po co się tak bunkrujecie? Odpierdalacie tarło?

– Nie.

Głos miał jakiś nieswój, jakby przed momentem ktoś oznajmił mu, że świat się kończy. Lampiłem się na niego z uwagą, dopiero teraz orientując się, że jest wyraźnie zmachany.

– O co biega, ziombel? – rzuciłem.

Znów zerknął na Żabę.

– Nie wiecie?

– O czym?

– Kurwa... jak to w ogóle możliwe? Gdzie macie komórki?

– Wyłączone – odburknąłem.

– O czym nie wiemy? – spytała Wika, podnosząc się z kanapy.

Pinkeiro zabrał ze stolika moją paczkę fajek, a potem oparł się o ścianę garażu. Odezwał się dopiero wtedy, gdy ściągnął pierwszego bucha.

– Iza się odnalazła – oznajmił.





## REFREN

### 38

Patrzę na nią, jak wchodzi do sali sądowej. Wygląda dobrze, jak zawsze – ale nie widzę już w niej tej samej dziewczyny, którą dostrzegałem kiedyś. Teraz jest dla mnie tylko siostrą. Długo zagubioną, przeczołganą przez los i skrzywdzoną do tego stopnia, że powinienem się nią zajmować.

Przypominam sobie ten dzień, kiedy Pinky wbił do Hangaru i oznajmił, że Iza się znalazła. Zanim zdążył nam cokolwiek wytłumaczyć, prawie wyciągnęliśmy to z niego siłą.

Pytaliśmy: gdzie, z kim, kiedy, dlaczego? Co powiedziała? Jak wyglądała? Czy wszyscy już wiedzą?

Nie pamiętam pierwszych odpowiedzi, jakich udzielił Pinkeiro. W miarę szybko jednak zrozumiałem, że mój plan wypalił.

Teraz patrzę na nią, a ona na mnie. Wszyscy na sali doskonale ogarniają, ile mi zawdzięcza, i mają świadomość, że nie powie niczego, co mogłoby mi zaszkodzić. Moja prawniczka też jest tego pewna.

– Staje świadek – odzywa się sędzia. – Izabela Mikulska, lat siedemnaście. Stosunek do oskarżonego: przyrodnia siostra.

Przez moment wszyscy milczą. Każdy wie, że Iza ma już serdecznie dosyć sądu. W ostatnich tygodniach media mówiły tylko o niej i o procesie jej ojca. Wszystkim nam echem w głowie odbijają się zarzuty o doprowadzenie siłą do obcowania płciowego, o stosunek kazirodczy i tak dalej.

Mimo to przyszła tutaj. I jest gotowa opowiedzieć o wszystkim, co jej się przydarzyło, od kiedy spłyła z domu.

– Czy świadek wie, w jakiej sprawie została wezwana? – pyta sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Czy świadek może zatem opisać ciąg zdarzeń, który doprowadził do czynu, za który oskarżony odpowiada przed sądem?

– Oczywiście – odpowiada bez wahania moja siostra.

Nabiera głęboko tchu, przywołując w pamięci wszystko, co powtarzała przez kilka ostatnich dni. Od początku nie waliła żadnej ściemy, nawet nie podkoloryzowała. Teraz też wyłoży samą prawdę, potrzebuje jednak chwili, żeby zebrać myśli.

– To, o czym mówi się w mediach przez ostatnie tygodnie, trwało w moim życiu, od kiedy skończyłam dwanaście lat – odzywa się.

Kilka kobiet na publiczności zasłania usta dłońmi. Paru mężczyzn porusza się nerwowo. Sędziowie patrzą na Izę, starając się zachować kamienny wyraz twarzy, ale wszyscy widzieli nagrania.

– To nie wydarzyło się jednej nocy. Ojciec... oswajał mnie z tym stopniowo. Posuwał się ostrożnie, ale metodycznie. Coraz dalej i dalej. I wciąż zapewniał mnie, że wszystko jest w porządku.

Spuszcza wzrok i oddycha nierówno. Nikt jej nie ponagla.

– Moja psychika była wtedy jak z plasteliny – mówi w końcu.

– Dało się ją uformować tak, że po jakimś czasie nie pamiętałam już, jaki był jej pierwotny kształt... ani co jest dobre, a co złe. Wydarzenia w piwnicy się powtarzały, dochodziło do nich coraz częściej. Matka o wszystkim wiedziała.

Iza znów potrzebuje chwili, by opanować emocje. Pociąga cicho nosem.

Nie chcę znów tego słuchać, bo za każdym razem się we mnie gotuje i mam ochotę zająbać wszystkich, którzy brali

w tym udział.

Są jednak poza zasięgiem, zamknięto ich wszystkich w areszcie śledczym – i wyjdą z niego tylko po to, żeby przenieść się do nowej celi w zakładzie karnym. Gdybym mógł, pozbawiłbym ich życia bez wahania, bo na to zasłużyli.

Ale to nie za to dziś odpowiadam.

– W pewnym momencie zaczął przychodzić inny mężczyzna, kolega ojca, którego dobrze znałam.

– Podkomisarz Zaporowski? – pyta jedna z kobiet ze składu orzekającego.

– Po prostu Zaporowski. On chyba stracił już prawo używania stopnia policyjnego.

W przeciwieństwie do mnie Iza szanuje psy. Uważa, że powinna była zgłosić się do nich już dawno, i jest przekonana, że zadziałałoby tak szybko, jak po ujawnieniu filmu. Może by tak było, nie wiem. W każdym razie ja też muszę im oddać, że zrobili, co trzeba.

W dodatku Zaporowski podobno dostał taki wpierdol, że nie był w stanie o własnych siłach stawić się na rozprawę, a szamę musi przyjmować przez rurkę.

– Robili to z ojcem przez kilka lat – dodaje Iza, ocierając nos.  
– Kiedy tylko zobaczyli, że zaczynam myśleć o tym, by komuś powiedzieć, gnoili mnie psychicznie. Kazali mi wierzyć, że wszystko i wszystkich kontrolują... policję, sądy... że jak tylko pójdę na komisariat, Zaporowski zadba o to, żebym stała się pośmiewiskiem. O to, żeby wszyscy na mnie pluli, mieli mnie za tanią kurwę i nic niewartą szmatę, którą tak naprawdę jestem...

Urywa, a ławniczka cicho odchrząkuje.

– Więc postanowiła pani uciec – odzywa się kobieta.

– Tak – odpowiada moja siostra, patrząc na nią z wdzięcznością. – Zorganizowałam wszystko, a potem skontaktowałam się z właścicielem klubu Incydent. Kupiłam

od niego fałszywe dokumenty i dostałam gwarancję, że mogę się tam zatrzymać na jedną noc.

Fizol powinien był wtedy dać mi cynk. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, może skurwysyn by przeżył i nie ucierpieliby wszyscy ci, którzy oberwali rykoszetem.

Może ja nie odpowiadałbym teraz za zabójstwo.

– Powiedział mi jednak, że mój plan ma jeden poważny feler – dodaje Iza.

– Jaki? – pyta sędzia przewodniczący.

– To, że wszyscy będą wiedzieli, że uciekłam. Jego zdaniem należało zaaranżować zaginięcie, może porwanie, by zmylić trop.

– I tak pani zrobiła?

Moja siostra kiwa lekko głową, a sędzia prosi protokolantkę, żeby to odnotowała.

– Wysłałam wiadomość do Darka – mówi Iza, patrząc na mnie ze współczuciem. – Wiedziałam, że dzięki temu powstanie wrażenie, że się spieszyłam, że wybrałam pierwszą lepszą osobę z listy kontaktów. I że Wiktoria powie później policji, że to może dlatego, że wpisałam jego numer jako ostatni.

Nie miałem jej za złe, że to zrobiła. Gdyby nie na mnie, padłoby na kogoś innego – w sumie nie miało to dla niej żadnego znaczenia. I nie mogła wiedzieć, w co się przez to wszystko wpierdole.

– Co stało się potem? – pyta sędzia.

– Mój ojciec i Zaporowski zaczęli robić wszystko, by mnie znaleźć. Nie wierzyli oczywiście w porwanie i spodziewali się, że nadal ukrywam się w Incydencie. Zrobili więc jedyną rzecz, jaką mogli.

– To znaczy?

– Skontaktowali się z jakimś mafiosem spoza osiedla. Niestety nie znam imienia ani nazwiska tego człowieka.

Zrobiło mi się chłodniej na samą myśl o Charonie. Miałem wrażenie, że wszyscy wokół doskonale wiedzieli, o kim mowa.

Powiodłem wzrokiem po zebranych, mimowolnie szukając Żaby. Oczywiście nigdzie jej nie znalazłem. Nie mogło jej tu być, bo na sali w jednym momencie przebywać mógł tylko jeden świadek.

– Wcześniej mieli z nim jakieś kontakty? – pyta ławniczka.

– Nie. A przynajmniej ja o żadnych nie wiem.

– Byli jednak świadomi, że konkuruje z gangsterami na osiedlu RZNiW?

Nikt nigdy nie nazywał tak ani ekipy Charona, ani żadnej innej. Ale niech jej będzie, myślę.

– Oczywiście – potwierdza Iza. – Zaporowski dał im *carte blanche*. Powiedział, że jeśli przypuszczą atak na Incydent i mnie znajdą, nie poniosą konsekwencji za to, co się tam wydarzy.

Mikulski ani Zaporowski nie mogli wiedzieć, do czego konkretnie dojdzie. Ale gdyby nawet, to czy to by ich powstrzymało? Nie sądzę. Jeden i drugi to skurwiele do potęgi, nie wydaje mi się zresztą, by wcześniej nie mieli żadnych układów z Charonem. Przynajmniej Zaporowski musiał je mieć, bo inaczej ten nie zaufałyby mu na gębę.

– Kiedy doszło do napadu na klub, już mnie tam nie było – kontynuuje Iza.

Zostały tam jednak jej rzeczy, w tym bransoleta, którą później znaleźliśmy w schowku. Teraz znów nosi ją na przegubie, jakby chciała zamanifestować, że wróciła do poprzedniego życia.

– Wyjechałam z miasta i od tamtej pory zaczęłam się ukrywać. Dotarłam do Żeromic, gdzie wydawało mi się, że jestem bezpieczna. Gangsterzy jednak tam z kimś współpracowali i po pewnym czasie trafili na mój trop.

A dzięki temu my również, dodaję w duchu.

– Kiedy tylko zobaczyłam na ulicy samochody z rejestracjami z mojego miasta, uciekłam jak najdalej. Na tym etapie byłam już przerażona, bo rozumiałam, że nigdy nie uda mi się uwolnić od tych ludzi. Było ze mną coraz gorzej, sypiałam w coraz mniej bezpiecznych miejscach, zaczynały kończyć mi się zabrane z domu pieniądze...

Urywa i znów patrzy na mnie. Tym razem w jej oczach widzę ciepło i wdzięczność.

– Niedługo potem w mediach pojawiło się nagranie – mówi. – Początkowo byłam przerażona, myślałam, że ojciec i Zaporowski mnie zabiją. Potem rozumiałam, że to błogosławieństwo.

Jej oczy stają się lekko wilgotne, ale Iza się uśmiecha.

– Obserwowałam zatrzymanie, postawienie zarzutów... i w końcu doszło do mnie, że mogę wrócić. Że jestem wolna, a ci dwaj już nigdy mi nie zagrożą.

Wypowiada do mnie bezgłośnie „dziękuję”, a ja puszczam do niej oko. W ostatnim czasie powiedzieliśmy sobie wszystko, nie ma potrzeby tego powtarzać. Iza zdaje sobie jednak sprawę, że sędziowie i ławnicy muszą to usłyszeć.

– Gdyby nie Deso, skończyłabym albo na ulicy, albo zakopana w ziemi przez Zaporowskiego i mojego ojca. Nie puściliby mi tego płazem. Byli gotowi zrobić wszystko, by prawda nie wyszła na jaw.

Mówi jeszcze przez chwilę o tym, jak wiele mi zawdzięcza, a członkowie składu orzekającego słuchają uważnie. Jeśli do tej pory nie czuli do mnie sympatii, to teraz mogło się to trochę zmienić.

– Deso mógł odpuścić już po pierwszej wiadomości – kontynuuje Iza. – Nikt nie kazał mu mnie szukać. Nie wiedział nawet, że jesteśmy spokrewnieni.

Ławniczka kiwa lekko głową.

– Większość osób na jego miejscu dałaby spokój, szczególnie widząc, że robi się niebezpiecznie.

Większość osób nie zaiwaniałaby też z Incydentu tyle towaru, dodaję w duchu. Tak naprawdę to właśnie był początek wszystkich moich problemów. Gdyby nie to, skupiłbym się na odnalezieniu Izy i nie narobiłbym problemów sobie, Żabie i Eweli.

O tym jednak żadne z nas nie wspomina.

To nasza tajemnica, która mocno wiąże nas razem i sprawia, że wszyscy musimy kłamać.

– Jeśli zastanawiają się państwo, jakim człowiekiem jest Deso, to proszę was, właśnie na tej podstawie zbudujcie sobie jego obraz – ciągnie Iza, patrząc na ludzi, którzy mają zdecydować o moim losie. – Zrobił tylko to, co musiał, by chronić innych.

W ten sposób kończy. Sędziowie i ławnicy są poruszeni jej historią, ale w gruncie rzeczy to za mało, żeby puścili wolno typa, który odebrał komuś życie.

Przechodzą do pytań. Nie ma ich wiele, bo nikt nie chce drażnić.

– Czy znała pani wcześniej Józefa Sokulskiego? – pyta przewodniczący.

– Sojózka?

– Tak.

– Nie, nie znałam.

– Czy miała z nim pani jakikolwiek, choćby przelotny, kontakt?

– Nie.

– Słyszała pani o nim chociaż?

– Też nie. Powiedziała mi o nim dopiero Wika i nie miałam żadnej okazji, by się z nim skontaktować.

Sędzia kiwa głową ze zrozumieniem. Potem przesuwa kilka papierów.

Podjęcie tematu Sojóna świadczy o tym, że gość zmierza do finału.





## ÓSMA ZWROTKA

### 39

Pinky zrelacjonował nam wszystko, czego sam się dowiedział, a resztę informacji otrzymaliśmy dzięki mediom. W pierwszym odruchu chciałam wybiec z Hangaru i popędzić do komisariatu, do którego zgłosiła się Iza, ale szybko uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić.

To, że wróciła, nie sprawiało, że Charon nam odpuścił. Ani że uwolnił panią Blusiewicz.

Dalej byliśmy mu winni pieniądze i towar. Dalej znajdowaliśmy się na jego celowniku. I dalej nie mogliśmy swobodnie przemieszczać się po Żniwach, bo gdyby dostrzegł mnie choćby jeden znajomy rodziców, od razu rozpętałaby się afera.

Chciałam przekazać im jakoś wiadomość, że ze mną wszystko w porządku, ale nie wiedziałam jak.

Niebawem wyjdzie na jaw, że to Iza jest na tym filmiku. Może sama o tym powie, może ludzie dodadzą dwa do dwóch. Tak czy inaczej, moi rodzice będą odchodzić od zmysłów jeszcze bardziej niż do tej pory.

Pinky posiedział z nami chwilę, a potem oznajmił, że idzie sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Rzucił krótkie „nara” i się zmył. Znowu zostałam sama z Desem.

Popatrzyłam na niego przeciągle, ale zdawał się zupełnie zapomnieć o mojej obecności. Zawieszał pusty wzrok na ścianie i ani drgnął. Przed wyjściem Grześka było tak samo – zresztą Pinky twierdził, że Deso dość często „łapie takie zawiasy”. Nie powiedziałabym. Odnosiłam wrażenie, że takie rzeczy dzieją się tylko, kiedy ja jestem w pobliżu.

Wpatrywałam się w jego profil, siedząc obok niego na kanapie. Przeszła mi przez myśl niezbyt wesoła konstatacja, za to prawdziwa. Najszczęśliwsza i najczystsza jest miłość nieodwzajemniona.

Każda inna jest albo rezultatem tego, co robi druga osoba i w jaki sposób chce sobie zaskarbić uczucie, albo odpowiedzią na czyjąś sympatię.

Deso w końcu się otrząsnął. Nabrał głęboko tchu i zapalił papierosa. Zerknął na mnie tylko kontrolnie, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

Chciałam, żeby był mój. Więcej, czułam, że on jest mój, tylko nie dopełniałam jakichś formalności, żeby móc się tym cieszyć.

Boże, naprawdę traciłam zmysły.

– Chcesz szluga? – rzucił.

– Zostaw mi pojarzę.

Nie sądziłam, że coś takiego kiedykolwiek padnie z moich ust. Ani że poczuję się taka fajna jak inne dziewczyny, które podczas przerw chodziły na palarnię.

Co za absurd.

To nie byłam ja. Nie potrzebowałam tego.

– Albo wypal do końca – dodałam.

– Okej.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem przystąpiliśmy do roztrząsania wszystkiego tego, co do tej pory udało nam się dowiedzieć. Dopiero po jakiejś godzinie zrozumieliśmy, że naprawdę się udało. Doprowadziliśmy do tego, że Iza się odnalazła.

Sporo ryzykowaliśmy, bo nie wiedzieliśmy, kto tak naprawdę był zaangażowany w to łajdactwo w piwnicy Mikulskich. Ale było warto. Osiągnęliśmy dokładnie to, co Deso zaplanował.

– Co teraz? – zapytałam, chodząc po garażu.

– Czekaamy.

– Na co?

- Na dalszy rozwój wypadków.
- To znaczy na to, aż odezwie się anonim? – spytałam.
- Może, choć nadal nie jestem przekonany, że on...
- Znaleźliśmy Izę – ucięłam stanowczo. – Sprawiliśmy, że wróciła.

Wciąż do końca nie wierzył, że anonim tak po prostu zwróci nam pieniądze i narkotyki, jeśli wypełnimy naszą część umowy. Z jakiegoś powodu jednak zdawał się przynajmniej dopuszczać taką ewentualność.

Ja zaś nieustannie się zastanawiałam, kim jest człowiek spod numeru 1703903. I dlaczego postawił nam takie, a nie inne ultimatum.

Logika podpowiadała, że to jakiś anioł stróż Izy, skoro tak zależało mu na jej losie. Nie potrafiłam jednak wpaść na to, kto mógłby to być. Z pewnością nikt spośród znanych mi osób. Ale musiałam mieć też na uwadze, że nie wiedziałam o wszystkim, co działo się w życiu mojej przyjaciółki.

- Muszę się jakoś z nią skontaktować – odezwałam się.
  - Nie ma mowy, Żabcia.
  - Chociaż na chwilę...
  - Wszystko z nią okej – uciął Deso. – Słyszałaś, co mówił Pinky. Podobno wygląda dobrze i odetchnęła, że to wszystko się skończyło.
  - To doniesienia z drugiej albo trzeciej ręki.
  - Takie na razie muszą nam wystarczyć – odparł stanowczo i strzepnął popiół na podłogę. – A ty mogłabyś usiąść.
- Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że wciąż kręcę się w kółko. Opadłam ciężko na kanapę obok Desa, a potem się osunęłam. Wbiłam wzrok w niski sufit, robiąc głęboki wdech.
- Co robi Charon? – spytałam.
  - Nic. Będzie czekał.
  - A jeśli był zamieszany w to, co działo się w piwnicy u Mikulskich?

– To nie będzie czekał.

– Deso...

Obróciłam głowę w jego stronę i zobaczyłam, że on też zwrócił się w moim kierunku. Przez chwilę tylko na niego patrzyłam. Zachwycałam się tym, że jest.

– Luz – powiedział cicho. – Może za szybko wciągnęliśmy w to Charona.

– Bo?

Nie stać mnie było na nic więcej. Siedzieliśmy rozwaleni na kanapie, blisko siebie, z głowami zwróconymi ku sobie.

– Może to trochę tak jak z dilerami – oznajmił Darek. – Popycha się towar, ale samemu się w tym nie babrze.

– Ty bynajmniej...

– Ja palę gandzię, Żabcia – uciął. – To styl życia, a nie ćpanie.

– Polemizowałabym.

– To polemizuj sobie do woli, tylko nie ze mną.

Podciągnęłam się trochę, bo wydawało mi się, że rozsiadłam się jak basza i mój brzuch w tej pozycji wcale nie wygląda najlepiej.

Deso sięgnął po odtwarzacz, a potem podał mi słuchawkę.

– Co zapodać? – spytał.

– Co chcesz.

Wybrał *Autobus 522 Elda*. Z jakiegoś powodu od początku słuchałam z uwagą, starając się nie przegapić żadnego wersu. Nie odzywałam się słowem przez niecałe trzy minuty. Potem znów obróciłam się do Desa.

– Pierdolona poezja, co? – rzucił.

Potwierdziłam lekkim skinieniem głowy.

– Poczekaj, aż puszcze ci *Plażę*.

– Puść teraz.

Sięgnął po odtwarzacz i chwilę szukał właściwego kawałka. Nie pomyliłam się, ten także był wart przesłuchania.

Wyważony, spokojny podkład muzyczny idealnie współgrał z nostalgiczną liryką, a ja czułam, jakbym powoli topiła się w oczach patrzącego na mnie Desa.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że znalazł się nieco bliżej. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to ja się przysunęłam, czy on. Z trudem przełknęłam ślinę i poruszyłam się nerwowo.

Otarłam dłonie o spodnie.

Uciekłam wzrokiem gdzieś na bok, byle dalej, byle bezpieczniej.

Odsunęłam się mimowolnie.

– Coś nie tak, Żabcia? – spytał Deso.

– Nie, tylko...

– No?

– Chyba powoli zalewa mnie fala paniki.

– Chyba nie powoli – zauważył, lekko się uśmiechając.

Wziął mnie za rękę, a ja myślałam, że serce zaraz wyskoczy mi z klatki piersiowej.

– Nie przejmuj się żadnymi falami, nie dosięgną nas – powiedział.

Eldo właśnie rapował o tym, że „sami jesteśmy na tej plaży”, zupełnie jakby w ten sposób los chciał podpowiedzieć, że to ten moment, w którym wszystko się zmieni. Nagle poczułam się wolna, pozbawiona ciężaru, który ze sobą nosiłam i którego aż do teraz nie byłam świadoma. Puściły bariery, puściły wszystkie tamy. Postanowiłam poddać się temu, co się działo.

Deso przesunął dłonią po moim ramieniu, a ja zbliżyłam się jeszcze bardziej. Poczułam, że usta same mi się otwierają. Nie myślałam już o tym, co od jakiegoś czasu spędzało mi sen z powiek – że jeszcze nigdy na poważnie się nie całowałam, nie miałam żadnego doświadczenia, właściwie nie wiedziałam co i jak. Wszystko przestało mieć znaczenie.

Cudowny moment jednak nie nadszedł.

Zamiast tego rozległo się walenie w drzwi garażu. Oboje niemal podskoczyliśmy. Od razu się od siebie odsunęliśmy, a zaraz potem Deso wstał z kanapy i podszedł do bramy. Zanim otworzył, obejrzał się jeszcze przez ramię i posłał mi delikatny uśmiech.

Był jak obietnica, że to jeszcze nie koniec.

– Który nygus tak napierdala?! – krzyknął Darek.

– Spierdalaj! – odparł ktoś z drugiej strony. – I otwieraj, zjebie!

– Poproś!

– Mlaskaj pytonga, Deso!

Na tym etapie zrozumiałam dwie rzeczy. Po pierwsze, jak każdy chłopak u mnie w klasie, Darek miał dwie, zupełnie różniące się od siebie osobowości. Po drugie, nawoływał go Pinky – i z jakiegoś powodu taka przepychanka między nimi była uznawana za okazywanie dość zażyłych uczuć.

– Powiedz magiczne hasło.

– Chuj ci w gardziel, cwelu – odparł Pinkowski.

– Źle. Powinno brzmieć: sezamie, otwórz się, bo dzidę chapać Desowi chcę.

– Ssij pałę. I wpuść nas.

– Nas?

– Jestem tu z kimś.

Zerwałam się na równe nogi, bo mogło to oznaczać tylko jedno. Kiedy Darek w końcu otworzył sezam, wbiłam wzrok w Izę. Wyglądała, jakby cudem uniknęła śmierci. Była skrajnie zmęczona, blada, ale jednocześnie wdzięczna za to, że żyje.

Rzuciłyśmy się sobie w objęcia. Początkowo nie mogłyśmy nawiązać normalnej rozmowy, bo niemal się przekrzykiwałyśmy. W końcu udało nam się opanować. Opowiadałyśmy sobie wszystko, co wydarzyło się, od kiedy Iza zniknęła, a w końcu powiedzieliśmy jej o tym, że Deso jest jej

przyrodnim bratem. Zrelacjonowaliśmy cały proces, który prowadził do odnalezienia jej.

Nie pominęliśmy niczego. Zawahałam się na początku, niepewna, czy Pinky powinien to słyszeć, ale Deso zapewnił, że ufa mu jak rodzinie. Wyjawiliśmy więc wszystko, łącznie z tym, co spotkało panią Blusiewicz.

– Szjeeaaaat... – skwitował Pinky.

Było to właściwie najbardziej wymowne podsumowanie, na jakie można było wpaść.

– To co tu jeszcze robicie? – odezwała się Iza.

– Znaczy? – spytałam.

– Lećcie do Desa i sprawdźcie, czy anonim coś napisał. Jeśli macie rację, to...

– To cała fura hajsidła i szuwaksu się odnajdzie – dokończył za nią Grzesiek.

Spojrzeliliśmy po sobie, jednocześnie uznając, że nasi przyjaciele mają rację. Pal licho ryzyko, jakie wiązało się z wyjściem z Hangaru. Powinniśmy w końcu sprawdzić, jak rozwinęła się sytuacja.

Pinky ściągnął czerwoną czapkę z daszkiem i mi ją rzucił.

– Częstuj się – powiedział.

– Hm?

– Zrób sobie dobrą stylówkę i poginajcie do Desa. Nikt cię nie pozna.

Wątpiłam, by bejsbolówka mogła działać cuda, ale nie miałam zamiaru gardzić jakąkolwiek pomocą. Nawet jeśli wiązała się z zakładaniem na głowę dość długo niepranej czapki.

Przemknęliśmy bocznymi uliczkami osiedla RZNiW, chwilę kluczyliśmy w okolicy, aż w końcu podeszliśmy ukradkiem pod klatkę Desa. Jego babci nie było, a ja uznałam, że pewnie poszła załatwiać sprawy z firmą ubezpieczeniową.

Na stole leżało trochę papierów. Niezapłacone rachunki, wezwania do zapłaty, takie tam. Nic, co chciałabym oglądać, bo uważałam, że to zbyt duża ingerencja w ich prywatność.

Sprawdziliśmy GG, ale nie czekała na nas żadna wiadomość.

– Kurwa... – burknął Deso. – Czyli leciał z nami w kulki.

– Albo jest teraz zajęty.

– Uciekaniem z naszą kasą i towarem?

– Nie są nasze, Deso.

– No, teraz już na pewno nie.

– I może powinniśmy dać mu trochę czasu.

Skinął głową i zakręcił się na krześle komputerowym.

– Chcesz coś zjeść? – spytałam.

– A co, będziesz gotować?

– Razem z tobą – odparłam z przekonaniem.

Spodziewałam się, że mnie wyśmieje, ale zamiast tego zaciągnął mnie do kuchni. Zrobiliśmy szybką inwentaryzację wszystkich dostępnych produktów, a ja uznałam, że babcia Darka chyba jednak wybrała się na zakupy, bo w tym domu prawie nic nie było.

Właściwie został mi tylko chleb. Pokroiłam go na kawałki, rozpuściłam trochę masła na patelni, a potem zaczęłam robić grzanki. Deso co jakiś czas szedł sprawdzać, czy anonim aby nie napisał, ale za każdym razem wracał ze zwieszoną głową.

Kiedy kończyłam moje superekskluzywne danie, sytuacja w końcu się zmieniła.

– Żabcia! – krzyknął.

Od razu popędziłam do pokoju, oparłam się o krzesło Darka i spojrzałam na monitor.

Anonim napisał kilka minut temu.

„Brawo.

Tego się nie spodziewałem.

Pozytywnie mnie zaskoczyliście.

Tworzycie naprawdę zgrany duet”.

Spojrzałam na Desa, a on na mnie. Oboje poczuliśmy się co najmniej dziwnie.

„Włącz komórkę, Deso. Po piętnastu minutach od odebrania tej wiadomości otrzymasz dalsze instrukcje. Postępuj zgodnie z nimi”.

## 40

Czekałem z telefonem w ręku, jakbym liczył na to, że zaraz dotrze do mnie wiadomość o wygranej w lotto. Właściwie prawie tak było. Wszystko mogło się skończyć tu i teraz. Anonim mógł wywiązać się z umowy, którą sam z nami zawarł, i powiedzieć, gdzie są flota i amfa Charona.

W końcu dostałem esa. Numeru nie znałem, Żaba także nie.

Nadawca kazał się stawić za starą myjnią samochodową przy Tyczyńskiego. Wszyscy znaleźmy to miejsce, po zmroku chodziliśmy tam chlać i palić jointy. Za dnia raczej trzymaliśmy się z daleka, bo obok stał blok z wyjątkowo upierdliwymi baberami. Nieraz dzwoniły na pały, kiedy melanż za bardzo nam się rozkręcił.

Dziwnie się czułem, idąc tam w biały dzień, ale miejsce na spotkanie było w sumie niegorsze – na widoku, gdzie trudno o jakiegokolwiek krzywe akcje. Może anonim zostawił tam już wszystko i pozostało jedynie to odebrać.

Dotarliśmy za myjnię i oboje się rozejrzeliśmy.

– I? – spytała Wika. – Gdzie on jest?

– Może w środku?

– Zobacz, czy czegoś nie napisał.

Sprawdziłem.

– Nic. Obczajmy wewnątrz.

– A nie mieliśmy czekać na instrukcje?

– Chuj z nimi – odparłem pod nosem, a potem ruszyłem do środka.

Myjnia była mocno wybrakowana, ostały się jakieś pojedyncze szczotki i urządzenia, które były zbyt ciężkie, by je wynieść. Po podłodze walały się pety, puste butelki i kawałki rozbitych fitek.

Weszliśmy do miejsca, w którym kiedyś musiało znajdować się niewielkie biuro, i zamarliśmy. Na podłodze leżał jakiś typ. Był zawinięty w koc, wyglądał na martwego. W pomieszczeniu unosił się zapach gówna i szczochów.

– Jezu... – szepnęła Żaba, zakrywając usta i nos.

Podszedłem do człowieka i szturchnąłem go czubkiem buta.

– Deso!

– Bez spiny, to tylko żul.

Wika cofnęła się o krok.

– Żyje?

– Ledwo – odparłem. – Ale on mi raczej nie wygląda na anonima. A to miejsce niespecjalnie nadaje się do bunkrowania jakiegokolwiek kwitu.

Wyszliśmy z myjni i z ulgą wciągnęliśmy głęboko powietrze do płuc. Znów uważnie się rozejrzeliśmy.

– To daremne w pizdu – oceniłem. – Typas nie umawiałby się z nami w takim miejscu. Widać tu wszystko jak na dłoni.

– Więc po co nas tu ściągnął?

– Pewnie żeby sprawdzić, czy jesteśmy sami. Skitrał się gdzieś i lampi się teraz na nas z przyczajki.

Obróciliśmy się, szukając potencjalnych miejsc, gdzie anonim mógłby się zaszyć. Na jego miejscu wszedłbym do jednego z bloków i kukał z okna na klatce schodowej. I dopiero gdybym stwierdził, że nic mi nie grozi, wyszedłbym na zewnątrz.

– Cóż... – odezwała się Wika. – Nie można mieć mu za złe, że jest ostrożny.

– Ano nie – przyznałem. – Można za to mieć to, że lepi kutasa z gliny.

– Co?

– Kręci wałki.

Żaba machnęła ręką, nie wnikając. Zapaliłem szluga, czekając, aż anonim w końcu się pojawi, ale na próżno. Dopiero po kilku minutach dostałem kolejną wiadomość z tego samego numeru.

– Co jest, kurwa... – mruknąłem.

Wika uniosła pytająco brwi.

– Podał mi adres – powiedziałem.

– Jaki?

– Brata Myszona.

– Co takiego? – spytała Żaba i podeszła do mnie, jakby sama musiała zobaczyć, czy nie ściemniam. – Tam, gdzie była ta impreza?

– Ehe – potwierdziłem.

Wyraźnie się spięła, jakby było to ostatnie miejsce, do którego chciała wracać. Właściwie się nie dziwiłem. To tam spotkała Ewelę i chyba rozkminiła, że coś między nami lekko iskrzy.

– Dlaczego chce, żebyśmy tam poszli? – spytała.

– Ogarniam tyle, ile ty.

– Ale...

– Nie ma się co zastanawiać – uciałem. – Wysłał adres, to chodźmy sprawdzić.

Żaba nie wyglądała na przekonaną.

– A jeśli to jakaś pułapka?

– To wjebimy się w maliny. Trudno.

Na tym etapie nie miałem już skrupułów, byłem gotowy zrobić wszystko, żeby poznać odpowiedzi i odzyskać to, co mi zwinięto. Chciałem wiedzieć, kto za tym stoi, jakim cudem

wiedział, gdzie schowałem hajs i towar, i w jaki sposób sobie ze mną pogrywał.

Ruszyłem w kierunku wskazanego bloku, a Żaba szybko poszła za mną.

– Myślisz, że Myszon ma z tym coś wspólnego? – spytała.

– Może.

– Ale on tam nie mieszka?

– Mhm – potaknąłem. – Chawira jest jego brata, przecież ci mówiłem.

– On tam w ogóle nie przebywa?

Spojrzałem na nią kątem oka.

– A co on cię tak interesuje? – rzuciłem.

– Po prostu staram się ustalić, kto może być w to zamieszany.

Na myśl przychodziła mi tylko jedna osoba.

Ewela. Była przecież przyjaciółką brata Myszona, obracała się w tym towarzystwie. Potrafiłem wyobrazić sobie, że zrobiła znacznie więcej, niż byłem w stanie ogarnąć.

– Zaraz wszystko skumamy – uciałem, a potem wyrzuciłem niedopalonego papierosa i przyspieszyłem kroku.

Wika trochę się ociągała, jakby nie była pewna, czy chce dalej w tym uczestniczyć. Ostatecznie jednak dotarła ze mną pod blok, a potem to ona przycisnęła odpowiedni numer na domofonie.

Nikt o nic nie pytał, od razu nam otworzono.

Wjechaliśmy windą na piętro, a potem podeszliśmy do drzwi mieszkania, przy którym jakiś czas temu spotkaliśmy Ewele. Nawet nie zdążyliśmy zapukać. Brat Myszona sam nam otworzył.

Spojrzał przelotnie na Wikę, a potem wbił wzrok we mnie.

– No nie pierdol – rzucił. – To ty?

Napiąłem lekko mięśnie.

– A kto ma być? – odparłem.

Przez chwilę mi się przyglądał, a ja próbowałem skminić, co tu się odstawia. Gość wyglądał na równie zbitego z tropu jak my.

– O chuj ci chodzi? – dodałem.

Przez moment nie odpowiadał. Patrzył to na mnie, to na Żabę, aż w końcu skinął lekko głową.

– Dobra... – mruknął wreszcie. – Wchodźcie.

Zamknął za nami drzwi na klucz, co nigdy nie było dobrym sygnałem, a potem poprowadził nas do salonu. Wydawało mi się, że w mieszkaniu nie ma nikogo oprócz nas, ale nie mogłem być pewien.

– Klapnijcie se – zasugerował gospodarz, wskazując kanapę.

– Postoimy.

Brat Myszona zmrużył oczy.

– Jak chcecie, ale rozprężcie trochę poślady, bo wyglądacie jak dwa penery.

Nie odzywaliśmy się, nasłuchując.

– Coś wam nie pasi?

– Nie – odparłem. – Jest luz.

Typ zbliżył się do mnie, zlampił mnie od stóp do głów, a potem pociągnął nosem.

– Badył – rzucił.

– Co?

– Formalnie się chyba nigdy nie poznaliśmy.

– Ano nie. Deso.

Podał mi rękę, wymieniliśmy się szybkim uściskiem, a potem zbiliśmy żółwia. Nie bardzo ogarniałem sytuację.

– To ty nagrywasz te Stalagbity, co?

Myszona miał nie dzielić się z nikim nagraniami, dopóki nie będą gotowe, ale najwyraźniej miał to głęboko w dupie.

– No – potwierdziłem.

– Słuchałem kilku numerów. Nieźle. Lekkie psycho, jak u K44.

– Dziękówa.

– Szczególnie ten numer... eee... *Desocjalizacja czy Deseń Desa*, nie pamiętam. Sporo kawałków ma podobne tytuły, moglibyście lepiej to ogarnąć.

Zerknął na kanapę, jakby liczył na to, że ta pogawędka nieco nas rozluźni.

– Nie wbiliśmy tu, żeby pierdolić o muzyce – zauważyłem.

– Wiadomo.

– Masz coś dla nas?

Kątem oka zauważyłem, że Żaba nerwowo się poruszyła. Badył też to wyłapał, ale cały czas z jakiegoś powodu starał się ją ignorować. Atmosfera była napięta i nawijka na temat Stalagbitów nie mogła tego zmienić.

– No? – ponagliłem brata Myszona. – Masz coś czy nie?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy powiecie mi, co się tutaj odpiędała.

Wydawało mi się, że to my mieliśmy więcej do ogarnięcia, ale może się myliłem.

– O czym ty mówisz? – odezwała się w końcu Wika.

Obaj spojrzeliśmy na nią, jakby to ona powinna była od początku nadawać ton tej rozmowie.

– Dostaliśmy wiadomość, że mamy się tu zgłosić po towar i pieniądze – dodała. – Tylko tyle wiemy.

Nie chciałem odkrywać kart, ale może nie był to taki zły ruch. W końcu Badył też wyglądał na zagubionego.

– Wy dostaliście wiadomość od kogoś? – zapytał. – To jakaś... wyjątkowo wykręcona sprawa.

– Znaczy? – zapytała Wika.

Brat Myszona uniósł wzrok i głęboko nabrał tchu, jakby zaciągał się wyjątkowo dobrej jakości jointem.

– Kurwa, na pewno nie siądziecie?

– Na pewno – uprzedziła mnie Żaba.

– Jak sobie chcecie... – odparł Badył i sam przysiadł na oparciu fotela. – Ale wygląda na to, że albo wy próbujecie mnie zwałować, albo to was ktoś ociułał.

– W jakim sensie?

– W takim, że niedługo po tej rozróbce w Incydencie jakiś typiarz napisał do mnie na GG – podjął Badył, wyciągając paczkę elemów. – Wiecie, jak się przedstawił?

– Nie – odparła Żaba.

– Jako ty – rzucił brat Myszona, mierząc we mnie palcem.

Wzdrygnąłem się i poczułem na plecach ciarki, jakby ktoś chodził po moim grobie.

– Że co?

– Domyślam się, że to była ściema, bo twój zonk jest równie duży jak mój.

Poczęstował mnie fajkiem, a ja machinalnie skorzystałem. Tym razem Żaba zrobiła to samo.

– Nie mylę się?

– Nie – potwierdziłem.

Rozmówca lekko kiwnął głową.

– Gościu twierdził, że typy od Charona, które najechały klub, nie zgarnęły hajsu ani towaru. I że wie, gdzie jest jedno i drugie.

Podpaliłem najpierw Wice, a potem sobie.

– I? – spytałem.

– Na początku założyłem, że to jakaś ściema... albo chuj wie co. Typ był jednak przekonujący. Podał dokładną ilość kwitu i szuwaksu i dał gwarancję, że Charon o tym nie wie.

Wypuściłem dym w kierunku Badyła, starając się zrozumieć, co to wszystko oznaczało. I przede wszystkim kim był anonim. Skąd o tym wszystkim wiedział i co konkretnie zamierzał? Jedno było dla mnie jasne: brat Myszona miał takie pojęcie o całej sprawie jak my.

Spojrzałem na Żabę. Słuchała w skupieniu, choć na pierwszy rzut oka zdawała się być myślami gdzie indziej.

– W końcu typ mnie przekonał, że to dla mnie zajebista okazja – ciągnął Badył. – Miałem zajmować kasę i towar, a potem siedzieć na nich do czasu, aż da mi znać.

Popatrzył na mnie ostrożnie.

– Nie miałem nic wspólnego z rozjebaniem budy twojej babki – rzucił. – Nie ruszyłem jej.

Milczałem.

– Nie podniósłbym, kurwa, ręki na staruszkę. Czaisz, ziom?

– Czaję.

– Mam zasady – dodał pod nosem. – W każdym razie ojechałem wskazany przez gościa samochód i garaż. Znalazłem wszystko, co miałem znaleźć... dokładnie tam, gdzie miało być skitrane.

Nie mijał się z prawdą. Zieleniak mojej babci zaatakowali przecież ludzie Charona, by dać mi do zrozumienia, że żarty się skończyły. Ostatecznie nie mogłem się dziwić, był to dość powszechny i uniwersalny sposób przekazywania wiadomości na osiedlu RZNiW.

Ale kto wiedział o tym, gdzie schowałem towar i hajs? Anonim faktycznie musiał podać konkretne miejsca, bo Badył uwinął się ekspresem.

Powoli przeniosłem wzrok na Żabę. Była jedyną osobą, która miała dostatecznie dużo informacji.

Tyle że podejrzewanie jej było bez sensu. Musiał to być ktoś inny. Ktoś, kto nas podsłuchał, śledził i inwigilował. Najwyraźniej coś przegapiłem. Jakiś element, który sprawiał, że to wszystko ma sens.

– Zabrałem wszystko i zbunkrowałem to tutaj, u siebie.

– Poważnie? – jęknąłem.

Skinał głową, a potem poszedł do kuchni. Wrócił z dwiema czarnymi torbami sportowymi Nike'a. Położył je na podłodze

i powiódł po nas wzrokiem.

– Typ miał dać mi znać, kiedy ktoś się po to zgłosi – oznajmił.

– Tak po prostu?

– No.

– I tak na wyjebce nam to oddajesz? Całe to hajsowo i dragi?

– No – powtórzył Badył. – Dokładnie tyle, ile było umówione.

– Czyli?

Przyjrzał się nam z rezerwą, jakby powoli tracił pewność, że znaleźli się u niego ci ludzie, którzy powinni.

Na moment postawiłem się w jego sytuacji. Anonim musiał mu czymś zagrozić, może nawet w jakiś sposób przekonał go, że nad tym wszystkim czuwa ktoś pokroju Charona, że to jego akcja. Inaczej Badył dawno zwinąłby się ze wszystkim i tyle byśmy go widzieli.

Bał się, to jasne. Ale teraz zobaczył dwójkę gówniarzy, którzy przyszli odebrać to, co przechowywał. Musiało dać mu to do myślenia.

– Dwadzieścia tysiąków i sześć kilo szuwaksu – oświadczył.

– Że co?

– To, co właśnie, kurwa, powiedziałem.

Spojrzałem najpierw na torby, potem na niego.

– Powinno być sto koła – rzuciłem. – Co ty odpierdalasz?

– Daję tyle, ile było.

– Po odjęciu prawie całego hajsu i dwóch kilo amfy.

– I?

– I nie ma takiej opcji – odparłem.

Żaba odsunęła się, chyba nawet sobie tego nie uświadamiając.

– Wiesz w ogóle, kto kazał ci zbunkrować to wszystko? – zapytałem.

– Gówno mnie to interesuje.

– A powinno.

- Ciebie powinno zainteresować, którędy do wyjścia, cwelu.
- Jeb się – syknąłem. – I dawaj resztę kasy i fety.

Zrobiłem krok w jego kierunku, jednocześnie dając Wice znak ręką, żeby odsunęła się jeszcze trochę. Doskonale ogarniałem, co zaraz się stanie. On nie miał zamiaru dawać mi tego, co zajmował. Ja nie planowałem odpuszczać.

- Ni chuja – odparł. – Miałem sobie wziąć prowizję, taki był układ.

- Na pewno nie taką.

Badył zacisnął pięści. Nie był zbyt umięśniony, ale miał kilkanaście lat więcej, żeby nauczyć się, jak spuścić komuś wpierdol. Oprócz tego wyglądał na takiego, który dość dobrze opanował tę sztukę.

- Bierzcie to i wyjazd – polecił.

- Najpierw dasz resztę.

- Dam ci zaraz, kurwa, po pysku, kmiecie pierdolony – syknął.

Nie było sensu dłużej czekać. Ta pogadanka mogła doprowadzić tylko do jednego.

- W ogóle nie kumas, co to za akcja – powiedziałem i się uśmiechnąłem. – Ani kto za nią stoi. Jak typ się dowie, co tu odjebałeś, będziesz...

- Sami gównieście.
- Wiemy wystarczająco, żeby...
- Jebie mnie to. Wywalajcie stąd.

Popatrzyłem na dwie torby. Było w nich dostatecznie dużo szuwaksu, żeby spokojnie się ustawić. Problem polegał na tym, że Charon znalazłby nas prędzej czy później. A z częścią towaru nie było po co do niego iść, tylko by się wkurwił i zająłby się nami na miejscu.

Mimo to podszedłem do toreb.

- Dobry ruch – odezwał się Badył.

Miotnąłem pod nosem przekleństwo, nie oceniając jego matki zbyt pochlebnie, a potem złapałem za uchwyt jednej z toreb. Teraz albo nigdy, uznałem.

Zamachnąłem się i cisnąłem nią prosto w Badyła. Osłonił się, ale był zaskoczony. Nie zdążył nawet unieść pięści, kiedy do niego doskoczyłem i z całej siły zajebałem mu w grdykę. Złapał się za gardło, drugą ręką starając się chwycić mnie za bluzę. Pociągnął mocno, a ja zatoczyłem się w bok, nie trafiając drugim ciosem.

Kurwa, zdążyłem pomyśleć, zanim Badył wyciął mi z buta w bok. Jęknąłem, zasłoniłem się przedramieniem, ale zdołał przypierdolić mi prosto między oczy. Oddałem cios, waląc go gdzieś w okolicach skroni. Nie siadło zbyt dobrze, choć lekko go przymroczyło.

Żaba coś krzyknęła, a ja wziąłem zamach i porządnym sierpowym zasadziłem Badyłowi bombę w nos. Krew trysnęła od razu, ale niewiele sobie z tego robił. Od razu oddał mi z główki.

Cofnąłem się, łapiąc orient, że skurwysyn tylko na to czekał. Przypierdolił raz i drugi dwoma prostymi, a potem zalał mnie kolejnymi. Udało mi się wyciąć mu z łokcia, zanim rozkręcił się na dobre.

Potem pozostało mi już tylko cofać się i bronić. Czułem, że jest coraz gorzej. Ładował mi następne lampy w pysk, a kiedy się przewróciłem na podłogę, siadł na mnie jak zawodnik na ringu i zaczął okładać.

Zrozumiałem, że mam przewalone. Uniosłem gardę, ale co drugi cios się przez nią przebijał. Wika nadal krzyczała, jakby się paliło.

Dostałem gong prosto w zęby. Zakrztusiłem się krwią i nie mogłem nawet odkaszląć, bo Badył nie zamierzał się podnosić. Kolejne łupnięcia. I następne. Powoli zaczynały opuszczać mnie siły.

Ogarniałem, że muszę natychmiast coś zrobić, ale nie wiedziałem co.

Popełniłem poważny błąd. Jeszcze nie doszedłem do siebie po burdzie w Żeromicach, nie powinienem był w ogóle wyskakiwać do tego gościa.

Dostałem kolejną lutę.

Jeszcze trzy, cztery uderzenia, a totalnie odpłynę.

– Kurwa! – krzyknąłem, starając się go zrzucić.

Nie udało mi się, a zaraz potem dostałem jeszcze jedną bombę.

Spróbowałem ostatni raz, jednocześnie łapiąc go za fraki i z całej siły obracając się w bok. Tym razem mi się udało. Badył runął na podłogę, a ja miałem ułamek sekundy, żeby przejąć inicjatywę.

Zabrakło mi jednak sił. Przetoczyłem się na bok, byle dalej, byle nie znajdować się w zasięgu kolejnego ciosu.

Ten sięgnąłby mnie tak czy inaczej, gdyby nie Żaba.

Stała między mną a przeciwnikiem, gotowa bronić mnie własnym ciałem. Nie dowierzałem, że naprawdę to robi, ale Badył był nie mniej skołowany niż ja. To dało mi czas, by podczołgać się do fotela i podnieść.

– Spierdalaj mi z oczu, suko! – ryknął skurwiel.

Jeśli Wika nawet próbowała coś powiedzieć, to szybko stłumiły to kolejne krzyki Badyła.

– Won, kurwo jebana! – zadudnił jego głos, mimo to Żaba nie przesunęła się ani o krok.

Miał tego dosyć. Zamachnął się i wyciął jej z liścia. Zrobił to tak mocno, że złapała się za głowę, jakby oberwała obuchem, i zatoczyła się w bok. Upadła na podłogę przy stoliku, a Badył natychmiast do niej dopadł.

– Zostaw ją, chuju! – krzyknąłem, ruszając na niego.

Szybko stracił zainteresowanie niemal znokautowaną dziewczyną. Obrócił się do mnie w momencie, kiedy

przedawałem mu lampę w ryj. Trafiłem całkiem nieźle, prosto w przegrodę nosową. Charknął, zrobił pół kroku w tył, ale momentalnie się ogarnął.

Załadował mi jeden, a potem drugi strzał w łeb.

Tym razem zahuczało mi w uszach tak, że aż zrobiło mi się niedobrze. Zachwiałem się i poczułem, jakbym po pijaku kręcił się na wyjątkowo kwaśnej karuzeli. Nie byłem w stanie dłużej utrzymać równowagi. Złapałem się fotela, ale kiedy oberwałem kolejny raz, padłem bezwładnie na podłogę. Przeciwnik od razu do mnie doskoczył i złapał mnie za bluzę, drugą ręką robiąc zamach.

Wiedziałem, że zaraz oberwę ostatni raz i już się nie pozbieram. Kurwa, to był koniec.

Podniosłem dłonie, licząc, że uda mi się obronić.

Cios jednak nie nadszedł. Wręcz przeciwnie, zamiast paść ofiarą kolejnego ataku, nagle zrozumiałem, że jestem wolny. Badył już mnie nie trzymał.

Poderwałem się na chwiejnych nogach i powiodłem wzrokiem wokół. Żaba stała obok, ciężko dysząc. Trzymała w ręku jakiś wazon, którym przywaliła Badyłowi prosto w potylicę. Ten przetoczył się na bok, wyraźnie zamroczony.

Od razu się przy nim znalazłem.

Jedna lampa, druga. Cios z buta w brzuch, potem poprawka drugą nogą.

Teraz to ja na nim usiadłem. Napierdalałem go jak dziki, widząc krew i ślinę, ale nie słysząc ani jego jęków, ani krzyków Żaby. W pewnym momencie złapała mnie za ramię, ale ją odepchnąłem.

Upadła gdzieś obok, ale odnotowałem to tylko kątem oka. Dalej okładałem przeciwnika.

Nie przypominał mi już brata Myszona. Teraz twarz miał inną, zmieniającą się. Czasem mojego ojca, tego skurwiela, który traktował swoją własną córkę jak najgorszą szmatę.

Potem widziałem w nim Zaporowskiego, który brał w tym udział i sprawił, że Mikulski pozostawał bezkarny.

Zacząłem napierdalać jeszcze mocniej, bardziej szaleńczo. Krew rozchlapała się na boki, Badył przestawał wydawać jakiegokolwiek odgłosy. Jego głowa chodziła na bok jak zepsute wahadło, trącane jakąś przemożną siłą.

Teraz przypominał Fizola, który zdecydował się pomóc Izie i nie zająknął się o tym słowem. Zaraz potem widziałem już Charona, który groził mi śmiercią, porwał Ewelę i rozjebał sklep mojej babci.

Ten, kogo biłem, nie był nawet człowiekiem. Był jakimś tworem ucieleśniającym całe gówno, które mnie spotkało.

Ja także nie byłem sobą. Obaj znaleźliśmy się w innym miejscu, poza czasem, poza całą racjonalnością – miejscu, w którym istniała tylko pierwotność.

Tłukłem go bez opamiętania. W pewnym momencie jego twarz przestała już przypominać oblicze człowieka, ale nie przestawałem. Skończyłem dopiero wtedy, kiedy nie miałem już sił.

Żaba siedziała skulona pod ścianą, płacząc. Na chwiejnych nogach podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz.

Był przeddzień lata. Na osiedlu RZNiW kwitły wszystkie drzewa, żar zaczynał leniwie łąć się z nieba, a ja właśnie zajebałem człowieka.





## REFREN

### 41

Patrzę na Sojóz, który siedzi w miejscu, gdzie świadkowie czekają, aż sędzia wezwie ich na mównicę. Wygląda całkiem nieźle, nie trzęsie się ze stresu, nie jest blady ani spocony. Jeszcze parę dni temu dygał tak, że na samą myśl o przemawianiu przed kilkudziesięcioma ludźmi zespawał się do kibla.

Teraz jest luz.

Sojóz też patrzy na mnie. Ogarniam, że mi współczuje i gdyby mógł, od razu by się ze mną zamienił.

Nie orientuję się, ile konkretnie wie, bo w ostatnim czasie nie mieliśmy wielu okazji do kontaktu. Może się nawet spodziewać, że jestem w ciemnej dupie i wyrok będzie niekorzystny.

Ja i moja prawniczka nadal jednak mamy pełną kontrolę nad tym, co się dzieje. Jesteśmy spokojni, choć nie dajemy tego po sobie poznać. Nie chcemy, żeby członkowie składu orzekającego rozkminili, że od początku są manipulowani.

Na miejsce dla świadków zostaje wezwana kobieta, która ma mnie uratować.

Zaczyna mówić.

Niedługo sprawi, że cały proces się skończy, a ja będę wolny.





## DZIEWIĄTA ZWROTKA

### 42

Deso robił wszystko, żeby doprowadzić mnie do stanu używalności – może poza uderzeniem w twarz, co chyba jako jedyne ocuciłoby mnie dość szybko.

Kiedy w końcu doszłam do siebie, Darek przetrzepywał mieszkanie, wyrzucając zawartość szaf, wyciągając szuflady i rozpruwając obicia mebli.

– Deso...

Zatrzymał się, odwrócił i przyjrzał mi się uważnie.

– Pomóż mi – polecił. – Musimy znaleźć hajs i fetę.

– Ale...

– Albo to zrobimy, albo Charon zajebie najpierw Ewełę, a potem nas – uciał. – Kumasz?

– Tak – powiedziałam cicho.

Zabrałam się do roboty, choć wydawało mi się, że działam jak sterowany przez kogoś automat. Staralam się nie zwracać uwagi na ciało leżące na podłodze. Deso zakrył je kocem, ale i tak widziałam twarz Badyła, kiedy tylko na moment zamykałam oczy.

– Jezu... – jęknęłam. – To nie mogło tak się skończyć...

Deso nie odpowiedział.

– Dlaczego on to zrobił? – spytałam. – Dlaczego nie mógł po prostu...

– Bo zrozumiał, że wiemy tyle co on – przerwał mi Darek. – Gdyby anonim nie podszył się pode mnie, Badył by się nie pokapował. A tak rozkminił, że też jesteśmy rozgrywani. I że może zaiwanić, co mu się żywnie podoba.

Deso wciąż mówił niemal przez zaciśnięte zęby. Emocje nie opadły, a ja bynajmniej mu się nie dziwiłam. Splot niefortunnych zdarzeń sprawił, że Darek nie stał się nikim innym, jak tylko mordercą.

– Kurwa! – krzyknął. – Gdzie to jest?

Podeszłam do niego ostrożnie i dotknęłam jego pleców. Obrócił się raptownie, zupełnie jakby miał mnie zaatakować. Automatycznie przymknęłam oczy, a on nagle zamarł. Patrzył na mnie w milczeniu, nie poruszając się.

– Przepraszam, Żabcia... ja...

– Po prostu to znajdziemy – uciełam.

Zbliżył się jeszcze o krok i na moment jakby zapomniał o tym, co tutaj robiliśmy. Uciekł wzrokiem, a ja dopiero teraz zrozumiałam, że przeprasza nie za swoją nerwową reakcję na mój dotyk, ale za to, co zrobił na moich oczach.

Poczułam, że podnoszę dłonie i jakby w transie ujęłam twarz Desa.

– Zrobiłeś to, co musiałeś.

Skinął głową bez przekonania, potrząsnął nią, a potem dotknął moich dłoni i je opuścił. Odwrócił się i kontynuował przeszukanie mieszkania, a ja po chwili zabrałam się do tego samego.

Minęło kilkanaście minut, zanim uznaliśmy, że niczego nie znajdziemy.

– Może trzyma to w samochodzie? – podsunęłam.

Deso zawahał się, po czym nabrał głęboko tchu.

– Może – przyznał. – Widziałaś gdzieś kluczyki?

Obawiałam się, że Badył miał je przy sobie i będziemy musieli zdjąć koc, ale szczęśliwie było inaczej. Znaleźliśmy je w szafce w przedpokoju, razem z dowodem rejestracyjnym.

Zaraz potem z ulgą opuściliśmy mieszkanie, oboje wciąż w szoku – i wciąż nieświadomi tego, że zostawiamy tam nie

tylko mnóstwo naszych śladów, ale też zwłoki człowieka, którego Deso pozbawił życia.

Granatowy opel vectra stał pod blokiem. Pieniądze i narkotyki były w bagażniku – w schowku, w którym powinna znajdować się zapasowa opona.

Wsiedliśmy do auta i oboje wbiliśmy nieruchomy wzrok przed siebie.

– Dzwonisz do Charona? – spytałam.

Deso wyciągnął komórkę, ale nie wybrał numeru. Zaklął za to cicho pod nosem.

– Nie masz numeru?

– Mam – odparł. – Ale nie mam hajsu na koncie.

– Skorzystaj z mojego – zaproponowałam, ale od razu powstrzymał mnie ruchem ręki.

Słusznie. Włączenie telefonu choć na chwilę sprowadziłoby na nas kolejne kłopoty. Rodzice od razu dostaliby raporty doręczeń i zaczęliby dzwonić, a policja mogłaby spróbować nas namierzyć.

– Wezmę komórkę Badyła – powiedział Deso, łapiąc kłamkę.

– Poczekaj tutaj.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Wyszedł z auta, zanim zdążyłam choćby pomyśleć o tym, że pójdę z nim na górę. Odprowadziłam go wzrokiem, a kiedy zostałam sama, poczułam się, jakby za moment miała wydarzyć się kolejna tragedia.

Serce zaczęło mi bić szybciej. W samochodzie zrobiło się cieplej. Uchyliłam okno i na moment zamknęłam oczy, starając się skupić na własnym oddechu i choć trochę uspokoić.

Boże, Deso zabił człowieka.

Nie ucieknę przed konsekwencjami, a ja jestem jedynym świadkiem. Nie będę mogła kłamać, bo pójdę siedzieć razem

z nim. Będę musiała go pograć.

Długo nie wracał. Stanowczo za długo. Mijały kolejne minuty, a ja nadal go nie widziałam. Co robił? Może próbował usunąć ślady? A może wpadł na kogoś?

W moim umyśle zaczynały pojawiać się coraz czarniejsze scenariusze, a po Desie nadal nie było śladu. Zaczęłam się pocić, więc uchyliłam okno jeszcze bardziej.

W końcu go zobaczyłam. Odetchnęłam, a on podszedł do mnie i oznajmił, że już wykonał telefon.

Charon czekał na nas w Incydencie.

Była w tym jakaś poetycka sprawiedliwość. Wszystko miało zakończyć się w miejscu, w którym się zaczęło.

Podjechaliśmy pod spalony klub i zaparkowaliśmy z tyłu budynku. Policyjne taśmy walały się po okolicy, ale nikt już nie pilnował terenu. Drzwi, którymi weszliśmy poprzednio, były uchylone.

– Pójdę sam – odezwał się Deso.

– Nie ma mowy.

– Żabcia...

– Idę z tobą, i koniec – postanowiłam, wychodząc z auta.

Spodziewałam się, że będzie starał się mnie przekonać, jakie to niebezpieczne, ale nie protestował. Zapalił papierosa, a potem ruszyliśmy do środka osmolonym korytarzem.

Wewnątrz czekał na nas Charon w towarzystwie czterech ochroniarzy. Sprawiali wrażenie, jakby zamierzali potraktować nas tak samo jak wszystkich innych, których zastali w klubie jakiś czas temu.

Deso położył torby przed Charonem. Potem cofnął się o kilka kroków i stanął obok mnie. Miałam ochotę wziąć go za rękę, ale przypuszczałam, że naraziłabym nas na drwiny ze strony osiłeków.

– Niezłego gówna narobiliście – odezwał się Charon.

Nie odzywaliśmy się.

- Mikulski i Zaporowski poszli siedzieć – dodał boss.
- Ale ty nie – odezwał się Darek.
- Bo ja nie miałem z tym nic wspólnego.
- No tak.

Nic oprócz tego, że na prośbę tych dwóch jego ludzie napadli na Incydent. Wciąż nie wiedziałam, czy zrobili to, aby znaleźć Izę i uciszyć tych, którym coś powiedziała, czy po prostu dlatego, żeby zdobyć ten teren dla siebie.

Zasadniczo nie miało to znaczenia, Charon tak czy inaczej był umoczony. I to właśnie on stanowił dla nas ostatnie niebezpieczeństwo.

- Jest cały hajs i towar? – spytał.
- Jest – odparł Deso, rozglądając się. – Gdzie Ewelina?
- Czeka na zewnątrz. Już ją prowadzą do tego grata, którym przyjechaliście.

Mężczyzna skinął na swoich goryli, a oni szybko uprzątnęli torby.

- Nie przeliczysz? – mruknął Deso.
- Nie muszę. Macie przecież świadomość, że was zajebię, jeśli mnie okantowaliście.

Z trudem przełknęłam ślinę. Sami nie przeliczyliśmy pieniędzy ani nie sprawdziliśmy towaru. Jeśli brat Myszona wziął trochę na bieżące wydatki, mogliśmy mieć problem.

- No? – rzucił Charon. – Dlaczego jeszcze nie widzę, jak stąd spierdalacie w podskokach? Jest coś jeszcze?

- Jedna rzecz.
- Jaka?
- Żeby odzyskać twój towar, musiałem kogoś sprzątnąć.

Charon zmrużył oczy, jakby nie był pewien, czy stojący przed nim chłopak w bluzie z kapturem nie robi sobie z niego jaj. Potem obrócił się do swoich towarzyszy i roześmiał. Odpowiedzieli mu tym samym.

- Zabiłeś kogoś, młody?

Deso skinął głową.

– Szacunek – rzucił Charon. – Nie wiedziałem, że aż tak srałeś po gaciach na myśl o mnie.

Zbliżył się do nas, a ja odniosłam wrażenie, że atmosfera stała się znacznie bardziej napięta. Dwóch mięśniaków ruszyło za swoim szefem, ale ten szybko powstrzymał ich ruchem ręki.

– Kogo zajebałeś? – spytał.

– Badyła.

Charon splunął na bok.

– Nic ci nie grozi. Był nikim na mieście.

– Ze strony jego ziomków nie – przyznał Deso. – Ale psy mnie dojebią.

Kryminalista wzruszył ramionami.

– Wiesz, koło czego mi to lata? – spytał.

– Może nie powinno.

– Bo? Rozprujesz się?

Była w tym tak ciężka, choć niewypowiedziana groźba, że momentalnie oblała mnie fala gorąca. Darek jednak podszedł do Charona. Stanęli w niedużej odległości od siebie, taksując się wzrokiem.

– Spróbuj – odezwał się przestępca. – W ciupie moi ludzie zafundują ci taką sztafetę w dupę, że...

– Nie jestem frajerem – uciał Deso. – Nie rozpruję się.

Charon przyglądał mu się bacznie, a jego ochroniarze wciąż czekali na sygnał.

– Ale psiarnia będzie się interesować, co robiłem w mieszkaniu Badyła.

– Powiesz, że chciałeś je ojebać.

– Spoko, ale...

– Ani słowa o dragach ani kwicie, jasne?

Darek zacisnął mocno usta.

– Dostaniesz zabójstwo w związku z rozbojem, tyle – uciął Charon. – Przyznaj się, wyraż skruchę. Weź dobrego prawnika.

– Posłuchaj...

– Bez spiny, zajmę się tobą w więzieniu – rzucił. – Zrobiłeś dla mnie całkiem sporo, młody. I nie zaśpiewałeś nawet o część tego hajsu, który tu leży. Dałeś mi cały zestaw. To się ceni, czaisz?

– Czaję.

– No, to wypierdalaj – polecił Charon, wskazując wyjście. – Póki jeszcze możesz.

Przy tak postawionej sprawie trudno było dłużej się łudzić, że ten człowiek okaże nam jakąkolwiek wdzięczność. A miał powody. Dostał cały towar z Incydentu za darmo i jeśli Deso nie mylił się w swoich wyliczeniach, wzbogacił się o ponad trzysta tysięcy złotych.

Wyszliśmy z klubu i zobaczyliśmy czekającą przed samochodem panią Blusiewicz. Nie wyglądała, jakby przed momentem została uwolniona przez przetrzymujących ją siłą ludzi. Nie miała podkrążonych oczu, jej włosy były dobrze ułożone. Na twarzy mojej nauczycielki nie dostrzegłam cienia trwogi.

– Wszystko okej? – spytał Darek.

– Tak.

– Nic ci nie zrobili?

Zerknęła na mnie, jakby sądziła, że jeszcze się nie domyśliłam, co między nimi było.

– Nie, po prostu zamknęli mnie w jakimś pokoju, a potem przewieźli tutaj – odparła. – A co z wami?

– Żyjemy – odpowiedział Deso. – I to się liczy.

Odwieźliśmy ją do domu, prawie się nie odzywając. Nie miałam nic przeciwko milczeniu. Przez nadmiar emocji ledwo byłabym w stanie powiedzieć nowo spotkanej osobie, jak się nazywam.

Odstawiliśmy panią Blusiewicz, a potem Darek zapytał, czy może pożyczyć jej auto. Nie protestowała, zdawała się wręcz nieświadoma tego, jak to będzie wyglądało. Deso wycofał i skierował się w stronę bloku, w którym mieszkał brat Myszona.

– Co robisz? – zapytałam.

– Muszę ci coś pokazać.

– Znaczy co?

Nie odpowiedział. Zdawał się wpaść w trans, a ja z jakiegoś powodu przestałam czuć się przy nim bezpieczna.

– Deso? – spytałam. – Co konkretnie chcesz mi pokazać?

– Zobaczysz.

– Ale u Badyła?

Potwierdził szybkim, gorączkowym skinieniem.

– Nie chcę tam wracać – oznajmiłam.

– Wiem. Ale musisz to zobaczyć.

Nie dopytywałam, wiedząc, że niczego już się od niego nie dowiem. Wróciliśmy do mieszkania, które przypominało pobojuwisko, a potem Darek zaprowadził mnie do pokoju, w którym stał komputer. Był włączony.

– Jak wróciłem po komórkę, sprawdziłem kompa – odezwał się Deso.

Dopiero teraz przypominałam sobie, jak długo go nie było.

– Po co? – spytałam.

– Chciałem zobaczyć, co konkretnie pisał mu anonim.

– I?

Darek odsunął krzesło i wskazał mi je. Usiadłam niepewnie, jakby mogła to być jakaś pułapka.

– Sama zobacz – powiedział.

Wyłączyłam wygaszacz ekranu i zobaczyłam znajomy interfejs Windowsa XP. W prawym dolnym rogu widniało słoneczko GG, ale nieco inne niż u mnie. Pewnie Badył korzystał z jakiegoś alternatywnego klienta.

- Włącz konwersację ze mną.
- Z tobą? – spytałam niepewnie.
- Z typem, który się za mnie podawał.

Wyświetliłam okienko i zobaczyłam cały ciąg wiadomości. Rzekomy Deso pisał Badyłowi, że ma towar z Incydentu, że jest przewidziany dla Charona i że jeśli się nim zaopiekują, ten odpali im całkiem przyzwoitą sumę.

W kolejnych wiadomościach informował, ile konkretnie tego jest, a w końcu także gdzie go schował. W jednej z ostatnich Deso polecił Badyłowi zabrać wszystko i skitrac u siebie w mieszkaniu. A potem dodał, że niebawem ktoś od Charona się po wszystko zgłosi.

Spojrzałam na numer przy kontakcie. Faktycznie należał do Desa.

- Skurwysyn pisał z mojego konta – powiedział.
- Widzę...
- Albo nawet z mojego komputera.

Obróciłam się na krześle.

- Ale jak to możliwe?
- Nie wiem. Ale zobacz na to – rzucił, a potem podał mi telefon Badyła.

Spojrzałam na skrzynkę esemesową. Były w niej wiadomości podpisane nie jako anonim, ale jako „Deso”. I wszystkie przyszły z numeru, który dobrze znałam.

- To jakiś absurd... – powiedziałam. – To twój numer.
- Na kompa ktoś mógł mi się włamać – odparł przez zęby Darek. – Ale na komórkę? Nie ma bata.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu i napięciu.

- Podejźmy do tego na spokojnie... – powiedziałam. – Kto miał dostęp?

- Oprócz mnie i ciebie?
- No tak. My jesteśmy jakby wyjęci z kręgu podejrzeń.

Staralam się wyczytać z oczu Darka, czy rzeczywiście jest gotów uznać, że nie miałam z tym nic wspólnego. Trudno było stwierdzić, w jakich konkretnie momentach przychodziły wiadomości na GG i esemesy, ale w ostatnim czasie przecież sporo przebywałam w mieszkaniu Desa. Miałam dostatecznie dużo okazji.

– Ciebie nie podejrzewam – odezwał się Darek.

– W takim razie kogo?

Potarł nerwowo kark, jakby nie był dłużej w stanie dźwigać całego tego ciężaru, który na niego nieustannie spadał.

– Nie wiem.

– Sojózca? – podsunęłam, rozkładając ręce. – Przecież nie twoją babcię?

Uśmiechnął się blado.

– Zostaje Sojóz – powiedziałam. – I wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale...

– Ale nie ma innej opcji – dokończył za mnie.

Podniosłam się powoli, a potem stanęłam przed nim. Chwilowa wymiana spojrzeń wystarczyła, żebyśmy podjęli decyzję.

Pojechaliśmy prosto do Desa, by wreszcie uzyskać wszystkie odpowiedzi.

## 43

Czekała nas dość mozolna robota, ale jeśli chcieliśmy raz na zawsze zakończyć tę sprawę, nie mogliśmy jej uniknąć. Na kartkach wypisaliśmy wszystkie daty i godziny, kiedy dostawałam wiadomości od anonima, a potem rozłożyliśmy je na podłodze.

Babcia zrobiła nam kanapki, ale nawet ich nie ruszyliśmy. A kiedy obczaiła, co robimy, stanęła obok i zaczęła pomagać.

Nie do końca wiedziała, o co kaman, więc Żaba oględnie jej tłumaczyła, a ja kreśliłem kolejne linie łączące te i inne zdarzenia.

Nie mieliśmy pełnych danych. Nie pamiętaliśmy, co robiliśmy w niektórych momentach ani gdzie byliśmy. Wszystko to, co udało nam się zebrać, dawało jednak dość dobry obraz.

– Daruś, jesteś pewien, że...

– Tak, babciu – uciałem. – Jestem pewien, że nie potrzebuję iść do szpitala.

Męczyła mi bułę, od kiedy przyszliśmy, i co jakiś czas wracała do tematu.

– Zadzwoń chociaż po doktora Leśniewskiego, on mieszka na piątym piętrze. Znamy się przecież tak długo.

– O ile dobrze pamiętam, to laryngolog.

– Może pomóc.

– Z moimi uszami wszystko spoko, babcia – odparłem pod nosem. – I nie przejmuj się, do wesela się zagoi.

Rzuciłem jej klasycznym tekstem, żeby poczuła się nieco lepiej. Zamiast tego jednak zobaczyłem, że lampi się na mnie i na Żabę ze znaczącym babcinym uśmiechem. Wika spaliła cegłę, a ja błagalnie uniosłem wzrok.

– Zrobię ci chociaż okład z liści kapusty.

– Babcia...

– Inaczej będziesz miał siniaki.

– Nie chcę żadnej kapusty. Daj mi spokój.

Przez chwilę znów wszyscy skupialiśmy się na kartach rozłożonych na podłodze. Niewiele z tego wynikało, a anonim po ostatniej wiadomości już się nie odzywał. Zupełnie jakby uznał, że wszystko załatwione, więc czas się zwijać.

– I naprawdę myślicie, że ten człowiek, który was zwodził, był tutaj? – spytała babcia.

– Mhm.

– A nie mógł się włamać skądś do twojego komputera?

– Mógł. Ale nie do komórki.

Sprawdziłem historię na moim GG. Nie było w niej ani jednej wiadomości wysłanej do Badyła, ale usunięcie tego to żaden problem. Na komórce też nie było żadnych śladów.

Wciąż uciekałem od tego, co oczywiste. Nie byłem jednak gotów się z tym pogodzić.

– Jesteś pewien? – odezwała się Wika.

Zerknąłem na nią pytająco.

– Że nie mógł zdalnie wysłać esemesa?

– Teoretycznie pewnie mógł. Ale słyszałaś kiedyś o czymś takim w praktyce?

Pokręciła głową, a ja sprawdziłem timestamp ostatniej wiadomości. Wpisałem go na kartkę i wbiłem wzrok w monitor.

Uświadomiłem sobie, że nie pomyślałem o jednej rzeczy. Jeśli anonim korzystał z mojego komputera, mógł robić to też po to, żeby skorzystać nie z mojego, ale ze swojego konta na GG.

– Co robisz? – zapytała Żaba, widząc moje ożywienie.

– Sprawdzam, czy gość nie założył sobie u mnie dodatkowego profilu.

Wika stanęła obok mnie i oparła się o mój fotel.

– I?

– Nic.

To mogło potwierdzać, że go tu nie było. I że jakimś cudem uzyskał zdalny dostęp do kompa i telefonu. A może zrobił kłona karty SIM? To było całkiem wykonalne, ale nie wiedziałem, czy ktokolwiek na osiedlu dysponował odpowiednim sprzętem.

– Zobacz, czy nie masz innego klienta – odezwała się Wika.

– Hę?

– Do obsługi GG. Ja na przykład mam Konneкта – odparła.

– Jeśli ktoś korzystał z twojego komputera, mógł zainstalować

jakiś program.

Ktoś, czyli Sojóz. Musiałem w końcu przyznać choćby przed sobą, że innej możliwości po prostu nie było.

W każdym razie Wika miała rację – gdybym sam zamierzał zrobić coś takiego, nie korzystałbym przecież z aplikacji, której używał właściciel komputera. W menu start niczego nie zauważyłem, więc zacząłem przeglądać foldery na dysku.

Nic podejrzanego nie wyczałem, co właściwie mnie nie dziwiło. Jeśli ten gość był sprytny, zainstalował drugiego klienta GG tak głęboko zakopanego w podfolderach, by przypadkiem nie sposób było na niego trafić.

Włączyłem wyszukiwanie i wpisywałem po kolei nazwy komunikatorów, ale bez skutku.

Dopiero po którejś próbie w końcu na coś trafiłem.

– Jasny chuj... – mruknąłem.

– Co jest? – spytała Żaba.

Babcia zestrofowała mnie wzrokiem, ale się nie odezwała.

– Miranda – powiedziałem. – W życiu jej nie instalowałem. A mimo to jest.

Wskazałem właściwy folder i plik .exe, a Wika nachyliła się nad monitorem. Włączyłem program i szybko okazało się, że najwyraźniej to właśnie tutaj anonim miał swoje centrum dowodzenia. Stąd wysyłał wszystkie wiadomości do mnie i do Badyła.

– Jak to możliwe? – jęknąłem.

Żaba wyprostowała się, cała blada.

– Kurwa mać...

– To musiał być Sojóz – powiedziała.

Jeszcze przez okamgnienie łudziłem się, że to tylko jakiś błąd rzeczywistości, jakiś bug w oprogramowaniu świata. Zaraz jednak musiałem przyznać jej rację.

– Deso?

Skinałem głową.

– Nie ma innej opcji – powiedziałem. – Sojóz to anonim.

Przesunąłem nerwowo dłońmi po karku, a potem popatrzyłem na babcię. Zdawała się bardziej zszokowana ode mnie. Nic dziwnego, miała przecież do czynienia z tym gościem tak długo jak ja. Wychowywaliśmy się razem, prawie codziennie razem jadaliśmy obiady, spędzaliśmy ze sobą w chuj czasu i bywały takie okresy, że Sojóz przesiadywał u mnie więcej niż we własnym domu.

Babcia traktowała go prawie jak mojego brata, a czasem nawet więcej, jak swojego wnuczka. Gotowała mu, pytała go, jak szkoła, jak znajomi, jak sytuacja w domu. Interesowała się nim w równym stopniu jak mną.

Podniosłem się i podszedłem do niej, chcąc ją objąć. Z tego wszystkiego, co usłyszała od Żaby, mogła ułożyć sobie dość dobry obraz anonima. Wiedziała, że ten człowiek chciał nas zniszczyć, doprowadzić do prawdziwej tragedii i bez żadnych skrupułów realizować swój pojebany plan. Musiał jawić jej się jako zło wcielone, a teraz zrozumiała, że był to chłopak, którego *de facto* od lat wychowywała.

Zobaczyłem w jej oczach łzy.

– To niemożliwe... – wydusiła cicho.

Chciałem otoczyć ją ramieniem, ale się cofnęła.

Zmarszczyłem brwi.

– Babcia?

– To niemożliwe – powtórzyła.

– Wiem, że trudno w to...

– Nie rozumiesz, Daruś – przerwała mi. – Boże, przecież ty nic nie rozumiesz...

Cofnęła się, a ja zrobiłem krok w jej kierunku.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem.

Potrząsnęła głową, a potem utkwiała wzrok prosto w moich oczach. Sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar zrobić coś, czego będzie do końca życia żałowała.

– Nie rozumiesz – powiedziała znów. – Józek... on... – Głos jej się załamał, ale wzięła się w garść. – Józek nie istnieje, Daruś.

– Co?

– Nie jest prawdziwy.

Obejrzałem się przez ramię na Żabę. Była równie skołowana jak ja.

– O czym ty mówisz? – rzuciłem.

– Jest wytworem twojej wyobraźni, zawsze był – powiedziała babcia, a łzy pociekły jej po policzkach.

W pokoju zaległo milczenie.

– Jesteś chory, Daruś, rozumiesz? Twoja mama była chora, twój ojciec...

– Nie mam ojca – przerwałem jej nerwowo. – A ty gadasz bzdury.

Babcia zatrzymała się w progu. Otarła wilgotne policzki, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Chorujesz, od kiedy miałeś kilka lat... – wydusiła z trudem. – A ja... Boże, powinnam była wcześniej...

Urwała, pokręciła głową i skryła twarz w dłoniach.

– Nie miałam pieniędzy, nie wiedziałam, jak...

Chciałem powiedzieć, żeby się uspokoiła, żeby przestała wymyślać i się ogarnęła. Nie potrafiłem jednak wydusić z siebie ani słowa. To, jak wyglądała i z jakim trudem mówiła, nie było udawane.

Nie, to jakieś farmazony, powiedziałem sobie w duchu.

Przecież nie ochujałem.

Ruszyłem przed siebie, a babcia szybko się odsunęła.

– Co robisz? – zapytała gorączkowo.

– Idę do Sojózca.

– Daruś...

– Przecież to jakieś kompletne sranie w banie – rzuciłem przez zęby, idąc w kierunku wyjścia. – Zaraz tam pójde,

przyprawdę tu go i zobaczysz, że coś ci kompletnie...

– Na Boga, Daruś, Józek nie istnieje. Nigdy nie istniał.

Wszedłem na klatkę, a ona i Żaba ruszyły za mną. Przywołałem windę, ale nie miałem zamiaru na nią czekać. Zamiast tego skierowałem się ku schodom.

– Proszę cię, zastanów się przez chwilę – mówiła dalej babcia. – Nigdy nie widziałeś się z nim nigdzie indziej niż u nas w domu.

– Bzdura.

– Nigdy się nie zjawiał, kiedy ktoś u nas był. Nigdy nie dzwonił do ciebie, kiedy ktoś mógłby was usłyszeć.

– Co ty pieprzysz! – krzyknąłem, idąc na górę. – Robiłaś mu jedzenie, gadałaś z nim!

– Rozmawiałam z tobą. Gotowałam tobie.

– Chuj prawda.

– Daruś...

– Skończ z tymi bredniami!

Próbowała złapać mnie za ramię, ale przyspieszyłem, nie zważając na to.

– Nawet swoje pseudonimy wymyśliliście podobnie – powiedziała. – Ty wzięłaś pierwszą literę imienia i dwie nazwiska, on dwie z nazwiska i kolejne z imienia...

Pokręciłem głową tak mocno, że poczułem, jak coś strzela mi w karku.

– Czy któryś z twoich znajomych kiedyś go widział?

– Nie, bo on się z nikim nie kumpluje.

– Widziałeś go kiedyś na jakichś zdjęciach?

– Sojóz nie lubi fotek, sama dobrze o tym wiesz.

– Wiem – odparła smutno. – Bo ty mi o tym powiedziałeś.

Wszedłem na piętro i zatrzymałem się przed drzwiami znajdującego się nad nami mieszkania.

– Przestań pierdolić – rzuciłem.

– Deso... – zaapelowała Żaba.

Machnąłem ręką, a potem zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi kobieta w średnim wieku, ładna i zadbana. Uśmiechnęła się lekko, a potem spojrzała na Wikę i moją babcię.

– Dzień dobry, pani Celino – powiedziała i szybko spochmurniała. – Słyszałam, co się stało z...

– Gdzie jest Sojóz? – rzuciłem.

– Przepraszam, kto?

– Józek. Twój syn, do kurwy nędzy!

Kobieta cofnęła się do środka.

– Słucham?

Z jednego z pokoiów wyłonił się zaniepokojony mężczyzna w kremowej koszuli i natychmiast podszedł do drzwi.

– Co się dzieje, kochanie?

– Ten chłopak...

– Co takiego?

Facet stanął przy żonie, a ona zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Czekala może, aż coś dodam, ale nie mogłem niczego wydusić. W korytarzu zobaczyłem jakąś gówniarę z zeszytem w ręku, która patrzyła na nas niepewnie.

– Szuka kogoś – powiedziała w końcu kobieta.

Pomyliłem mieszkania? Nie, na pewno nie.

Ale Sojóz nie miał siostry. Ani tym bardziej takich rodziców.

Stałem jak słup soli, czując, że nogi się pode mną uginają. Nagle obraz przed oczami jakby zadrgał, w uszach rozbrzmiał cichy szum. Zrobiło mi się trochę niedobrze, jakbym właśnie obudził się na kacu.

Poczułem, że babcia bierze mnie za jedno ramię, a Żaba za drugie. Powiedziały coś do małżeństwa, chyba padły słowa przeprosin. Potem się odwróciliśmy. Ruszyliśmy schodami w dół, a ja trzymałem się poręczy. Świat wirował, miałem wrażenie, że zaraz stracę przytomność.

Kolana nagle mi się ugięły, ale Wika mnie podtrzymała.

Nie pamiętam dalszej drogi do mieszkania. Widziałem błyski, krótkie flesze wspomnień. W niektórych był Sojóz pierdolący mi o ciekawostkach geograficznych, w innych to ja siedziałem przed komputerem i sam wyszukiwałem tych informacji.

Uświadomiłem sobie, że znał ksywę Żaby, wiedział o niej, zanim w ogóle mu cokolwiek na jej temat powiedziałem. Sam oznajmił mi, że nie lubi imienia Wiktor, mimo że nie miał prawa o tym wiedzieć.

I jego pajęczy zmysł, który mówił mu, kiedy tylko byłem na chacie. Zjawiał się dokładnie wtedy, kiedy ja.

Zobaczyłem niedawne wspomnienie. Żaba poszła wziąć prysznic, ja usiadłem przed komputerem. Włączałem Mirandę, wpisywałem wiadomość do samego siebie. Kiedy Wika wróciła, odkryłem, że anonim przysłał wiadomość.

Potem siedziałem z komórką w ręku. Widziałem esemesy, mogłem przysiąc, że tam były. Nieznany numer. Groźby i polecenia. Teraz przez moment widziałem to wspomnienie inaczej. Pusty ekran.

Podobnych przebłysków było zbyt dużo. Oślepiały mnie, nie pozwalały zebrać myśli.

Zrozumiałem, że Sojóz to ja. Anonim to ja.

Byłem popierdolony. Chory psychicznie, tak samo jak moja matka i mój ojciec.

## 44

Zostałam na noc u Desa, bojąc się zostawić go pod opieką tylko jednej osoby. Nie wyglądało, jakby miał sobie wyrządzić jakąś krzywdę, ale wyraźnie nie był sobą. Chodził po mieszkaniu, palił, wychodził na balkon, niemal się dusząc, a potem wracał jako zupełnie inny człowiek.

Przypominał sobie wszystkie momenty z Sojózem. Pytał babcię o każdą rozmowę, jaką z nim prowadziła. Słuchałam tego wszystkiego, powoli oswajając się z myślą, że to prawda.

W końcu Deso położył się na chwilę, a ja zostałam z jego babcią w kuchni.

– Zrobię ci coś ciepłego do jedzenia – powiedziała.

– Dziękuję, naprawdę nie trzeba.

– Powinnaś coś zjeść.

– Nie jestem głodna – zapewniłam. – Chyba emocje muszą trochę opaść.

Pani Celina westchnęła, położyła łokcie na stole, a potem podparła brodę.

– Powiedz mi, Wiktoria...

– Tak?

– Rozmawiał kiedyś przy tobie z Józkiem?

– Nie – odparłam bez wahania, bo dawno wszystko zrekapitulowałam. – Znaczą chyba raz telefonicznie, ale nie słyszałam głosu.

Babcia Desa zamknęła oczy. Milczała dość długo, jakby nie wiedziała, czy w ogóle chce poruszać ze mną ten temat.

– Postąpiłabyś inaczej? – spytała w końcu.

– Słucham?

– Na moim miejscu. Zachowałabyś się tak samo?

Nie spodziewałam się, że będzie chciała znać moje zdanie. Ale może potrzebowała po prostu poznać czyjekolwiek. O ile wiedziałam, był to pierwszy raz, kiedy powiedziała komuś o chorobie Darka.

– Nie wiem, proszę pani – odparłam.

Rzuciła mi smętne spojrzenie.

– Nie miałam pieniędzy na leczenie, nie wiedziałam nawet, od czego zacząć...

– Rozumiem.

– Czasem mi się wydawało, że skoro Józek jest tylko tutaj... i pojawia się tylko, kiedy jesteśmy sami, to nie stanowi zagrożenia... Może nie powinnam... Może trzeba było...

Urwała, a ja nie chciałam nawet zgadywać, jak wiele różnych myśli kłębiło się w jej głowie. Przez lata musiała tak przyzwyczać się do tej sytuacji, że nie zastanawiała się dłużej nad tym, czy tkwienie w tej iluzji umysłu było dobre dla Desa. Oprócz tego z jej punktu widzenia ten wyimaginowany przyjaciel był całkowicie nieszkodliwy.

– Pozwoliłam mu w to wierzyć – dodała. – Udawałam, że pytam o coś Józka, że słucham jego odpowiedzi. Robiłam dodatkowe porcje jedzenia... Na co to wszystko, dziecko? Na co?

Nie udzieliłam jej odpowiedzi, bo chyba tak naprawdę jej nie oczekiwała. A przynajmniej nie ode mnie.

– Powinnam była wiedzieć, że to może skończyć się tragicznie... Tak tragicznie, jak w przypadku jego matki...

Nadal nic nie mówiłam.

– Powinnam była coś z tym zrobić.

Odchrząknęłam cicho.

– To dziedziczne? – spytałam.

Otarła nos materiałową chustką i skinęła lekko głową.

– W pewnym sensie...

– Czyli jakim?

– Dziedziczność to jeden z czynników wpływających na zachorowalność na schizofrenię.

Fakt, że po raz pierwszy nazwała rzecz po imieniu, sprawił, że sytuacja urealniła się dla mnie jeszcze bardziej.

– Pokrewieństwo zwiększa statystyczne prawdopodobieństwo zapadnięcia na tę chorobę – dodała cicho pani Celina. – Ale nie znaczy, że dziecko też będzie na nią cierpiało...

– Rozumiem.

Znów na moment zamilkłyśmy.

– A mama Desa? – odezwałam się.

– Cierpiała na psychozę – odparła ciężko pani Celina. – Nigdy się nie leczyła, nie chciała, mówiła, że prędzej odbierze sobie życie. Przez jakiś czas próbowaliśmy z mężem do niej przemówić, ale było tylko gorzej... Kiedy zdecydowaliśmy się wysłać ją na przymusowe leczenie...

Nie musiała kończyć.

– To wtedy odebrała sobie życie – wydusiła. – I zabrała ze sobą własne dziecko.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam, w jaki sposób można skomentować coś takiego. Teraz jeszcze mniej dziwiłam się babci Desa. Życie nauczyło ją, jak niebezpieczna może okazać się próba zaważczenia o leczenie. Musiała panicznie bać się powtórki.

– Przepraszam cię na moment, dziecko – powiedziała, a potem poszła do toalety.

Myślałam, że za chwilę wróci, ale najwyraźniej potrzebowała trochę czasu dla siebie. Wstałam i poszłam do pokoju Desa. Leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami, wbijając pusty wzrok w sufit.

– Siema – powiedziałam cicho.

Zamrugął i spojrzał na mnie.

– Elo, ziom – odparł, zmuszając się do bladego uśmiechu, a potem przesunął się trochę. – Klapnij sobie.

Usiadłam obok niego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Wszystko okej? – spytałam.

– Prawie wszystko. Pomijając to, że odbił mi dekiel.

– Nic ci nie...

– Wiem, wiem. To choroba jak każda inna, tak?

– Tak – odparłam z przekonaniem.

Obróciłam się w kierunku komputera i bez zdziwienia odnotowałam, że czytał na temat schizofrenii paranoidalnej. Nie przypuszczałam, by diagnoza na podstawie internetowych

artykułów mogła mu pomóc, ale przy odrobinie szczęścia może chociaż oswoił się z tym, że nie jest jedynym, który na to choruje.

– Co tak się rozglądasz? – spytał. – Szukasz Sojóz?

– Nie.

Znów się uśmiechnął.

– Przed chwilą tu był – rzucił. – Wyszedł, zanim przyszłaś.

Skinęłam lekko głową, nie wiedząc, jak się zachować. Nie rozumiałam, jak to wygląda z perspektywy Desa. Czy wierzy, że Sojóz naprawdę się zjawił? Czy ma świadomość, że to wytwór jego wyobraźni? A może jedna odpowiedź nie istnieje? Może to wszystko się zmienia, a urojenia mieszają się z rzeczywistością?

Przypuszczałam, że nigdy tego do końca nie zrozumiem. Może on sam także nie. Przyjrzałam mu się i uznałam, że chyba już nawet nie próbuje. Zdawał się pogodzony z losem, z jakiegoś powodu spokojny.

Możliwe, że po tym, jak przypomniał sobie wszystko, co widział oczami i robił rękoma Sojóz, łatwiej mu było uporać się z szokiem.

– Wiesz, nad czym się zastanawiałem? – odezwał się.

– Nad tym, że na jednym krańcu Rosji może być siódma rano, a na drugim szósta wieczór?

– Nie. Ich jedenaście stref czasowych jakoś mnie nie fascynuje.

– To nad czym?

Uniósł lekko kąćki ust. Niby się uśmiechał, ale było w tym więcej przewrotności niż wesołości.

– Jeśli on i ja to jedna osoba, to zmienia postać rzeczy.

– W jakim sensie?

– No, skoro Sojóz jest w tobie zabujany...

Specjalnie zawiesił głos, w dodatku z wyraźną satysfakcją. Poczułam żar na policzkach, mimo to oderwałam wzrok od

monitora i popatrzyłam na Desa.

– To wychodziłoby na to, że ty też – odpowiedziałam.

Podniósł się powoli, a potem przysunął się do mnie i dotknął delikatnie mojego policzka. Przesunął po nim dłoń, jakby podziwiał coś, czego nie potrafił objąć rozumem. Nasze spojrzenia mocno się splotły, a ja odniosłam wrażenie, że Deso w ułamku sekundy się uspokoił. Nie pierwszy raz.

Przyciągnął mnie lekko do siebie, a potem pocałował.

Nie martwiłam się tym, co powinny robić moje usta i język. Podałam mu się całkowicie, prowadził mnie przez nowe, oszałamiające doznania i sprawiał, że czułam nie tylko błogie uniesienie, ale także spokój. Byłam przy nim bezpieczna.

Dotyk jego ust tłoczył we mnie adrenalinę, a oplatające mnie podniecenie sprawiało, że poczułam dziwne, dotychczas nieznanne uczucie. Nie, nawet więcej. Potrzebę, by go chłonać, by stać się jednością. Złapałam go mocno i przyłgnęłam do niego, pozwalając, by wsunął język głębiej do moich ust. Zaczynało brakować mi powietrza, ale chciałam, by zapało mi dech w piersiach jeszcze bardziej.

Odsunął się ode mnie po chwili, a ja widziałam w jego oczach uwielbienie mieszające się ze smutkiem.

– Muszę zgłosić się na psy – powiedział.

– Co takiego?

– Zabiłem człowieka, Żabcia.

– W obronie własnej i...

– Nie. Biłem go, dopóki nie było już kogo okładać.

Mówił to ze spokojem świadczącym o tym, że dogłębnie wszystko przemyślał. Chciałam protestować, ale wiedziałam, że nie ma to sensu. Policja prędzej czy później trafiłaby na nasz trop, śledczy szybko zrozumieliby, co się stało.

– Możesz uciec – powiedziałam cicho.

– Bez pieniędzy?

– Pomogę ci, mam jeszcze...

– Daj spokój – uciął, delikatnie ujmując moją dłoń. – To jedyne rozwiązanie.

Wyprostował się lekko.

– Wyciągnę od Charona hajs na dobrego obrońcę – powiedział. – Jakoś będzie.

To w tym momencie podjęłam decyzję, że zrobię wszystko, co trzeba, żeby pomóc Desowi, choćbym musiała kłamać przed sądem. W mojej głowie od razu zaświtał pomysł, by powiedzieć, że brat Myszona zaatakował mnie nie tylko na moment przed tym, jak Darek się na niego rzucił, ale też dużo wcześniej. Na imprezie, na której przecież byliśmy. Ludzie nas tam widzieli, byliby gotowi to poświadczyć. Nie mieli jednak pojęcia, co działo się za zamkniętymi drzwiami, a ja na pewien czas zostałam sama.

Nie byłam pewna, czy to się na cokolwiek zda, ale obiecałam sobie, że odpowiednio to rozegram, kiedy Deso będzie miał już swojego prawnika. Jeśli rzeczywiście stać nas będzie na kogoś dobrego, może z tego użytek.

– Damy radę – dodał Darek i lekko się uśmiechnął.

Przypomniałam sobie numer WWO i przez moment się zastanawiałam, czy mówi o mnie i o sobie, czy może także o Sojózcie. Mimowolnie się rozejrzałam.

– Widzisz go teraz? – spytałam.

Deso znów ujął delikatnie dłońmi moją twarz. Zrozumiałam, że nie doczekam się odpowiedzi, przynajmniej nie werbalnej.

Popatrzył na mnie bowiem w sposób, dzięki któremu zyskałam pewność, że nie widzi nikogo poza mną.





## OUTRO

### 45

Moja prawniczka podnosi się powoli i z gracją, ale jednocześnie w jej ruchach jest coś, co każe wszystkim milczeć i czekać na to, co ona ma do powiedzenia. Dopieszczała swoją mowę końcową przez kilka ostatnich tygodni, ale niczym się ze mną nie podzieliła.

Przekazywała mi tylko to, co musiałem wiedzieć, żeby nie rozdziawić japy ze zdziwienia.

Jedną z takich rzeczy była ściema, którą zasunęła jej Żaba. Jakimś cudem udało jej się przekonać adwokatkę, że na imprezie u brata Myszona ten zjawił się w pokoju i próbował się do niej dobierać.

Na sali sądowej opowiadała całkiem przekonująco o tym, jaki był nawalony, czego chciał i co próbował zrobić. Zgodnie z jej opowieścią nic o tym nie wiedziałem, przynajmniej do czasu.

Tego pechowego dnia, kiedy zajebałem Badyła, Wika miała mi o tym powiedzieć. Według jej relacji początkowo przyjąłem to spokojnie, ale potem coś we mnie pękło, zupełnie jakbym zmienił się w innego człowieka. Pobiegiłem do brata Myszona, a ona poleciała za mną.

Wpadliśmy do mieszkania, wywiązała się utarczka słowna, a potem zaczęliśmy się napierdalać. Z relacji Żaby wynikało, że to nie było żadne zabójstwo w związku z rozbojem, ale działanie w afekcie.

Z punktu widzenia prokuratury wyglądało to inaczej. Wbiłem tam na pełnej kurwie, rozpieprzyłem połowę chaty,

Bóg jeden wie czego szukając, a potem zwinąłem to razem z kluczykami do auta.

A wcześniej zatłukłem Badyła.

Jedynie to ostatnie się zgadzało, a mnie cieszyło przede wszystkim to, że nikt nie dotarł do wątku z dragami. Gdyby tak się stało, nie byłoby nawet o czym gadać. Dołożyliby mi pewnie jeszcze kilka lat za handel, a potem wylądowałbym prosto na dołku. Bez ochrony Charona, a raczej będąc na jego celowniku, nie wytrzymałbym długo.

Wszyscy milczeliśmy na temat szuwaksu i to nas uratowało, pozwoliło skupić się tylko na wybronienu mnie z zarzutu morderstwa.

Jak? Był tylko jeden sposób. Udowodnić, że to tak naprawdę nie ja zabiłem brata Myszona.

I to właśnie zamierza zrobić moja prawniczka, kiedy wodzi wzrokiem po członkach składu orzekającego. Pod togą nosi obcisłą bluzkę i spódnicę, figurę ma całkiem niezłą, ale nie widać jej pod tym czarnym, luźnym materiałem.

Długo się nie odzywa, jakby chciała dać wszystkim do zrozumienia, że nie musi tego robić.

Może tak jest.

Biegła lekarka ze specjalizacją z psychiatrii dość długo gadała o mnie i o schizofrenii paranoidalnej. To ona była kluczową osobą, która zeznawała w mojej sprawie. To, co zapodała sędziom, miało przesądzić o tym, czy zostanę uznany za w pełni władz umysłowych, czy nie.

Jej opinia była jednoznaczna: jestem chory.

Patrzę na moją obrończynię i wiem, że ona myśli o tym samym. Członkowie składu orzekającego z pewnością też. Opinia biegłej w połączeniu z tym, co powiedziała Żaba, przedstawia obraz chorego człowieka, który w pewnym momencie zwyczajnie nie potrafił poradzić sobie ze swoją przypadłością.

Teraz trzeba tylko to przypieczętować.

Prawniczka posyła mi krótkie spojrzenie, a ja lekko kiwam do niej głową. Nabiera tchu i zaczyna nawijkę.

– Wysoki Sądzie, wszystko to, co usłyszeliśmy w toku postępowania, sprawia, że tak naprawdę moja mowa końcowa jest zbędna. Nikt z zebranych nie ma chyba wątpliwości, że człowiek, którego bronię, nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za zarzucane mu przez prokuraturę czyny, gdyż nie były one jego udziałem.

Unosi lekko głowę, podpira się pod boki, jakby chciała podkreślić, że pod tą gównianą togą kryje się nie tylko człowiek z krwi i kości, ale też niezła laska.

– Wszyscy widzieliśmy, jak mój klient odpowiada na pytania dotyczące swojego przyjaciela, Sojóz. Słuchaliśmy, gdy o nim opowiadał. Obserwowaliśmy jego reakcje, kiedy wspominał o nim ktoś inny.

Obrończynie patrzy na mnie, a ja zgodnie z planem uciekam wzrokiem.

– Podczas przerwy pytałam mojego klienta, czy Sojóz jest tutaj z nami. Odpowiedział krótko: „A dlaczego miałby nie przyjść?”.

Rozlega się cichy szmer wśród publiczności, sędzia przewodniczący szybko jednak ucisza ludzi.

– Dla oskarżonego to całkowicie naturalne, bo Sojóz jest dla niego tak samo realny jak ja i wszyscy inni na sali – kontynuuje prawniczka. – W jednej chwili może przyjąć do wiadomości, że jego przyjaciel jest urojony, zaraz jednak zobaczy go stojącego obok i wszystko to, co o nim słyszał, będzie traktował jako próbę wmówienia mu, że czarne jest białe, a białe czarne.

Zwieszam głowę, jakbym nie mógł poradzić sobie z mętlikiem. Właściwie nie muszę nawet specjalnie udawać.

Czasem mi się wydaje, że Sojóz nie jest prawdziwy. Innym razem mam przekonanie graniczące z pewnością, że oni wszyscy się pomylili, a ja mam rację. Szczególnie kiedy on sam zaczyna mnie przekonywać, że po prostu mi odpięrdoliło.

– Wszyscy słyszeliśmy, co przedstawiła biegła z zakresu psychiatrii – ciągnie adwokatka. – Wykazała bez choćby małego zawahania, że mój klient cierpi na schizofrenię paranoidalną z klasycznymi objawami natury psychotycznej: urojeniami i halucynacjami. Nie jest w stanie odróżnić wytworów swojej wyobraźni od rzeczywistości, nie potrafi ocenić, co jest prawdziwe, a co nie. Gdyby poddano go leczeniu, nie spotkalibyśmy się dziś tutaj i nie przesądzalibyśmy, czy należy tego chłopaka wysłać na resztę życia za kratki, czy raczej poddać leczeniu.

Wodzi wzrokiem po członkach składu orzekającego, wiedząc, że mamy ich w kieszeni. Stało się to w momencie, kiedy lekarka skończyła wygłaszać swoją opinię. Pododawali dwa do dwóch i sami wyciągnęli wnioski. Teraz jednak adwokatka przywali im nimi prosto w ryj.

– Wiemy, że to Sojóz zakochał się w Wiktorii Zabskiej – podejmuje. – To jemu na niej chorobliwie zależało. To on uczył się faktów i ciekawostek, by jej zaimponować. To on nie mógł przestać o niej myśleć. I co najważniejsze, to właśnie on pisał do niej wiadomości bez wiedzy mojego klienta.

Kamień milowy całej linii obrony.

Musieliśmy udowodnić, że ja nie miałem nic do gadania.

– W momencie, kiedy pojawiał się Sojóz, mój klient tracił kontrolę – idzie za ciosem prawniczka. – Nie był świadomy niczego, co się wtedy działo. Jeśli potem pamiętał z tego cokolwiek, to tylko dlatego, że w jego przekonaniu Sojóz mu o tym opowiedział. Sam jednak nie potrafił przywołać konkretnych zdarzeń i do dziś nie jest w stanie tego zrobić. Dlaczego?

Patrzy na mnie, a potem na publiczność. Dopiero w ostatniej kolejności zawiesza wzrok na sędziach i ławnikach.

– Dlatego, że kiedy zjawia się Sojóz, mój klient znika – mówi adwokatka. – Nie jest odpowiedzialny za to, do czego wówczas dochodzi, bo *de facto* to nie on podejmuje decyzje i nie on popełnia te czyny.

Podnoszę w końcu wzrok. Staram się wyglądać na niewinnego i zagubionego, ale uważam, żeby nie przesadzić. Cały ten teatr to balansowanie na granicy, ale udaje mi się to robić całkiem niezłe. Prawniczka przygotowywała mnie dość długo.

– Kiedy Wiktoria powiedziała mojemu klientowi o tym, co zaszło na tamtej pechowej imprezie, mówiła nie do Dariusza Sodkiewicza, ale do jego alter ego, Józefa Sokulskiego. To on nie mógł znieść myśli, że ktoś skrzywdził jego ukochaną. To on postanowił wymierzyć sprawiedliwość. I to on poszedł do tamtego mieszkania, by tego dokonać.

Przymyka lekko oczy, nabiera tchu. Kurwa, chciałbym być tak pewny siebie jak ta kobieta. Wygląda, jakby kontrolowała nie tylko to, co od niej zależy, ale też wszystko inne.

– Jak zatem skazać prawdziwego winnego? – pyta. – W bardzo prosty sposób: poddając mojego klienta leczeniu. Tylko tak sprawimy, że Sojóz raz na zawsze przestanie istnieć.

Prostuje się i nieznacznie otwiera usta. Wszyscy czekają na to, czym zakończy swoją mowę.

– Ukarzmy tego, kto naprawdę zawinił. Tego, kto prowadził rękę mojego klienta, kto odebrał mu kontrolę nad jego własnym ciałem – dodaje. – Ukarzmy winnego. Nie ofiarę.

Dziękuje, a potem siada obok mnie i klepie mnie delikatnie po plecach, jakby musiała dodać mi otuchy.

Nie musi. Widzę przecież, że Joanna Chyłka właśnie zagwarantowała mi wolność.





## POSŁOWIE

W wywiadach często mówię, że nie zapisuję pomysłów, bo uważam, że pamięć to najlepsze miejsce do ich przechowywania. Jest jak sito, przez które przelatują te niewarte uwagi idee – i na którym zostają te mogące okazać się przyczynkiem do czegoś naprawdę ciekawego.

To nie do końca prawda. Mówię tak, bo zazwyczaj nie mam czasu się nad tym rozwodzić – w istocie jednak mam nawet nie jeden, ale kilka zapisanych po brzegi drobnym maczkiem notatników. Zapisuję w nich wszystko, co przyjdzie mi do głowy, ale zaraz potem o nich zapominam. Właściwie dla mnie nie istnieją – nigdy do nich nie sięgam, nigdy nawet ich nie otwieram. Są moim kołem ratunkowym, z którego nie muszę korzystać, bo moja łajba ma znacznie lepsze zabezpieczenia, dające mi poczucie komfortu.

Na pomysł napisania *Osiedla RZNiW* wpadłem w lutym dwa tysiące dwunastego roku. Nie wiem, czy cokolwiek wtedy zanotowałem – możliwe, że gdzieś w tym gąszczu znajdują się jakieś porozrzucone idee, ale dopóki do nich nie sięgnę, będę nieświadomy.

Od momentu, w którym zakiełkował pomysł na tę powieść, minęło sporo czasu, bo do pisania zabrałem się dopiero w listopadzie dwa tysiące dziewiętnastego roku. Mimo to pamiętałem wszystko, co przez te lata zdążyło rozwinąć się z tego stosunkowo niewielkiego ziarenka.

Wtedy wiedziałem, że Deso będzie mieszkał w bloku z babcią lub dziadkiem, cierpiał na niezdiagnozowaną schizofrenię paranoidalną i bronił się w sądzie przed zarzutem zabójstwa, którego dokonał za sprawą swojego urojonego przyjaciela.

Tyle wystarczyło, żeby *Osiedle RZNiW* nie opuszczało mnie przez lata. Pierwsze podejście do pisania zrobiłem już pewnej nocy w kwietniu dwa tysiące dwunastego – pamiętam, że wypiliśmy kilka piw, doprawiłem szklaneczką whisky i uznałem, że jestem gotowy. Bynajmniej nie byłem, choć pisało się dobrze. To był jeden z tych momentów, w których uświadomiłem sobie, że lepiej zawsze pracować na trzeźwo – pod wpływem idzie zbyt łatwo i to najlepsza droga do tego, by do końca życia robić to tylko w ten sposób.

Rano oczywiście uznałem, że tekst się do niczego nie nadaje, więc zamknąłem plik i zająłem się czymś zupełnie innym, co równolegle układało mi się w głowie.

Do *Osiedla RZNiW* wracałem mniej więcej co rok, aż w końcu w dwa tysiące szesnastym uznałem, że to by było na tyle. Najwyraźniej po prostu nie powinienem pisać tej powieści. Nie podobało mi się ułożenie własnego pióra, a narracyjnie wychodził mi przerost formy nad treścią, bo starałem się równoważyć uliczny slang stanowczo zbyt dętą polszczyzną.

W końcu wywaliłem wszystko do kosza. Zapomniałem o książce, a raczej chciałem o niej zapomnieć. Ona jednak, podobnie jak *Sojóz*, nie zamierzała mi na to pozwolić. Co jakiś czas wracała, a ja dokładałem kolejne pomysły do fabuły i widziałem coraz większy obraz.

Zmieniłem kilka założeń, usunąłem parę niepotrzebnych elementów, a potem zacząłem oswajać się z historią. Powiedziałem o jej zarysie mojej serdecznej ziomalce po piórze, Katarzynie Bondzie. Kiedy skończyłem, liczyłem na dość wylewną reakcję, ale zobaczyłem tylko lekko otwarte usta i wahanie.

Pomyślałem, że może jednak trzeba to zostawić. Zaraz potem usłyszałem: „No kurwa, tylko ty mogłeś to wymyślić”.

Mniej więcej wtedy uznałem, że kiedy skończę kolejną książkę, wrócę do *Osiedla RZNiW*. I tak się stało. Przez

większość czasu pracy nad tą powieścią wydawało mi się, że znów jej nie skończę i będzie jedną z wielu, które trzymam w folderze „Unfinished business” (założyłem go zresztą właśnie podczas pierwszego podejścia do RZNiW).

Ostatecznie jednak jestem tu, gdzie jestem, co oznacza, że spotkaliśmy się na kartach tej książki i przeżyliśmy historię Desa i Żaby razem. Mam nadzieję, że nie żałujesz czasu spędzonego z nimi – ja z pewnością nie. Żałuję tylko, że zabrałem się do tego tak późno.

Za to, że historia znalazła swój szczęśliwy finał, dziękuję:

- przede wszystkim moim Rodzicom, bez których wsparcia żadne przedsięwzięcie – życiowe czy literackie – nie byłoby możliwe,

- wspomnianej ziomalce po piórze za tę reakcję i katalizator, którego potrzebowałem;

- mojej ekipie z Czwartej Strony – nie wymienię Was z imienia, bo ta lista wdzięczności ewidentnie rozmnaża się przez pączkowanie, ale wiecie, o kogo chodzi,

- Gosi Skowrońskiej, Pawłowi Goźlińskiemu i Zuzie Król-Maziarzewskiej, których entuzjizm podczas naszego posiedzenia w „Mielżyńskim” dał mi niezbędną motywację do pisania,

- Pezetowi, Eldoce, Sokołowi, Peji i Ostremu za pozytywny odzew i za wersy, które od lat tworzą (a także za to, że zgodzili się, by te stały się mottem tej książki).

Na koniec najważniejsze, czyli podziękowania dla Ciebie. Gdyby nie Ty, ta książka nigdy by się nie ukazała, bo zatrzasnąłbym w szufladzie to, co napisałem kilka lat temu, i uznałbym ten epizod za zakończony. Świadomość, że ktoś czeka, by spędzić czas z moimi powieściami, sprawia jednak, że do takich projektów się wraca.

Dziękowa, ziom. I nara.

*Remigiusz Mróz*  
*Opole, 4 grudnia 2019 roku*

Utwory z playlisty *Desa* możesz przesłuchać na <http://remigiuszmroz.pl/deso>.

A oto i one, w kolejności, w której się pojawiły:

Pezet/Noon – *Szósty zmysł*

O.S.T.R. – *Zazdrość*

Eldo – *Zza szyby*

DJ600V feat. K.A.S.T.A. – *Wychyliłybyśmy*

WWO – *Damy radę*

Zipera – *Bez ciśnień*

Eldo – *Tylko słowo*

Vienio i Pele – *To dla moich ludzi*

Pezet/Noon – *Nie jestem dawno*

WWO – *Każdy ponad każdym*

O.S.T.R. – *Tabasko*

Peja/Slums Attack – *Głucha noc*

Eldo – *Autobus 522*

Eldo – *Plaża*

Stalagbity jeszcze nie nagrały demówki.

Może kiedyś...





# SPIS TREŚCI

## **INTRO**

1

2

3

4

5

6

## **REFREN**

7

## **PIERWSZA ZWROTKA**

8

9

## **REFREN**

10

## **DRUGA ZWROTKA**

11

12

## **REFREN**

13

## **TRZECIA ZWROTKA**

14

15

16

**REFREN**

17

**CZWARTA ZWROTKA**

18

19

**REFREN**

20

**PIĄTA ZWROTKA**

21

22

23

**REFREN**

24

**SZÓSTA ZWROTKA**

25

26

27

28

29

30

31

32

## **REFREN**

33

## **SIÓDMA ZWROTKA**

34

35

36

37

## **REFREN**

38

## **ÓSMA ZWROTKA**

39

40

## **REFREN**

41

## **DZIEWIĄTA ZWROTKA**

42

43

44

## **OUTRO**

45

## **POSŁOWIE**